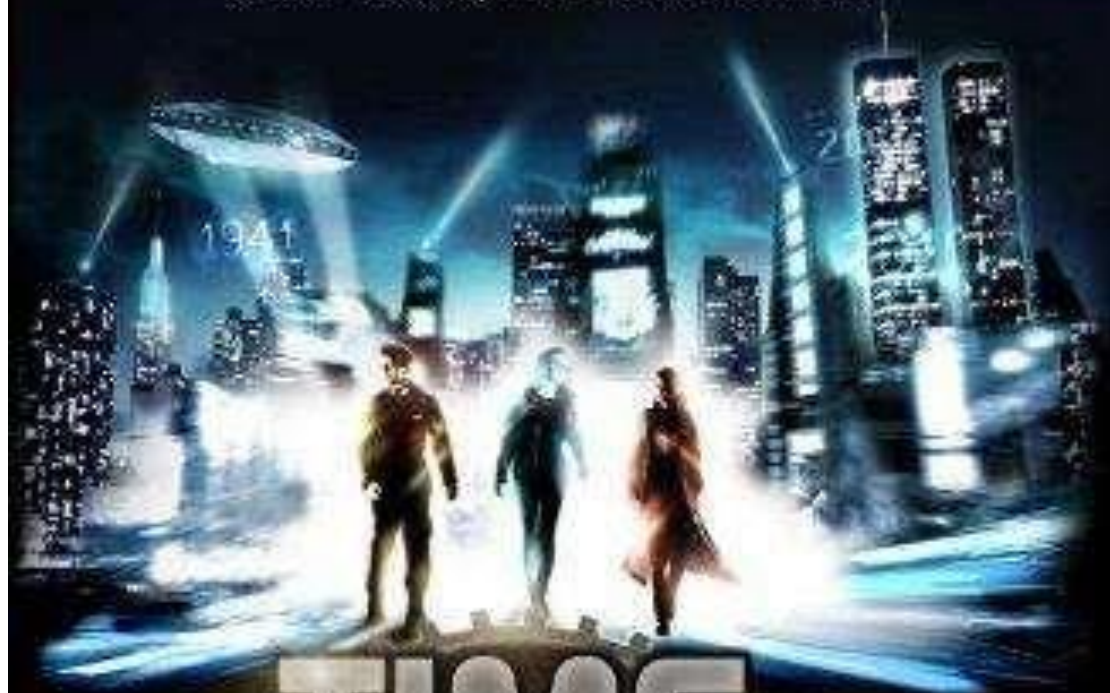


NIE IGRAJ Z CZASEM, BO ŚWIAT,  
KTÓRY ZNASZ, PRZESTANIE ISTNIEĆ



# TIME RIDERS

2007 1925 1957 2008  
**JEŹDŹCY W CZASIE**

ALEX SCARROW

WYDAWNICTWO  ZIELONA SOWA

**Alex Scarrow**

**Jeźdźcy w Czasie**

## O Autorze:

ALEX SCARROW zaczynał jako grafik, po czym zdecydował, że zostanie projektantem gier komputerowych. W końcu dojrzał i został pisarzem. Napisał wiele popularnych thrillerów oraz kilka scenariuszy, ale to pisanie dla młodzieży pozwala mu do woli cieszyć się pomysłami i koncepcjami, którymi bawił się podczas tworzenia gier.

Mieszka w Norwich z synem Jakubem, żoną Frances i dwoma bardzo grubymi szczurami.

Odwiedź witrynę [www.time-riders.co.uk](http://www.time-riders.co.uk) i zostań Jeźdźcem w Czasie.

Seria Time Riders:

Tom 1: Jeźdźcy w Czasie

Wkrótce kolejne tomy!

*Jakubowi, mojemu korektorowi*

*oraz pamięci Bullseye...*

*najwspanialszego ze szczurów.*

# ROZDZIAŁ 1

Ocean Atlantycki rok 1912

- Wszyscy z pokładu E?! - krzyknął Liam O'Connor. Głos chłopaka popłynął wąskim korytarzem, odbijając się echem od metalowych ścian. - Ktoś tu jeszcze jest?

Było cicho, nie licząc odgłosów stłumionych krzyków i śpiesznych kroków na wyższym pokładzie oraz głębokiego, ponurego skrzypienia kadłuba, które nasilało się, w miarę jak dziób statku zanurzał się z wolna w wodach oceanu. Liam zaparł się o uciekającą spod stóp podłogę, chwytając za futrynę drzwi najbliższej kabiny. Rozkaz starszego stewarda był jasny - zanim Liam dołączy do niego na górnym pokładzie, musi upewnić się, że wszystkie kajuty po tej stronie pokładu są puste. Chłopak od razu uznał, że to kiepski pomysł. Kiedy schodził po schodach, słyszał przerażające, dojmujące krzyki, płacze kobiet i dzieci z wyższych pięter. Tutaj, na pokładzie E, wśród kabin drugiej klasy panował spokój. Nie było jednak zupełnie cicho. Z oddali dochodził huk lodowatego oceanu, ogromu wody wdzierającej się do tonącego statku, przelewającej przez otwarte grodzie i stopniowo wciągającej wszystko w odmęty.

- Ostatnia szansa! - krzyknął ponownie.

Kilka chwil wcześniej uratował młodą matkę z córką. Skryły się w kabinie w kamizelkach ratunkowych - kobietę sparaliżował strach. Leżała w łóżku, trzęsąc się i kurczowo trzymając dziecko w ramionach. Liam wyprowadził je z pokoju pod schody wiodące na pokład D. Kiedy rozdzielali się na klatce schodowej, dziewczynka cmoknęła go w policzek i życzyła szczęścia. Wydawało się, że w przeciwieństwie do swojej roztrzęsionej matki rozumiała, że wszyscy są już zgubieni. Chłopak czuł, że rozkołysana podłoga nie daje oparcia dla stóp. W górnej części korytarza rozbrzmiał brzęk porcelany spadającej z półek w pokoju stewarda.

„Niedługo zatonie” - pomyślał i wyszeptał krótką modlitwę, po czym zajrzał do ostatniej kabiny. Pusta!

Przez podłogę, niczym pieśń gigantycznego wieloryba, przetoczyło się głośnie skrzypnięcie. Bardziej je poczuł, niż usłyszał. Nagle zauważył, że coś mignęło za iluminatorem kajuty. Przez moment widział tylko ciemność. Sekundę później przed oczami chłopca przemknęła feeria bąbelków o barwie rtęci.

- Pokład E pod wodą. Do diabła z tym. Nic tu po mnie - wyszeptał.

Wyszedł na korytarz i zobaczył, że w jego stronę zmierza strumień głębokiej na jakieś pięć centymetrów wody, delikatnie pluskając po wykładzinie.

- O nie!

Teraz mógł uciec jedynie w stronę położonego niżej drugiego końca korytarza.

„Za bardzo się ociągałeś, Liamie. Ty głupcze, za bardzo się ociągałeś” - skarcił się w myślach.

Uświadomił sobie, że dziewczynka z matką były znakiem od losu - powinien był wydostać się z pokładu razem z nimi. Lodowata woda dotarła do jego stóp, zamoczyła buty i swobodnie popłynęła dalej. Przeszedł kilka metrów, coraz bardziej zanurzając się w wodzie, która pochwyciła jego kostki, piszczele i kolana w mroźny uścisk. Tuż za rogiem, na końcu korytarza, znajdowały się schody, po których powinien był wchodzić pięć minut temu. Brnął dalej, krzywiąc się z bólu, zimna woda wzbierała wokół jego pasa i przenikała przez uniform. Zza dzwoniących zębów wydobywały się chmurki pary.

- Jezusie kochany, Matko Święta... Nie chcę tonąć! - wykrztusił.

Nie był to już niepewny, łamiący się głos dorastającego szesnastolatka, ale zduszone skomlenie przerażonego dzieciaka. Stopy nie znajdowały już oparcia, woda robiła się zbyt głęboka. Kawałek dalej, w miejscu, gdzie korytarz skręcał w prawo, ku schodom, woda sięgała zawieszonych na ścianie lamp, które zaczęły iskrzyć i migotać.

„Schody już pewnie pod wodą” - przemknęło Liamowi przez myśl.

Za rogiem woda musiała niemal sięgnąć sufitu i zalać co najmniej jedną z klatek schodowych. Jedyna szansa to wziąć głęboki oddech i zanurkować, licząc na to, że uda się dotrzeć choćby do półpiętra.

- Jezuuu! - Zsiniałe usta drżały na myśl o przedzieraniu się pod wodą w ciemnościach, o zgubieniu drogi, rosnącej desperacji i kipieli morskiej zalewającej płuca.

Wtedy to usłyszał - coś poruszyło się za jego plecami.

## ROZDZIAŁ 2

Ocean Atlantycki rok 1912

Odwrócił się i zobaczył stojącego w górze korytarza, zanurzonego po kostki w wodzie mężczyznę, który trzymał się poręczy, aby nie stoczyć się w dół.

- Liamie O'Connor!

- Utknęliśmy! - odkrzyknął Liam. - Nie ma stąd wyjścia! - Jego głos przeszedł w pisk.

- Liamie O'Connor - spokojnie powtórzył mężczyzna.

- Słucham?

- Wiem, kim jesteś, chłopcze.

- Ha? Musimy...

Na twarzy mężczyzny pojawił się uśmiech.

- Słuchaj, Liamie - powiedział, patrząc na zegarek. - Zostały ci niecałe dwie minuty

życia. - Nieznajomy spojrział na waniliowe, metalowe grodzie pokładu E. - Kadłub złamie się za jakieś półtorej minuty. Dziób, większa część statku, w której się znajdujemy, zatonie pierwszy, pójdzie na dno jak kamień. Rufa utrzyma się na powierzchni może minutę dłużej, po czym podąży naszym śladem: półtorej mili w dół.

- Nie, proszę. Nie, nie, nie - wyjęczał Liam, czując napływające do oczu łzy.

- Pod wpływem szybko rosnącego ciśnienia wygnie się kadłub statku. Powietrze rozsadzi nam bębniaki w uszach. Nity w ścianach - ciągnął, delikatnie dotykając ich ręką - wystrzelą z grodzi jak pociski. Korytarz błyskawicznie wypełni się wodą, ale nie zdążysz utonąć - będziesz już zgnieciony. Szczęście w nieszczęściu.

- O Jezu... nie. Pomóż nam.

- Umrzesz, Liamie. - Mężczyzna uśmiechnął się ponownie. - Czyni cię to wyjątkowym.

- Wyjątkowym?

Nieznajomy podszedł, brodząc w sięgającej mu pasa wodzie.

- Powiedz. Chcesz żyć?

- Co? Można się jakoś stąd wydostać?

Światła w korytarzu zamigotały jednocześnie.

- Minuta do zatonięcia. Mało czasu.

- Można się jakoś stąd wydostać...?

- Możesz pójść ze mną - odpowiedział mężczyzna, wyciągając rękę. - Jest inna droga. Staniesz się niewidzialny. Będziesz fantomem zawieszonym pomiędzy światłami. Nie będziesz miał przyjaciół. Nie znajdziesz miłości. - Uśmiechnął się lekko, chcąc złagodzić



efekt swoich słów. - Dowiesz się o wielu rzeczach, które mogą wpędzić w szaleństwo, jeśli pozwoli się im zapanować nad umysłem. Niektórzy wybierają śmierć.

- Chcę żyć!

- Zrozum. Nie oferuję ci życia, Liamie. Daję tylko szansę ucieczki, nic więcej...

Liam złapał za migoczącą na ścianie lampę i podciągnął się do tyłu wzdłuż unoszącego się korytarza, powtórnie odnajdując stopami podłogę. Wokół nich rozległo się ogłuszające, przyprawiające o dreszcze trzaśnięcie.

- Statek umiera, Liamie. Titanic zatoni za kilka sekund. Za chwilę dołączysz do zastępów Pana, o ile w ogóle w Niego wierzysz. Zostań tu, a wszystko skończy się błyskawicznie. Gwarantuję.

Utonięcie, odkąd pamiętał, było dla chłopaka największym koszmarem; panicznie bał się wody i nigdy nie nauczył się pływać.

Po raz pierwszy dokładniej przyjrzał się twarzy mężczyzny: głębokim, smutnym oczom otoczonym zmarszczkami starości. Nagle zrozumiał.

- Jesteś aniołem?

- Nie, zwykłym starcem - odparł z uśmiechem nieznajomy. W dalszym ciągu trzymał rękę wyciągniętą w stronę Liama. - Zrozumiem, jeśli zdecydujesz się zostać tutaj i umrzeć. Nie wszyscy mają odwagę ze mną iść.

Ciałem chłopaka wstrząsnął dreszcz. Pokładem targały konwulsje, w powietrzu krążył dźwięk rozdieranego metalu i trzask pękających nitów. Górne pokłady zapadały się jeden po drugim.

- Teraz, młody człowieku. Czas podjąć decyzję.

Liam podciągnął się, wyskoczył z wody i w desperacji chwycił rękę starca. Gdyby

miał trochę czasu, gdyby jego umysłem nie zawładnęła panika, zastanowiłby się prawdopodobnie, kim jest nieznajomy i jak właściwie planuje ich uratować. Ale teraz w jego głowie tkwiła tylko jedna myśl: „Nie chcę umierać. Nie chcę umierać”.

Światła nagle zgasły, pogrążając ich w całkowitej ciemności.

- Gdzie twoja ręka? Proszę! Nie chcę utonąć! - krzyczał Liam, wymachując na oślepek rękami.

Palce musnęły starca, który pewnie chwycił i przytrzymał dłoń chłopca.

- Pożegnaj się ze swoim dotychczasowym życiem! - Starzec starał się przekrzyczeć huk łamiącego się wpół statku.

Chłopiec zdążył jeszcze poczuć, jak wibrująca, metalowa podłoga korytarza pęka. A potem już tylko spadał... spadał spowity ciemnością.

### ROZDZIAŁ 3

Nowy Jork rok 2001

W dół, w dół... w dół.

Ciałem budzącego się Liama wstrząsnął dreszcz, nogi gwałtownie wierzgnęły. Z wciąż jeszcze mocno zaciśniętymi powiekami zdołał wyczuć ręką suchy, ciepły materiał owijający ciało. Panowała niemal grobowa cisza, za wyjątkiem delikatnego powiewu oddechu i odległego, stłumionego dudnienia rozlegającego się gdzieś nad nim. Wiedział, że w jakiś tajemniczy sposób znalazł się gdzie indziej - to było dość oczywiste. Leżał na łóżku lub na sofie. Otworzył oczy i zobaczył łukowaty sufit zbudowany z kruszących się cegieł, które ktoś lata temu pomalował białą farbą, odpadającą teraz płatami jak łupież. Z najwyższego punktu sufitu zwisała samotna, migocząca żarówka przyczepiona do zakurzonego kabla. Liam uniósł się na łokciach. Znajdował się w ceglany pomieszczeniu przypominającym piwnicę.

Betonowa podłoga ginęła w ciemności, poza kręgiem światła zakurzonej żarówki.

„Gdzie ja jestem?” - przemknęło chłopcu przez myśl.

Usiadł, czując mdłości i zawroty głowy. Zdał sobie sprawę, że patrzy na stojące metr dalej łóżko piętrowe. Na dolnym materacu leżała starsza od niego o kilka lat dziewczyna, która niespokojnie wierciła się przez sen. Na oko mogła mieć osiemnaście, może dziewiętnaście lat: bardziej młoda kobieta niż dziewczyna. Przewróciła oczami pod powiekami i zaskomlała żałośnie. Łóżko nieustannie trzeszczało i skrzypiało od szarpnięć jej wierzgających nóg.

- Gdzie ja, do diabła, jestem? - wyszeptał Liam.

## ROZDZIAŁ 4

gdzieś nad Ameryką rok 2010

Maddy Carter niezdarnie odwróciła się, aby splukać wodę. Toaleta groźnie zasyczała. Dziewczyna zastanawiała się, czy osoba, która nieopatrznie wciśnie spluczkę, siedząc na sedesie, zostanie wessana przez otwór i spuszczonej wraz z deszczem odchodów czterdzieści tysięcy stóp w dół.

Niezła myśl.

Maddy umyła się na tyle dokładnie, na ile pozwalała ciasna kabina toalety. Gdy patrzyła na ostatnią porcję wymiocin wciąż unoszących się w umywalce, odetchnęła z ulgą, że posiłek, jaki dostała od stewardesy, szczęśliwie wy dostał się na wolność i nie zatruwa już żołądka. Przetarła usta nadgarstkiem i sprawdziła w lustrze, czy we włosach nie utkwiły jakieś zdradliwe kawałki wymiocin. Z lustra spoglądała na nią blada twarz wysokiej, niezgrabnej dziewczyny. Policzki pod oprawkami okularów pokrywały gęsto rozsiane,

znieawidzone piegi. Blond włosy o rudawym odcieniu opadały bezwładnie na kościste ramiona, na których wisiała koszulka z logo Microsoftu.

Tak, stuprocentowy geek. Tym właśnie jesteś, Maddy.

Geekietka... prawdziwe dziwadło - kobieta szalejąca za obwodami drukowanymi, upgradowaniem sprzętu, hakowaniem Internetu w iPhonach... dziewczyna geek. Dziewczyna geek, która na pokładzie samolotu zawsze wpada w obłąd.

Maddy odblokowała zamek, otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz. Spojrzała na główny pokład samolotu, morze zagłówek i podskakujące zarysy kilkuset głów. Poczula, że ktoś złapał ją za ramię. Odwróciła się i zobaczyła starszego mężczyznę stojącego przy rządzie kabin toaletowych.

- Słucham? O co chodzi? - spytała, ściągnając z uszu brzęczące słuchawki.

- Jesteś Madelaine Carter z Bostonu. Siedzisz na fotelu numer 29 D.

Popatrzyła na niego w zdumieniu.

- Słucham? Chcesz zobaczyć mój bilet albo...?

- Obawiam się, że zostało ci jedynie kilka minut życia.

Poczula, że w jej żołądku znów wzbiera potok na wpół strawionego jedzenia. Zdanie „zostało ci kilka minut życia” to chyba ostatnia rzecz, jaką na pokładzie samolotu chciałaby usłyszeć osoba panicznie bojąca się latania. Do tej samej kategorii zaliczyć można słowa takie jak „terrorysta” i „bomba” - ich także nie należy wypowiadać w zatłoczonym samolocie pasażerskim podczas lotu. Starszy mężczyzna dyszał, jakby właśnie przed chwilą dogonił odjeżdżający pociąg.

- Za kilka minut wszyscy w tym samolocie zginą.

Pomyślała, że istnieją dwa rodzaje osób zdolnych powiedzieć coś takiego: kompletni

wariaci, którym właśnie odstawiono lekarstwa lub...

- O mój Boże! - wyszeptała Maddy. - Nie jesteś chyba terrorystą?

- Nie, przybyłem tutaj, żeby cię uratować, Madelaine - spokojnie odpowiedział mężczyzna i spojrzął na morze głów po obu stronach pokładu. - Obawiam się jednak, że tylko ciebie.

- Co?... Kto?... Ja? - Usta dziewczyny drżały.

- Czas ucieka. - Nieznajomy spojrzął na zegarek. - Za około pięćdziesiąt sekund mały ładunek eksploduje w połowie długości samolotu, po prawej stronie maszyny. Wybuch rozerwie kadłub, nastąpi nagła dekompresja, samolot zacznie gwałtownie pikować. Dwadzieścia sekund później odpadnie skrzydło, wyleje się i od razu zapłonie paliwo lotnicze - westchnął. - Zderzenie z lasem, które nastąpi jakieś trzydzieści siedem sekund później, zabije wszystkich pasażerów, którzy nie zdążą spłonąć.

Maddy poczuła, jak z twarzy odpływa jej krew.

- Przykro mi - dodał mężczyzna - ale nikt nie przeżyje katastrofy.

- To... to jakiś chory żart, prawda?

- Żaden żart - odpowiedział. - Ty jedna masz wybór. Możesz wybrać życie.

„Mówi poważnie” - pomyślała Maddy, a coś z tyłu głowy podpowiadało jej, że facet wcale nie jest na lekach. Poczuła duszności, więc instynktownie sięgnęła po inhalator.

- Dziewięćdziesiąt sekund? Bomba eksploduje? - pytała nieskładnie.

- W tej chwili nawet mniej.

To nie świr...

- O Boże, to ty podłożyłeś b... bombę. Czego chcesz?

- Nie, nie ja. Nie jestem terrorystą. Po prostu wiem, że samolot wybuchnie. Jutro rano do zamachu przyzna się grupa terrorystów.

- Mamy czas? Nie możemy znaleźć bomby i wyrzucić jej z samolotu? - spytała Maddy drżącym głosem. „B” w słowie bomba zabrzmiało jednak zbyt głośno. Kilka zaalarmowanych osób błyskawicznie podniosło głowy, żeby spojrzeć na dziewczynę.

- Nawet gdybyśmy mieli czas, nie mógłbym zmienić biegu wydarzeń. Nie potrafię zmienić historii. Samolot musi spaść - mówił nieznajomy, kręcąc głową.

- Mój Boże! - jęknęła Maddy.

- Jedyne, co mogę zrobić, to zabrać cię stąd przed eksplozją.

Spojrzała na ludzi w samolocie. Kolejne głowy odwracały się w jej stronę. Słyszała coraz głośniejszy szmer głosów, a fala szeptów niosła z rzędu do rzędu słowo „bomba”.

- Jeśli wezmiesz mnie za rękę, przeżyjesz - powiedział mężczyzna, ofiarując jej swoją dłoń. - W zamian będziesz musiała mi pomóc. Możesz też zostać. Wybór należy do ciebie, Madelaine.

Maddy uświadomiła sobie, że po jej policzkach płyną łzy przerażenia. Mężczyzna sprawiał wrażenie całkowicie zdrowego na umyśle. Wydawał się spokojny. Śmiertelnie poważny. Ale... jakim cudem ktokolwiek mógłby opuścić samolot lecący kilka tysięcy stóp nad ziemią?

- Wiem, że nie wierzysz w Boga - powiedział. - Czytałem twoje akta. Jesteś ateistką. Nie zamierzam wmawiać ci, że jestem aniołem. Masz lęk wysokości, nienawidzisz latania. Twoją ulubioną marką napoju jest Dr Pepper. Nęka cię powracający koszmar, w którym spadasz z pomalowanego na żółto domku na drzewie. Wiem o tobie dużo, dużo więcej.

- Skąd to wszystko wiesz? - Maddy zmarszczyła brwi.

Ponownie spojrzął na zegarek.

- Zostało trzydzieści sekund.

Z głębi pokładu zmierzała w ich kierunku stewardesa z przerażeniem wymalowanym na twarzy.

- Wiem, że pasjonujesz się powieściami science fiction, Madelaine. Może łatwiej pojmiesz to wszystko, jeśli oznajmię, że pochodzę z przyszłości.

- Ale... ale to niemożliwe - powiedziała Maddy z rozdziawioną ze zdziwienia buzią.

- Podróżowanie w czasie stanie się rzeczywistością za około czterdzieści lat. - Wyciągnął w jej kierunku dłoń, na którą spojrzała niepewnie.

- Dwadzieścia sekund, Madelaine. Weź mnie za rękę.

Spojrzała na pokrytą zmarszczkami twarz nieznajomego.

- Dlaczego? Dlaczego...?

- Dlaczego ty?

Kiwnęła głową.

- Idealnie odpowiadasz profilowi - odpowiedział mężczyzna.

Nerwowo przełknęła ślinę, czując, że jej oddech staje się coraz bardziej świszczący i nieregularny. Dziewczynę ogarnęła panika. Nie była w stanie sformułować sensownego pytania.

- Potrzebujemy cię! - powiedział starzec, spoglądając na zegarek. - Piętnaście sekund, czas podjąć decyzję.

- Kim jesteś?

- Ja, a właściwie my... naprawiamy to, co zepsute. A teraz weź mnie za rękę, Madelaine. Chwyć ją teraz.

Instynktownie złapała go za dłoń.

Podeszła do nich stewardesa.

- Przepraszam - wtrąciła się - ktoś poinformował mnie, że głośno wypowiadają państwo słowo na B... „bomba” - wyszeptała. - Przykro mi bardzo, ale nie można używać takich słów na pokładzie samolotu pasażerskiego.

Starzec spojrział na nią ze smutnym uśmiechem.

- Nie, to mnie jest przykro, proszę pani. Naprawdę.

- Czy to się dzieje naprawdę? - spytała Maddy, spoglądając na nieznajomego. - Okej! - wyksztuśiła, mocno chwytając go za rękę.

Stewardesa z zainteresowaniem przechyliła głowę, marszcząc czoło i ściągając usta. Już miała zapytać, jak niby zamierzają się stąd wydostać, ale w tym samym momencie świat stał się oślepiająco biały.

Maddy zamknęła oczy.

## **ROZDZIAŁ 5**

Nowy Jork rok 2001

Wydawało się jej, że krzyczy, choć była to tylko jedna z możliwości. Mógł to być jej



własny głos, ale również dźwięk odrywającego się od samolotu skrzydła. Mogły to być nawet krzyki stewardesy. Nie była pewna.

Przerażające uczucie spadania, osuwania się w ciemność.

- Neeee! - wrzasnęła ochryłym głosem, przypominającym rozdzierające ryki zwierząt prowadzonych na rzeź.

Jej ciałem wstrząsnął nagły, gwałtowny dreszcz.

- Jezusie Przenajświętszy - obok niej rozległ się męski głos.

Maddy szeroko otworzyła oczy, wlepiając wzrok w migoczącą żarówkę zwisającą z ceglanego sufitu. Chwilę później zobaczyła zardzewiałe sprężyny brudnego materaca zawieszzonego nad jej głową. Odwróciła głowę w prawo i zobaczyła gładką twarz młodego mężczyzny siedzącego na zapuszczonym, metalowym łóżku naprzeciwko niej. Chłopak miał na sobie biały strój przypominający uniform kelnera.

- Jezusie Przenajświętszy, ze strachu aż podskoczyłem - wykrztusił. - Śpisz sobie spokojnie, a chwilę później zaczniesz się wydzierać, jakby cię żywcem ze skóry obdzierali.

Maddy poczuła, że jej oddech szeleści jak przerażona ćma złapana w pułapkę. Zauważyła, że w rękach wciąż trzyma inhalator, który kilka sekund wcześniej wyjęła na pokładzie samolotu. Przystawiła aparat do ust i wzięła długi, głęboki wdech. Gdy już poczuła, że w płucach znalazła się wystarczająca ilość powietrza, powoli usiadła.

- Ja nie żyję. Muszę być martwa.

- Ja też... chyba... - Na twarzy młodego mężczyzny pojawił się nieśmiały uśmiech.

- Jest tu ktoś jeszcze? - spytała Maddy.

Liam kiwnął głową.

- Tak, młoda dziewczyna o ciemnej karnacji. Jeszcze śpi.

- Ma na imię Saleena! - rozbrzmiał głos w ciemności.

Oboje odwrócili się gwałtownie i utkwili wzrok w mroku poza kręgiem światła rzucanego przez nagą żarówkę. Usłyszeli odgłos kroków na betonowej posadzce. Z ciemności stopniowo zaczęła wyłaniać się sylwetka mężczyzny niosącego tacę.

- Kawy? - spytał starzec.

- O mój Boże! - wykrztusiła zdziwiona Maddy, rozpoznając twarz nieznanego.

Szczęka Liama opadła z zaskoczenia.

- To ty! Człowiek z pokładu E.

- Zgadza się - spokojnie odpowiedział mężczyzna. - Nazywam się Foster.

Podszedł do nastolatków, kładąc na podłodze pomiędzy łózkami tacę z wyszczerbionymi kubkami i pudełkiem pączków. Usiadł obok Liama.

- Wy natomiast nazywacie się Madelaine Carter i Liam O'Conor - odrzekł i ruchem głowy wskazał na górny materac. - Dziewczynka, która tam leży to Sal Vikram. Jest najmłodsza. Ma trzynaście lat. Biedne dziewczę, będzie przerażona, gdy się obudzi. - Proszę.  
- Podał Liamowi i Maddy po kubku kawy. - Obojgu wam pewnie przyda się mały zastrzyk energii.

- Pan Foster, tak? - spytał Liam.

- Foster... Pan Foster. Jak wam wygodniej - z uśmiechem odpowiedział mężczyzna.

- Panie Foster, gdzie my jesteśmy?

Maddy również spojrzała na starca pytająco.

- Ja na przykład powinnam być już martwa. Nie ma mowy, za żadne skarby nie mogłeś mnie wyciągnąć z tego samolotu. Nie ma szans.

- Podróże w czasie, pamiętasz? - powiedział Foster, uważnie spoglądając na dziewczynę.

- Ale to niemożliwe - odpowiedziała Maddy, mrużąc oczy.

- Niestety możliwe - rzekł starzec.

- Czym są podróże w czasie? - spytał Liam.

- Nabijasz się, co? - Maddy spojrzała na niego z kpina.

- Nie traktuj chłopaka zbyt ostro - powiedział Foster. - Pochodzi z tysiąc dziewięćset dwunastego roku. Ludzie nie oglądali wtedy seriali science fiction ani nie czytali komiksów.

Dziewczyna ponownie przyjrzała się ubraniu Liama i doszła do wniosku, że chłopak nie jest żadnym kelnerem, ale stewardem ze statku. Zauważyła wyszyty na kieszonce koszuli napis „White Star Lines”.

- Tysiąc dziewięćset dwunasty? Mówisz poważnie?

- Śmiertelnie - odpowiedział Foster. - Liam służył na Titanicu. Maddy z niedowierzaniem otworzyła usta.

- O co chodzi? - Liam wyglądał na zmieszanego. - Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Dlatego Liamie, że pochodzisz z Irlandii sprzed stu lat. - Starzec się zaśmiał. - A ta dziewczyna z Nowego Jorku roku dwa tysiące dziesiątego.

Liam podejrzliwie zmarszczył brwi.

- Seleena Vikram, która śpi na górnym materacu, przybyła tutaj z Mumbaju w Indiach z dwa tysiące dwudziestego szóstego roku. - Foster wyszczerzył zęby, a jego twarz zmarszczyła się jak pergamin. - A co do mnie - kontynuował z uśmiechem - powiedzmy, że pochodzę z Nibylandii.

- O mój Boże, daj spokój. No, powiedz skąd? Z dwudziestego drugiego wieku? Z jeszcze dalszej przyszłości? - natarczywie pytała zaciekawiona Maddy. Nie była w stanie nic wyczytać z jego uśmiechu. - Czy w twoich czasach istnieją statki kosmiczne? Czy ludzie skolonizowali układ słoneczny? Czy można już podróżować z prędkością światła?

Podniósł rękę uciszającym gestem.

- Wytłumaczę wam innym razem. W tej chwili mamy pilniejsze sprawy na głowie.

Nie zdążyli zareagować, bo na górnym materacu coś zaczęło się poruszać.

- Zaczyna odzyskiwać przytomność - powiedział Foster. - Będzie bardziej zdezorientowana, bardziej przerażona niż którekolwiek z was.

- Szczerze wątpię - rzuciła Maddy, podnosząc do ust kubek z gorącą kawą.

Pomruki wydawane przez dziewczynę przechodziły w coraz głośniejszy skowyt. Foster wstał i pochylił się nad górnym materacem.

- Cii... wszystko dobrze, Saleena - mówił kojącym tonem. - To już koniec. Już jesteś bezpieczna.

Nagle kwiląca dziewczyna zaczęła wydierać się w niebogłósy. Gwałtownie otworzyła oczy i usiadła na łóżku, sztywno prostując plecy.

Foster mocno chwycił ją w ramiona.

- Saleeno. Jesteś bezpieczna, nic ci tutaj nie grozi. To już koniec. - Mężczyzna mówił szybko uspokajającym tonem.

Dziewczyna ciężko dyszała. Za opadającą na wąską twarz czarną grzywką połyskiwały szeroko otwarte oczy podkreślone grubą, ciemną konturówką. Rozbiegany wzrok co chwilę zatrzymywał się na innym punkcie, dziewczyna nie mogła pojąć, co się wokół niej dzieje.

- To już koniec, Saleeno - powtórzył Foster. - Już jesteś bezpieczna.

Utkwiła wzrok w starcu. Strzepnęła grzywkę z prawie całkowicie spopielalej twarzy, z naturalnie ciemnobrązowej skóry odplynął kolor, zostawiając trupioblady odcień.

Liam wstał, spojrzał na łóżko i ze zdziwieniem zmarszczył brwi, zaskoczony dziwnym wyglądem małolaty: miała na sobie ciemną bluzę z kapturem i jaskrawo pomarańczowym, niewyraźnym napisem; rurkowate, porozpruwane dzinsy pokryte niezliczonymi warstwami łat i o dwa rozmiary za duże buty ze sznurówkami owiniętymi wokół kostek... W górnej wardze dziewczyny tkwił mały ćwiek.

- Hmm... - Liam powtórnie spojrzał na dziewczynę z niedowierzaniem i podał jej rękę na powitanie. - Nazywam się Liam O'Connor. Miło mi cię...

- Daj jej sekundę, Liamie - powiedział Foster. - W jej przypadku ekstrakcja przebiegła szczególnie traumatycznie.

- To ty? Mężczyzna, mężczyzna z płomieni? - Jej głos był cienki i drżący.

- Tak. - Foster uśmiechnął się ciepło. - To ja, Saleeno.

- Sal! - odpowiedziała. - Tylko moi rodzice nazywają mnie Saleena.

- Niech będzie Sal - zgodził się, pomagając jej wstać.

Dziewczynka spuściła nogi z materaca i w milczeniu przyjrzała się pozostałej dwójce: chłopcu ubranemu jak hotelowy portier i okularnicy z prostymi włosami.

- Cześć! - przywitała się Maddy. - Witaj w Dziwnowie.

- Zrób jej trochę miejsca. Pozwól złapać oddech.

- Posiadasz osobliwy akcent - stwierdził Liam.

- I kto to mówi! - prychnęła Maddy.

- Pochodzi z Mumbaju, miasta w Indiach, Liamie. Znanego ci jako Bombaj - wytłumaczył Foster.

- Ale ona mówi po angielsku, czyżby myliły mnie uszy? - nie mógł nadziwić się chłopak.

- Ja nie mogę! - zakpiła Maddy, wywracając oczami. - Tak jak wszyscy. To naród dwujęzyczny.

## ROZDZIAŁ 6

Nowy Jork rok 2001

Kubki były już puste, w pudełku został ostatni, niechciany pączek.

- Zostaliśmy... zrekrutowani? - powtórzyła Maddy.

- Tak jest. Od dzisiaj pracujecie dla Agencji.

- Hmm... A czym dokładnie jest Agencja? - Liam pochylił się z ciekawością.

- Pozwól mi wyjaśnić wszystko od początku. Potem będziecie mogli pytać do woli. Dzięki temu wszystko pojmiecie o wiele szybciej.

Skinęli głowami.

Foster wskazał ciemność za wnęką, w której stały łóżka.

- Wyłączyłem pozostałe światła, żeby nie przeraził was widok tego miejsca i całego sprzętu. Poudawajmy teraz, że jest tu tylko ta mała wnęka, żarówka i nas czworo... od tego zaczniemy.

Mężczyzna wziął głęboki oddech.

- Podróżowanie w czasie to fakt.

Pozwolił, aby zdanie zawisło w powietrzu na kilka chwil.

- Traktat naukowy kładący teoretyczne podwaliny pod zagadnienie podróży w czasie został napisany w dwa tysiące dwudziestym dziewiątym roku - kontynuował starzec. - Prototyp wehikułu czasu został skonstruowany w roku dwa tysiące czterdziestym czwartym. W ten sposób otworzyliśmy puszkę Pandory, której nijak nie możemy zamknąć - westchnął.

Badawczo popatrzył na nastolatków; skupione oczy starca wyzierały spomiędzy zmarszczonych brwi i ziemistych policzków pokrytych warstwami krzyżujących się zmarszczek.

- Gatunkowi ludzkiemu nigdy nie było pisane manipulowanie czasem. Nigdy! Ale teraz, kiedy wiedza na ten temat jest dostępna, ktoś musi pilnować, aby nikt nie podróżował w czasie. A jeśli już jakiś głupiec to zrobi, odpowiednie służby muszą jak najszybciej naprawić szkody.

Chropawy głos mężczyzny lekko zadrżał.

- Podróżowanie w czasie to straszliwa broń, najpotężniejsza, jaką kiedykolwiek wynaleziono - powiedział ponuro. - Gatunek ludzki nie jest jeszcze przygotowany na taką wiedzę. Jesteśmy niczym dzieci przerzucające bombę atomową z ręki do ręki jak gorącego ziemniaka.

Liam pytająco przechylił głowę.

- Czym jest bomba atom...?

- Wyjaśnię ci później - przerwał mu Foster. - Ale oto stoicie wszyscy troje w tym miejscu - powiedział, wskazując ciemność poza zasięgiem żarówki. - Na całym świecie jest zaledwie kilka grup takich jak nasza. Niestety, niewielu jest Jeźdźców rozrzuconych w czasie i przestrzeni, ludzi, którzy cierpliwie czekają i szukają.

- Szukają czego? - spytała Maddy.

- Przesunięcia.

- Przesunięcia?

Przytaknął.

- Początkowo to coś bardzo nieznaczącego, prawie niedostrzegalnego dla ludzkiego oka: drobna fala, którą można i należy złapać. Trzeba jednak uważać, bo z czasem, niezauważenie, przybiera ona na sile, zamienia się w tsunami, staje się niepowstrzymana, nieposkromiona. A wtedy wszyscy możemy mieć naprawdę przechłapanie.

Utkwione dotychczas w ciemności, nieobecne oczy Sal spojrzały na Fostera.

- Czym jest przesunięcie?

- Przesunięcie to skutek zaburzenia osi czasu.

Foster zacisnął usta i zamyślił się na chwilę.

- Dobrze. Pomyślcie o tym w ten sposób: czas to nieruchoma woda w basenie lub wannie. Próbowaliście kiedyś wejść do wanny bez wywołania fali, zrobienia choćby najmniejszej zmarszczki na tafli wody? To niemożliwe, prawda?



Cała trójka zgodnie przytaknęła, nad ich głowami delikatnie zamigotała i zasyczała żarówka.

- Na podobnej zasadzie nie da się powrócić do przeszłości bez wywołania drobnej fali. Problem w tym, że taka fala rozszerza się i powiększa. W końcu zamienia się w gigantyczne tsunami, które rośnie i niszczy wszystko, co napotka na drodze, aby zastąpić to nowym światem... alternatywną wersją uniwersum.

- Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem. - Liam potrząsnął głową.

- Ja rozumiem - powiedziała Sal. - Jeżeli przeszłość zostanie zmieniona choćby odrobinę, przyszłość zmieni się w bardzo dużym stopniu.

- Dokładnie tak, Sal - pochwalił ją Foster.

Żarówka na chwilę przygasła i zamigotała kilkakrotnie. Foster niecierpliwie spojrział do góry.

- Znowu gwint się zluźował - powiedział z irytacją.

Wstał, ostrożnie okrył dłonie rękawami swetra i dokręcił żarówkę, która przestała błyskać.

- Przydałoby się wymienić instalację... nigdy nie ma na to czasu.

Maddy rozejrzała się dookoła.

- Gdzie jesteśmy? Wygląda to jak jakiś obrzydliwy most kolejowy.

- Trafiłaś niemal idealnie. Właściwie to...

Światło zgasło i rozbłysło ponownie.

- O nie! - Twarz Fostera zrobiła się nagle blada jak kreda.

- O co chodzi? - spytała Maddy.

- Jest tutaj - wyszeptał starzec.

- Przesunięcie? - zapytał Liam.

- Nie. - Mężczyzna potrząsnął głową. - Gorzej.

## ROZDZIAŁ 7

Nowy Jork rok 2001

Foster wciąż wpatrywał się w migoczącą żarówkę.

- Odprowadza energię. A ja głupi myślałem, że to przeklęta żarówka nawala - syknął.

- Co odprowadza energię? - spytała Maddy.

Napięcie w głosie Fostera zaniepokoiło pozostałych.

- Byłem pewien, że to odpłynęło.

- Co za „to”? - zapytał Liam.

Foster odwrócił się do niego, przykładając palec do ust.

- Szukacz. Do tej pory powinien był zniknąć... Musiał w jakiś sposób wysysać energię, dzięki której utrzymał się przy życiu.

Starzec wyciągnął rękę w stronę przełącznika zamontowanego na ceglanej ścianie. Nacisnął przycisk. Żarówka zgasła, pogrążając ich w całkowitej ciemności.

- Ciemno. - Głosik Sal delikatnie przeciął zalegającą ciszę.

- Cii, wszystko w porządku - wyszeptał Foster. - Przez chwilę nie możemy ruszać się z miejsca. Nic się nie stanie, dopóki pozostaniemy nieruchomo.

Przerywana nierównymi oddechami cisza przedłużała się w nieskończoność. Wzrok Liama wyłowił w ciemności ulotny kształt, delikatną poświatę, niewyraźny zarys...

- Szukacz - szepnął Foster. - Jest już bardzo osłabiony, goni resztkami sił.

- Wygląda jak duch. - Maddy poruszyła się nerwowo.

- Nie wiemy, czym dokładnie są, ale zdarza się, że po otwarciu portalu, zwabiony szukacz przypadkowo przedostaje się do naszego świata tuż za podróżnikiem - wyjaśnił Foster.

Falująca zjawy zapulsowała i zaświeciła niczym gromada światełek, rozżarzonych węgielków unoszących się nad ogniskiem.

- Teraz rozumiem, co się tu wydarzyło. Poprzedni zespół... - wyszeptał Foster i zawiesił głos.

- Poprzedni zespół... co? - dopytywała Maddy.

- Podczas powrotu z ostatniej misji musiałem zwabić jednego z nich - odpowiedział. - Wyszedłem po jedzenie, wróciłem kilka godzin później... - Zamyślił się na chwilę, zastanawiając się, jak dokończyć. - To, co z nich zostało, nie wyglądało najlepiej.

Liam usłyszał, jak Maddy wstrzymuje oddech.

- Szukacze to czysta energia, choć mogą przybierać fizyczne kształty, jeśli zostaną odpowiednio naładowane. Nie wróży to nic dobrego.

Błada, niebieska chmura unosiła się w ciemności jak widmo, duch zagubiony na cmentarzu, smuga porannej mgły w głębokim, ciemnym lesie.

- Ale ten osłabł. Myślałem, że odszedł, rozpląnął się w powietrzu. - Foster potrząsał głową z niedowierzaniem. - Sprzątałem cały ten bałagan, przeglądałem wasze akta na komputerze, przygotowałem się do podróży w czasie, aby was tu sprowadzić, a przez ten czas zjawą unosiła się gdzieś tutaj w powietrzu.

Widmo znieruchomiało. Unosiło się kilka metrów od nich - mętna, pulsująca poświata, która na ułamki sekund przybierała kształty przywodzące Liamowi na myśl mityczne stworzenia - centaury, jednorożca, smoka, po czym ponownie zmieniła się w bladą chmurę.

- Wydaje mi się, że jest zbyt słaby, aby przyjąć jakąkolwiek stałą formę. Umiera. Ale na razie powinniśmy zachować bezpieczną odległość.

- Czy to coś wie, że tu jesteśmy? - spytała Maddy.

- Możliwe.

- Skąd przybyło? - Liam niespokojnie obliznął usta.

- Z innego, równoległego wymiaru - odpowiedział Foster. - Tak jak ómy są przyciągane przez światło, tak szukacze wabi energia portalu. Te stworzenia to kolejny powód, dla którego ludzie nie powinni majstrować przy czasie.

Zjawą ponownie się poruszyła i z wolna skierowała w ich stronę.

- Jest coraz bliżej - szepnęła Sal.

- Tak, spokojnie.

- Ale jesteśmy bezpieczni, prawda, panie Foster? - dopytywał Liam. - Powiedział pan, że nie zrani nas, ponieważ jest zbyt słaby.

Ciemność i przeciągające się milczenie Foster'a bynajmniej nie było krzepiące.

- Powinniśmy opuścić to miejsce - odpowiedział w końcu. - Bańka czasowa pod mostem zostanie zresetowana za trzydzieści godzin. Szukacz nie pożyje wiele dłużej.

- Bańka czasowa?

- Wyjaśnię na zewnątrz. Teraz wszyscy muszą chwycić się za ręce. Można się tu przewrócić o te wszystkie graty. Wychodzimy.

Liam, Maddy i Sal wyciągnęli ręce, szukając na oślep swoich dłoni.

- Czyja to ręka? - zapytał Foster, ściskając złapaną dłoń.

- Ałaja... moja - syknął Liam.

- Trzymasz kogoś?

- Chyba mnie - szepnęła Maddy. - A ja trzymam rękę Sal.

- Świetnie. Teraz idziemy. Powoli i cicho.

Foster wstał, delikatnie pociągając za sobą Liama. Chłopak nie spuszczał wzroku z białej chmury unoszącej się jedynie kilka metrów dalej: pierzchliwa, przyjmowała coraz to nowe fantazyjne i szybko rozpluwające się formy. Liam nadepnął na coś pełzającego po podłodze. Obawiając się potknięcia i wywołania hałasu, w ostatniej chwili ostrożnie ominął przeszkodę. Zza jego pleców dochodziły odgłosy lekkich kroków Maddy i Sal. Foster bezszelestnie wyszukiwał drogę w ciemnościach. Po kilkudziesięciu, długich jak wieczność, sekundach Liam wyczuł, że wreszcie dotarli do ściany.

- Gdzieś tutaj muszą być drzwi - wyszeptał Foster.

Chłopak słyszał jak mężczyzna bada dłońmi kruszącą się, ceglana ścianę. Po chwili zabrzmiało delikatne stukanie kostek o metal.

- Znalazłem.

Liam obejrzał się przez ramię. Szukacz był już zaledwie niewyraźną plamą w ciemności.

- Bez prądu muszę podnieść roletę ręcznie, za pomocą korby. - Foster zaklął pod nosem.

- Długo to potrwa? - cichutko spytała Sal.

- Powinno pójść szybko.

- To dobrze, bo szukacz jest coraz bliżej - powiedziała Sal, spoglądając na innych. - O Boże, słyszycie to? On szepcze!

Liam badawczo przyglądał się niebieskawej, bladej plamie. Nie słyszał nic poza dźwiękiem podnoszonej rolety.

- Nie... to nic nie mówi, ale rzeczywiście jest coraz bliżej.

Nienaoliwiona korba trzeszczała, metalowy pancierz rolety głośno stukał w prowadnicach, podnosząc się centymetr po centymetrze.

Nogi Liama owiał rześki podmuch świeżego powietrza, między posadzką a krawędzią bramy ukazał się blady prześwit.

- Ona ma rację, Foster, szukacz jest zdecydowanie za blisko - niecierpliwiła się Maddy. - Nie możesz tego robić odrobinę szybciej?

Drzwi głośno, metalicznie łomotały. Strumień światła dziennego poszerzał się o wiele za wolno.

- Proszę... powinno wystarczyć, żeby się precyzyjnie - wydusił zdyszany z wysiłku Foster.

- Panie przodem - zaoferował Liam. Odwrócił się i niemal natychmiast pożałował tej rycerskości. Szukacz szybował w ich stronę, był już bardzo blisko, nie dalej niż pięć metrów od drzwi. Amorficzna chmura błyszczących cząstek wznosiła się nad podłogą, przybierając niewyraźny kształt anielskiej twarzy dziecka, małej dziewczynki. Chwilę później twarz rozpadła się do postaci koszmarnego stwora z pustymi oczodołami i wydłużoną szczęką.

Liam zastanawiał się, czy szukacz jest rzeczywiście tak wyczerpany jak twierdził Foster, czy w dalszym ciągu byłby zdolny wyrządzić im krzywdę.

- Przekiskaj się, Liamie - rzucił Foster, popychając chłopaka. - Szybko.

Liam schylił się i przeszedł pod drzwiami, dołączając do dziewczyn na zewnątrz. Tuż za nim wyłonił się Foster i już ze zdecydowanie mniejszym wysiłkiem opuścił roletę za pomocą zewnętrznej korby. Drzwi załomotały o podłogę w momencie, gdy niewyraźny promień niebieskiego światła zaczął wydostawać się przez szparę.

- Osłabł tak bardzo, że nie przeżyje - powiedział mężczyzna z uśmiechem.

Wziął głęboki oddech i uśmiechnął się niepewnie.

- Przepraszam was za to. A więc - powiedział, zataczając ręką krąg nad horyzontem - witajcie w swoim nowym domu.

Liam odwrócił się od falistej rolety pokrytej niechlujnymi malunkami, które, jak dowiedział się później, nosiły nazwę graffiti. Zobaczył olbrzymi, podwieszany żelazny most, biegnący nad szeroką, błyszczącą rzeką, w stronę jaśniejszej metropolii widocznej na tle krwistoczerwonego, wieczornego nieba. Oszołomiły go miliony migających świateł i mieniących się kolorów odbijających się w spokojnych wodach rzeki.

- Jezusie kochany, Panienko Przenajświętsza... to... to - zaniemówił na widok futurystycznej scenerii.

- O Jahulla! Widziałam już to - powiedziała Sal. - To Nowy Jork... A przynajmniej kiedyś tak wyglądał.

- Zgadza się - odpowiedział Foster. - Chodźmy coś przekąsić. Tuż za mostem jest knajpa z genialnymi burgerami.

## ROZDZIAŁ 8

Nowy Jork rok 2001

Pół godziny później cała czwórka siedziała na wysokich stołkach przy oknie restauracji, pałaszując podwójne cheeseburgery z frytkami. Liam spoglądał na zawartość swojego talerza z ostrożną ciekawością. Frytki nie wyglądały jak normalne ziemniaki, a woskowata, brązowa bułka przypominała mu, nie wiedzieć czemu, pokryte lakierem drewno. Ale unoszący się w powietrzu aromatyczny zapach kusił. Liam, podejrzliwie, obserwując zjadających ze smakiem kompanów, poszedł w końcu w ich ślady. Chłopak niezdarnie wpychał pokaźnego cheeseburgera do ust, przyglądając się skrzyżowaniu za oknem. Widział pulsujące światła billboardów, tłum zaafierowanych przechodniów, lśniące jak krople rosy samochody, neony świecące na latarniach oraz skrawek ciemnego nieba, ledwo dostrzegalny pomiędzy drapaczami chmur i przecinany czerwono-zielonymi światełkami mijających się samolotów.

- Wygląda zupełnie inaczej - powiedziała Sal. - Zupełnie jak Mumbai. Tata zabrał mnie tu kiedyś ze sobą w podróż służbową. To był przygnębiający widok: puste drogi, dużo ciemnych i opuszczonych budynków.

- Jak dla mnie wygląda zupełnie tak samo. - Maddy przegryzła kęs burgera.



- Ponieważ jesteśmy w dwa tysiące pierwszym roku, mniej niż dekadę przed twoimi czasami: drugą dekadą dwudziestego pierwszego wieku - odpowiedział Foster. - Globalny kryzys gospodarczy dopiero się rozpoczyna.

Liam odwrócił się od okna i spojrzał szeroko otwartymi oczami na Fosterę.

- Nie mogę uwierzyć, że przeniosłem się w przyszłość o prawie sto lat!

- Ty owszem, ale dla Maddy to tylko dziewięć lat wstecz, a Sal urodzi się dopiero za jedenaście. - Wziął łyk zimnego, pianistego piwa z wysokiej szklanki. - Drużyna będzie stacjonowała właśnie tutaj. Przeszło pod mostem to wasza baza operacyjna: biuro terenowe.

- Są inne biura terenowe? - Maddy spojrzała pytająco. Wytarł wargi i przytaknął.

- Ale nigdy ich nie odwiedzicie ani nie nawiążecie z nimi kontaktu.

- Dlaczego?

- Takie są zasady - odpowiedział, łapiąc w palce frytkę z talerza.

Sal wzięła głęboki łyk Dr Peppera.

- W dalszym ciągu nie rozumiem, po co tu jesteśmy. Co właściwie mamy robić?

- Jesteście strażnikami... no, powiedzmy, że to najlepsze słowo - odpowiedział Foster.  
- Wasze zadanie to patrolowanie czasu. Będziecie łapać intruzów z przyszłości, którzy pragną zmienić przeszłość. Agencja to ściśle tajna instytucja. Właściwie nie powinna istnieć, dlatego nie mamy oficjalnej nazwy. Wewnątrz Agencji nazywamy siebie Jeźdźcami w Czasie.

- Jeźdźcami w Czasie?

Foster zgarbił się i w zamyśleniu pogłaskał po brodzie.

- Słuchajcie... wyobraźcie sobie, że czas to rzeka, która niezmiennie płynie w jednym

kierunku. Możemy pływać po niej w górę lub w dół. Jeździć w czasie. Jazda w czasie przypomina wiosłowanie pod prąd. Wasze zadanie polega na odnajdowaniu innych ludzi, którzy płyną pod prąd, choć nie powinni. Będziecie ich tropić, lokalizować i eliminować oraz usuwać wszelkie szkody, jakie zdążyli wyrządzić.

- W jaki sposób będziemy to robić? - spytała Maddy.

- Przeszkolę was - odpowiedział Foster tonem zdradzającym znużenie. - Najszybciej jak się da. Biuro terenowe musi zacząć działać niezwłocznie.

Sal podniosła głowę znad talerza.

- Ci z drużyny przed nami... jacy oni byli?

- Na początku trochę podobni do was. - Uśmiech zamarł na ustach Fostera. Starzec wyrżał przez okno z poczuciem winy i przez dłuższą chwilę przygryzał wargę. - Młodzi, niedoświadczeni, początkowo przestraszeni... a na końcu mieli strasznego pecha.

- Ta istota naprawdę ich zabiła?

Przytaknął.

- Szukacze przedostają się niezwykle rzadko. Przed powrotem agenta z misji przeprowadzamy skanowanie gęstości. Ostatnim razem tego nie zrobiliśmy.

Słowa Fostera wywołały niezręczną ciszę.

- A więc - sytuację ratował Liam - kiedy rozpoczniemy szkolenie, o którym pan wspominał?

- Teraz - odrzekł Foster, spoglądając na nastolatków. Dopił resztkę piwa i wziął głęboki oddech. - Sądzę, że powinniśmy zacząć od małej lekcji historii: historii podróży w czasie.

## ROZDZIAŁ 9

Nowy Jork rok 2066

Doktor Paul Kramer przyglądał się ponurym ulicom miasta, zabitym deskami budynkom i porzuconym samochodom, które rdzewiały w zaułkach. Od czasu do czasu autokar mijał przechodniów, obskurne sklepiki i brudne okna, zza których sączyło się przytłumione światło. Nowy Jork był cieniem kwitnącego miasta z przeszłości. Niektóre przecznice wyglądały jak labirynt opuszczonych skorup zamieszkałych przez watahy psów i stada gołębi. Autokar jechał wzdłuż Broadwayu, kierując się w stronę Central Park West. Kramer oglądał nakręcone sześćdziesiąt lat wcześniej filmy. Wtedy te same ulice były pełne życia, kolorów i nadziei. Teraz to przygnębiające, szare miejsce - miasto gnijące kawałek po kawałku, przecznica po przecznicy. Autokar zwolnił, mijając budynek komendy policji z zakratowanymi oknami.

- Nie ma sensu jechać zbyt ostrożnie, Karl - powiedział Kramer. - Zaczną coś podejrzewać.

Karl Haas przyspieszył odrobinę.

Kramer odwrócił się, aby spojrzeć w głąb autobusu: na fotelach siedziało ponad dwudziestu zamyślonych, skupionych mężczyzn. Wszyscy przygotowani do walki, ubrani w mundury, gotowi do wykonania misji. W przejściu pomiędzy rzędami zalegały sterty sprzętu - skrzynie i płócienne worki wojskowe wypełnione bronią.

„Świetni żołnierze, Paul!” - pomyślał, uśmiechając się z dumą.

- Jesteśmy prawie na miejscu - poinformował Karla.

Karl skinął głową.

- Przygotować się! - krzyknął do ludzi z tyłu.

Zareagowali błyskawicznie. Rozległ się szcęk ładowanej broni. Żołnierze byli bardzo doświadczeni - wielu z nich służyło w wojsku - i wszyscy bezwzględnie oddani planowi Kramera. Żaden nie miał żony ani dzieci.

Podróż w jedną stronę, byle dalej od tego umierającego świata, wypełnionego dziewięcioma miliardami głodujących ludzi. Kramer oferował tym ludziom nadzieję, szansę zmiany historii na lepsze. W kieszeni bojówek Kramera znajdowała się jedna mała rzecz, dzięki której wszystko to było możliwe: czarny notes.

Karl skręcił za rogiem Siedemdziesiątej Dziewiątej. Skrzyżowanie było bardziej zatłoczone niż zazwyczaj - kilku zgarbionych, nieszczęśliwych przechodniów powłóczyło nogami w drodze do domu. Kramer i jego ludzie znaleźli się naprzeciwko wielkiego gmachu - Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej. Muzeum wyglądało jak wiele innych budynków: zabite deskami okna i drzwi, tynk pokryty odchodami gołębi i szerniąłą, czekającą lepszych dni elewacją. Kramer poczuł ukłucie w sercu na widok tego niegdyś imponującego wejścia, które teraz pokrywał miejski brud i szpeciło graffiti. Ten wielki przed laty naród zasługiwał na więcej, to miasto zasługiwało na więcej. Muzeum było ponurą pamiątką po wspańiałych czasach, kiedy Manhattan stanowił centrum świata.

Miał ochotę zapłakać... szczerze zapłakać.

## ROZDZIAŁ 10

Nowy Jork rok 2001

- Na początku była teoria: w dwa tysiące dwudziestym dziewiątym roku utalentowany chiński matematyk, Edward Chan, napisał rozprawę naukową - opowiadał Foster. - Naukowiec twierdził, że, przynajmniej teoretycznie, można wygiąć czasoprzestrzeń i utworzyć w niej dziurę. Dopiero piętnaście lat później udało się stworzyć sprawny prototyp

wehikułu. Zbudował go Roald Waldstein, genialny fizyk samouk. Nad projektem pracowały setki wielkich korporacji i wojskowych zespołów badawczych. Wszyscy postawili przed sobą jeden cel: wygrać wyścig o zbudowanie wehikułu czasu. Ale to Waldstein, pracujący w swoim garażu, zdołał pokonać praktyczne trudności i przekuć teorię w sprawne urządzenie. Waldstein w pojedynkę pokonał korporacje i rządy, zdobywając wyznaczoną nagrodę.

- Fortuny milionerów faktycznie rodzą się w garażach - za śmiała się Maddy.

Foster przytaknął i z zapalem kontynuował opowieść:

- Podobno Waldstein sam przetestował wehikuł i wyruszył w przeszłość, z której powrócił jako inny człowiek.

- Dlaczego?

- Opowiadał, że zobaczył coś przerażającego.

- Co dokładnie?

- Nigdy nikomu nie powiedział, ale niezależnie od tego, co rzeczywiście ujrzał, uznał, że praca nad wehikułem wiąże się ze zbyt dużym niebezpieczeństwem. Obsesyjnie walczył o zakaz prowadzenia eksperymentów związanych z podróżowaniem w czasie. W późniejszych latach Roald Waldstein wzbogacił się na innych wynalazkach, stał się wpływową osobistością, lecz nadal publicznie nawoływał do wstrzymania prac nad nową technologią.

- A prace oczywiście nie zostały zawieszono - dopowiedziała Maddy sącząca Dr Peppera.

- Oczywiście.

- No i jak się to wszystko skończyło? - spytał Liam.

## ROZDZIAŁ 11

Nowy Jork rok 2066

Karl zaparkował autokar na tyłach muzeum przy rampie załadunkowej i wejściach magazynowych. Żołnierze z przewieszonymi przez ramiona karabinami sprawnie i bezszelestnie zeszli na rampę, trzymając między sobą skrzynie i worki ze sprzętem. Kramer pomógł jednemu z ludzi nieść wór pełen magazynków z nabojami, który był tak ciężki, że jego ręce prawie odrętwiały, gdy kładł worek na platformie prowadzącej do zniszczonych magazynów muzeum.

Odwrócił się błyskawicznie.

Gęsta noc i wątle światło lampy łukowej upewniły go, że nie zostali zauważeni.

Na razie.

Wkrótce pojawią się uzbrojone siły policji.

Podszedł do niego Karl. Żyłasty, muskularny mężczyzna w okolicach trzydziestki, niegdyś znany jako Karl Haas, sierżant sztabowy piechoty morskiej, którego armia pozbyła się w ramach redukcji kadr. Karl był zastępcą Kramera. I chociaż to dr Paul Kramer był mózgiem operacji i wizjonerem, w czasie walki właśnie Karl wydawał rozkazy.

- Doktorze Kramer?

- Słucham, Karl?

- Jest pan przekonany, że to tutaj?

Kramer nie mógł mieć mu za złe tego pytania. Po włamaniu się do muzeum i zabarykadowaniu w środku, nie będzie już możliwości odwrotu.

Kramer poklepał zastępcę po ramieniu.

- To tutaj, przyjacielu. Zaufaj mi.

Podważyli drzwi magazynu młotem kowalskim, wyłamali zatrzask i wepchnęli ciężkie aluminiowe skrzydła do środka. Gdzieś w przepastnym, ciemnym budynku niemal natychmiast uruchomił się alarm.

- Wszystko w porządku - uspokoił żołnierzy Kramer. - W środku jest tylko kilku strażników. Odwrócił się i spojrzał na ciemne niebo oraz odległe światła policyjnego śmigłowca leniwie patrolującego martwy horyzont Manhattanu.

- Policja bez wątpienia pojawi się za kilka sekund. Powinniśmy jak najszybciej wrzucić wszystko do środka.

- Tak jest! - przytaknął Karl i oddalił się energicznie.

Pomógł wnosić skrzynie i worki ze sprzętem. Gdy już wszystko było w środku, zatrzasnęli drzwi magazynu. W pomieszczeniu wypełnionym stertami drewnianych skrzyń wesoło rozbłysły iskry palnika, którym jeden z żołnierzy spawał drzwi serwisowe.

- Upewnij się, że zszyłeś je jak należy - rozkazał Kramer i odwrócił się do Haasa. - Karl, weź tuzin ludzi i wyłap wszystkich strażników. Przyrowadź mi ich.

Mężczyzna skinął na znak, że rozumie i skierował się w stronę drzwi prowadzących do ekspozycji muzealnych, zabierając ze sobą kilku ludzi niezbędnych do wykonania zadania.

Kramer poczuł, że uwiera go mały przedmiot w kieszeni na piersi: jego notes. Pomodlił się w duchu, aby nie popełnić potwornego błędu.

„Doskonale wiesz, że ukryto go właśnie tutaj, Paul” - pogrzeszał się w duchu.

Mógł się mylić z wielu powodów: może nie znajdował się w piwnicach muzeum, ale został przeniesiony do innego budynku; może kod został błędnie przepisany; może naprawdę zniszczył go...

„Zaufaj instynktowi, Paul”.

Jeśli się pomylił, okaza się jedynie dwudziestką groźnych idealistów uwięzionych w zakurzonej, starym muzeum wypełnionym pudełkami bezcennych eksponatów, które czekają na lepsze czasy. Sądził, że ze strachu przed zniszczeniem niezastąpionych artefaktów dziedzictwa narodowego policjanci zastanowią się dwa razy, zanim użyją broni palnej ciężkiego kalibru. Na pewno jednak spróbują dostać się do środka - jeden po drugim. Tak czy inaczej strzelaniny nie da się uniknąć.

„Najpierw opróżnią wszystkie magazynki, a dopiero później będą się martwić o stłuczoną porcelanę” - pomyślał Kramer.

## ROZDZIAŁ 12

Nowy Jork rok 2001

- Waldstein zniszczył swoje urządzenie. Rozebrał je i spalił wszystkie notatki, pełną dokumentację. Przekreślił piętnaście lat ciężkiej pracy, ponieważ podejrzewał, że podróżowanie w czasie może doprowadzić do zagłady świata.

- Wow! - zdziwiła się Maddy - To lekka przesada, nie uważacie? To jak wykasowanie całego kodu gry, aby usunąć jednego buga.

- Do czego w takim razie potrzebował wehikułu czasu? - spytała Sal, która niemal nie tknęła jedzenia.

- Jego żona i syn zginęli w dwa tysiące dwudziestym ósmym roku. Nigdy nie ukrywał, dlaczego chce cofnąć się w czasie.

- Żeby ich ocalić?



- Nie. Chciał zobaczyć rodzinę po raz ostatni, pożegnać się. Waldstein doskonale zdawał sobie sprawę, że nie może ich uratować, odmienić biegu historii. Ale mógł przynajmniej, na chwilę przed ich śmiercią, powiedzieć im, jak bardzo ich kocha.

Liam wolno pokręcił głową.

- Niesamowity ciężar dla sumienia. Nie uratować bliskich, ponieważ właśnie tak należy postąpić.

- To prawda. Waldstein był niesamowicie pryncypialnym człowiekiem - potwierdził Foster.

- Udało mu się ich zobaczyć po powrocie do przeszłości? - spytała Sal.

- Nikt tego nie wie. Waldstein nigdy o tym nie mówił. Jak już wspomniałem, mężczyzna wrócił całkowicie odmieniony, a niedługo po powrocie zniszczył dzieło swojego życia. Rozpoczął kampanię, której celem było wstrzymanie wszelkich badań nad technologią translokacji czasowej. Jego desperackie apele i ostrzeżenia, że świat może zostać zniszczony w wyniku igrania z przeszłością zyskały posłuch w pierwszych miesiącach dwa tysiące pięćdziesiątego pierwszego roku, kiedy uchwalono międzynarodowe prawo zabraniające rozwijania nowej technologii. Później Waldstein odseparował się od świata i całkowicie wycofał z życia publicznego, zadowolony, że dzięki jego staraniom podróżowanie w czasie zostało zakazane.

Foster westchnął i dopił resztkę piwa.

- Ale zakazu oczywiście nie przestrzegano - ciągnął. - Tajemnicą poliszynela było, że potajemne prace nad własnym wehikułem czasu prowadzą wielkie korporacje, rządy, szemrani dyktatorzy i każdy, kto może przeznaczyć na ten cel odpowiednie sumy pieniędzy, zasoby i siłę roboczą. Waldstein udowodnił, że jest to możliwe. To wystarczyło. Właśnie z tego powodu, świadomie łamiąc zasady prawa międzynarodowego, powołano do życia Agencję, która od tamtej pory po cichu i w tajemnicy konstruuje i udoskonala własne wehikuły.

- Niech zgadnę - przerwała Maddy. - Żeby cofnąć się w czasie i zabić Waldsteina?

- Nie. Tak jak Waldstein nie mógł ocalić rodziny, tak Agencja nie może pokrzyżować mu szyków w przeszłości. Pogwałcenie historii, jej zmiana uruchamia falę. Opowiadałem wam o tym niedawno, pamiętacie?

Skinęli głowami.

- Czas radzi sobie jedynie z bardzo nieznacznymi przesunięciami. W pewnym sensie historia sama może wyleczyć się z małych, bardzo niewielkich modyfikacji, ponieważ istnieje pewne momentum zdarzeń, momentum historii. To trochę tak, jakby historia chciała podążać wyznaczoną ścieżką. Ale - Foster spojrział na nich uważnie - każda poważna zmiana, na przykład powrót do przeszłości i próba namówienia Waldsteina do zaniechania prac, a tym bardziej zabicie go, wywoła falę czasoprzestrzenną.

Wyjrzał przez okno na ruchliwą ulicę opromienioną neonowym światłem sączącym się z billboardu reklamującego ubrania firmy Nike.

- Agencję stworzono, aby zapobiec nieuniknionym próbom zmiany przeszłości. Zadaniem organizacji jest powstrzymywanie podróżujących w czasie terrorystów, fanatyków religijnych, szaleńców i kryminalistów, którzy chcą zmienić przeszłość i zastąpić teraźniejszość. W każdym razie - rzekł Foster i wstał z krzesła - na dzisiaj to koniec lekcji historii. Najwyższa pora, bym zabrał was na zewnątrz i pokazał kawałek świata, w którym przyjdzie wam żyć: czas i miejsce waszego pobytu. Szczególnie tobie, Liamie. - Uśmiechnął się. - Będziesz musiał się trochę podciągnąć, by sprawnie poruszać się w świecie roku dwa tysiące pierwszego.

- Wygląda zupełnie tak samo. Ten sam tłok, huk i smród co w roku dwa tysiące dziesiątym. - Maddy wzruszyła ramionami.

- Ale to zupełnie inny Nowy Jork - powiedział Foster.

Maddy wyjrzała przez okno.

- No nie wiem. Te same reklamy Burger Kinga, McDonalda, Nike'a i Adidasa, żółte taksówki i goście próbujący wcisnąć przechodniom tanie, zepsute baterie AA.

- W takim razie coś ci pokażę, Maddy. Sądzę, że to może być dla ciebie dużo ważniejsze niż dla Sal i Liama.

## ROZDZIAŁ 13

Nowy Jork rok 2066

Kramer przyglądał się sześciu ochroniarzom, których Haas i jego ludzie złapali bez jednego wystrzału. Ochroniarze niespokojnie zerkali na doktora i przewieszony przez jego ramię karabin. Kilku z nich miało potargane włosy i zaczerwienione oczy, jakby ktoś wyrwał ich przed chwilą z głębokiego snu.

Kramer litościwie pokręcił głową.

„W życiu nie widziałem lepszych ochroniarzy” - pomyślał.

- Jestem doktor Paul Kramer. To bardzo proste, panowie. Chcemy, aby przed budynkiem zjawili się dziennikarze największych stacji medialnych. Udzielę im wywiadu, który będzie transmitowany na żywo przez ogólnonarodowe sieci. Na dachu muzeum ma wylądować śmigłowiec. Odlecimy nim bez szwanku po wykonaniu misji. Jeżeli nasze oczekiwania nie zostaną spełnione, zdewastujemy muzeum i zniszczymy wszystkie te bezcenne, unikalne eksponaty. Kramer uśmiechnął się wyrozumiale. - Tak jak mówiłem, sprawa prosta jak drut.

Ochroniarze patrzyli na niego w osłupieniu.

- A teraz wypuścimy jednego z was, aby przedstawił nasze żądania policjantom,

którzy z pewnością nie mogą doczekać się spotkania z nami. Pozostali będą niestety musieli zostać tu w charakterze zakładników.

Jeden z pojmanyh ochroniarzy odchrząknął.

- Rząd nie będzie negocjował z terrorystami. To chyba dla was oczywiste - powiedział.

- Pożyjemy, zobaczymy. Zgromadzono tutaj zbyt wiele skarbów. Nawet w tych zapomnianych przez Boga czasach, kiedy obywatele w całym kraju głodują i żyją w ruderach, istnieje poczucie dumy z dziedzictwa narodowego i wspaniałej przeszłości narodu. Lud zlinčuje władze, jeśli to miejsce zostanie zrównane z ziemią - rzekł Kramer, niemal przepraszażo wzruszając ramionami. - Jestem przekonany, że podejmą negocjacje.

Twarz strażnika stężała.

- Naprawdę zamierzacie zniszczyć muzeum?

- O tak! - Kramer uśmiechnął się ze smutkiem. - Obawiam się, że zrobimy to bez wahania. Jak się nazywasz? - spytał, podchodząc do ochroniarza.

- Malone, Bradley Malone.

Kramer w milczeniu otaksował tęgiego strażnika. W oddali słyhać było świst zbliżających się śmigłowców policji, nakładający się na zawodzenie syren opancerzonych radiowozów policyjnych.

- Podoba mi się, że odważyłeś się odezwać, Bradley. Naprawdę. Masz jaja, w przeciwieństwie do pozostałych panienek. Może w takim razie to ty zostaniesz szczęśliwcem, który opuści to pomieszczenie i przekaże policji nasze żądania? Powiedz im, że jesteśmy gotowi poczekać dwie godziny. Ani minuty dłużej! Jeśli się spóźnią, cały ten przybytek zapłonie jak fajerwerki noworoczne.

Malone przytaknął na znak, że rozumie.

- Świetnie. Rozmowa z tobą to czysta przyjemność, Bradleyu. - Kramer skinął głową na jednego ze swoich ludzi. - Wypuść go przez główne wejście.

Odprowadził ich wzrokiem i zwrócił się do Haasa.

- Karl, resztę zabierz do piwnicy, niech tam siedzą. No i przenieś tam cały sprzęt. Nie ma chwili do stracenia, czas ucieka.

- Tak jest.

Oddział zareagował błyskawicznie. Kilku najemników popchnęło zakładników w stronę dwuskrzydłowych drzwi z wyblakłym napisem: PIWNICA: WSTĘP TYLKO DLA PERSONELU. Reszta podążyła za nimi, chwytając za skrzynie i torby, które obijały wahadłowe drzwi. Żołnierze dyszeli ze zmęczenia, taszcząc ciężki sprzęt po betonowych schodach wiodących do piwnicy. Nasilał się szum śmigłowców, coraz donośniej wyły syreny policyjne; przez metalowe pręty zabezpieczające główne okna budynku przedostawały się już niebieskie smugi kogutów policyjnych. Nie licząc kilku najemników, którzy z odbezpieczonymi karabinami obserwowali przez okno gromadzące się siły policji, Kramer został sam w ciemnych wnętrzach głównego holu Muzeum Historii Naturalnej.

- To powinno zająć wszystkich na jakiś czas - mruknął.

## **ROZDZIAŁ 14**

Nowy Jork rok 2001

- Widzisz tam coś, czego nie powinno być? - powiedział Foster, wskazując na horyzont Nowego Jorku.

- O mój Boże, Bliźniacze Wieże! - Maddy aż zatkało ze zdziwienia.

- Właśnie, World Trade Center - potwierdził Foster.

Dziewczyna spojrzała na niego uważnie.

- Czy to znaczy, że historia uległa już zmianie, że wieże nie zostaną zniszczone przez terrorystów?

Starzec pokręcił głową ze smutkiem.

- Przykro mi. Przeszłość nie może ulec zmianie... w tym przypadku powinno być inaczej, niestety to niemożliwe.

- O Boże! - Poczula, że w jej oczach wzbierają łzy. - Zapomniałam, jak pięknie wyglądały podświetlone nocą, jak teraz.

- Agencja wybrała ten czas i to miejsce nie bez powodu - kontynuował Foster. - Dziś jest dziesiąty września, jutro będziemy mieli jedenastego.

Sal szeroko otworzyła oczy, przypominając coś sobie nagle.

- Jedenasty września! - powiedziała. - Pamiętam, że uczyliśmy się o tym w szkole. Czy to wydarzy się jutro?

Foster przytaknął.

Liam patrzył na nich po kolei, nic z tego wszystkiego nie rozumiejąc.

- Jedenasty września? Co to oznacza? Co ma się wydarzyć?

- Ludzie używają terminu „jedenasty września” w odniesieniu do strasznych wydarzeń, które rozegrają się jutro rano.

Foster wskazał dwa jaśniejące drapacze chmur, wznoszące się nad Manhattanem jak potężne wieże strażnicze.

- Jutro, dokładnie o ósmej czterdzieści pięć rano, porwany przez terrorystów samolot pełen niewinnych ludzi wbije się w północną wieżę; mniej więcej osiemnaście minut później kolejny samolot rozbije się o wieżę południową. Obie konstrukcje zawałą się przed dziesiątą trzydzieści, zginie około trzech tysięcy osób.

Liam zauważył, że po policzku Maddy spływa lśniąca strużka łzy.

Foster wziął głęboki oddech.

- Wielu mieszkańców Nowego Jorku straci swoich bliskich, znajomych. Cały naród dozna szoku. Jutro, Liamie, będzie to już zupełnie inne miasto. - Przerwał i pocieszającym gestem położył dłoń na ramieniu Maddy. - Przykro mi. Z dokumentacji wiem, że w katastrofie straciłaś bliskiego członka rodziny.

- Kuzyna. Miał na imię Julian. Był cool - potwierdziła, nie wspominając, że podkochiwała się w nim, kiedy była jeszcze podlotkiem. Podczas wszystkich odwiedzin w ich domu rozśmieszał ją do łez. Był administratorem sieci komputerowej w jednym z banków. A później zginął razem z trzema tysiącami ludzi. Jego ciała nie odnaleziono.

- Wiem, że to dla ciebie bolesne, ale z przyczyn czysto praktycznych to optymalna lokalizacja na biuro terenowe Agencji - kontynuował Foster.

- Dlaczego? - spytała - Dlaczego to musi być tutaj?... Teraz? Foster zamyślił się, szukając najlepszego wyjaśnienia.

- Sklepienie, pod którym się obudziliście, biuro terenowe jest otoczone dwudniową bańką czasową. Ta próżnia obejmuje poniedziałek i wtorek, dziesiąty i jedenasty września dwa tysiące pierwszego roku. O północy we wtorek czas automatycznie resetuje się i wraca poniedziałek. Drużyna będzie działała pod osłoną tej bańki czasowej. Dla całego świata będą to dwa zwykłe dni, które przyszyły... i minęły, natomiast wy będziecie przeżywali je w kółko.

- Ale dlaczego muszą to być właśnie te dwa dni? - nie ustępowała Maddy. - Pamiętam ten dzień. Miałam dziewięć lat. Moi rodzice płakali przez cały wtorek. Dlaczego więc?

- Ponieważ wszyscy będą zaaferowani tym, co się wydarzyło. Nikt nie zauważy, jak wchodzimy i wychodzimy spod małego sklepienia pod mostem. Nikt nie będzie pamiętał - Foster spojrział na Liama - młodego mężczyzny ubranego w uniform stewarda, który wybrał się na nocną przechadzkę. Twoja obecność tutaj nie zaburzy osi czasu, nie wywoła kontaminacji czasowej... nikt was nie zapamięta. Ludzie wspominający te feralne dwa dni będą mieli przed oczami przerażający widok samolotów uderzających w wieże, walących się budynków, ulic pełnych dymu i ocalałych wydostających się z płomieni.

- Przepraszam, Madealine. - Bezsilnie wzruszył ramionami. - Ale tylko w ten sposób możemy pozostać niezauważeni, a Agencja jest ściśle tajna. Tylko dzięki temu sami nie skazimy czasu.

Przytaknęła, czując ponownie napływające do oczu łzy.

- Naprawdę mi przykro. Pamiętasz, jak wyglądał dzień wcześniej?

Potrząsnęła głową.

- Poprzedni dzień, poniedziałek - rzekł starzec z uśmiechem - był piękny, ciepły i słoneczny. W Central Parku spacerowało mnóstwo turystów i nowojorczyków, beztrudnie cieszących się pogodą. Niech cię to podniesie na duchu, Maddy, ponieważ po każdym ponurym wtorku świat zatoczy koło, przynosząc kolejny poniedziałek.

Dziewczyna zastanawiała się, czy oznacza to, że któregoś dnia zobaczy Juliana, jak idzie do pracy w eleganckim garniturze. Być może uda się jej ponownie z nim porozmawiać, ostrzec zanim wejdzie do budynku.

„Nie... obawiam się, że nie” - pomyślała, starając się wyrzucić z głowy tę kuszącą myśl, która z pewnością będzie ją prześladowała w przyszłości.

- Minęło już kilka godzin. Szukacz powinien już być martwy - powiedział Foster, zerkając na zegarek.



- Czy jest pan pewien, panie Foster? - Liam nerwowo przełknął ślinę.

- Tak, konał, gdy wychodziliśmy. Odciałem całe zasilanie, wyłączyłem nawet przełącznik światła. Na pewno już się rozplynął. Powinniśmy wracać. Musicie się jeszcze wiele nauczyć. I to szybko.

- Skąd ten pośpiech? - spytała Maddy, przenosząc wzrok z wież, aby uważnie spojrzeć na Fosterę.

- I dlaczego my? - naciskała Sal.

- Dlaczego wy? To proste. Wszyscy posiadacie unikatowe umiejętności, których potrzebujemy. Udało się bezpiecznie was tu sprowadzić, ale przed wykonaniem pierwszego zadania musicie przejść kolejne szkolenie. - Foster zamyślił się na chwilę i podjął: - Nie będę was oszukiwał, czeka was wiele niebezpieczeństw. - Spojrzał na nich posępnie. - Poprzednią drużynę straciłem z powodu prostego, głupiego błędu. Przed otwarciem okna powinni byli przeprowadzić skanowanie. Nie zrobili tego. Tym razem trening musi być ostrzejszy. Wszyscy troje dacie z siebie wszystko. Musicie zrozumieć naturę czasu i zakres waszych obowiązków albo... - zawiesił głos, przyglądając im się uważnie.

- Albo co? - spytała Sal.

- Albo skończycie jak ostatni zespół.

Stali w milczeniu, przyglądając się zakorkowanej ulicy, przysłuchując dźwiękom mknących taksówek; dudnieniu boomboxa dochodzącemu z przejeżdżającego samochodu; odległemu wyciu syreny policyjnej, które odbijało się echem od drapaczy chmur zbudowanych ze szkła i stali.

- Panie Foster - odezwał się po dłuższej chwili Liam. - A co, jeśli się nie zgodzimy?

Starzec uraczył ich smutnym, litościwym uśmiechem.

- Jest tylko jedno miejsce, do którego możecie wrócić... tam, gdzie was znalazłem. W

twoim przypadku będzie to pokład E na nieszczęsnym, dziurawym statku, który właśnie zaczyna osuwać się w odmętę Oceanu Atlantyckiego.

Liam wzdrygnął się mimowolnie na tę myśl.

- Przykro mi, ale wygląda na to, że nie macie żadnego wyboru.

- Żadnego - mruknął Liam.

- Obawiam się, że właśnie takie są zasady. - Foster bezradnie rozłożył ręce.

- Nie ma mowy, nie wracam do samolotu, który za chwilę ma się rozbić i spłonąć. - Maddy pokręciła głową.

- Jeśli się zdecydujecie, nie ma odwrotu - ostrzegł Foster. - Utkwicie tu na dobre.

- Aż do śmierci w służbie Agencji?

Przytaknął z ponurym wyrazem twarzy. Trójka nastolatków wpatrywała się w niego w całkowitym milczeniu.

- Dobra - powiedział - chyba powinniśmy wracać. Chcę wam przedstawić jeszcze jednego członka drużyny.

- Kogoś takiego jak my? - zainteresował się Liam.

- Nie do końca... nie.

## **ROZDZIAŁ 15**

Nowy Jork rok 2066

„Jest gdzieś tutaj, w ciemności, Paul. Czujesz czyhające tuż za rogiem przeznaczenie?”.

Nie czuł. Jedyne, co czuł, to wzrok Karla i jego najemników, którzy z rosnącym niepokojem i niecierpliwością przyglądali się, jak wertuje swój mały, czarny notes. Przez otwarte drzwi prowadzące na klatkę schodową do głównego holu słyszał dochodzące z dziedzińca stłumione echo megafonu. Najwidoczniej sprowadzili negocjatora, który próbuje nawiązać kontakt. Gdyby nie był tu tak zajęty, z przyjemnością poszedłby na górę, do głównego holu, aby spojrzeć na cały ten cyrk przed muzeum.

- Doktorze - ponaglił go szeptem Karl - minęło już półtorej godziny. Wtargną tu zaraz, jeśli stwierdzą, że negocjacje do niczego nie prowadzą.

- Wiem - odrzekł Kramer, patrząc na swoje koślawe notatki. - Daj mi chwilę.

Karl rozejrzał się po piwnicy wypełnionej po brzegi drewnianymi skrzyniami różnych kształtów i rozmiarów. Każda z setek tysięcy skrzyń ustawionych na długich rzędach metalowych i drewnianych półek była opatrzona unikatowym numerem katalogowym.

Kramer dostrzegł malujące się na twarzy Karla uczucie niepokoju.

- Spokojnie, Karl. Te pudełka zostały pogrupowane według kategorii. Wygląda to na nietęgi bałagan, ale pracownicy muzeum metodycznie skatalogowali eksponaty: epoka po epoce, dział po dziale, gatunek po gatunku.

Kramer zamachał czarnym notesem przed nosem Karla.

- Chciał, żeby zlokalizować go łatwo i szybko, by uniknąć konieczności sprawdzania tysięcy drewnianych skrzyń - wyjaśnił, rozglądając się po pomieszczeniu. - Znajdziemy ją. Odpowiedź znajduje się w tym małym notesie. Zaufaj mi. - Kramer przewrócił kilka kartek, zatrzymując się w końcu na stronie wypełnionej blaknącym pismem.

- Jest tutaj. CRM, trzy-zero-dziewięć, jeden-pięć-sześć-siedem, dwa-zero-pięć-jeden.

Karl Haas odwrócił się, aby sprawdzić najbliższe kartony, lecz Kramer chwycił go za rękę.

- Nie mamy czasu sprawdzać każdego pudła. Na podstawie numerów musimy obliczyć, gdzie zacząć.

- Jak?

- CRM to kod prefiks eksponatów naukowych. Ciąg cyfr trzy-zero-dziewięć oznacza dział paleontologii.

Kramer odwrócił się i podszedł do skutych razem ochroniarzy.

- Szanowni panowie, czy będziecie łaskawi powiedzieć mi, gdzie przechowywane są eksponaty paleontologiczne?

Nerwowo pokręcili głowami. Jeden ze strażników, kruchy staruszek o białych włosach, który wyglądał jakby dziesięć lat temu zapomniał o przejściu na emeryturę, ruchem głowy wskazał najbliższą ścianę.

- Tam jest mapa.

- Ach tak! - Kramer się uśmiechnął. - Dziękuję uprzejmie.

Podszedł do ściany, zerwał mapę i szybko przeskanował ją wzrokiem.

- Dobra, wydaje mi się, że jest tutaj. - Wskazał korytarz, który kawałek dalej tonął już w ciemnościach. Z plecaka wyciągnął latarkę, włączył ją i ruszył lekkim truchtem w głąb wąskiego korytarza półek, uginających się od drewnianych skrzyń i kartonowych pudeł przeróżnych kształtów i rozmiarów. Po około minucie zatrzymał się i zerknął na pieczęć przyklejoną do najbliższego pudła. - Dwa-zero-siedem, coraz cieplej - szepnął sam do siebie i ponownie przeszedł w trucht.

Za plecami usłyszał kroki.

Odwrócił się. Zobaczył Karla i wyginające się przed jego sylwetką, tańczące promienie latarki.

- Doktorze? Mogę pomóc?

Kramer zatrzymał się.

- Tak. Każ ludziom przynieść tu prądnicę. Jak tylko zlokalizujemy urządzenie, będziemy musieli uruchomić i podłączyć ten generator.

- Tak jest!

Kramer znowu zanurzył się w ciemność, zatrzymał się po raz kolejny i sprawdził numer katalogowy najbliższego pudełka.

- Trzysta sześć - sapnął z wysiłkiem.

„Geologia... już blisko” - pomyślał.

Szedł sprężystym krokiem, oświetlając latarką coraz większe paczki: od małych pudełek na buty, przez kartony zdolne pomieścić fotel, po wielkie skrzynie rozmiaru małego samochodu lub... dinozaura.

Uśmiechnął się. Paleontologia.

„Musi być gdzieś tutaj”.

Spojrzał na zegarek. Za dwadzieścia minut upłynie wyznaczony termin. Nie miał oczywiście pewności, że policja dotrzyma warunków porozumienia, ale czuł, że poczekają nawet dłużej, udoskonalając plan szturm na muzeum i pokonania terrorystów bez uszczerbku dla skarbów zgromadzonych w muzeum.

Światło latarki przeskakiwało z jednego pudła na drugie, odrobinę dłużej zatrzymując

się na numerach katalogowych.

„Coraz bliżej”.

Wszedł na najniższą skrzynię i skierował promień światła na pudełka upchnięte na wyższych półkach.

- Dalej, dalej, gdzie to do diabła jest? Musi być gdzieś tutaj! - Błądził wzrokiem od numeru do numeru.

„Musi być, nie trać wiary” - pokrzepiał się w myślach.

Jakby w odpowiedzi na szeptane modlitwy, wiązka światła zatrzymała się na numerze CRM-309. Szybko przekręcił latarkę, by odczytać cztery kolejne cyfry.

- Jeden... pięć... sześć... siedem... CRM, trzysta dziewięć, tysiąc pięćset sześćdziesiąt siedem, dwa tysiące pięćdziesiąt jeden - odczytał z notesu.

Ponownie spojrzął na skrzynię, a na jego twarzy odmalowało się uczucie ulgi. Waldstein miał dość oleju w głowie, aby, wbrew publicznym zapowiedziom, nie niszczyć wehikułu. Zamiast tego, ukrył urządzenie w muzeum, które właśnie zamykano na cztery spusty.

„No proszę! A nie mówiłem? Miej wiarę!” - pomyślał z triumfem i z satysfakcją kiwnął głową. Instynkt jeszcze nigdy go nie zawiodł.

## **ROZDZIAŁ 16**

Nowy Jork rok 2001

Liam smutnym wzrokiem popatrzył na metalową roletę, którą ktoś wysmarował graffiti.

- Jest pan pewien, że możemy bezpiecznie wrócić, panie Foster?

- Nie zostawiliśmy szukaczowi żadnego pokarmu. Był pozbawiony źródła energii przez sześć godzin. Do tej pory musiał zniknąć - powiedział mężczyzna uspokajającym tonem i chwycił za dolną część metalowej rolety. - Liamie, pociągnij dźwignię we właściwą stronę.

Roleta podnosiła się wolno ze skrzypieniem. Drużyna znalazła się przed pogrążonym w złowieszczej ciemności wnętrzem bazy.

Dziewczyny i Liam wzdrygnęli się, gdy nad sklepieniem rozległo się głębokie dudnienie.

- Przez most Williamsburg przejeżdża pociąg z Manhattanu do Brooklynu - zaśmiał się Foster. - No, chodźcie wreszcie, złe duchy poszły już spać.

Starzec wszedł do środka wprost z zaśmieconej uliczki i pogrążył się w gęstej ciemności.

- Ty pierwszy - ponagliła Liama Maddy.

- A myślałem, że damy należy przepuszczać przodem. - Zdobył się na niepewny uśmiech.

- Za żadne skarby świata - odpowiedziała.

Gdzieś w środku usłyszeli przytknięcie przełącznika, a chwilę potem zapaliło się kilka jarzeniówek podwieszonych do sufitu na zakurzonych kablach, zalewając zimną, wilgotną podłogę bladym, nieprzyjaznym światłem.

- To nasze biuro terenowe? - skrzywiła się Maddy.

Posadzkę stanowił nierówny beton zachlapany olejem, pokryty wyłobieniami, rysami i brudami - pamiątkami po poprzednich lokatorach. Po podłodze wałały się zwoje grubego kabla, przecinające w poprzek całe pomieszczenie. Wnętrze było tak ogromne, że z powodzeniem można by zaparkować w nim dwa autobusy.

Wzdłuż lewej ściany ciągnął się szereg monitorów chaotycznie ustawionych na brudnym stole roboczym. Kilka metrów dalej dziewczyna zobaczyła dużą, wypełnioną płynem butlę z pleksiglasu, przypominającą gigantyczną próbkę. Tylną ścianę zajmowała plątanina zawieszonych na hakach kabli biegnących w stronę otworu, w którym ginęły. Obok otworu znajdowały się rozsuwane drzwi z falistej blachy, prowadzące prawdopodobnie do kolejnego pomieszczenia. Po prawej stronie zauważyła małą, ceglana wnękę, w której obudzili się kilka godzin wcześniej. Tuż za alkową ustawiono drewniany stół kuchenny i kilka niedopasowanych krzeseł. Na małym, wytartym dywaniku umieszczono kilka foteli. W dalszej wnęce znajdowała się kuchenka elektryczna, czajnik, mikrofalówka, zapuszczony zlew i otwarte drzwi prowadzące do mało zachęcającej toalety.

Całość przypominała Maddy zaniedbane mieszkanie jej starszego brata w Bostonie - brakowało tylko piętrzących się stosów brudnych ciuchów i pustych pudełek po pizzy.

- Niezły bajzel - podsumowała Maddy.

Foster przestąpił stos kabli przytwierdzonych do podłogi taśmą samoprzylepną.

- To wasz dom - powiedział. - Czujcie się jak u siebie.

Bojaźliwie weszli do środka. Sal odgarnęła grzywkę znad oczu, rozglądając się po pomieszczeniu ze słabo maskowanym grymasem niesmaku na twarzy.

- Możemy to lekko przyozdobić? - spytała.

- Ze wszech miar - zaśmiał się Foster. - Kilka dodatkowych po duszek, plakatów i dywaników nie powinno zaszkodzić. - Sal, wciśnij ten przełącznik - poprosił, wskazując ścianę.



- Ten? - spytała, odwracając się Sal.

- Właśnie ten.

Rozległ się skrzypiący dźwięk: metalowa roleta zatrzasnęła się za ich plecami, głośno uderzając o podłogę. Gdy cała trójka stała nieruchomo, szukając choć jednego zachęcającego elementu w pomieszczeniu, Foster ostrożnie lawirował pomiędzy splątanymi kablami, kierując się w stronę metalowych, rozsuwanych drzwi na tylnej ścianie.

- Co to jest, panie Foster? - spytał Liam, wskazując na monitory ustawione na stole roboczym i wielki, cylindryczny zbiornik.

- Wszystko w swoim czasie, Liamie. Najpierw przedstawię wam czwartego członka zespołu. - Foster złapał za klamkę, odblokował zasuwę i głośno rozsunął drzwi.

Sal, Maddy i Liam podeszli z wahaniem do Fostera, próbując coś dostrzec w ciemności za drzwiami.

- Chodźcie, nic was nie ugryzie - ponaglił ich zapraszającym gestem. - Mamy tutaj ostatniego członka drużyny.

- Dlaczego nasz kolega siedzi zamknięty w ciemnej szafie? - podejrzliwie dopytywała Maddy. - Nie jest chyba jakimś dziwadłem czy albinosem?

- Jest... - zawahał się Foster. - Ale może najlepiej będzie, jeżeli was sobie przedstawię. Proszę za mną. - Zrobił krok w ciemność. Na odgłos odbijających się od twardej posadzki kroków Sal nerwowo przełknęła ślinę.

- Oświetlenie jest tu zazwyczaj bardzo skąpe. Kandydaci in vitro bardzo nie lubią jasnego światła, szczególnie ci najmniejsi. Sekundę...

Przysłuchiwali się, jak Foster kręci się po pokoju i mocuje z czymś w ciemności. Po chwili zapaliło się kilka kinkietów emitujących delikatną czerwoną poświatę. W bladym półświatle ujrzeli jakieś pół tuzina wysokich na dwa metry cylindrów. Gdy delikatna,

szkarłatna poświata wyzwalana przez światła na suficie stała się wystarczająco silna, Maddy zdecydowała się wejść.

W wysokich butlach z przezroczystego pleksiglasu znajdowała się ciemna, zbita masa.

- Co pływa w tych próbkach?

- Zapalę dodatkowe światła - w półmroku rozległ się głos Foster. - Usłyszeli odgłos przełącznika, a po chwili, na dnie butli, zamigotało pomarańczowe światło reflektora, podświetlając zawartość cylindra.

- O mój Boże! - wzdrygnęła się Maddy. - To... totalnie obrzydliwe!

Wszystkie butle wypełniał roztwór przypominający wodnistą pomidorówkę, w której pływały kosmyki miękkiej tkanki, unoszące się na powierzchni i osadzające na dnie jak gile w muszli klozetowej. W samym środku tego mętnego gulaszu wisiał mały, blady embrion. Nieforemna bryła z podłączoną pępowiną miała wygląd bladej larwy uwięzionej w sieci lśniących wnętrzości.

- To ludzki zarodek, prawda? - spytała Maddy, ostrożnie podchodząc do próbki, aby uważnie przyjrzeć się jej zawartości. Tuż za nią podeszli Liam i Sal.

- Faza prenatalna. Ten zarodek dopiero się rozwija. Pozostanie w tej postaci, dopóki nie stanie się potrzebny.

- Tutaj - mówił, podchodząc do kolejnej próbki - mamy przykład zarodka, który przeszedł już jedną trzecią fazy wzrostu.

W mętnej wodzie, która wypełniała drugi cylinder, pływał chłopiec w wieku jedenastu, może dwunastu lat, całkowicie pozbawiony włosów, nagi i zwinięty jak embrion. Kable, tak jak w przypadku zarodka, łączyły pępowinę z dolną i górną częścią próbki.

Liam poczuł, że cierpie mu skóra. Był przerażony, zniesmaczony i zaintrygowany.

- To nie jest prawdziwy chłopiec, prawda?

- Nie, jest sztuczny - powiedział Foster. - Został wyhodowany dzięki inżynierii genetycznej.

Liam wzruszył ramionami. Nie wiedział, co to jest inżynieria genetyczna, ale odpowiedź Foster'a upewniła go, że nie patrzy na prawdziwe dziecko pływające w mazi jak marynowane jajko w słoju pełnym octu. Pochylił się, aby dokładnie przyjrzeć się nieruchomemu chłopcu.

Nagle postać otworzyła oczy.

## ROZDZIAŁ 17

Nowy Jork rok 2001

- O Jezu! - wrzasnął Liam i gwałtownie odskoczył od słoja, wraz z równie przerażonymi dziewczynami.

- Spokojnie - powiedział Foster. - Spokojnie, ani nie wyskoczy ze słoika, ani was nie zaatakuje.

Wszyscy próbowali złapać oddech. Sal zaśmiała się nerwowo. Maddy potrząsnęła głową.

- O mój Boże, to jakiś Obcy.

Oniemieli z zachwytu patrzyli, jak chłopiec powoli wywraca oczami i spogląda na nich przez gęsty płyn.

- Chyba spojrzął na nas tymi swoimi ślepiami - zauważyła Maddy.

- Tak - odpowiedział Foster - ale nie ma w nich żadnej inteligencji. W tej fazie rozwoju czynnościami motorycznymi steruje mały organ nerwowy, rozmiarami zbliżony do mózgu myszy. Zdolność kognitywnego przetwarzania, czyli, innymi słowy, umiejętność myślenia zdobędzie pod koniec cyklu.

Chłopiec bezgłośnie otworzył i zamknął usta.

- Próbuje mówić? - szepnęła Sal.

- Nie, to tylko odruch bezwarunkowy.

Liam przyglądał się, jak mętna ciecz wpływa do ust chłopca i wypływa z nich.

- W jaki sposób to oddycha?

- Za pomocą utlenionego roztworu wodnego. Pompuje go do płuc tak, jak my wdychamy powietrze.

- To samo musi czuć tonący - wzdrygnął się Liam.

- Sądzę, że ktoś niewprawiony mógłby to w ten sposób odczuwać - potwierdził Foster.  
- Ale tej jednostce raczej nie robi to różnicy. Chłopiec w próbowce przekręcił głowę.

- Jahulla! - wysapała Sal, odskakując do tyłu. - Widzieliście to?

Maddy podeszła do szklanej próbowki.

- Jesteś pewien, że to nie myśli?

Foster skinął głową.

- Zaufaj mi. Proces myślowy uniemożliwia zbyt skąpa liczba komórek mózgowych. Jest przytomny, patrzy na nas, ale nie zastanawia się, kim jesteśmy.

- Wygląda jak zwykły, mały chłopiec. To okropne. - Pokręciła głową.

- Daj spokój - odpowiedział Foster. - Przyszliśmy tu poznać waszego kolegę.

Nie bez trudności odciągnął ich od chłopca w próbowce i poprowadził wzdłuż przykrytych brezentem słoików.

- Co w nich jest? - spytał Liam.

- Wadliwe jednostki. Będę je musiał wyrzucić.

- Wadliwe jednostki?

- Takie, które nie rozwinęły się zgodnie z planem. Zdarza się to czasami.

Sal próbowała unieść płótno, aby zerknąć na zawartość słoików, ale Foster zdecydowanym ruchem ponownie naciągnął brezent.

- Lepiej, żebyś na to nie patrzyła, Sal. W tych słoikach jest pełno koszmarów.

- Ach - niespokojnie sapnęła Sal.

- Jesteśmy na miejscu - zakomunikował Foster. - To wasz kolega - powiedział, wskazując ostatnią próbowkę, w której również unosiła się ciemna, organiczna maź. Tym razem jednak, za pływającymi kawałkami brei, dostrzegli dorosłego mężczyznę.

- Wow! Jest... - zachwyciła się Maddy.

- Dobrze zbudowany?

Przytaknęła. Liam przyglądał się istotcie. Miała sześć, może siedem stóp wzrostu i szerokie ramiona. Każdy fragment imponującego torsu otaczały idealnie zarysowane, sprężyste mięśnie. Liam przypomniał sobie książkę napisaną przez Mary Shelley. Historia opowiadała o potworze stworzonym przez starego szaleńca o nazwisku Frankenstein.

- Wygląda jak jakiś superbohater - wyszeptała z zachwytem Sal.

- Faktycznie sprawia wrażenie silnego - z rezerwą odpowiedział Liam, myśląc o skali szkód, jakie mogłaby wyrządzić jedna z jego gigantycznych rąk. - Jest pan pewien, że będzie posłuszny, panie Foster?

- Ależ nie przejmuj się, Liamie, nie znajdziesz bardziej oddanego przyjaciela - zaśmiał się mężczyzna.

- Ten tutaj też ma mózg myszy?

- Tak, a oprócz tego wbudowany w czaszkę silikonowo-neuronowy procesor sieciowy i bazę danych wykonaną z płytek półprzewodnikowych.

Otumaniony technicznym żargonem Liam bezradnie spojrział na Fostera.

- Silikono... co?

- Ma komputer w głowie - wtrąciła się Sal.

- Co? - dopytywał wciąż skonfundowany Liam.

- Ty chyba naprawdę jesteś z tysiąc dziewięćset dwunastego roku - westchnęła, unosząc ciemną brew.

- To urządzenie pozwalające jednostce przechowywać informacje, Liamie - powiedział Foster. - Całe tony informacji. W czaszce umieszczono mały pakiet obwodów elektronicznych, w którym znajduje się więcej danych, niż w setce bibliotek pełnych książek.

- Jak to możliwe? - Szczęka Liama opadła z wrażenia.

Foster lekceważąco machnął ręką.

- Tego dowiesz się niedługo. Historia komputerów to zupełnie inny temat, nie mamy czasu teraz go omawiać. - Podeszedł do panelu wmontowanego w boczną ściankę cylindra. - Ta jednostka przeszła cały cykl rozwojowy już jakiś czas temu, czeka na swoją kolej. Nie każmy więc czekać jej dłużej. Odsuńcie się kawałek, ta breja strasznie cuchnie.

Nacisnął przycisk. Dolna część pleksiglasowej próbówki otworzyła się, uwalniając lepki, parujący potok mazi, który szeroko rozlał się po podłodze, roznosząc w powietrzu zapach zjełczałego mięsa. Stworzenie bezwładnie wypadło przez dno słoja na podłogę jak wielki zawijas ugotowanego makaronu.

- Nie żyje - powiedziała Sal.

- Nie, właśnie się ładuje - zaprzeczył Foster. - Daj mu chwilkę.

W milczeniu patrzyli jak ciepła, cuchnąca ciecz zalewa podłogę. Liam z ulgą zauważył, że płyn znalazł ujście przez kratkę na środku posadzki.

Nagi mężczyzna drgnął.

Maddy i Sal wstrzymały oddech.

- Dobry chłopiec - szepnął Foster. - No, dalej.

Mięśnie powoli budzącej się do życia jednostki stopniowo napinały się wzdłuż pleców. Po kilku sekundach półprzytomny mężczyzna wsparł się na nabrzmiąłych dłoniach, grubych jak udo normalnego człowieka, i uklęknął.

Powoli przeniósł wzrok z podłogi na obserwujących go ludzi.

Liam dostrzegł w szarych oczach stworzenia coś na kształt budzącej się do życia inteligencji. Klon otworzył usta i wyrzucił z nich na podłogę potok gęstych, różowych wymiocin.

- Faj! - Maddy wyduła usta.

- To jahullnie ohydne - skrzywiła się Sal.

- Niedobrze mu? - spytał Liam.

- Nie, tylko opróżnia płuca z cieczy.

Stworzenie zamlaskało jak najedzone, zadowolone z siebie dziecko. W końcu jego usta złożyły się w grymas będący koślawą, niezdarną wersją przyjacielskiego uśmiechu.

- Ba... gagah... bub... glah - oznajmił.

## ROZDZIAŁ 18

Nowy Jork rok 2066

Kramer właśnie kończył montować drucianą klatkę, dokręcając ostatnie śruby. Cofnął się kilka kroków, aby spojrzeć na ukończoną konstrukcję.

- To wszystko? - zdziwił się Haas. - To naprawdę prototyp wehikułu czasu?

Kramer przytaknął w bezgłośnym zachwycie.

Maszyna wyglądała jak zbudowana z metalowych prętów klatka wielkości kabiny prysznicowej. Na podłodze obok znajdowało się małe urządzenie przypominające miedziany czajnik podłączony do niepozornego palmtopa. Kilka metrów dalej hałaśliwie furkotał przenośny generator, zapewniający wehikułowi Waldsteina stabilne źródło zasilania.

- Do drucianej klatki doprowadzane jest pole translokacyjne - wyjaśnił Kramer. - Zmieści się w nim tylko jedna osoba. Podróż potrwa dłużej niż myślałem.

Karl Haas spojrział na zegarek.



- Termin upłynął pół godziny temu, sir. Policja nie będzie czekała w nieskończoność.

- Wiem, powinniśmy zaczynać - przyznał mu rację Kramer, po czym uklęknął obok palmtopa i dotknął rysikiem ekranu dotykowego.

- Czekaj nas spotkanie z nie lada mrozem, Karl. Trzeba przygotować zimowe mundury.

- Wydam odpowiednie rozkazy. Użyć...?

Przerwał mu głuchy łomot.

- Co to? - Kramer popatrzył na niego ostro.

- Wchodzą! - Karl wyprostował się błyskawicznie. Każe ludziom wycofać się z głównego holu. Zatrzymamy ich na klatce schodowej do piwnicy. To idealny przyczółek.

- Jak uważasz. Kup mi tyle czasu, ile zdołasz.

Karl skinął głową, odwrócił się na pięcie i pobiegł w głąb ciemnego korytarza, wydając przez krótkofalówkę krótkie rozkazy.

Kramer wrócił do monitora, aby w polu sygnatury czasowej wprowadzić precyzyjny czas i dokładne miejsce zrzutu.

- Max, Stefanie! - zwrócił się do dwóch stojących obok mężczyzn. - Najpierw trzeba przerzucić sprzęt, jasne?

Mężczyźni skinęli głowami i zaczęli wciągać do klatki skrzynie i torby.

Karl wbiegł na szczyt schodów do piwnicy i wyjrzał przez podwójne drzwi na ciemny hol główny muzeum.

- Rudy, Pieterze, jak sytuacja? - zapytał przez krótkofalówkę.

- Weszli do budynku - zatrzeszczało w słuchawce. - Lewe skrzydło zalali gazem łzawiącym, wrzucili granaty hukowe. Kierują się w naszą stronę.

- Wracajcie do holu. Zatrzymajcie ich tam, jak długo się da. Przygotowujemy pozycje obronne na schodach do piwnicy.

- Przyjąłem.

Karl zauważył, że mrok holu rozświetlały jedynie refleksy niebieskiego światła, przedostające się przez zabarykadowane okna.

- Dobrze, panowie - szepnął w laryngofon. - Zabawę czas zacząć. Założyć noktowizory.

Sięgnął po noktowizor założony na ostrzyżoną na jeża głowę i naciągnął okular HUD na lewe oko. Kilka chwil później usłyszał, że puste wnętrza muzeum rozbrzmiewa perkusyjnym echem pierwszych wystrzałów.

- Gotowy do walki, Saul?

- Tak jest! - odpowiedział żołnierz, zdobywając się na nerwowy uśmiech.

Mężczyźni wnieśli ostatnią partię sprzętu i zamknęli drzwiczki klatki.

- Odsuńcie się - powiedział Kramer, spoglądając na mały, błyszczący ekran palmtopa.  
- Dobrze więc - powiedział, krzyżując palce za plecami i odwracając się do Maxa i Stefana. - Za chwilę przekonamy się, czy stary wehikuł faktycznie działa.

Dotknął znajdującej się na ekranie ikony „Wyślij”.

Z drucianej klatki wyprysnął deszcz iskier opadających na znajdujący się w środku sprzęt. Przez chwilę Kramer obawiał się, że worki zajmie ogień, a znajdujące się w środku

magazynki eksplodują, ale pokaz fajerwerków nie potrwał długo. Ostatnie rozżarzone iskry opadły już na pustą podłogę klatki. Spojrzał na dwóch najemników, którzy obserwowali scenę z szeroko otwartymi oczami i rozdziawionymi ustami. Zaśmiał się.

- No proszę, działa!

Nie było czasu na rozkoszowanie się chwilą, rozkazał więc ponownie napełnić klatkę i zresetował ustawienia palmtopa. Kramer nie powiedział tego głośno, ale nękało go jedno pytanie: w jakim stanie ekwipunek dotrze do miejsca przeznaczenia? Nietknięty czy roztrzaskany na kawałki? Z niepokojącą łatwością mógł wyobrazić sobie, że jedyne, co zobaczy po przeniesieniu w przeszłość, to będzie jego ciało zamienione w parujący stos wybebeszonych organów wewnętrznych.

„Chyba nagle nie obleciał cię cykor, co, Paul?”.

## ROZDZIAŁ 19

Nowy Jork rok 2066

Karl przysłuchiwał się prowadzonym przez krótkofalówki rozmowom swoich ludzi. Na podstawie szybkich, przerywanych komunikatów wnioskował, że najemnicy skutecznie związali uzbrojone oddziały policji. Jednostki z obu flanek informowały o co najmniej tuzinie zabitych. Przerywane serie karabinowe, które słyszał w słuchawce, oznaczały, że policjanci robią się coraz bardziej nerwowi. Ale dwóch jego ludzi było już martwych. Rudy padł dość wcześnie - kilka serii przeszło mu klatkę piersiową. Aden dostał kulkę w głowę - zanim jego ciało dotknęło podłogi, już nie żył. Ludzie Karla świetnie grali na zwłokę, ale nie mógł sobie pozwolić na zbyt duże straty. Szczerze mówiąc, nie mógł sobie pozwolić na stratę żadnego człowieka. Miał ich tylko dwa tuziny. Dwudziestu czterech ludzi... to nie armia. W takiej liczbie ciężko podbić przeszłość.

- Wszystkie jednostki, wycofać się do klatki! Natychmiast. Głowy nisko. I przypadkiem mi tam nie gińcie, bo zabiję - rozkazał przez laryngofon.

- Staramy się jak cholera, Karl! - odrzyknął jeden z ludzi, chyba Pieter. Zawtórował mu śmiech.

Terkot karabinów policyjnych momentalnie przybrał na sile, gdy oddziały najemników wstrzymały ogień, w pośpiechu porzucając swoje pozycje, aby wycofać się do holu głównego.

- Gotowi? Ktoś musi ich zabezpieczyć ogniem osłonowym - oznajmił Karl, odwracając się do Saula.

Kramer patrzył, jak po raz czwarty z rzędu na klatkę wypełnioną po brzegi sprzętem spada grad iskier. Modlił się tylko, aby bezcenna broń i jego ludzie trafili dokładnie w to samo miejsce, a nie rozproszyli się wzdłuż osi czasu.

Rozejrzał się po piwnicy. Przerzucili już prawie cały ekwipunek.

- Kolej na ludzi! - powiedział.

- Pójdę pierwszy - zaoferował się Max, wyciągając z plecaka arktyczną kurtkę kamuflażową.

- To rozumiem.

Max zaciągnął zamek kurtki pod samą szyję, odpiął karabin pulsacyjny, energicznie zasalutował Kramerowi i pewnym krokiem wszedł do klatki.

- Gotów?

- Tak jest! Gotów zmienić historię.

- Masz rację, wspólnie zmienimy ją na lepsze - zgodził się Kramer i odsalutował.

Wiedział, że wykonuje ten gest z niezręcznością cywila, ale w tej sytuacji taka reakcja wydała mu się stosowna. - Wszyscy dołączymy do ciebie po drugiej stronie, Max.

- Do zobaczenia, sir!

Kramer dotknął ikony „Wyślij”.

Ostatni najemnik przebiegł przez hol główny i dopadł drzwi wiodących na klatkę schodową, gdzie swoje pozycje zajęli Karl i Saul. Kilka sekund później po marmurowej podłodze korytarza potoczyły się butle z gazem, z których buchnęły chmury gryzących w oczy oparów. Obok Karla zatrzymało się kilku najemników, dysząc i sapiąc po sprincie.

- Jest ich mnóstwo - powiedział jeden z nich. - Ciągną za sobą coś wielkiego.

- Na dół! - krzyknął Karl. - Zabarykadujcie wejście do piwnicy. Już. Pędem.

Mężczyźni zbiegli na dół, głośno stukając buciorami i ciągnąc za sobą worki z pobrzękującym sprzętem. Karl wymierzył w mrok lufę karabinu maszynowego i posłał serię pocisków. Nie łudził się, że kogoś trafi - w takich kłębach dymu noktowizor okazał się praktycznie bezużyteczny. Chciał ich tylko wstrzymać. Przejście było zbyt narażone na ostrzał, nie zdołaliby utrzymać go we dwóch. Najlepsze wyjście to wycofać się za innymi i utrzymać pozycję na dole klatki schodowej. Policjanci będą musieli gnieść się na schodach. A wtedy urzędzą im prawdziwą jatkę.

- Idź, Saul, idź.

- Szefie?

- Do piwnicy. Idź.

Saul podążył za resztą oddziału, zostawiając Haasa przy wejściu. Karl odpiął od pasa trzy granaty przeciwpiechotne i ustawił je na detonację w minutowych odstępach. Pierwszy granat cisnął do holu, drugi umieścił na szczycie klatki schodowej, trzeci zostawił dwa półpiętra niżej i zbiegł na sam dół, pokonując ostatnie schody.

- Nie strzelać! - krzyknął w głąb przyciemnionego korytarza. - To ja! Karl... Nie strzelajcie! - Głos odbił się echem od ścian zbudowanych z pustaków. Osiemnastu mężczyzn ukryło się za skleconą naprędce barykadą ze skrzyń i pudeł, które ustawili w przejściu do ogromnej piwnicy muzeum.

- Doskonała robota! - powiedział, klepiąc po ramieniu najbliższego stojącego mężczyznę, i przeszedł przez prowizoryczne zasieki, aby do nich dołączyć.

- Ilu straciliśmy? - Popatrzył na mężczyzn.

- Kolejnych dwu - powiedział Saul - Dextera i Schwartza.

Twarz mężczyzny stężała.

„Niedobrze”.

- Co z nimi, Karl? - zapytał jeden z ludzi, wskazując palcem muzealnych strażników, którzy kilka metrów dalej siedzieli zbici w ciasną gromadkę przy kolejnej stercie skrzyń i pudełek. - Zabijemy ich?

Karl przygryzł wargę. Starzy, przerażeni mężczyźni nie stanowili żadnego zagrożenia. Pozwoliłby im wejść na schody, ale istniało ryzyko, że zostaną sprzątnięci w momencie przekroczenia progu do holu głównego.

- Joseph, powiedz im, że mogą znaleźć jakiś bezpieczny kąt i ukryć się. Niech schowają się gdzieś, aż strzelanina dobiegnie końca.

- Tak jest!

- Aha, powiedz im jeszcze, żeby krzyknęli kim są, zanim pokażą się policjantom. Coś zbyt nerwowo podskakują im palce na cynglach.

Joseph uśmiechnął się drwiąco i przytaknął. Miał dokładnie takie same zdanie na

temat cymbałów z wyższego piętra: „Amatorzy. Wysokie buty, duże spluwy i zero pomysłu”.

W holu, z głuchym łomotem, eksplodował pierwszy ładunek. Karl przyłożył rękę do słuchawki i pokiwał głową. Odwrócił się do żołnierzy.

- Ross, Pieter, Stefan, Joseph. Tylko uważajcie na głowy! - powiedział, wskazując w stronę wąskiego korytarza biegnącego pomiędzy dwoma wysokimi rzędami półek po lewej stronie. - Znajdziecie tam Kramera. Uruchomił wehikuł i wysłał nas po kolei. Wasza czwórka idzie pierwsza.

Mężczyźni przytaknęli i ruszyli korytarzem. Na szczycie klatki eksplodował drugi granat. Tym razem głośniejszy. Po stopniach potoczyły się odłamki tynku i cegieł.

„Koniec zabawy, Karl. Ostatnia pozycja obronna”.

## ROZDZIAŁ 20

Nowy Jork rok 2066

Kramer właśnie wysłał kolejnego z najemników i ustawiał współrzędne dla następnego. Z odległej klatki schodowej przez korytarz płynął terkot karabinów maszynowych. Stracił już rachubę, ilu wysłał. Dwunastu, może czternastu.

Ostatni komunikat Karl nadał kilka minut temu. Na stanowisku u podnóża schodów zostało już tylko pięciu. Odpadł kolejny - ciężko ranny Saul.

Sądząc po dochodzących dźwiękach, sytuacja robiła się coraz bardziej niebezpieczna.

- Karl, wycofuj się! - powiedział Kramer, zbliżając usta do laryngofonu.

- Ktoś musi ich tu wstrzymać. Dopadną nas w kilka sekund, jeśli wszyscy zaczną

uciekać - zatrzeszczał w słuchawce głos Haasa.

Kramer zaklął pod nosem. Karl miał rację. By zyskać na czasie, wysłał ostatnich dwu lub trzech ludzi, kogoś trzeba poświęcić. Kramer musiał mieć też czas na zniszczenie wehikułu, aby nikt nie podążył ich śladem. Stracili już pięciu dobrych ludzi. Utrata kolejnych zupełnie nie wchodziła w grę.

- Cholera! - zaklął.

Gdyby udało im się znaleźć wehikuł wcześniej, złożyć go do kupy odrobinę szybciej... gdyby policja przed szturmem na muzeum zwlekała kilka dodatkowych minut, już dawno temu cofnęliby się w czasie - bez rozlewu krwi, bez zbędnych ofiar.

- Ja ich wstrzymam - wydyszał Saul.

Karl zobaczył, że cała arktyczna kurtka kamuflażowa Saula była niemal czarna od przesiąkającej krwi. Kilka zabłąkanych kul odbiło się od poręczy schodów, trafiło w klatkę piersiową i zwaliło żołnierza z nóg. Z ust ciężko oddychającego chłopaka toczyły się grube strużki krwi. Kule trafiły w płuco, może w obydwu. Karl nie potrzebował diagnozy lekarskiej, by stwierdzić, że młokosowi zostało kilka minut, jeśli nie sekund, życia.

- Saul, ja...

- Musicie uciekać, sir. - Chłopak zdobył się na niepewny uśmiech. - Musicie iść... zmienić świat na lepszy. Stworzyć świat Kramera.

- Tak też zrobimy, Saul - zapewnił Karl.

- Oby! - Kącikiem ust wyciekła gęsta strużka krzepnącej krwi. - Idźcie już - szepnął - dam wam tyle czasu, ile zdołam.

Karl kiwnął głową. Z każdą minutą Saul bladł coraz bardziej. Haas spojrzał na pozostałych i dobrze wyćwiczonym gestem wydał sygnał odwrotu. Wrócili do Kramera. Karl opróżnił jeszcze cały magazynek, posyłając kule w kierunku schodów. Wśród smug dymu



zatańczyły iskry i rozbryzgujące się kawałki betonu. Uzbrojeni po zęby policjanci, szykujący się już do szturm na ostatnie półpiętro, byli teraz zmuszeni do odwrotu i osłonięcia głów przed ciężkim ostrzałem.

- Być może spotkamy się w innym czasie - rzucił szybko Haas, ściskając rękę Saula po raz ostatni.

Saul uśmiechnął się i zaczął ostrzeliwać klatkę krótkimi seriami, które pozwalały zaoszczędzić amunicję i kupić towarzyszom kilka dodatkowych sekund, których tak bardzo potrzebowali. Karl odwrócił się na pięcie i podążył za stukotem kroków swoich ludzi.

Kramer po raz kolejny zrestartował wehikuł. Ostatni żołnierze odbyli już podróż; teraz czekał tylko na Haasa i pozostałych przy życiu najemników.

Słyszał odgłos zbliżających się kroków i odległe staccato kanonady.

- Pospieszcie się! - krzyknął.

Z ciemności wyłoniło się dwóch mężczyzn: Ronan i Sigi.

- Szybko! - ponaglił, niemal wpychając pierwszego z nich do klatki. - Gdzie Karl?

- Tuż za nami, sir!

- W porządku... dobrze.

Z uruchomionej maszyny wydobyły się iskry, ciemność rozbłysła strumieniem stroboskopowego światła i Ronan zniknął. Sigi wszedł do wehikułu w momencie, gdy dobiegły ich dudniące kroki Karla. Kramer szybko zresetował ustawienia i ponownie aktywował maszynę. Kanonada w korytarzu nagle ustała.

„Cholera... weszli”.

- Przebili się! - krzyknął wbiegający Karl.

- Wiem, wiem. Szybko, włącz - powiedział Kramer, przytrzymując otwarte drzwiczki klatki.

- A kto wyśle ciebie? - spytał Karl, wchodząc do środka.

- Nie martw się, dam sobie radę, Karl.

- Nikogo nie zostawiamy. To twoje słowa. Pamiętasz?

- Nikt nie zostanie, obiecuję. Będę tuż za tobą, przyjacielu - rzekł z uśmiechem Kramer i zamknął drzwiczki za Haasem.

- Tak jest, sir. Przygotuję ludzi do marszu - odpowiedział i zasalutował.

- Świetnie... widzimy się za parę minut. - Kramer uruchomił wehikuł.

Po raz kolejny ciemna piwnica magazynu rozblęsnęła światłem, a drewniane etykiety spiętrzonych skrzyń wyraziście zajaśniały. Gdy iskry opadały na podłogę, przemknęła mu przez głowę myśl, że zawartość skrzyń i pudeł przechowywanych w tej zakurzonej piwnicy wkrótce może się zmienić. Historia, najnowsza historia, a mówiąc precyzyjniej - ostatnie sto lat - zostanie zapisanych na nowo. Nic w tym złego. Ten ponury, przeludniony świat na skraju wyczerpania wyrósł przecież z najnowszej historii.

„Absolutnie nic w tym złego”.

Furkot przenośnego generatora nie zagłuszył tupotu wojskowych butów na betonowej posadzce korytarza oraz okrzyków policjantów, którzy nieubłaganie zbliżali się do celu. W oddali migotały już snopy tańczącego światła ich latarek. Kramer uklęknął obok palmtopa i po raz ostatni wprowadził współrzędne. Wziął głęboki oddech, ustawił pięciosekundowe opóźnienie i dotknął ikony „Wyślij”. Szybko wyszedł z klatki. Z plecaka wyjął granat. Wyciągnął zawleczkę i umieścił ładunek na podłodze za klatką. Zatrzasnął drzwiczki i przymknął oczy, mając cichą nadzieję, że zdąży przenieść się w przeszłość przed detonacją granatu.

„No już!”

Otworzył oczy i zamrugał, oślepiiony deszczem wirujących wokół niego iskier. Zdało mu się, że przez pręty dostrzega sylwetki kilku zbliżających się policjantów, którzy opadają na kolano i z wprawą przyjmują pozycję do strzału.

„No już!... Dalej!... Dalej!...”

Dostać kulkę w tym momencie, milisekundy przed opuszczeniem tego świata na dobre, byłoby niewyobrażalną złośliwością losu. Kramer zacisnął powieki, spodziewając się, że lada chwila odrzuci go impet kilku śmiertelnych kul ciężkiego kalibru lub że zostanie rozerwany na strzępy przez leżący na posadzce granat.

Nagle to poczuł... uczucie opadania; podłoga uciekła spod jego stóp jak zapadnia szafotu.

## ROZDZIAŁ 21

Nowy Jork rok 2001

- Wygląda kompletnie niedorzecznie - powiedziała Sal, uważnie przyglądając się mężczyźnie z pleksiglasowego cylindra.

Maddy patrzyła na postać ze wzbierającym uczuciem matczynej troski.

- Jesteś pewien, że wszystko z nim w porządku?

- Nie martw się - odpowiedział Foster. - W zintegrowanym procesorze umieszczono podstawowy moduł sztucznej inteligencji, kod nauki adaptacyjnej. Będzie wręcz pochłaniał wiedzę, zobaczycie. Teraz najważniejsze jest odcisnięcie w jego pamięci informacji o was. W szczególności o tobie, Liamie.

- Co masz na myśli, mówiąc odcisnięcie? - spytał chłopak nieufnie.

- Porównaj go do wykluwającego się z jaja pisklęcia, które w pierwszej kolejności chce zobaczyć swoją matkę. Aby kod mógł osadzić się efektywniej, powinien zostać powiązany z tobą, Liamie. No dalej... podejdź i przywitaj się.

Liam niepewnie spojrzał na Fosterę.

- Podejdź, to całkowicie bezpieczne.

Młodzieniec odwrócił się i popatrzył na obrożną muskulaturą sylwetkę leżącego na podłodze mężczyzny. Pomyślał, że klon mógłby z łatwością wyrwać mu rękę ze stawów i zacząć okładać go nimi po głowie, gdyby tylko uznał, że to dobry pomysł. Liam ostrożnie, z wyrazem niesmaku na twarzy, postąpił kilka kroków do przodu po wysychającej, lecz wciąż śliskiej i śmierdzącej mazi rozlanej na podłodze. Uklęknął obok wielkoluda i przyjrzał się mu uważnie.

- Głag... bulg... drag? - zacharczał mutant głębkim głosem, który wydawał się rozrywać jego klatkę piersiową. Klon był całkowicie łysy, na muskularnym ciele nie było ani jednego włoska, a jego skóra porażała niemal mlecznobiałą bledością. Liam podarował żalostnej istocie przyjazny uśmiech.

- Witaj.

- Ach, och... - Klon próbował go naśladować.

- Nazywam się Liam - powiedział, wskazując na siebie - Ja... Liam.

- Lii-chamm - powtórzyła istota, prostując się i z ciekawością wyciągając ręce w stronę twarzy Liama.

Chłopak nerwowo przełknął ślinę, gdy wielkie ręce dotknęły jego brody.

„Zaraz zmiążdży mi głowę jak dojrzałego melona” - przemknęło przez myśl przerażonego chłopca.

Wciąż mokre od kleistej mazi ręce klona gładziły jego policzki.

- Lii-jjaam?

- Liam.

- Li-jam.

- A ty nazywasz się...? - Liam spojrział na Fostera. - Czy on ma imię?

Foster wzruszył ramionami.

- Możecie nadać mu imię. Tylko postarajcie się wpaść na coś mądrego. Powinno do niego przylgnąć na zawsze.

Nagle Sal zachichotała na widok genitaliów stworzenia.

- Foster, może powinniśmy go najpierw w coś ubrać? - spytała Maddy, odwracając się do starca. - Sal ma w końcu tylko trzynaście lat, a ja... ja po prostu nie chcę w tej chwili tego oglądać.

- Nie, przykro mi... Patryk to kompletnie nietrafione imię - powiedziała Maddy.

Sączyła kawę, przyglądając się muskularnym kształtom mężczyzny, na którego Foster wkładał właśnie jakieś ubrania.

- Była taka głupiutka kreskówka dla dzieci: SpongeBob Kanciastoporty, w której występowała stuknięta rozgwiezda o imieniu Patryk.

Liam wzruszył ramionami.

- A ja miałem krzepkiego kuzyna Patryka. Wydawało mi się, że imię pasuje jak ulał.

- Znalazłam coś idealnego - rzekła z uśmiechem Maddy.

Spojrzeni wyczekująco, a uśmiech dziewczyny robił się coraz szerszy.

- Arnold! Rozumiecie? Po tym gościu z Terminatora?

Liam znowu nic nie rozumiał.

- Arnie... Arnold Schwarzenegger! - kontynuowała.

- Mówisz o Schwarzeneggerze, czterdziestym piątym prezydencie Stanów Zjednoczonych? - spytała zaskoczona Sal.

- Chyba żartujesz. On został prezydentem? - Maddy wytrzeszczyła oczy.

- Oczywiście! Teraz sobie przypominam - kontynuowała Sal. - Mówili o tym na historii Stanów Zjednoczonych. Zmieniono konstytucję, aby mógł wystartować w wyborach. Urodził się gdzieś w Europie, prawda?

Maddy przytaknęła.

- Karierę uTORowała mu rola jakiegoś robota w filmie science fiction, prawda? Jak nazywał się ten film?

- No nie... - Maddy wywróciła oczami. - Może Terminator?

- Ach, właśnie - przypomniała sobie Sal - to był ten film.

- Uwielbiam tę serię. Wszystkie filmy były super. - Maddy oceniła wzrokiem kolosalną postać i z zadowoleniem kiwnęła głową. - „Arnie” to idealne imię.

Liam miał ochotę zapytać, o czym one dwie właściwie gadają. Terminatory?

Kreskówki? Sajtens fikszony i inne spondzboby? Jeśli o niego idzie, mogłyby teraz równie dobrze gadać po mongolsku.

- W Terminatorze 2 była taka fajna scena - ciągnęła Maddy - w której bohater, kilkunastoletni John Connor, mówi jednemu koleśowi, że robot to jego wujek Bob...

- Wujek Bob? - przerwał Liam - Bob to świetne imię. Proste i krótkie.

- Tak... Bob do niego pasuje. - Sal kiwnęła głową w zamyśleniu.

- Nie chcecie nazwać go Arnie? - spytała zdziwiona Maddy.

Zgodnie pokręcili głowami.

- Brzmi głupio, nie inaczej - stwierdził Liam.

Maddy westchnęła zrezygnowana.

- Bob, niech wam będzie. Ładne i proste. Przynajmniej tamte ciamajdy wymówią to bez problemu.

Liam spojrział na Fostera i wielkiego klona, który miał już na sobie wygnieciony, niebieski kombinezon. Foster prowadził go do stołu za rękę jak małe dziecko.

- Oto jesteśmy. - Foster posadził go obok Liama. Stare sprężyny fotela zaskrzypiały pod ciężarem pokaźnego mężczyzny. - Podstawowy moduł mowy powinien już być w pełni zainstalowany. Spróbujcie więc przeprowadzić pierwszą konwersację.

- Hmm... Witaj ponownie - powiedział Liam do siedzącej obok olbrzymiej, masywnej postaci.

Klon skinął głową i powoli odpowiedział głębokim basem, który zachwiało fotelem i donośnie rozbrzmiał pod sklepieniem, niemal tak głośno jak jeden z pociągów stale kursujących po moście nad ich głowami.

- Wi-taj, Liamie. Foster pochylił się i przemówił powoli.

- Imię i nazwisko chłopca to Liam O'Connor. Pozwól, że przedstawię pozostałą dwójkę. Poznaj Madelaine Carter i Saleenę Vikram, która woli, żeby nazywać ją Sal.

- Wi-taj, Made-laine. Wi-taj, Sal.

- A tobie - powiedział Liam, wskazując na klona palcem - a tobie planujemy dać na imię Bob.

Obojętna twarz zastygła na chwilę w zamyśleniu. Klon w końcu kiwnął głową i poważnym tonem oznajmił:

- Jestem... Bob.

Foster uśmiechnął się zachęcająco.

- Doskonale! Imię zostało zapisane w pamięci wewnętrznej. Wzajemne prezentacje mamy więc za sobą.

- Co teraz, panie Foster?

- Musicie się dobrze wyspać. Dla wszystkich to był długi dzień. Jutro będziemy już bardzo zajęci.

- Czym? - spytała Sal.

- Szkoleniem, oczywiście.

## ROZDZIAŁ 22



Nowy Jork rok 2001

2. poniedziałek (chyba)

Notes znalazłam w bazie. Jego pierwsze strony były wyrwane, musiał go więc używać ktoś z pierwszej drużyny. Zrobię z niego dziennik. Kto wie, może właśnie do tego służył. Wszystko tutaj jest takie dziwne. Jak we śnie. Nie ma szkoły. Nie ma rikszy jeżdżących po ulicach ani typowego dla Mumbaju smogu. Na zewnątrz nikt nie nosi masek ochronnych.

Nie ma taty i mamy.

Jahulla, tu jest tak dziwnie.

Pozostała dwójka chyba lepiej radzi sobie z tym wariactwem. Maddy i Liam. Chyba lubię ich oboje. Maddy ma osiemnaście lat i jest informatycznym geniuszem. Powiedziała mi, że w 2010 roku była programistką komputerową, tworzyła gry. Mówi też, że w wolnych chwilach lubi „wszystko hakować”. To dość niepokojące, ale jest mniej więcej rówieśniczką moich rodziców... Podoba jej się nawet ta sama oldskulowa muzyka. A mimo to jest tylko kilka lat starsza niż ja.

To szalone.

A Liam? Totalna paranoja. Ma szesnaście lat... lub sto pięć, jeśli weźmie się pod uwagę, że urodził się w 1896 roku. Czyni to z niego bardzo, bardzo starego człowieka. Ale wciąż jest słodki. Podoba mi się, że pochodzi z innej epoki, w której ludzie ubierali się w eleganckie ubrania z rzędami guzików i mówili: „Jak się szanowna pani dzisiaj miewa?”.

Czuję się cudacznie i tęsknię - tęsknię za rodzicami i drapaczami chmur, których wierzchołki wystają ponad chmury smogu. Tęsknię nawet za wspólnym oglądaniem z mamą rewii elektra-Bollywood (nawet jeśli piosenki i układy taneczne były megajahullną żenadą). Ale jestem też odrobinę podekscytowana. Jestem w Nowym Jorku w czasach, zanim wszystko zaczęło się sypać. W czasach przed globalnym ociepleniem, przeludnieniem w

miastach, reglamentacją żywności, zamachami terrorystycznymi na półkuli północnej, deficytem ropy naftowej i innymi okropnymi problemami. Kręci mi się w głowie, kiedy myślę, że mój ojciec to teraz niemal mój rówieśnik, czternastoletni chłopiec żyjący w Indiach, a mama to dwunastoletnia dziewczynka mieszkająca w Delhi... i że spotkają się dopiero za dziesięć lat! Foster zabiera mnie dzisiaj rano z biura terenowego. Będzie mnie szkolił na zwiadowcę drużyny. Nie mam pojęcia, co taki zwiadowca robi, ale na pewno niedługo się dowiem.

- Dobrze, Sal - powiedział Foster. - Mamy poniedziałek rano, poniedziałek dziesiątego września, dzień przed katastrofą.

Znajdowali się na Times Square, w ruchliwym sercu miasta. Właśnie minęła dziesiąta rano, Piąta Aleja tętniła życiem.

- Myśl, że to jest „normalny” Nowy Jork. Właśnie tak powinien wyglądać. Rozumiesz?

Sal przytaknęła.

- Jesteś zwiadowcą drużyny, Sal. Zwiadowca musi mieć węch nie gorszy od psa policyjnego. Tylko wtedy będzie mógł wyczuć pierwszy zapach przesunięcia rzeczywistości na osi czasu.

- Spowodowany tym, że ktoś cofnął się w czasie i zmienił przeszłość?

- Właśnie tak.

- Ale jak poznam, że cokolwiek się tutaj zmieniło? - spytała, zataczając ręką nad gwarnym Times Square wirującym od wczesnoporannego zgiełku.

Foster pokiwał głową i w zamyśleniu pogłaskał podbródek.

- Być może powinienem ci wyjaśnić, dlaczego właśnie ty dostałaś tę pracę. Jaki jest twój wyjątkowy dar. Pomoże ci to wiele zrozumieć.

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Być może. Nie sądziła, że posiada jakikolwiek szczególny talent. Ubierała się na czarno, w przeciwieństwie do innych bolly-boppersów, którzy nosili jaskrawe, żarówiaste ciuchy z syntetycznego jedwabiu. Słuchała czarnego rocka, a nie ulicznego rapu. Wolała w samotności ułożyć interesujący zestaw elektronicznych puzzli niż włączyć się w masce na twarzy po ponurych zaułkach z bandą tępych niedorozwojów charczących od ulicznych toksyn.

- Według naszej dokumentacji z dwa tysiące dwudziestego szóstego roku jesteś idealną kandydatką z dwóch powodów, Sal. Po pierwsze wiedzieliśmy dokładnie, gdzie i kiedy umrzesz, dzięki czemu mogliśmy cię zlokalizować i zorganizować ekstrakcję.

Sal przytaknęła bez słowa - powoli zaczynała rozumieć.

- Ale co ważniejsze, jesteś mistrzem Mumbaju w Pikodu w kategorii do lat dwunastu.

Pikodu to obrazkowa gra podobna do puzzli polegająca na wyszukiwaniu powtarzających się wzorów na dużych, podchwytliwie zaprojektowanych siatkach losowo generowanych obrazów. Dziewczyna przytaknęła ponownie. Rzeczywiście, była mistrzynią... do czasu, aż się tym znudziła. Pikodu to szła, przejściowa moda rodem z Japonii. Przez kilka lat wszyscy i wszędzie - w pociągu, wannie, toalecie - grali w Pikodu Training na konsoli Nintendo FlexiBoy.

- Wiedzieliśmy, że możesz stać się najlepszym zwiadowcą. Błyskawicznie zauważasz szczegóły, dostrzegasz rzeczy łatwe do przeoczenia dla innych, wyłapujesz wzory z chaosu - jesteś idealną kandydatką.

Szerokim gestem wskazał zatłoczony plac.

- Codziennie będziesz obserwowała poranną krzątanicę. Wciąż tę samą. Doskonale wryje ci się w pamięć. - Foster spojrział na zegarek, po czym wskazał młodą matkę, która zatrzymała wózek, aby podnieść pluszową zabawkę ciśniętą przez dziecko. - Dokładnie o dziesiątej czternaście rano kobieta w czerwonych jeansach zatrzymuje się na chodniku i podnosi z ziemi pluszowego misia swojego dziecka.

Foster rozglądał się dalej.

- Ci dwaj starsi panowie w szykownych garniturach za chwilę zatrzymają się przed McDonaldem i zapalą papierosy.

- Faj. To legalne? - skrzywiła się Sal.

- Palenie?

Kiwnęła głową, patrząc szeroko otwartymi oczami na dwóch mężczyzn, którzy zaciągnęli się beztrząsco i wypuścili chmurę niebieskawego dymu.

- Tak, to wciąż dozwolone. - Foster zaśmiał się dyskretnie i wskazał gigantyczny billboard zawieszony wysoko na elewacji budynku. - W kinach grają dzisiaj bajkę animowaną pod tytułem Shrek. Wkrótce odbędzie się premiera Planety Mała, a koszulki Tommy'ego Hilfigera to w tym roku prawdziwy krzyk mody - mówił, wskazując kolejne reklamy.

Sal, wyraźnie zniesmaczona, skrzywiła usta, uświadamiając sobie, że ludziom z dwa tysiące pierwszego roku naprawdę podobają się te obciachowe ciuchy.

Foster odwrócił się i spojrzał prosto w oczy dziewczyny.

- Musisz rejestrować wszystkie, nawet najdrobniejsze, szczegóły i dokładnie je zapamiętywać, aby we właściwym momencie natychmiast zorientować się, że coś jest nie w porządku.

- Przesunięcie?

Twarz mężczyzny rozjaśnił uśmiech pełen uznania.

- Właśnie tak, przesunięcie: pierwszy zwiastun niepożądanych zmian w przeszłości.

Dziewczyna rozejrzała się wokół siebie, powoli dochodząc do wniosku, że to

wszystko przypomina ogromną grę Pikodu.

- Zauważysz różnicę, zanim uda się to któremukolwiek z nas, ponieważ właśnie to jest twój specjalny talent, Sal.

- Bo kiedyś znalazłam się w finale jahullnie starej gry w puzzle?

- Tak. - Starzec się zaśmiał. - Bo zostałam finalistką jahullnie starej gry. A także dlatego, że w każdy poniedziałek będziesz opuszczała bazę i przechodziła przez most Williamsburg z Brooklynu na Manhattan w otoczeniu tych cudownych promieni słonecznych. Pozwoli ci to poznać ten dzień jak nikomu innemu na świecie.

- Czy w poprzedniej drużynie też był zwiadowca?

Foster po chwili wahania udzielił odpowiedzi.

- Tak. Jest w każdej drużynie.

- Opowiedz mi o nim... A może to była ona?

Uśmiech powoli zniknął z twarzy mężczyzny.

- Ona... nie miała zbyt wiele czasu, aby nauczyć się swoich obowiązków przed... - Westchnął. - Przed przypadkowym sprowadzeniem szukacza do naszego świata.

- Czy my też natkniemy się na szukaczy? - spytała grobowym tonem.

- Nie, ponieważ w przyszłości będziemy dużo bardziej ostrożni. Nie mam zamiaru powtórzyć tego błędu. - Pokręcił głową.

- Skąd on się wziął?

Starzec zawahał się przed udzieleniem odpowiedzi.

- Z innego wymiaru - odparł. - Z wymiaru, przez który podróżują Jeźdźcy w Czasie.

- To wygląda... cóż, to nie wygląda zbyt bezpiecznie.

- To chaos, przez który przemieszczamy się w mgnieniu oka. Nikt nie chciałby przystanąć tam na dłuższą chwilę...

Dziewczyna wyczuła, że mógł powiedzieć o tym dużo więcej, ale chciał chyba jak najszybciej zmienić temat.

- Chodź. - Na twarz Fostera powrócił uśmiech. - Zobaczmy kawałek miasta. Czy podczas wizyty w Nowym Jorku odwiedziłaś z tatą Central Park?

Zamyśliła się na chwilę. Przypomniała sobie dużą, otwartą przestrzeń w centrum Manhattanu wypełnioną rdzewiejącymi samochodami, które piętrzyły się jeden na drugim tworząc gigantyczne złomowisko.

- Czy mówisz o miejscu, gdzie wyrzucano stare samochody po wyczerpaniu się benzyny?

Foster przytaknął ze smutkiem.

- Tak, ale dzisiaj, w dwa tysiące pierwszym roku, to jeszcze piękny park pokryty zieloną trawą i porośnięty drzewami. Jest tu też urocze jezioro. Chciałabyś je zobaczyć?

- Bardzo - z zapalem przytaknęła dziewczyna.

## **ROZDZIAŁ 23**

Nowy Jork rok 2001

- Żartujesz, prawda? Mam być a... analitykiem?

Foster przytaknął.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Chcesz mi powiedzieć, że wyciągnąłeś mnie ze spadającego samolotu i zabrałeś ze sobą do przeszłości, abym dołączyła do oddziału... strażników czasu i robiła dokładnie to samo, co wcześniej?

- Nie do końca to samo. - Starzec wzruszył ramionami.

- Cudnie - odpowiedziała, spoglądając na szereg monitorów ustawionych na długim stole.

- To wieloterminalowy komputer z tetrabitową pamięcią operacyjną, zbudowany w oparciu o technologię komórkową. Pierwsza drużyna z wielkim trudem sprowadziła go tutaj z przyszłości i złożyła do kupy, pamiętając o najdrobniejszych szczegółach. Znaczy to tyle, że teraz - w Nowym Jorku dwa tysiące pierwszego roku - masz dostęp do najpotężniejszego systemu komputerowego na świecie. I wiesz co? - Wyszczrzył zęby. - Możesz eksperymentować z nim do woli.

Maddy wyciągnęła rękę i pogładziła cienką obudowę ustawionego na stole komputera.

- Jest mój?

- Cały twój.

- Okej... w takim razie nie ma dramatu.

- Z naszych akt wynika - kontynuował Foster - że pracowałaś dla firmy produkującej gry komputerowe. Jesteś współtwórcą Second World, niesamowicie popularnej gry RPG.

- Rzeczywiście, była dość popularna - skromnie odpowiedziała Maddy.

- Na liście twórców zostałam wymieniona jako osoba odpowiedzialna za debugowanie gry.

- Między innymi - odpowiedziała z lekką irytacją. - Napisałam też kody do ładnych kilku układów walki i stworzyłam najlepsze elementy interfejsu użytkownika, ale czy ktoś w ogóle o tym wspomniał? Gdzie tam!

- Ale to właśnie wiedza na temat baz danych, umiejętność wyszukiwania błędów, czyni cię tak cenną.

- Bo?

- Bo to swojego rodzaju praca detektywistyczna: tropienie drobnego elementu kodu komputerowego, który odpowiada za zawieszanie się lub awarię gry. Nie mam racji?

- Chyba.

Foster ruchem głowy wskazał drugą dziewczynę.

- Będziesz pracowała z Sal.

Maddy odwróciła się, by spojrzeć na Sal, która siedziała wraz z Bobem i Liamem przy stole po drugiej stronie pomieszczenia. Chłopak i dziewczyna uczyli ociężałego niezdare, jak używać noża i widelca.

- Będzie zwiadowcą, naszą pierwszą linią obrony - powiedział Foster i wyjaśnił, na czym będzie polegać zadanie Sal. Wyglądało na to, że przed młodą dziewczyną stoi niezwykle trudne zadanie: wykryć przesunięcie szybciej niż zrobi to komputer.

- Gdy Sal zauważy już jakąś nieprawidłowość, do gry wchodzi ty. Nieszablonowy sposób myślenia, umysł programisty w połączeniu z mocą operacyjną tego systemu i nieprzebraną siecią historycznych baz danych z całego świata pozwoli nam ustalić miejsce i czas przesunięcia w historii.



Maddy pokręciła głową.

- Jak ja niby mam na coś takiego wpaść? W szkole średniej byłam beznadziejna z historii. Nie jestem pewna, czy wybraliście właściwą osobę...

- Świetnie sobie poradzisz - przerwał jej mężczyzna. - Nie musisz idealnie znać historii. Wystarczy logiczny umysł i szczypta zdrowego rozsądku. Wierzę w ciebie, Maddy. Zostaniesz przywódcą drużyny, głównym taktykiem.

- Przywódcą? Przecież to ty zgrywasz szefa.

Foster zniżył głos prawie do szeptu, jakby chciał powiedzieć jej coś w tajemnicy przed innymi.

- Nie zostanę tu na zawsze. W pewnym momencie wasza trójka i Bob będziecie musieli działać samodzielnie.

- Co? A ty gdzie się niby wybierasz?

- Ja... nieważne. Moje zadanie to przygotować waszą drużynę do działania, samodzielnego wykonywania misji - wyjaśnił i uważnie spojrzał na dziewczynę. - A drużyna właśnie w tobie będzie szukała przywódcy.

Wzrok Maddy powędrował na drugi koniec pomieszczenia, gdzie Liam i Sal chichotali na widok Boba nieporadnie chwytającego wielkimi dłońmi nóż i widelec.

„Ja mam być przywódcą?” - niedowierzała dziewczyna.

Do tej pory uważała się za samotnika, zadowolonego z pracy w odosobnieniu, którego jedynym towarzyszem są ciągi kodu komputerowego. Samo opiekowanie się dwójką dzieciaków i tym wielkim małpisonem to ciężki orzech do zgryzienia. No a zrzucić na nią odpowiedzialność za losy ludzkości to już...

- Trafiłeś na niewłaściwą osobę, Foster. - Pokręciła głową. - Nie nadaję się do tego.

Starzec pochylił się nad klawiaturą i myszką, ignorując jej słowa.

- Pokażę ci tylko, jak potężny jest ten system komputerowy. Czy wiesz, że jest podłączony do wszystkich baz danych na świecie? Za pomocą tej klawiatury możesz włamać się do każdego komputera w sieci. Bez większego trudu złamiesz każdą zaporę i system zaszyfrowanych zabezpieczeń.

- Tiaa... na pewno.

- Może chcesz rzucić okiem na skrzynkę odbiorczą prezydenta Stanów Zjednoczonych?

- Potrafisz...? - w osłupieniu spytała Maddy.

- Sprawdźmy więc, jakie to słowa mądrości wypłynęły dziś rano z głowy Georga W. Busha. Co ty na to?

## ROZDZIAŁ 24

Las Bawarski, Niemcy rok 1941

„W dół... w dół... w dół”.

Doktor Paul Kramer otworzył oczy, ale oślepiiony jasnością natychmiast je zamknął i mocno zacisnął powieki.

- Wszystko w porządku - usłyszał uspokajający głos.

Ponownie spróbował spojrzeć na świat, tym razem ostrożniej. Najpierw zauważył śnieg - głęboką i niemal gładką powłokę bieli, z jednym lub dwoma odciskami stóp i wyżłobieniami zostawionymi po przeciągnięciu ciężkich przedmiotów.

Tuż przy nim przykucnął człowiek o znajomej twarzy.

- Karl...

- Proszę chwilę odczekać, sir. Dezorientacja i zawroty głowy wkrótce ustąpią.

Kramer wziął głęboki oddech i wypuścił chmurę gęstego powietrza. Było wiele niecierpiących zwłoki pytań.

- Powiedz, czy trafiliśmy do właściwego czasu?

- Na to wygląda. Śnieg w kwietniu się zgadza.

- A lokalizacja?

- Lasy wokół Obersalzbergu - potwierdził Karl.

- Sprzęt?

- Nieuszkodzony. Był trochę rozrzucony, ale ludzie znaleźli wszystko, co wypadło z portalu i ukryli w lesie.

- Przeszli wszyscy?

Lekkie zawahanie Karla wystarczyło. Kramer podniósł na niego wzrok, osłaniając oczy przed ostatnim, delikatnym przeblyskiem zmierzchającego nieba.

- Karl?

- Tomas i Ethan... im się nie udało.

Kramer podniósł się z wysiłkiem i spojrzał na mężczyzn. Wszyscy mieli już na sobie arktyczne kurtki maskujące, plecaki i uprząże. Każdy trzymał gotową do wystrzału,

nowoczesną strzelbę pulsacyjną M29. Na głowach najemników spoczywały kevlarowe hełmy z zamocowanymi noktowizorami i okularami HUD z czujnikiem ciepła. Ten imponujący widok nappełnił go dumą.

„Szkoda, że jest ich tak niewiele” - pomyślał.

Doliczył się tylko siedemnastu.

- Co z Tomaszem i Ethanem?

Karl niechętnie zbierał się do odpowiedzi.

- Karl! Proszę...

- Pokażę, sir - niechętnie odpowiedział jego zastępca.

Minął najemników, brodząc w głębokim po kolana śniegu, który chrzęścił pod ciężarem jego kroków. Kramer ruszył za nim, wciągając na siebie arktyczną kurtkę i zapinając ją pod szyję. Karl wprowadził doktora do gęstego, sosnowego zagajnika. Na gałęziach drzew leżała gruba warstwa śniegu.

- Wygląda na to, że podczas podróży coś poszło niezgodnie z planem - poinformował Karl w momencie, gdy jedna z odepchniętych gałęzi wywołała kaskadę prószonego śniegu. - Na szczęście żaden z nich nie pożył długo. - Zrobił kilka kroków w bok i odsłonił ciała mężczyzn. - Żyli jeszcze jakieś kilka minut - dodał ponuro.

Kramer patrzył na kłębowisko kończyn i organów - nieforemną masę, która nijak nie przypominała ludzkiej istoty, a właściwie dwóch ludzkich istot. Zwłoki zamieniły się w jakiegoś groteskowego stwora ulepionego przez szalonego boga z resztek chaosu po stworzeniu świata; w żałości zniekształconą bryłę z nadmiarową liczbą rąk i nóg oraz wybebeszonych organów wewnętrznych, miejscami pokrytych pęcherzykowatą, stopioną jak plastik skórą. Kramer zauważył, że głowa przyspawana do kikuta przypominającego nienaturalnie długie ramię musiała należeć do Ethana. Wśród góry mięsa, tworzącej biodro wyimaginowanego stworzenia, dostrzegł zarys twarzy Tomasa.

- Mój Boże! - zdołał wyszeptać. - Żyli, gdy ich znalazłeś?

Karl przytaknął z posępnym wyrazem twarzy.

Kramer poczuł, jak robi mu się niedobrze, ale nie mógł sobie pozwolić na zwymiotowanie w obecności Karla. Ludziom potrzebny jest silny i pewny swego przywódca, a nie ktoś, kto robi w portki przy pierwszej okazji.

- Wszyscy znaleźmy ryzyko. Prototyp Waldsteina był podatny na awarie - powiedział Kramer i zganił się w myśli: „Zachowaj zimną krew, Paulu Kramerze”. - Mamy szczęście, że straciliśmy tylko dwóch ludzi, Karl. Tylko dwóch.

- Tak jest, sir.

- To nasza pierwsza i ostatnia podróż w czasie, mamy to już za sobą. Dotarliśmy do celu.

Karl przytaknął, zdobywając się na słaby uśmiech.

- Niemcy, piętnasty kwietnia... tysiąc dziewięćset czterdziesty pierwszy rok. - Kramer wskazał na szczyt pobliskiego wzgórza, skąpanego w chłodnej, srebrnej poświacie księżyca. - Tam czeka nasze przeznaczenie, Karl.

Najemnik uśmiechnął się gorliwie.

- Powiedzie nam się, prawda?

- Bez dwóch zdań - odrzekł Kramer.

## ROZDZIAŁ 25

Nowy Jork rok 2001

- Co zrobimy?! - Maddy spojrzała na Fostera z niedowierzaniem.

- Przed chwilą powiedziałem, że dzisiaj rano celowo zmienimy historię.

Liam, Sal i Maddy spoglądali na niego w milczeniu sponad misek z płatkami ryżowymi. Bob, siedzący pomiędzy Sal i Liamem, w zamyśleniu obserwował całą scenę.

- Liamie - powiedział Foster. - Dzisiaj odbędziesz swoją pierwszą wyprawę w przeszłość. Bob będzie ci towarzyszył.

Mięsiste usta Boba ułożyły się w niepewny, niezdarny uśmiech, przywodzący na myśl przeżuwającego wielbłąda.

- Być dobrze - zagrział tubalny głos.

- A pan? - spytał Liam.

- Wybieram się razem z wami.

- Dokąd się udamy?

- Ha! Oto jest pytanie! - Mężczyzna uniósł palec. - Sprawdzimy, czy Maddy i Sal zdołają dowiedzieć się, dokąd się wybraliśmy i w jaki sposób przesunęliśmy historię. To test.

- Ale... - powiedział zdezorientowany Liam - myślałem, że nie wolno zmieniać historii nawet odrobinę.

- Zmiana historii zła - powoli przytaknął Bob.

- Nazywamy to lokalizacją testową - odpowiedział Foster.

- Stale używamy tego małego kawałka przeszłości do szkolenia nowych drużyn. Nie martwcie się, dokonamy jedynie drobnej zmiany w krótkim okresie, a później wszystko wróci na swoje miejsce.

- Jak długo was nie będzie? - spytała Sal. - Czy to niebezpieczne?

- W żadnym razie. - Foster się uśmiechnął. - Zostaniemy w przeszłości na bardzo krótki okres. Okno powrotne zostanie automatycznie aktywowane za pomocą komputera. Jedyne, co musicie teraz robić, to bacznie obserwować historię i odgadnąć, gdzie się przenieśliśmy.

Liam zerknął na wielki, wypełniony wodą cylinder z pleksiglasu.

- Czy musimy się tam wdrapać?

- Obawiam się, że tak.

Foster pochylił się i położył dłoń na ramieniu Liama.

- Nie martw się, podgrzejemy to odrobinę. Ja też nie mam ochoty wskakiwać do słoja z lodowatą wodą.

Liam zdjął ubranie, zostawiając na sobie jedynie brudne majtki, które zdecydowanie nosił odrobinę zbyt długo.

- Tylko nie podglądajcie!

Dobiegł go chichot Maddy, która siedziała przy stole po przeciwległej stronie pomieszczenia.

- A masz tam coś ciekawego?

- Przestań się wydurniać, Liamie, i wchodź do środka! - warknął Foster.

Liam zwinnie wdrapał się po drabince, przerzucił nogi nad krawędzią cylindra i włożył je do wody. Opuścił się trochę, a jego twarz znalazła się na wysokości unoszących się w wodzie Boba i Fostera.

- To ci dopiero zabawa - powiedział sarkastycznie, kurczowo trzymając się krawędzi cylindra.

- Dlaczego zabawa, Liamie O'Conor? - poważnie zapytał Bob.

Liam obojętnie wzruszył ramionami.

- Nie codziennie wchodzę do akwarium z...

- Buzia na kłódkę i posłuchajcie! - przerwał Foster. - Zaprogramowałem komputer tak, aby automatycznie wysłał nas w przeszłość. Tym razem Maddy nie musi wprowadzać żadnych współrzędnych, ale zazwyczaj będzie odpowiedzialna za kalibrację całego procesu.

Liam przytaknął, patrząc przez porysowaną, mleczną powierzchnię cylindra na rozmytą, mglistą sylwetkę dziewczyny. Nie był pewien, czy z całkowitym zaufaniem pozwoli wystrzelić się w przeszłość, gdy jej palce po raz pierwszy spoczną na przyciskach urządzenia.

- Zgodnie z wymogami tego scenariusza szkoleniowego żadna z dziewcząt nie może znać lokalizacji zrzutu. Spędzimy tam co najwyżej godzinę, po czym za pomocą komputera automatycznie zaktywowany zostanie portal powrotny. Na twardej dysku jednostki pomocniczej pobrane już zostały odpowiednie dane historyczne.

- Mówisz o mózgu Boba?

- Tak... o jego mózgu.

Liam spojrzał na muskularnego wielkoluda unoszącego się obok niego na wodzie.

- W jaki sposób wprowadziłeś te informacje?



- Zostały przetransmitowane bezprzewodowo - powiedział Foster i odwrócił się do zwałistego giganta: - W którym momencie przeszłości wylądujemy, Bob?

- Dwudziestego drugiego listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku.

- Gdzie?

- W Dallas, w stanie Teksas, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

- Świetnie. Ile pozostało czasu do aktywacji pola translokacyjnego?

- Pięćdziesiąt osiem sekund do aktywacji.

- Bardzo dobrze. Jakież pytania?

- Panie Foster, dlaczego właściwie musimy być rozebrani do bielizny i zanurzeni w wodzie?

- Protokół kontaminacyjny. Powinniśmy zabierać ze sobą jak najmniej rzeczy. Woda to roztwór neutralny, więc po otwarciu okna nie możemy dotykać absolutnie niczego. W przeszłość może popłynąć tylko woda i my. Nic ponadto.

- Rozumiem.

- Dwadzieścia sekund do aktywacji - zakomunikował Bob.

- Zacznę odliczać od pięciu, Liamie. Weź głęboki oddech i zanurkuj pod wodę - poinstruował Foster.

Liam nerwowo przełknął ślinę. Jego serce zaczęło bić mocniej na samą myśl o puszczeniu krawędzi cylindra i znalezieniu się pod wodą.

- Panie Foster. Sądzę, że to nie najlepsza pora, aby o tym wspominać, ale ja nigdy nie

uczyłem się pływać. Nigdy...

- Wiem - westchnął Foster. - Rozluźnij się, przywykniesz.

Liam niewesoło spojrział na powierzchnię wody.

- Ale... jeśli się puszcę, to utonę. Pójdę na dno jak jakiś przeklęty kamień, w rzeczy samej. Ja...

- Nie bój się. Musisz jedynie wstrzymać oddech na dziesięć, dwadzieścia sekund i będzie po wszystkim.

- Głowę? Mam włożyć swoją głowę pod wodę?

- Tak, pod wodę.

- A co, jeśli nie zanurzę się całkowicie? Co się wówczas wydarzy, panie Foster? Gdybym tylko mógł zostawić twarz...

- Nie! Każda część twojego ciała musi znajdować się pod wodą. Skaner pola wykryje, że coś wystaje ponad powierzchnię i wstrzyma start z przyczyn bezpieczeństwa.

- A wtedy?

- A wtedy ja się strasznie wkurzę, że musimy zaczynać wszystko od nowa.

- Aha.

- Informacja: dziesięć sekund do aktywacji - odezwał się Bob.

- Ja, ja nie jestem pewien, czy dam radę. Ja naprawdę... - wysapał Liam, czując, że jego oddech jest coraz płytszy i bardziej nerwowy.

- Bierzesz głęboki oddech i puszczasz się krawędzi, Liamie. Nic prostszego.

- Informacja: pięć sekund do aktywacji.

- Nie, naprawdę panie Foster... Ja naprawdę...

- Bob, zanurz Liama.

Klon wyciągnął olbrzymią rękę, a sekundę później Liam rzucał się już w ślepej panice na wszystkie strony, połykając wpadającą do ust wodę.

Komórka Sal zaczęła wibrować. Wyciągnęła ją z kieszeni, krzywiąc się na widok staromodnego zestawu słuchawkowego podłączonego do brzydkiej „cegły” z lśniącego plastiku z logo Nokii u góry. Nic nie mogło równać się z jej arcygenialnym Earbudem V3, którego używała w dwa tysiące dwudziestym szóstym roku. Z zażenowaniem wyciągnęła z kieszeni ten niemal muzealny eksponat i podniosła do ucha, chcąc jak najszybciej zapaść się pod ziemię. Po chwili uświadomiła sobie jednak, że w dwa tysiące pierwszym roku wszystkie telefony wyglądają tak samo zawstydzająco.

Wcisnęła przycisk.

- Halo?

- Tu Maddy. Wyruszyli w przeszłość jakąś minutę temu. Gdzie teraz jesteś?

Sal rozejrzała się dookoła. Znajdowała się na Broadwayu, kierując się na północ. Właśnie minęła skrzyżowanie z Czterdziestą Pierwszą.

- Chyba zbliżam się do Times Square... tak, jest tuż przede mną.

- Zauważyłaś już coś... hmm... dziwnego?

- Nie bardzo. - Wzruszyła ramionami. - Wszystko wygląda tak samo jak ostatnio. Ten sam słoneczny dzień, ci sami ludzie, taki sam ruch.

- Hmm... - mruknęła Maddy. - Szczerze mówiąc, nie jestem pewna, co mam teraz robić. Przeglądam Internet, portale informacyjne i inne strony w sieci, ale sama nie wiem, czego szukam.

Sal zaśmiała się nerwowo.

- To tak jak ja. Po prostu spaceruję sobie w słoneczny dzień.

- A ja siedzę jak idiotka, wpatrując się w szereg komputerów... Wszystko w porządku, Sal?

Poniedziałkowy poranek był dość ruchliwy. Poranny rozgardiasz już ucichł, pracownicy dotarli już do swoich biur, po mieście spacerowały głównie wycieczki turystów oraz grupki rodzin i przyjaciół, podziwiając widoki Wielkiego Jabłka.

Sal westchnęła. Przydałoby się jakieś towarzystwo. Ostatnim razem - kilka wirtualnych dni temu - maszerowała tą samą trasą razem z Bobem, który musiał zyskać trochę doświadczenia w poruszaniu się jak człowiek. Zdecydowanie bezpieczniej czuła się obok tej niezdarnej, wysokiej na dwa metry istoty z pęczniejącymi mięśniami - obok jej superbohatera maskotki, jej osobistego ochroniarza.

- Chyba wszystko gra.

## ROZDZIAŁ 26

Dallas, Texas rok 1963

Liam wylądował na twardym podłożu wśród kaskady pryskającej wody. Czuł się, jakby ktoś właśnie wylał mu na głowę całą zawartość gigantycznego cylindra. Po obu stronach, w dużej i szybko rozlewającej się kałuży, klęczeli Foster i Bob. Rozejrzał się. Samochody zaparkowane na asfaltowym parkingu wyglądały mniej nowocześnie i miały bardziej kanciaste kształty niż pojazdy, które codziennie widywał w Nowym Jorku. Pierwszy

wstał Bob, wyciągając ręce w kierunku Liama i Foster.

- Pomogę! - huknął.

Liam podniósł się, chwytając wyciągniętą rękę.

- Musimy znaleźć ubrania, zanim zwrócimy na siebie uwagę - powiedział Foster.

Pomiędzy półciężarówką a zakurzonym samochodem znajdowały się podwójne drzwi z napisem: MAGAZYN KSIĄŻEK - WEJŚCIE TYLKO DLA PERSONELU.

- Za tymi drzwiami jest szatnia - oznajmił Foster. - Na pewno wiszą tam jakieś ubrania.

- Jest pan pewien?

- Organizowałem tę podróż szkoleniową kilka razy. - Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

- A jeśli są tam ludzie? - spytał Liam, z zażenowaniem zakrywając rękami przemakające slipy.

- Nie ma. Wszyscy stoją przed wejściem, wypatrując prezydenckiej limuzyny. Będzie tędy przejeżdżała za kilka minut.

Foster powiódł ich przez parking i popchnął podwójne drzwi. W środku, poza zasięgiem porannych promieni słońca, panował półmrok, po podłodze wały się nieuporządkowane sterty pachnących stęchlizną podręczników szkolnych.

- W prawo! - rozkazał Foster.

Skręcili do pokoju z rzędem szafek pracowniczych i kołków sterczących z przeciwległej ściany. Na końcu pomieszczenia znajdowała się skrzynia zagubionych przedmiotów, w której znajdowały się przeróżne rzeczy znalezione na przestrzeni lat. Udało

im się znaleźć trzy zestawy ubrań, choć na Boba zdołali wcisnąć jedynie parę przymałych sandałów, z których wystawały mu palce, oraz zabrudzony, granatowy kombinezon.

- Wyglądamy jak trzej włóczędzy - zauważył Liam.

- Doskonale - odrzekł Foster. - Nikt nas nie zapamięta.

- Panie Foster - cicho spytał Liam - co za chwilę się tutaj wydarzy?

\

Starzec odwrócił się do jednostki pomocniczej.

- Wyjaśnij Liamowi.

Bob wyszukał odpowiedni plik w niedawno zainstalowanej bazie danych.

- Informacja: dokładnie za pięć minut i trzydzieści dwie sekundy trzydziesty piąty prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, John F. Kennedy, zostanie postrzelony w gardło, a sekundę później w górną część czaszki. Pocisk wyrwie około dwudziestu pięciu procent tkanki mózgowej.

- Ten człowiek zostanie zabity?

- Zgadnij. - Foster spojrzał na niego.

- Co zrobimy? Powstrzymamy zamachowca?

- Raczej opóźnimy. - Foster wzruszył ramionami.

\*

Nowy Jork rok 2001

Sal objęła wzrokiem Times Square. Już po raz jedenasty lub dwunasty pokonywała ten dystans. Wyruszała z Brooklynu, przechodząc przez most Williamsburg, następnie wzdłuż Broadwayu w stronę rojnego centrum miasta, które nigdy nie zasypiało. Można tu było obserwować tak wiele rzeczy, działo się tu tak dużo. Naprawdę nie wiedziała, jak wychwycić każdy najdrobniejszy szczegół - w jaki sposób zapamiętać, sekunda po sekundzie, wydarzenia rozgrywające się na głównej arterii miasta.

Przyglądała się wielkim billboardom. Zobaczyła olbrzymi ekran z wesołym, zielonym ogrem, nad którego głową widniał tytuł Shrekoraz planszę z kudłatym, niebieskim potworem i małym, okrągłutkim, zielonym stworzeniem - bohaterami filmu Potwory i spółka. Kawalek dalej wisiał plakat reklamujący sztukę teatralną o nazwie Mamma Mia. Nagle, z uspokajającym uczuciem déjà vu, Sal dostrzegła młodą matkę w czerwonych jeansach, pchającą wózek przez przejście dla pieszych.

„To pamiętam... zatrzyma się i podniesie pluszową zabawkę”.

Chwilę później kobieta rzeczywiście tak zrobiła. Schyliła się z irytacją na środku skrzyżowania i wcisnęła maskotkę w pulchne ręce dzieciaka, który z poziomu swojego wózka desperacko domagał się zwrotu.

To dopiero dziwne uczucie.

Uśmiechnęła się.

- Wow! - zamruczała zadowolona z siebie Sal. - Właśnie przewidziałam przyszłość.

\*

Dallas, Texas rok 1963

- Dalej, w górę! Jeszcze jedno półpiętro - ciężko wysapał Foster.

Liam zajrzał za otwarte drzwi biura na drugim końcu klatki schodowej. Pomieszczenie wypełnione biurkami, regałami i szafkami na dokumenty wydawało się opuszczone. Przy

każdym oknie tłoczył się gęszcz upiętych koków, które dumnie sterczały na głowach sekretarek ubranych w sukienki w kwieciste wzory.

- Po co wchodzimy po schodach??

Foster był zbyt zdyszany, by odpowiedzieć.

- Bob, możesz...?

Jednostka pomocnicza posłusznie kiwnęła głową.

- Informacja: na szóstym piętrze tego budynku znajduje się mężczyzna o nazwisku Lee Harvey Oswald. Dokładnie za minutę i dwadzieścia siedem sekund zastrzeli trzydziestego piątego prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Teraz to już minuta i dwadzieścia sześć sekund...

- Ach... dziękuję, Bob - powiedział Liam.

Na twarzy klona pojawiła się namiastka niezdarnego uśmiechu.

- Nie ma za co, Liamie O'Connor.

Po wejściu na szczyt schodów Foster zwolnił tempo i położył palec na ustach. Wskazał otwarte drzwi pomieszczenia, które wyglądało na magazyn.

- Jesteśmy na miejscu - wyszeptał starzec. - Za drzwiami, po lewej stronie, zobaczycie rząd okien z widokiem na Dealey Plaza. Właśnie w tym momencie Oswald opiera broń o parapet drugiego okna. Za około trzydzieści sekund...

- Dokładnie trzydzieści dziewięć sekund - wtrącił Bob.

- Cicho, Bob.

Klon potulnie skinął głową.



- Za około trzydzieści sekund limuzyna prezydencka wyjedzie z za rogu, kierując się w stronę budynku. Pierwszy strzał padnie, gdy samochód znajdzie się dokładnie pod Oswaldem. Ale my - szeptem kontynuował Foster - uniemożliwimy mu oddanie tego strzału. Za mną!

Mężczyzna wszedł do magazynu. Liam i Bob ostrożnie podążyli za nim. Omijali sterty pokrytych okazałą warstwą kurzu podręczników, niedbale rzuconych jeden na drugi. Pomiędzy chybottliwymi hałdami książek Liam dojrzał czubek głowy na tle wysokiego okna. Odwrócił się do Fostera, który skinął głową.

To on.

Bezgłośnie zbliżyli się do mężczyzny i stanęli tuż za nim.

- Przepraszam bardzo - powiedział Foster.

Lee Harvey Oswald odwrócił się błyskawicznie i ze zdziwieniem skostatował, że stoi przed nim trzech włóczęgów - muskularny wielkolud, starzec i wyrośnięty chłopak.

Silacz wyszarpnął strzelbę z rąk stojącego z rozdziawionymi ustami mężczyzny.

- Lee Harveyu Oswaldzie, w tym momencie powinien pan wziąć nogi za pas i zacząć uciekać na złamanie karku - spokojnie powiedział starzec, uśmiechając się życzliwie. - Sugeruję, aby udał się pan prosto do domu.

- Kim... kim jesteście?

Foster uśmiechnął się ponownie.

- Hmm, niech się zastanowię. Ach, wiem! - mówił z coraz szerszym uśmiechem. - Jesteśmy agentami CIA. W każdym razie lepiej będzie, jeśli opuści pan to miejsce. W przeciwnym razie ten tu kolega wyrzuci pana przez okno głową do przodu.

Oswald wstał z klęczek i niepewnie przytaknął, uważnie lustrując Boba. Przepisnął się

przez szereg intruzów i, rzucając ostatnie przestraszone spojrzenie, wybiegł z magazynu. Słyszeli, jak zbiega po schodach, biorąc trzy stopnie na raz.

- Pogwałcenie linii czasu - ostrzegł Bob obojętnym tonem. - Oś czasu została wykrzywiona.

- Czy nie zrobiliśmy właśnie czegoś absolutnie zabronionego? - Liam potrząsnął głową.

- Tak! - potwierdził Foster. - Właśnie w tej chwili linia czasu ulega przesunięciu, wywołana fala zmienia kolejne lata. Następuje korekta przyszłych dekad, przygotowywany jest grunt pod nową rzeczywistość, w której prezydent Kennedy wychodzi cało z zamachu.

Starzec wyjrzał przez okno, by popatrzeć na kabriolet eskortowany przez kordon policjantów na motorach. Limuzyna wolno zmierzała w stronę estakady... i trawiastego wzgórza.

## ROZDZIAŁ 27

Nowy Jork rok 2001

Sal zaczynała się czuć lekko idiotycznie, stojąc tak na skrzyżowaniu Broadwayu z Czterdziestą Czwartą i obserwując przechodzących ludzi. Kilka minut temu zaczepiła ją miła staruszka, pytając, czy nie zgubiła mamy lub taty i czy nie chciałaby zostać odprowadzona na policję.

„Co za wstyd! Przecież mam już trzynaście lat na Jahullę!” - pomyślała ze złością dziewczynka.

Już chciała udać się w stronę mniej zatłoczonego miejsca, z dala od strumienia przechodniów, kiedy nagle coś poczuła - przelotny zawrót głowy i uczucie dezorientacji, jakby świat był gigantycznym obrusem, za którego róg ktoś właśnie delikatnie pociągnął.

Przytrzymała się kosza na śmieci, aby nie upaść. Jej podświadomość odnotowała bardzo subtelną zmianę na Times Square.

Coś się zmieniło.

Rozejrzała się po ruchliwym trójkątnym skrzyżowaniu ulic, na których panowała poranna poniedziałkowa krzątanina.

- Co to było? - wyszeptała. - Co to mogło być?

W pewnym momencie jej wzrok spoczął na czymś, czego nie było tu wcześniej. Billboard zapowiadający nadejście Planety Małej, który wisiał wcześniej nad wejściem do kina PrimeTime, zamienił się w olbrzymi, świecący telebim, na którym wyświetlano program informacyjny.

Na dole wielkiego ekranu widniał tekst:

CNN: Nowe informacje na temat misji - Dzień 346.

Kilku mężczyzn w pogniecionych, pomarańczowych kombinezonach, trzymających w ręku podkładki do pisania, rozmawiało przyjaźnie w ciasnym pomieszczeniu kapsuły. Na dole ziarnistego ekranu przesuwiał się pasek informacyjny:

Kmdr Jerry Hammond i załoga świętują trzydzieste piąte urodziny Antona Puchova.

Dziewczyna zauważyła, że prawie żadna z przechodzących obok niej osób nie jest szczególnie zainteresowana transmisją - jakby ta sama, codziennie powtarzana wiadomość wszystkim już spowszedniała. Obraz mężczyzn nieporadnie poruszających się po ciasnym pomieszczeniu został zastąpiony ujęciem rdzawej kuli unoszącej się na atramentowoczarным tle. Pojawił się też nowy komunikat:

Misja na Marsa: 80 dni do orbity.

Stacja CNN życzy Antonowi wszystkiego najlepszego.

- O ja cię! - westchnęła i sięgnęła do kieszeni po komórkę.

- Sal? - Maddy odebrała wibrujący w jej dłoniach telefon.

- Poczułaś to? Miałaś zawroty głowy?

- Kilka minut temu złapały mnie nudności. Pomyślałam, że znowu odzywa się moja astma - odpowiedziała Maddy, spoglądając na swój inhalator.

- Myślę... myślę, że to było to.

- Co?... Mówisz o przesunięciu? - Maddy wyprostowała się na krześle.

- Jest jeszcze coś... - Sal się zawahała.

- O co chodzi?

- Na wielkim ekranie...

- Co?

- Widać raketę lecącą na Marsa... chyba.

- Nie ściemniasz? - Maddy niemal rozlała kawę na klawiaturę.

- Właśnie oglądam transmisję na CNN.

Maddy spojrzała na znajdujący się przed nią rząd monitorów. Na pierwszy rzut oka wszystko wydawało się w porządku, nic nie odbiegało od normy. Na jednym z monitorów leciały wiadomości telewizji Fox z nudnawym materiałem o polityce, w stacji MSNBC prezynter pogody właśnie zapowiadał ciepły, słoneczny dzień, na kolejnym ekranie pokazywano najświeższe informacje giełdowe, a w BBC News 24 nadawano gorący materiał o zbliżającym się tournée zespołu Spice Girls i wyprzedaniu wszystkich biletów w ciągu

godziny.

- O mój Boże! - Dziewczynie nagle zapało dech w piersiach.

Przecież ten zespół rozpadł się w latach dziewięćdziesiątych. A tutaj promują swój siódmy album!

- Masz rację Sal, coś się zmieniło.

Niemal fizycznie poczuła, jak na jej barki spada olbrzymia odpowiedzialność. Przypominała sobie motywującą przemowę Fostera. To Maddy musi powiązać koniec z końcem, ułożyć otrzymane dane w spójną całość... „Twoje zadanie, Maddy, to zlokalizować źródło zmiany, dowiedzieć się, skąd pochodzi przesunięcie” - mówił starzec.

Spojrzała na ścianę monitorów, zastanawiając się, jak najlepiej rozpocząć poszukiwania.

- Dzięki, Sal. Oddzwonię do ciebie - odpowiedziała szybko i odłożyła słuchawkę. Pochyliła się nad klawiaturą i otworzyła stronę CNN z bieżącymi informacjami. Znalazła: śnieżący obraz załogi znajdującej się wewnątrz klaustrofobicznego pojazdu zawieszzonego w przestrzeni kosmicznej, Bóg wie, ile setek tysięcy mil nad ziemią. Infografika wskazywała aktualne położenie statku i pozostałą odległość do planety.

Misja na Marsa... to musi być ta największa zmiana.

- Zdecydowanie większa niż tournée Spice Girls - mruknęła do siebie.

W wyszukiwarce Google wpisała frazę „Misja na Marsa” i pobieżnie przejrzała wyniki wyszukiwania. Nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich dni szczęka Maddy mimowolnie opadła. Uruchomiono gigantyczny program lotów kosmicznych współfinansowany przez Chiny, Rosję i Stany Zjednoczone. Na Księżycu wybudowano mały ośrodek badawczy, na geostacjonarnej orbicie Ziemi umieszczono stację kosmiczną. Przed zorganizowaniem pierwszego lotu załogowego na Marsa wysłano tam wiele statków zaopatrzeniowych. Świat - ten świat - miał obsesję na punkcie eksploracji kosmosu, napędzała go chęć dotarcia do

sąsiadujących planet.

Postanowiła poczytać więcej na temat historii programu. W archiwalnych gazetach z 1983 roku znalazła wzmiankę o konferencji Organizacji Narodów Zjednoczonych, na której zdecydowano ufundować „stałą bazę księżycową” i wybudować „platformę misji orbitalnych” na potrzeby „przyszłych projektów planetarnych”. Znalazła też starsze artykuły z 1970 roku dotyczące spotkania na szczycie pomiędzy pierwszym sekretarzem Związku Radzieckiego, Breżniewem a ambasadorem dobrej woli NASA, Johnem F. Kennedym.

Kennedy?

Ponownie spojrzała na nazwisko.

„Nie... to nie może być ten Kennedy. Ten sam, którego zastrzelono? Prezydent?” - myślała gorączkowo.

Nie była prymuską z historii, ale obejrzała wystarczająco dużo filmów i przeczytała wystarczającą liczbę książek, by wiedzieć, że ten facet zginął w latach sześćdziesiątych. Zobaczyła, że na pasku informacyjnym CNN pojawiło się nazwisko Kennedy’ego. Kilka chwil później na ekranie pojawił się stary, bardzo stary i słabowity mężczyzna o śnieżnobiałych włosach.

- Niemożliwe - wyszeptała - to naprawdę on?

Były prezydent i ambasador dobrej woli John F. Kennedy gratuluje załozce odbywającej misję na Marsa i życzy pomyślnego lotu.

Maddy wpatrywała się w twarz starca na ekranie.

- Chwilę, chwilę. Przecież ty jesteś trupem - powiedziała. - Umarłeś wieki temu.

Ale kiedy dokładnie?

Była niemal pewna, że wydarzyło się to w latach sześćdziesiątych. Przypominała

sobie mogliście starą relację telewizyjną - kabriolet, żona prezydenta w różowym kostiumie i siedzący obok niej Kennedy w eleganckim garniturze pozdrawiają tłum gromadzący się przy drodze.

Gdzie to było? Gdzie to było?

Przypomniała sobie ten stary materiał nakręcony z ręki kamerą starego typu...

Głowa prezydenta nagle opada i zostaje odrzucona w tył. Pojawia się obłok krwi. Mężczyzna osuwa się w fotelu. Kobieta, jego żona, wpada w panikę. Krzyczy. To, co zostało z głowy prezydenta spoczywa na jej kolanach. Żona desperacko rozgląda się wokół w poszukiwaniu pomocy. Mężczyźni w czarnych garniturach wchodzą do samochodu. Auto przyspiesza. Tłum na poboczu jest zdezorientowany. Kilka osób pada na ziemię, inni krzyczą wraz z damą w różowym stroju... słysząc płacz.

Nagle ją olśniło.

- Dallas w Teksasie - powiedziała powoli. W wyszukiwarce Google wpisała: „Kennedy+Dallas+zabójstwo”.

W wynikach wyszukiwania wyświetlone zostało tylko jedno łącze zawierające wszystkie trzy słowa. Odnośnik kierował do artykułu z 22 listopada 1963 roku, dotyczącego „próby udaremnionego zamachu na prezydenta”. Kliknęła link, aby wyświetlić artykuł:

...na szóstym piętrze magazynu z podręcznikami szkolnymi z widokiem na Dealey Plaza znaleziono strzelbę kaliber 41. Właściciel broni, Lee Oswald, został tego samego dnia aresztowany w swoim domu. Mężczyzna nie zaprzeczył, że planował zabić głowę państwa podczas wizyty prezydenckiej w Dallas, ale, jak twierdzi, w ostatniej chwili zmienił zdanie. Historię komplikuje pojawienie się w momencie przejazdu kolumny samochodów trzech nieznajomych, którzy według opisu personelu „byli ubrani jak włóczędzy” i nie wiadomo, w jakim celu znaleźli się w budynku...

- Tak! - Maddy uderzyła ręką w stół.

Wiedziała już, dokąd udali się Foster, Liam i Bob.

- Mam was! - krzyknęła triumfalnie.

\*

Dallas, Teksas rok 1963

Patrzyli, jak samochód prezydenta mijając budynek i powoli kieruje się w stronę widocznej w oddali estakady.

- Informacja: kontaminacja czasowa rośnie - zakomunikował Bob beznamiętnym głosem. - Cel misji: usunięcie zaburzeń w czasie.

- W jaki sposób mamy to niby zrobić? - Liam spojrzał na Boba.

- Rekomendacja: zabić Johna F. Kennedy'ego.

- Słucham? - Liam aż się zachłysnął. - Teraz z kolei mamy go zabić?

- Nie tym razem, spokojnie, Liamie - zaprzeczył Foster.

- Rekomendacja: natychmiast zabić Johna F. Kennedy'ego. - W głębokim głosie Boba zabrzmiała nutka uporczywości. Starzec patrzył na oddalającą się z wolną limuzynę.

- Jeszcze nieraz zapragniesz, aby historia potoczyła się inaczej, Liamie - powiedział mężczyzna ze smutkiem w głosie. - Świat „w dole rzeki”, w przyszłości, mógłby być zdecydowanie lepiej urządzony.

- Ale - wtrącił zagubiony Liam - my właśnie zmieniliśmy bieg tej rzeki.

Foster skinął głową.

- Tak, lecz w tym wypadku oś czasu zostanie automatycznie wyprostowana za jakiś



pół minuty.

- Naprawdę? W jaki sposób? - zdziwił się Liam.

Usłyszeli odległy chrzęst broni. Strzał, a zaraz po nim następny.

Liam pochylił się i wystawił głowę przez okno. Wyciągnął szyję, by spojrzeć na drogę. Auto skręciło w lewo, kierując się pod wiadukt. Chłopak dostrzegł cieniutką smugę dymu, unoszącą się sponad drewnianego płotu na szczycie trawiastego wzgórza. Limuzyna prezydencka skręciła gwałtownie. Kobieta na tylnym siedzeniu, ubrana w różowy kostium, przecisnęła się przez fotel i ujęła w ręce głowę męża.

- W tym scenariuszu szkoleniowym pozwalamy osi czasu odchylić się na niecałą minutę - smutno westchnął Foster. - Jak widzicie, w tym wypadku historia dość szybko wraca na właściwe tory. Wielu ludzi wierzyło, że Oswald zabił prezydenta Kennedy'ego bez żadnej pomocy. Ale byli i inni... płatni mordercy gotowi oddać strzał, gdyby Oswald chybił lub stchórzył w ostatnim momencie.

- Informacja: oś czasu wyprostowana - sucho zakomunikował Bob. - Cel misji: powrót i uniknięcie dalszej kontaminacji.

Liam obserwował chaos, jaki zapanował pod oknami: panikę szerzącą się wśród zebranego tłumu i manewry ochroniarzy, którzy próbowali otoczyć limuzynę prezydencką szczelnym kręgiem.

- Czy był dobrym człowiekiem? Dobrym prezydentem?

Foster wzruszył ramionami.

- Według historyków zapowiadał się na wielkiego prezydenta. Niestety, zabrakło mu czasu.

- Szkoda - zasmucił się Liam.

- Szkoda - powtórzył Foster.

- Informacja: wkrótce uruchomione zostanie okno ekstrakcji - zakomunikował Bob, mrużąc oczy, by pobrać dane z wbudowanego komputera. - Zostało dokładnie pięćdziesiąt dziewięć sekund.

- Musimy iść - oznajmił Foster. - Za kilka chwil we wszystkich budynkach na tej ulicy pojawi się mrowie policji i agentów federalnych. - Bob, połóż broń na podłodze - rozkazał jednostce pomocniczej.

Klon położył strzelby na podłodze.

Starzec odszedł od okien na szóstym piętrze.

- Kiedy wracamy, panie Foster? - spytał Liam.

- Lada moment.

- Dokładnie za dziewięć sekund - odpowiedział Bob.

Liam rozejrzał się, ale nigdzie nie dostrzegł dużych cylindrów wody, do których mogliby wejść. Nagle jego twarz smagnął podmuch powietrza. Kilka metrów dalej zauważył niewyraźny, połyskujący obrys okręgu.

- Automatyczna aktywacja portalu powrotnego - oznajmił Bob.

- Pożegnaj się z rokiem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim, Liamie.

Liam po raz ostatni spojrział na magazyn i zakurzone stopy podręczników. Usłyszał jeszcze poruszone głosy kobiet i wypowiedane przez łyzy słowa, dochodzące z niższych pięter.

- Żegnaj, roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty trzeci - powiedział posłusznie i podążył za dwójką towarzyszy. Wstrzymując oddech, zanurzył się w połyskliwym powietrzu.

\*

Nowy Jork rok 2001

Liamem wstrząsnęło okropne, znajome uczucie spadania. Przerażony spodziewał się, że pójdzie prosto na dno słoja z wodą. Wbrew oczekiwaniom, znalazł się jednak w samym środku biura terenowego, a jego stopy uderzyły w twarde i zimny beton.

- Jak to?... Myślałem...? - wymamrotał.

Foster delikatnie klepnął go w plecy.

- Wyruszamy mokrzy, wracamy na sucho. Wyjaśnię ci to przy okazji.

Liam dostrzegł dziewczyny siedzące przy stole. Trzymały w dłoniach czerwono-białe puszki Dr Peppera. Konsumowały ten gazowany napój w obłądnych wprost ilościach. Spontanicznie stuknęły się puszkami, by uczcić powrót chłopców.

- Doskonale wiemy, gdzie się podziewaliście, koledzy! - krzyknęła Maddy. - A to dlatego, że stanowimy duet istnych geniuszy.

- No więc? - Foster rozłożył dłonie.

- Jak się bawiliście w Dallas? - Wyszczrzyła zęby z triumfem.

- Świetna robota! - rzucił z uśmiechem starzec.

- Zgaduję, że wmieszaliście się w zabójstwo Johna F. Kennedy'ego. Uratowaliście go może? A jeśli tak, to od razu musieliście wszystko naprawić. - Nagle posmutniała. - A szkoda, chciałabym kiedyś odbyć misję na Marsa.

- Udało wam się udaremnić zamach i sprawić, aby wydarzył się ponownie... do tego znaleźliście te ohydne ciuchy... a wszystko w niecałą godzinę? - z zainteresowaniem spytała Sal.

Foster już otwierał usta w odpowiedzi.

- W godzinę? - przerwał mu Liam. - Przecież nie byliśmy tam aż tak długo, prawda? Najwyżej dziesięć minut.

Starzec zachichotał.

- Podróżowanie w czasie jest asymetryczne. Załóżmy, że wyślę cię do konkretnego punktu w czasie na pięćdziesiąt lat: dla ciebie upłynie pół wieku... całe życie. Ale osoba, która zostanie na miejscu pożegna młodego chłopca, a kilka minut później powita starca.

Liam pokręcił głową.

- Przenajświętsza Panienko! Od tych wszystkich jazd w czasie boli mnie głowa. W rzeczy samej.

## ROZDZIAŁ 28

Las Bawarski, Niemcy rok 1941

Kramer patrzył na Karla z podziwem. Haas to zawodowy żołnierz, służył w najbardziej elitarnej jednostce świata, później był wysoko opłacanym najemnikiem o nienagannej opinii. W niespokojnym świecie dwa tysiące sześćdziesiątego szóstego roku ludzie pokroju Karla nie mogli opędzić się od pracy. Dlatego też Karl był jednym z pierwszych ochotników porwanych wizją lepszego życia, jaką roztoczył przed nimi Kramer. W imieniu doktora negocjował z zaufanymi najemnikami, którzy również tęsknili za innym miejscem i spokojniejszymi czasami. Świat, który zostawiali za sobą, umierał: dławili go zanieczyszczenia i paraliżował deficyt zasobów naturalnych. Był przeludniony i skazany na zagładę.

Dlaczego nie rzucić tego w diabły?

Karlowi szybko udało się pozyskać ponad dwudziestu zaufanych ludzi. Każdy z nich gotów był uciec z dwudziestego pierwszego wieku, aby na nowo napisać historię wieku dwudziestego. Okazali się świetnymi kandydatami - doświadczonymi i zdyscyplinowanymi. Wszyscy posługiwali się co najmniej dwoma językami, choć na co dzień rozmawiali po angielsku. Większość stanowili Niemcy, było też kilku Holendrów, Norwegów i Brytyjczyków.

Ale... teraz zostało tylko siedemnastu.

„Po drodze straciliśmy już siedmiu” - niepokoił się Kramer.

Nagle Karl bez słowa podniósł rękę i zacisnął dłoń w pięść. Żołnierze zrozumieli sygnał i przykucnęli na śniegu obok dowódcy.

- To nasz cel, sir? - Karl wskazał na drzewa przed nimi.

Kramer wyciągnął głowę, by złapać lepszą perspektywę. Po obu stronach zakręcającej w oddali, zwirowej ścieżki dostrzegł kilka stanowisk strzelniczych obłożonych workami z piaskiem oraz budkę wartowniczą skąpaną w świetle bliźniaczych reflektorów.

- Jesteśmy u celu, Karl - odparł z uśmiechem. - Zimowa kwatery Hitlera! Der Kehlsteinhaus, Orle Gniazdo. Nie wygląda na pilnie strzeżone.

- Znajduje się na końcu drogi, jest zawieszona na szczycie tego stromego wzgórza - mówił Kramer. - Budynku strzeże kilkudziesięciu osobistych ochroniarzy z oddziału gwardii przybocznej Hitlera - Leibstandarte SS. W wyższej partii wzgórza, w odległości kilkuset metrów, znajduje się garnizon SS, w którym stacjonuje czterystu, może pięciuset żołnierzy.

- Zginą za swojego Führera z uśmiechem na ustach - powiedział po krótkiej pauzie, uważnie spoglądając na Karla. - Twoi ludzie muszą działać błyskawicznie, Karl. Sekundę po pierwszym wystrzale uruchomiony zostanie alarm, który postawi na nogi cały garnizon.

Karl spojrział na swoich podkomendnych, którzy bezszelestnie przyczaili się w śniegu i czekali na dalsze rozkazy. Byli doskonale przeszkoleni, na wyposażeniu mieli nowoczesną broń i noktowizory.

Uśmiechnął się.

- Moi ludzie przedostaną się do niego. Nie ma powodu do obaw.

Kramer pozazdrościł mu pewności siebie.

Tylko siedemnastu. Jeżeli podwładnym Karla nie uda się zrealizować zadania, zanim oddziały SS zejdą do bazy Führera, wszystko przepadło.

Siedemnastu przeciwko pięciu setkom?

Mieli co prawda znaczną przewagę w postaci technologii wojskowej z dwa tysiące sześćdziesiątego szóstego roku, ale Kramer zastanawiał się, czy nie żąda od tych ludzi zbyt wiele.

## **ROZDZIAŁ 29**

Nowy Jork rok 2001

- Po co nas tutaj zabrałeś? - spytała Maddy, rozglądając się po głównym holu Muzeum Historii Naturalnej. Pomieszczenie wypełniał tłumek japońskich turystów.

- Ten budynek, te eksponaty, Madelaine, to nasze dziedzictwo - powiedział Foster, wskazując rozpostarty ponad nimi olbrzymi, dominujący nad całą salą, szkielet brachiozaura.

- Tak wygląda prawdziwa historia świata. Wy i inne oddziały terenowe macie za zadanie bronić historii w tym kształcie. - Foster przeniósł wzrok z gigantycznej czaszki na nastolatków.

- Madelaine: analityk, Sal: zwiadowca, Liam: agent operacyjny i Bob: jednostka pomocnicza. Od dzisiaj jesteście prawdziwą drużyną. To muzeum stanowi odbicie historii, która nigdy nie może zostać zmieniona.

Maddy pomyślała, że głos mężczyzny rozbrzmiał odrobinę zbyt głośno, ale ponieważ pozostali zwiedzający prawdopodobnie nie znali angielskiego, nie miało to znaczenia.

- Właśnie dlatego dzisiejsze popołudnie poświęcimy na zwiedzanie muzeum: powinniście poznać historię, której macie bronić, poczuć jej smak i zapach. Teraz zostawię was samych, abyście w spokoju odbyli tę wycieczkę. Widzimy się tutaj, w holu, dokładnie o piątej.

Zgodnie przytaknęli.

- A później zabieram was do knajpy, w której serwują najlepsze żeberka i burgery. Potraktujcie to jak uroczystość, imprezę na zakończenie szkoły.

Ekspozycja dinozaurów zafascynowała Liama. Chłopak nie mógł oderwać wzroku od gigantycznych szkieletów i trójwymiarowych animacji. Wkrótce został sam, dziewczyny i Bob poszli zobaczyć dalsze ekspozycje. Kilka godzin minęło jak z bicza strzelił, Liam postanowił więc wrócić do holu wejściowego i poczekać na pozostałych. W zatłoczonym miejscu co chwila błyskały flesze aparatów, w powietrzu unosiły się szepty rodzinnych konwersacji, krzyki nadmiernie podekscytowanych dzieci, kwilenie niemowląt.

Po raz kolejny Liam poczuł ogromną wdzięczność do Fostera za wyrwanie go z gardła tonącego Titanica i uratowanie przed najgorszą z możliwych śmierci. W ostatnich dniach stracił poczucie czasu, nie pamiętał, jak długo tu są. Uświadomił sobie, że musi być najszczęśliwszą osobą urodzoną w dziewiętnastym wieku - ma przywilej oglądania zdarzeń, które rozgrywały się ponad sto lat po jego narodzinach. A ile jeszcze zdąży zobaczyć! Uśmiechnął się niemądrze; jak dziecko, które siedzi pod choinką i odpakuje wysniony prezent.

Zauważył, że obok masywnych drzwi wejściowych kłębi się spory tłum. Ludzie

wydawali wahać się przed wyjściem na zewnątrz. Liam z zaciekawieniem podążył w stronę zbiegowiska.

Na postumencie leżała wielka, oprawiona w skórę księga. Mosiężna lampka do czytania rzucała światło na otwarte stronicę. Tuż obok stał na baczność stary ochroniarz o rumianej twarzy zwieńczonej grubymi, krzaczastymi brwiami; zza jednej z nich wystawał dziwny pieprzyk w kształcie serca.

- Księga gości! - warknął strażnik, widząc ciekawskie spojrzenie Liama. - Możesz złożyć wpis i umieścić komentarz - dodał niechętnie. - Tylko schludnie!

Liam spojrział na gryzmoły i podpisy zostawione przez setki gości różnych narodowości.

- Schludnie?

Ochroniarz groźnie zacharczał.

- Ja was wszystkich doskonale znam, nastoletnie nicponie.

Chłopak poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Odwrócił się i zobaczył Maddy.

- Księga gości - wyjaśnił.

- Tak... wiem. Byłam tu kiedyś na wycieczce szkolnej i napisałam sprośny wierszyk - zachichotała.

Strażnik spojrział na nią wilkiem, marszcząc bujne, posiwiałe brwi, jakby rzeczywiście właśnie przypomniał sobie ten wierszyk.

- W dalszym ciągu je archiwizujecie? - spytała Maddy.

- Owszem - odpowiedział chłodno. - Wszystkie księgi gości przechowywane są w piwnicy. Robimy tak od początku poprzedniego stulecia. Wpisy z ostatnich stu lat - oznajmił



z dumą. - Nie wszystkie to „sprośne wierszyki”.

- Przepraszam - ze skruchą szepnęła Maddy.

Ale ochroniarz był już zajęty wskazywaniem drogi do toalety innym gościom.

- Dawaj, Liamie, dlaczego się nie wpiszesz?

- Hmm... czy nie zmienię w ten sposób historii? - spytał niepewnie.

- Naprawdę nie sędzę.

Chłopak ostrożnie ujął w dłoń długopis przyczepiony łańcuchem do blatu.

Liam O'Connor, 10 września 2001 roku - dinozaury są świetne.

- Tylko tyle? - zdziwiła się Maddy.

- Wolę nie kusić losu. - Wzruszył ramionami.

Dziewczyna pokręciła głową i lekko parsknęła.

- Proszę, proszę... są i pozostali.

Liam podążył za nią przez hol, kątem oka po raz ostatni zerkając na księgę.

„A więc zostawiłem swój ślad w historii” - pomyślał.

Jeśli z jakiegokolwiek przyczyny jutro pożegna się z życiem, jako dowód jego istnienia zostanie przynajmniej ta jedna, nabazgrana linijka.

- Świetna robota! - powiedział Foster, stukając kuflem z piwem o kufel Liama i szklanki dziewczyn z Dr Pepperem.

Bob obserwował rytuał z zaciekawieniem na twarzy, po czym uniósł pustą szklankę i ostrożnie puknął nią w szklankę obok.

- Wszyscy spisaliście się znakomicie - dodał starzec i wziął spory łyk spienionego, zimnego piwa. Wytarł usta, bacznie rozejrzał się po zatłoczonej restauracji i zniżył głos: - Wszyscy widzieliście już, jak to działa. Czy rozumiecie, jaka jest wasza funkcja w drużynie?

Maddy i Sal przytaknęły.

- Ja tam zbyt wiele nie miałem do roboty, panie Foster. - Liam wzruszył ramionami.

- Zgadza się, nie tym razem. Ale w przyszłości będziesz miał więcej obowiązków. Agencja traktuje zamach na prezydenta Kennedy'ego jak standardową misję szkoleniową. To jedynie małe zakrzywienie historii, które automatycznie się prostuje. Sukces prawdziwej misji będzie zależał od działań twoich i jednostki pomocniczej. - Mężczyzna spojrzął na Boba, który pilnie badał naturę noża do steków.

- Ale czy będę wiedział, co należy zrobić?

- Bez wątplenia. Bo jesteś nie w ciemni bitym młodzieńcem - powiedział Foster, ojcowskim gestem kładąc dłoń na ramieniu chłopca. - Wykazujesz inicjatywę, jesteś sprytny, a tego nie można od tak wytrenować.

- Hmm... dziękuję - skromnie odpowiedział Liam.

- A ty co o tym myślisz, Bob?

Klon podniósł wzrok sponad noża do steków.

- Agent Liam O'Connor jest... dobry.

- Sam widzisz, chyba cię lubi.

- Dzięki, Bob. - Liam się uśmiechnął.

Foster odwrócił się do Maddy i Sal.

- Natomiast wy dwie... poradziłyście sobie bardzo dobrze.

Zadowolone z siebie dziewczyny wyszczerzyły zęby.

- Ale to ćwiczenie to dopiero początek.

Do stolika podeszła kelnerka z tacą pełną talerzy, gotowa rozdać je sprawnie jak talię kart.

- Dla kogo żeberka?

- Jestem głodny jak wilk - odpowiedział Liam, unosząc dłoń.

- Sałatka?

Dłoń Sal wystrzeliła w górę.

- Burgery?

Zgłosili się Foster i Maddy.

- Przepraszam, a pan coś zamawiał? - zmieszana kelnerka spojrzała na Boba.

Bob utkwiał w niej swoje przesywające stalowe oczy.

- Nie jem ludzkiego pokarmu, jeśli nie jest to niezbędne podczas misji - wyjaśnił oschle.

- Słucham? - spytała zdziwiona kelnerka.

- Ależ proszę się nim nie przejmować - sytuację ratował Foster. - Kolega po prostu nie

może jeść na służbie.

Kobieta nieśmiało uśmiechnęła się do Boba, rzucając okiem na rysujące się pod koszulką mięśnie.

- Może w takim razie jesteś gliniarzem w przebraniu? - spytała zalotnie.

- Liamie O'Connor, wyjaśnij proszę znaczenie terminu „gliniarz”.

- Mnie pytasz? - skrzywił się Liam.

- Gliniarz to slangowy termin oznaczający funkcjonariusza policji - wyjaśnił Foster.

- Rozumiem. - Bob powoli skinął głową i przymknął oczy. - Zapisuję ten termin na przyszłość.

Zdumiony wzrok kelnerki błędził pomiędzy Bobem a Fosterem.

- Wy chyba nie jesteście stąd chłopaki, co?

Maddy właśnie skończyła przeżuwać pierwszy kęs burgera.

- Niech pani nie zawraca sobie nimi głowy. To Kanadyjczycy.

## **ROZDZIAŁ 30**

Berghof - zimowa kwatera Hitlera rok 1941

Kramer schronił się za małym, drewnianym biurkiem. W twarz żądliły go drzazgi i odłamki, rozpryskiwane na lewo i prawo przez pociski lecące z drugiego końca korytarza. Strumień przekleństw utonął wśród ogłuszającego terkotu karabinów maszynowych wypełniającego korytarz. Na jego końcu zabarykadowało się kilku żołnierzy z oddziału SS

Leibstandarte, broniąc dostępu do drzwi prowadzących do die Grosse Halle, sali reprezentacyjnej w zimowej kwaterze Hitlera. Karl i najemnicy odpowiedzieli ogniem. Strzały zasypały przewrócony do góry nogami, marmurowy stół, za którym przyczaili się stawiający zaciekły opór żołnierze SS. Nad idealnie niegdyś gładkim blatem, w który teraz wrzynały się kule, wzbijały się kłęby pyłu z roztrzaskanego marmuru.

- Musimy ruszać, Karl! Posiłki pojawią się lada moment!

Haas przytaknął. Aż za dobrze rozumiał sytuację.

Początkowo akcja przebiegała dość gładko. Karl wraz z podwładnymi bezszelestnie przemknęli obok stanowisk karabinowych ustawionych po obu stronach zakręcającej drogi i pokonali kawałek stromego zbocza, zbliżając się do górskiej siedziby Hitlera. Ale cały plan wziął w łeb, gdy jeden z wartowników spostrzegł napastników dobiegających do głównego wejścia budynku. Zdołał oddać jeden wystrzał, zanim Dieter zatopił ostrze w jego gardle. Gwardziści, osobiście wyselekcjonowani przez Hitlera, zareagowali wyjątkowo szybko - pozwolili przywódcy ukryć się za masywnymi, podwójnymi drzwiami, a sami przyjęli bezpieczne pozycje obronne w korytarzu. Strażnicy w budynku zostali szybko i bezlitośnie wystrzelani przez ludzi Karla, jeden po drugim. Do pokonania została tylko garstka tych upartych szwabów na końcu korytarza. Misja utknęła w martwym punkcie, a czas zdecydowanie działał na niekorzyść atakujących. Na zewnątrz rezydencji, w oddali, wył alarm - żołnierze ze stacjonującego w pobliżu garnizonu z pewnością poderwali się już na nogi i biegli na odsiecz. Szanse pięciu ludzi Karla, którzy strzegli głównego wejścia do rezydencji, wydawały się porównywalne z prawdopodobieństwem utrzymania dolnego piętra w muzeum. Pokonanie ich pozostawało kwestią czasu.

Choć Kramer nie był żołnierzem, rozumiał, że ta ostatnia przeszkoda może okazać się nie do obejścia. Jeżeli pozostaną w tym klinczu jeszcze minutę lub dwie dłużej, wszystko pójdzie na marne. Zostaną błyskawicznie rozgromieni przez setki żołnierzy i nie pomogą im nawet nowoczesne karabiny pulsacyjne i elitarne szkolenie.

„Zginiemy, jeśli szybko nie sprzątniemy tych gwardzistów” - przemknęło doktorowi przez myśl.

Spojrzał na przykucniętego po drugiej stronie korytarza Karla. Spotkali się wzrokiem. Dowódca skinął głową, rozumiejąc Kramera bez słów. Z delikatnym uśmiechem, załadował nowy magazynek i przygotował karabin pulsacyjny do wystrzału. Najemnicy w lot pojęli ten niewypowiedziany rozkaz i szybko przeładowali karabiny, szykując się do szaleńczego sprintu przez korytarz pod gradem pocisków. Karl pokrzepił towarzyszy beztróskim uśmiechem, sugerującym, że albo zwyciężą, albo umrą jak bohaterowie i rozpoczął odliczanie, bezgłośnie poruszając ustami.

Pięć... cztery... trzy... dwa... jeden...

Jak jeden mąż wyskoczyli z bezpiecznych pozycji i wypuścili lawinę szybkich, niszczycielskich pocisków wymierzonych w masywny stół, nad którym od razu uniosła się zamieć odprysków i marmurowego pyłu.

Biegli, nie przerywając ostrzału. Dziesięć metrów, pięć...

Kramer biegł tuż za nimi, rycząc na całe gardło jak opętany. Karl pierwszy dobiegł do przewróconego stołu i uderzył w niego całym impetem. Sprawnie przełożył lufę karabinu nad górną krawędzią i z najbliższej odległości zalał ogniem kryjących się za stołem gwardzistów. Długą serię zakończył groteskowy klekot broni, w której wyczerpała się amunicja.

Po chwili dobiegli do niego Rudy i Sven i opróżnili swoje magazynki, ostrzeliwując na oślep przestrzeń ponad stołem.

Nagle w korytarzu zapanowała grobowa cisza.

Kurz powoli opadał. Kramer ostrożnie wyjrzał ponad stół - na posadzce leżały zwłoki, gmatwanina spalonego mięsa, rozłupanych kości i strzępów czarnych mundurów galowych.

Grube mury rezydencji tłumili dochodzący z podwórza terkot karabinów maszynowych.

„Żołnierze z garnizonu są już prawie na miejscu. Kończy nam się czas” - przemknęło przez myśl Karlowi.

Wdrapał się na stół, wymierzył mocnego kopniaka w podwójne dębowe drzwi, które zatrzeszczały w zawiasach i otworzyły się do środka. Wszedł do sali. Odgłos pojedynczego wystrzału przetoczył się echem po wielkim pomieszczeniu - pocisk przeleciał tuż nad głową Karla i wbił się w dębowe drzwi, odrywając samotny odłamek drewna. Rudy, idący tuż za swoim dowódcą, chwycił za karabin i władował pół magazynka w korpulentnego generała Wehrmachtu - siła uderzenia odrzuciła mężczyznę na długi stół bankietowy pokryty mapami oraz rozrzuconymi stronicami raportów wywiadu donoszącego o rozmieszczeniu wojsk. Generał stoczył się ze stołu i z hukiem uderzył w podłogę. Kramer wszedł do pokoju, uważnie przyglądając się spoconym ze strachu twarzom oficerów, którzy kryli się za fotelami i stolikami do kawy. Generałowie i feldmarszałkowie, których mundury zdobiły złote epolety i niezliczona liczba medali przypiętych do piersi, wyglądali teraz jak gromadka przestraszonych uczniów. Wzrok doktora spoczął w końcu na roztrzęsionym mężczyźnie w jasnobrązowym mundurze. Czarna, opadająca na jedno oko, grzywka i charakterystyczny wąsik nie pozostawiały wątpliwości.

Tego mężczyzny szukali.

Hitler czołgał się po podłodze z niepozornym pistoletem w trzęsącej się dłoni. Odgłosy strzelaniny przed wejściem do Berghofu przybierały na sile. Kramer postąpił krok naprzód.

- Adolfie Hitlerze! - zaczął z nienagannym niemiecki akcentem. - Atak na Rosję, który ma nastąpić za kilka tygodni doprowadzi do klęski w całej wojnie.

Hitler wytrzeszczył oczy, jego wargi zadrżały, ale nie odezwał się słowem.

- Jeżeli chcesz wygrać tę wojnę, uzyskać dostęp do tajnych informacji wywiadowczych na temat działań wroga, jeśli marzysz o skonstruowaniu broni, która uczyni cię niezwyciężonym... - Kiwnął głową w stronę korytarza i wzbierającej kanonady -...powinieneś odwołać swoich ludzi na zewnątrz i bardzo uważnie mnie wysłuchać.

## ROZDZIAŁ 31

Nowy Jork rok 2001

Maddy szła obok Fostera, gdy w drodze powrotnej na Brooklyn ponownie przekraczali zawieszony nad rzeką Hudson most Williamsburg. Neony miasta magicznie tańczyły odbite na ciemnej powierzchni wody.

- To naprawdę piękne miasto - zauważyła dziewczyna.

Foster przytaknął.

- Dzisiejszy wieczór jest wyjątkowy - powiedział. - Zawsze myślę o nim jak o ostatnim wieczorze „starego” Nowego Jorku. Gdy nadlecą te dwa samoloty, wszystko ulegnie zmianie.

Przez chwilę maszerowali w milczeniu, patrząc na idących przodem pozostałych członków drużyny. Sal i Liam droczyli się z Bobem, śmiejąc się ze sztywnej, nienaturalnej manieri jego mowy. Maddy pomyślała, że nie ma w tym nic złego. Bob musi brzmieć jak człowiek, jeśli ma pozostać niezauważony, szczególnie podczas realizowanych z Liamem misji w przeszłości... Zauważyła, że starzec wygląda na odrobinę słabszego niż w czasie, gdy wyciągał ją ze spadającego samolotu. Nie sypiał prawie w ogóle. Niemal każdej nocy, kiedy już wszyscy mościli się wygodnie na swoich łózkach polowych, słyszała dźwięk otwieranych drzwi wejściowych.

- Dokąd wychodzisz wieczorami?

Mężczyzna spojrzał na nią z zaskoczeniem.

- Słyszałam, jak się wymykasz. - Wzruszyła ramionami.

- Spaceruję po Brooklynie - odparł z uśmiechem. - Oczyszczam w ten sposób umysł.



Świeże powietrze świetnie na mnie wpływa.

Przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu.

- Wszystko w porządku, Foster? - spytała.

Mężczyzna nie spieszył się z odpowiedzią.

- A więc zauważyłaś - powiedział w końcu.

- Nie jestem pewien, co masz na myśli.

- Że umieram - wyszeptał.

- Co?

- Sądzę, że i tak wkrótce byś się domyśliła. - Spojrzał na nią uważnie.

- Ale ja tylko myślałam, że nie wyglądasz najlepiej, to wszystko.

- Bardzo to miło z twojej strony. - Uśmiechnął się ponownie. - Ale ja naprawdę umieram... i to bardzo szybko.

- Co... co ci dolega? Potrzebujesz pomocy lekarza?

- Nie, żaden doktor tu nie pomoże. - Potrząsnął głową. - Jest coś, o czym musisz wiedzieć, Maddy - powiedział, chwytając ją za ramię. - Ale pod żadnym pozorem nie możesz tego zdradzić pozostałym, a już na pewno nie Liamowi.

- Czego?

Foster wziął głęboki oddech.

- To zabija.

- Co zabija?

- Jazda w czasie - odpowiedział. - Podróże w przeszłość. Zmiany narastają stopniowo, początkowo są niemal niezauważalne. Ale częste i dalekie wyprawy do przeszłości wyniszczą organizm Liama. Komórki jego ciała będą ulegały stopniowej erozji, a on przedwcześnie się zestarzeje.

Dziewczyna spojrzała na niego z niepokojem.

- Tak... zaczniesz się starzeć. Na początku będzie to praktycznie niezauważalne. Ale im bliżej końca, gdy już proces rozkładu osiągnie określony poziom, proces starzenia zacznie postępować błyskawicznie.

Przyszła jej do głowy pewna myśl - pytanie, którego nie chciałaby zadawać. Wiedziała jednak, że to konieczne.

- Foster, mogę spytać...?

- Chcesz wiedzieć, ile naprawdę mam lat?

Przytaknęła.

Starzec smutno potrząsnął głową. W głębokiej, pomarszczonej bruzdzie pod okiem zaśniła łza.

- Byłem dość młody, kiedy odbyłem swoją pierwszą podróż.

- A teraz?

- Po dodaniu wszystkich poniedziałków i wtorków, które odsłużyłem w biurze terenowym - odpowiedział, gładząc śnieżnobiałe włosy - wyjdzie na to, że mam około dwudziestu siedmiu lat.

- O Jezu! - Maddy zakryła twarz dłonią, by nie krzyknąć.

Foster uśmiechnął się gorzko.

- Jestem tylko dziesięć lat starszy od ciebie i choć wciąż czuję się młodo, stałem się starcem - mówił, ścisząc głos, w którym pobrzmiwały nutki żalu, a nawet goryczy. - On nie może się o tym dowiedzieć, Maddy - dodał. - Jeszcze nie teraz... nie jest gotowy.

- Ale to nie w porządku, że nie wie, jaki wpływ na jego ciało ma jazda w czasie!

Foster położył palec na ustach. Jej głos mógł przebić się przez hałas na moście i dotrzeć do uszu chłopca.

- Liam nie ma wyboru, Madelaine. Albo podróże w czasie, albo powrót na Titanica. W ten sposób zyska przynajmniej siedem, może osiem lat życia.

- A jeśli odejdzie? Jeżeli zdecyduje się opuścić to miejsce i nigdy nie wrócić?

- Nie może tego zrobić, przyniosłoby to jedynie kłopoty.

- To takie... - jej głos przybrał ostrzejszy ton - to takie niesprawiedliwe.

Starzec ze smutkiem wzruszył ramionami.

- Samo życie jest niesprawiedliwe. Staramy się wykorzystać je na tyle, na ile pozwala nam los, Maddy. Liam dostał w prezencie kilka dodatkowych lat. Pomyśl o wszystkich niesamowitych rzeczach, które w tym czasie zobaczy. A co ze wspaniałościami, które już widział? Przecież to młody chłopak urodzony w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym roku, który patrzył na Nowy Jork dwudziestego pierwszego wieku, delektując się przy tym cheeseburgerami, frytkami, lodami i napojami gazowanymi z lodem. Nie sądzisz, że Juliusz Verne lub Herbert G. Wells oddaliby wszystko, żeby zamienić się miejscami z Liamem? Nawet na kilka minut, tylko po to, by rzucić wzrokiem na współczesny świat.

- Ale to i tak niesprawiedliwe, że nie może się o tym dowiedzieć - upierała się Maddy.

- Być może dla niego samego lepiej będzie, jeśli na razie zataimy prawdę - odrzekł Foster, spoglądając na dziewczynę. - Po moim odejściu, kiedy już zostaniesz przywódcą drużyny, to ty podejmiesz decyzję, kiedy Liam dowie się o wszystkim.

Przygryzła wargę i ze smutkiem spojrzała na Sal i Liama, którzy chichotali i wydurniali się kosztem Boba.

Biedny Liam... biedny Liam.

- Obaj gadacie tak... niedorzecznie - powiedziała Sal, naciągając na głowę kaptur. - Istna rewia dziwadeł. Zupełnie jak bohaterowie jakiegoś starego, czarno-białego filmu.

Liam popatrzył na nią ze złością.

- Co też masz na myśli? Czy nie mówię jak wszyscy inni na ulicy?

Dziewczyna potrząsnęła głową i zaśmiała się.

- Nie. Mówisz ze śmiesznym irlandzkim akcentem...

- Jestem z Corku, tak się u nas mówi - bronił się chłopak. - Zresztą twój indyjski akcent też mnie śmieszy. Niemalże jak walijski.

Sal ponownie wybuchnęła śmiechem.

- Bob! - Delikatnie dziobnęła jednostkę pomocniczą w żebra. - Odegraj rolę Liama.

- Czy chcesz, abym replikował wzorzec mowy Liama O'Connora?

- Noo, tak. Dalej!

Bob błyskawicznie zatrzepotał powiekami, pobierając dane z małego procesora w głowie.

- Moja godność to Liam O'Connor, w rzeczy samej... I przybyłem do państwa z Corku w Irlandii, nie inaczej - wyrecytował Bob z obojętnym wyrazem twarzy.

- Uroczo! - zachichotała Sal.

- Arggh! Nie dworuj sobie ze mnie, Sal. Czekaj, czekaj! - Liam podejrzliwie zmrużył oczy. - Czy ty go przypadkiem tego nie nauczyłaś?

Przytaknęła, zaciskając usta.

- Potwierdzam - sucho oznajmił Bob. - Sal Vikram nauczyła mnie, jak replikować wzorzec mowy Liama O'Connora.

Liam pokręcił głową z dobrodusznym politowaniem.

- Cóż, przynajmniej nie ubieram się jak żebrak na karnawał, nie noszę porwanych ubrań i nie smaruję koszul pomarańczową farbą.

- Słucham? - Sal z niepokojem spojrzała na neonowe logo naklejone na bluzie z kapturem. - Ach, to... To tylko logo kapeli rockowej: Ess-Zed.

- Kapeli rockowej?

- Bhangrrockowej... moi rodzice nie znoszą tej muzyki. Mówią, że jest zbyt zachodnia, zbyt amerykańska.

- Aha! - grzecznie skomentował Liam, nie do końca rozumiejąc, co plecie Sal.

- A są dziesięć razy lepsi niż amerykańskie zespoły... tysiąc razy mroczniejsi, a poza tym dodają hip-hopowe układy taneczne i rapują.

„Hip-hopowe układy taneczne?” - Liam zmarszczył brwi.

- Taneczne?... Aha! Mówisz więc o jakimś rodzaju muzyki?

Sal spojrzała na niego z mieszaniną sympatii i zdumienia.

Chłopak uśmiechnął się i wyszczerzył zęby.

- Słuchaj, ja też uwielbiam muzykę. Kocham orkiestry dęte i kapele wojskowe. Uwierz mi, przy takiej muzyce można radośnie podskakiwać. W moich okolicach popularne są też melodie ludowe. Czy kiedykolwiek słyszałeś o The Galway Races? Molly Malone? The Jolly Beggarman?

Patrzyła niego w osłupieniu.

- Nie? To niemożliwe. - Wzruszył ramionami. - No cóż... to piosnki, przy których można tańczyć do upadłego. Są jeszcze...

Sal udawała, że uważnie słucha paplaniny o salach tanecznych w Corku, skrycie rozkoszując się manierą chłopaka, który gadał jak chodzący antyk, jak pełen osobliwego uroku dżentelmen starej daty z poprzedniego stulecia - zupełnie inaczej niż chłopcy z jej epoki. Droczyła się z nim, choć uwielbiała nietypową barwę jego akcentu.

„Tworzymy bardzo dziwną grupę” - pomyślała z uśmiechem. - „Jak jakaś pokręcona rodzinka.”

Po raz pierwszy od swojej „śmierci”, odkąd została wyrwana z doskonale znanego jej życia i świata, poczuła się niemal... niemal szczęśliwa. W jej głowie pojawiła się dziwna myśl - to mógłby być jej nowy dom, nowe życie, do którego postara się przywyknąć.

Popatrzyła na poświatę unoszącą się nad Manhattanem, zadowolona, że ich biuro terenowe jest właśnie tutaj... w tym miejscu i w tym czasie. Pomyślała, że jest prawdziwą wybranką, ponieważ może mieszkać w Nowym Jorku złotego wieku, zanim światem wstrząsnęły głębokie przemiany: globalny kryzys, recesja i długi spadek po równi pochyłej. Na wieczornym niebie, nad ich głowami zawisły kłęby gęstych chmur, skąpane w bursztynowej poświacie roztaczającego się pod nimi miasta.

Czerwone niebo nocą... żeglarza rozkoszą.

Zapowiadało się na deszcz.

Delikatny podmuch wiatru dotknął nagiej skóry przedramion i na krótką chwilę przykleił grzywkę do oczu dziewczyny. Szemrzący wietrzyk zdawał się szeptać do uszu obietnicę czegoś więcej niż tylko deszczu.

„Nadciąga burza, Sal... Czy ją słyszysz?” - przemknęło jej przez myśl.

## ROZDZIAŁ 32

Nowy Jork rok 2001

12. lub 13. wtorek (tracę rachubę)

Jest wtorek rano. Wtorki to „smutne” dni. W przeciwieństwie do „wesołych” poniedziałków. Nie znoszę pełnych rozpaczy wtorków - płonące Bliźniacze Wieże, płacz, strach... przerażające gruzowisko i powietrze gęste od pyłu i skrawków papieru.

Wolałabym wtedy w ogóle nie wychodzić, zostać w bazie. Ale Foster twierdzi, że ważne jest, abym idealnie poznała dwa oblicza Nowego Jorku - „przed” i „po”.

Jeszcze wcześniej. Siódma rano. Zawsze budzę się pierwsza. Pozostali śpią w najlepsze. Maddy chrapie na materacu poniżej. Liam skomle jak szczeniak.

Sal otworzyła oczy. W bazie panowała całkowita cisza. Foster spał na starej sofie obok wnęki kuchennej, niespokojnie wierząc się pod kołdrą. A Bob... Bob odpoczywał w jednej z próbowek porodowych na zapleczu. Zastanawiała się, o czym może śnić, jeśli w ogóle miewa jakieś sny. Zamknęła dziennik, usiadła, pod kocem wciągnęła na siebie ubranie i po cichu zwlokła się z łóżka. Chwyciła leżący obok dolnego materaca worek z brudnymi

ubraniami i podeszła do stołu kuchennego. Wspólnie ustalili, że co drugi wtorek rano będą oddawali szczupły zapas ubrań do pralni, aby odebrać je wieczorem.

Otworzyła lodówkę.

Zabrakło mleka.

Ktoś opróżnił ostatni karton i nic nie powiedział. Pokręciła głową i westchnęła jak zatroskana matka.

Bez niej zagłodziliby się na śmierć.

Zatrzyma się w sklepie całodobowym, gdzie kupi półtłuste mleko, kilka bajgli i kolejną paczkę płatków ryżowych, bo Liam zapalał do nich bezwarunkową miłością i od jakiegoś już czasu pochłaniał miskę za miską.

Nacisnęła czerwony przycisk. Roleta podniosła się z cichym stukotem, wpuszczając do pomieszczenia powiew zimnego, nowojorskiego poranka. Wzięła głęboki oddech i spojrzała na czyste, błękitne niebo. Czeka nas cudowny, słoneczny dzień... jak zwykle.

Sal zostawiła pranie u przemiłej, starej Chinki, pracownicy pralni. Była to gadatliwa staruszka, którą dziewczyna zdążyła już całkiem dobrze poznać - zawsze, mieszaniną angielskiego i kantońskiego, z dumą opowiadała o swoim bratanku, który „do pracy wkłada drogie, eleganckie garniury”. Oczywiście Sal niezmiennie witały te same słowa, jakby Chinka po raz pierwszy w życiu widziała dziewczynę. Z perspektywy Chinki rzeczywiście tak było, ale Sal za każdym razem grzecznie kierowała te krótkie pogawędki w inną stronę, uzyskując coraz to nowsze informacje o samej kobiecie i jej rodzinie.

Dziewczyna szła przez most w stronę Manhattanu, ciesząc się ciepłymi promieniami słońca i obserwując gęstniejący ruch uliczny. Przyjemne zapachy mieszały się z miejskim odorem, ale to nic w porównaniu z centrum Mumbaju, szczególnie podczas dni z wysokim stężeniem smogu. We wschodniej części dolnego Manhattanu do jej nozdrzy dotarł gryzący zapach spalin, na który nakładał się aromatyczny zapach świeżo zmielonej kawy i przed chwilą wyjętych z piekarnika bajgli unoszący się ponad kawiarniami i fast foodami, które



mijała, idąc przez Broadway na Times Square.

„Wtorki zawsze zaczynają się wspaniale” - zauważyła ze smutkiem. Nie można było wyobrazić sobie cudowniejszego poranka. Spojrzała na zegarek.

Ósma trzydzieści dwie rano.

Dzień będzie piękny przez kolejne trzynaście minut. Sal westchnęła ze smutkiem. Później rozpocznie się koszmar jedenastego września. Weszła na zatłoczony plac Times Square i jak zwykle usiadła na tej samej ławce obok kosza na śmieci. Obserwowała zakorkowane skrzyżowanie pełne posuwających się w ślimaczym tempie samochodów i tłum ludzi spieszących do pracy: mężczyzn, którzy z powodu upału rozluźnili już krawaty i przewiesili przez ręce marynarki, oraz kobiet odzianych w szykowne, letnie bluzeczki i lniane kostiumy.

Ósma trzydzieści cztery. Jedenaście minut.

Nad placem górowała wielka, zielona paszcza Shreka, spoglądającego na Osła z tym samym co zawsze zdziwieniem i irytacją. Przyglądała się reklamie filmu i innym billboardom - wydawały się jej znajome; jak stare, nieaktualne plakaty w pokoju, na których miejscu już od dawna powinno wisieć coś innego.

Ósma trzydzieści siedem rano. Osiem minut.

Obok ławki, jak zawsze o tej godzinie, przeszedł bezdomny pchający przed sobą wózek sklepowy, w którym piętrzyły się kartonowe pudła przykryte brezentem. Obdarzył Sal grzecznym uśmiechem i - jak zwykle - zabrał się do przeszukiwania kosza na śmieci, z którego wygrzebał niedojedzonego McMuffina z kiełbasą. Usiadł obok niej - na poznaczonej śladami po ospie twarzy pojawił się jeden z ostatnich dzisiaj uśmiechów w Nowym Jorku - i powiedział to samo, co zawsze:

- Farciarz ze mnie... Jeszcze ciepła! - Ze smakiem wgryzł się w zdobyczną kanapkę.

Sal odpowiedziała grzecznym uśmiechem.

- Cieszę się - powiedziała. Nie była to żadna kurtuazja. Doskonale знаła najbliższe kilka godzin i wiedziała, że to ostatni, ulotny moment radości tego dnia - bezdomny kloszard z wdzięcznością przeżuwał wyrzuconą bułkę z kiełbasą.

Ósma czterdzieści trzy. Dwie minuty.

Jej wzrok powędrował ponad horyzont, na rysujące się w oddali wierzchołki World Trade Center, lśniące w porannym świetle niczym wypolerowane srebro. Dostojne konstrukcje, które zdawały się sięgać samego nieba, dotykać go niemal. A w środku... tysiące ludzi, którzy przed zabraniem się do pracy, otworzą jeszcze skrzynki pocztowe z wiadomościami e-mail, zdejmą pokrywki z plastikowych kubków Starbucksa, wyjmą bajgle z musztardą i bekonem.

Ósma czterdzieści cztery. Minuta.

Bezdomny skończył śniadanie i zamląkał z zadowoleniem. Odwrócił się do Sal i zaczerpnął powietrza, by znowu wypowiedzieć to samo zdanie: „To będzie cholernie piękny dzień, nie?”.

- Tak - przytaknęła. - Piękny.

Kloszard podniósł się z ławki i popchnął wózek przed siebie, wesoło przy tym pogwizdując.

Ósma czterdzieści pięć. Kilka sekund do katastrofy.

Sal nienawidziła tych ostatnich momentów odliczania. Zacznie się od odległego warkotu silnika samolotowego, chwilę później wybuchną pełne niedowierzania krzyki pieszych, a wszystko zakończy huk i grzmot wywołane uderzeniem samolotu.

Przechodziła to już co najmniej kilkanaście razy. I jeden Bóg raczy wiedzieć, ile jeszcze razy będzie musiała oglądać tę scenę - setki, tysiące? Sal zastanawiała się, czy kiedykolwiek odliczanie tych ostatnich kilkunastu sekund stanie się dla niej łatwiejsze.

Zamknęła oczy. Foster na pewno by tego nie pochwalił, ale jeszcze tyle razy miała zmusić się do obserwowania tej sceny.

Już słyszała samolot.

Chwilę później to poczuła: obezwładniające poczucie utraty równowagi, spadania - jakby ziemia pod jej stopami rozstała się na kilka sekund.

Otworzyła oczy, spojrzała w górę i... zapało jej dech w piersiach.

Maddy patrzyła na rząd monitorów, ściskając w dłoniach parujący kubek kawy - czarnej kawy, bo ktoś wypił ostatni karton mleka i nie zostawił na śniadanie nawet kropli - i czekała na pojawienie się paska informacyjnego z pierwszą wiadomością o „eksplozji” w World Trade Center.

Spojrzała na zegar w komputerze. Była ósma czterdzieści pięć.

Już czas.

Zegar wskazał ósmą czterdzieści sześć rano.

Dobra, stało się.

- Hmm - chrząknęła, szukając wzrokiem reszty drużyny. Zaspany Liam leżał na łóżku, czytając czasopismo „National Geographic”, które znalazł gdzieś w bazie. Foster, wyglądający na osłabionego i chorego, spał mocno na kanapie. Bob nie wyszedł jeszcze z cylindra i dożylnie przyjmował pokarm w postaci obrzydliwej papki.

- Aaj taam... - westchnęła Maddy. Tylko na tyle stać ją było w tym momencie.

Oszołomiona Sal patrzyła teraz na zupełnie inny świat. Shrek i Osioł zniknęli. Plakaty Mamma Mia i Planety Małe również. Zauważyła, że inaczej wygląda też kilka innych budynków. Ale najbardziej szokujące było zniknięcie bliźniaczych wież - na ich miejscu stała

nie tak wysoka, choć równie imponująca, gigantyczna, marmurowa kolumna zwieńczona ogromnym, czerwonym sztandarem. Sal spojrzała na ulicę, która wyglądała teraz zdecydowanie mniej chaotycznie: na budynkach nie wisiało już zatrzęsienie bill boardów, witryny sklepowe wyglądały schludniej, mniej krzykliwe, bardziej ekskluzywnie. Na ulicach nie tłoczyły się już auta, a te, które widziała, wyglądały dziwnie staromodnie i przypominały jej stare automobile z muzeum transportu. Po chodnikach spacerowało dużo mniej przechodniów niż jeszcze kilka chwil temu; wszyscy podejrzliwie zerkali na jej niechlujny strój. Spojrzała na bluzę z kapturem i krzykliwym, rozmazanym na całej szerokości logo Ess-Zed oraz podarte, powycierane rurki, jaskrawo kontrastujące z ponurymi, pospolitymi garniturami w odcieniach szarości. Zauważyła jeszcze jeden wspólny element: dosłownie każdy miał na rękę czerwoną opaskę z małym, czarnym znakiem na tle białego okręgu. Przypomniała sobie filmy wojenne i czarne charaktery noszące takie właśnie opaski...

„Jak mówiono na te negatywne postaci? - zastanawiała się Sal. - Ach tak... Naziści.”

Odwróciła się, by spojrzeć na bezdomnego, który wcześniej siedział na ławce obok, ale zniknął już razem ze swoim wózkiem. Czując na sobie szereg ciekawskich spojrzeń, wstała i szybko przebiegła przez zapchany ludźmi chodnik w stronę bocznej uliczki. Wyjęła telefon komórkowy i wybrała numer biura terenowego. Na wyświetlaczu pojawiły się dwa słowa: „Brak sygnału”.

Kiedy otrząsnęła się z pierwszego szoku, uświadomiła sobie, że nikt inny nie rozmawiał tutaj przez komórkę... W zasadzie nie widziała nikogo, kto trzymałby w rękę telefon, nie zauważyła też plakatów reklamujących oferty operatorów sieci, karty prepaid czy abonament z pakietem darmowych SMS-ów. Nie dostrzegła stoisk, w których sprzedawane są nowe obudowy do telefonów... ani najmniejszego śladu komórek.

\*

Maddy spojrzała na Fostera.

- Katastrofa samolotu po prostu się nie wydarzyła - powiedziała. - A chwilę później prawie wszystkie ekrany z wiadomościami zgasły - dodała, wskazując rząd monitorów, na których synchronicznie migał komunikat o błędzie.

Wyrwany ze snu Foster, który miał jeszcze zaczerwienione od snu oczy i, gdyby spytać Maddy, był zdecydowanie zbyt blady, w zamyśleniu spoglądał na ekrany ponad ramieniem dziewczyny.

- Mamy problem... wygląda mi to na poważne przesunięcie - powiedział szeptem. - Zazwyczaj przychodzą falami, na początku są to jedynie nieznaczne zmiany, po których przychodzą coraz większe fale, jeśli nikt szybko nie naprawi zdarzeń na osi czasu.

Jeden z ekranów komputerowych w dalszym ciągu działał: pod imponującym, czerwonym sztandarem z godłem pojawiły się nagłówki wiadomości.

- Co to jest? - spytał Liam, wskazując godło.

- Odrobinę przypomina mi swastykę - odpowiedziała. - Ale to nie to.

- Co to jest swastyka? - dopytywał Liam.

Foster z lekką irytacją machnął ręką.

- Poczekaj chwilę, Liamie... wyjaśnię ci to wszystko później - odrzekł zniecierpliwiony i baczniej przyjrzał się wzorowi. - Wygląda to trochę jak czarny ślimak lub wąż gryzący własny ogon.

- Tak! - potwierdziła Maddy.

Liam dostrzegł kolejny szczegół.

- Zauważyliście, że wiadomości podawane są w dwóch językach? - Wskazał dolną część ekranu, gdzie te same nagłówki wyświetlano w innym języku.

- To niemiecki i angielski - poinformowała Maddy. - Tylko tyle, nie widzę innych wersji językowych.

Foster odwrócił się do nich, zbierając myśli.

- Nie trzeba być geniuszem, by odgadnąć, że mamy do czynienia z przesunięciem historii, które pociągnęło za sobą głęboką modyfikację rzeczywistości.

- Może Niemcy wygrali drugą wojnę światową? - zasugerowała Maddy.

- Gorzej, Madelaine. Wygląda na to, że z rozpędu podbili też Stany Zjednoczone.

Liam spojrzał na ich blade twarze.

- To chyba nie najlepiej, prawda?

## ROZDZIAŁ 33

Nowy Jork rok 2001

Roleta delikatnie zaskrzypiała i podniosła się w górę. Cała trójka odwróciła się nerwowo. Uspokoił ich widok pary martensów na patykowatych nogach.

- Sal! - krzyknęła Maddy. - Zaczynałam się o ciebie niepokoić.

Dziewczynka żwawo weszła do środka i opuściła roletę.

- Wszystko... na zewnątrz... wygląda inaczej - oznajmiła, łapiąc oddech. - Przybiegłam z powrotem, bo się bałam... telefon mi nie działa.

Foster odwrócił się do Maddy.

- Tak, to zrozumiałe. W tej nowej wersji historii orbitalne satelity telekomunikacyjne mogą nie istnieć.

- Ani maszty telefonii komórkowej - dodała dziewczyna. - Możemy mieć do czynienia z faszystowskim rządem, który nie pozwala ludziom na swobodną komunikację.

- Masz rację - odpowiedział w zamyśleniu.

- A to - kontynuowała Maddy, pokazując ekran - wygląda jak rządowa witryna informacyjna.

- Co oznacza, że nie jest miarodajnym źródłem informacji. - Mężczyzna się skrzywił.

- Niestety na więcej nie możemy liczyć - zauważyła dziewczyna.

- Racja - ponownie zgodził się Foster.

Liam przywołał skinieniem Sal.

- Chodź, usiądź tutaj - powiedział, wskazując puste siedzenie obok starca. - Przyniosę ci wodę albo coś innego do picia.

- Dzięki - wydyszała.

Chłopak delikatnie ujął ją za ramię.

- Wszystko w porządku, Sal?

Przytaknęła.

- Byłam tak... Jahulla! To było przerażające. Jak z innego świata.

Liam wszedł do wnęki kuchennej i nalał szklankę wody z kranu.

- Czy w tej witrynie jest zakładka z materiałami archiwalnymi? - spytał Foster.

Maddy przesunęła kursorem po ekranie.

- Tak.

Na karcie informacyjnej kliknęła przycisk „Dzieje/Geschichte”. Ekran zamarł i zamigotał, po czym ukazało się zaskakująco skromne menu.

- Nie znajdziemy tutaj zbyt wielu informacji - rzuciła z kpiącym uśmiechem Maddy.

Foster analizował skąpą listę pozycji.

- Tutaj, kliknij zakładkę „Chronologia/Zeitlinie”.

Chwilę później na ekranie pojawiła się wizualizacja osi czasu, na której oznaczono najważniejsze wydarzenia z ostatnich pięćdziesięciu lat.

- Mój Boże... patrzcie - powiedziała, wskazując daty na ekranie. - Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty siódmy: kapitulacja Chin, tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewiąty: setne urodziny Führera. Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty dziewiąty: pierwszy człowiek w kosmosie...

- Zwróćcie uwagę na początek linii - powiedział Foster.

- Biegnie od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku. Dlaczego nie ma wcześniejszych dat? - Maddy zmarszczyła brwi.

- Nie wiem.

Kliknęła przycisk tuż obok pierwszego roku na osi. Wyświetlone zostało czerwone okno z komunikatem o błędzie:

Frühgeschichtenfragen erfordern Korrekte Ermächtigung.

Dostęp do wcześniejszych wydarzeń wymaga



odpowiedniego upoważnienia.

Maddy pokręciła głową.

- Wygląda na to, że informacje na temat wcześniejszej historii są zastrzeżone. Wszystko zaczyna się w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku. - Spojrzała na opis umieszczony przy tym roku: „1956: Stany Zjednoczone Ameryki Północnej świętują przyłączenie do Wielkiej Rzeszy”.

Nastolatka kliknęła zakładkę. Pojawił się krótki artykuł z niewyraźnym, czarno-białym zdjęciem przedstawiającym ulice miasta wypełnione ludźmi wiwatującymi na widok przejeżdżającej kawalkady pojazdów wojskowych. Przeczytała podpis na głos:

- Wrzesień tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku: Wiceprezydent Truman z niechęcią uznaje klęskę i podpisuje bezwarunkową kapitulację w obecności najwyższego rangą dowódcy Führera, Marszałka Rzeszy Haasa. Naród amerykański stał się dzisiaj nieodłączną częścią Wielkiej Rzeszy. Na cześć Führera wiwatują setki tysięcy rozentuzjasmowanych ludzi, podniesionych na duchu obietnicą wyrwania ich kraju z okowów biedy i niedostatku.

- Nie wierzę! Nie wierzę, że Amerykanie, ot tak, ukorzyli się przed Adolfem Hitlerem i powitali go jako swojego pana i władcę. Czyste szaleństwo! - Maddy z niedowierzaniem pokręciła głową.

Foster przytaknął.

- Cóż, zgadzam się, że to dziwne. Ale bez względu na to, co naprawdę się wydarzyło, historia została mocno wypchnięta z właściwego koryta.

Odwrócił się do Liama.

- Przykro mi. Obawiam się, że zostaniesz od razu wrzucony na głęboką wodę. Ktoś musi udać się w przeszłość, aby sprawdzić, co się wydarzyło.

- Uh... w porządku - niewesoło odpowiedział Liam.

- Obawiam się jednak, że tym razem nie mogę wybrać się z tobą - rzekł Foster.

Liam z niepokojem przełknął ślinę.

- Jadę... jadę sam?

- Nie, będzie ci towarzyszył Bob.

- Ja... nie jestem pewien, ja...

- Przykro mi, ale nie mamy wyboru. Musisz udać się w przeszłość i dowiedzieć wszystkiego.

- Ale dlaczego ty nie jedziesz?

Spojrzenia Fostera i Maddy spotkały się na krótką chwilę.

- To dla mnie zbyt odległa przeszłość.

- Ale czy to nie ty wróciłeś po mnie aż do tysiąc dziewięćset dwunastego roku?

- Tak... przykro mi, ale tym razem muszę zostać w bazie.

- Ach.

- Nie mamy chwili do stracenia. - Foster odwrócił się do Sal. - Powiedz Bobowi, żeby wyszedł z próbówki porodowej.

Skinęła głową i poszła do pomieszczenia na zapleczu.

- Madelaine?

- Tak?

- Przygotuj pakiet informacyjny dla Boba. Wprowadzimy do jego mózgu pełną wersję tej alternatywnej historii. Poza tym musi idealnie znać język niemiecki. Na tych plikach znajdują się informacje na temat Hitlera, dowództwa naczelnego Rzeszy i drugiej wojny światowej. Na początek powinno wystarczyć.

- A co ze mną? - zapytał Liam.

Foster bezradnie wzruszył ramionami.

- Przykro mi, Liamie... Potoczyło się to szybciej, niż się spodziewałem. Planowałem zabrać cię na kilka dodatkowych misji szkoleniowych, ale czas ucieka nam nieubłaganie.

- A niech to! - wyszeptał Liam.

- Lepiej zacznij napępniać go wodą. - Foster wskazał cylinder.

## ROZDZIAŁ 34

Nowy Jork rok 2001

Liam desperacko uczepił się krawędzi pleksiglasowego cylindra, wierzgając nogami zanurzonymi w ciepłym płynie. Bob spokojnie unosił się na wodzie obok niego.

- Dobra, Liamie. Wysyłamy was tam na dokładnie dwie godziny. Ustawiliśmy współrzędne na pierwszy wrześnie tyśiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku. Wylądujecie na terenie Białego Domu - w waszyngtońskiej rezydencji prezydenta. Waszym jedynym zadaniem jest uważna obserwacja. Rozumiesz? Tylko obserwujecie. Czy to jasne?

- T...tak! - przytaknął Liam.

Foster poklepał go po dłoni.

- Spokojnie, Liamie. Świetnie sobie poradzisz. - Mężczyzna spojrział na zanurzoną w wodzie jednostkę pomocniczą. - Zaufaj Bobowi. W jego silikonowym mózgu zapisane są wszystkie informacje, których będziecie potrzebować podczas tej krótkiej wyprawy. To twoja osobista, gadająca encyklopedia... prawda Bob?

- Ja. Ich habe alle benötigten Daten, Herr Foster.

- Na razie wystarczy angielski.

Bob stanowczo kiwnął głową.

- Mam wszystkie wymagane dane, panie Foster.

- Doskonale.

Liam spojrział na starca.

- Prawdę mówiąc, odrobinę się boję.

- Wiem - odpowiedział uspokajająco. - Pierwsza samotna wyprawa zawsze jest trochę onieśmielająca. - Uśmiechnął się. - Też przez to przechodziłem. Poradzisz sobie.

Liam zdobył się na nonszalancki uśmiech.

- Po prostu tam pojedziesz, rozejrzysz się, zobaczysz, co masz zobaczyć... i wrócisz w to samo miejsce kilka godzin później.

- A jeśli się spóźnimy?

- Jeżeli przegapicie to okno, dokładnie godzinę później otworzymy następne. Będzie

aktywne jedynie kilka minut. Jeśli spóźniecie się po raz drugi, kolejny portal zostanie uruchomiony dokładnie dwadzieścia cztery godziny później. To standardowa procedura powrotu na wypadek komplikacji z terminową ekstrakcją. Nie przejmuj się tym, Bob wie na ten temat wszystko i będzie pilnował harmonogramu.

- A jeśli przegapimy wszystkie okna?

- Po prostu postarajcie się zdążyć.

- Ale... jeśli nie uda nam się skorzystać z żadnego z tych okien, czy będzie możliwość uruchomienia jeszcze jednego portalu?

- Jeśli do tego dojdzie, skontaktujemy się z wami. Niestety w takich wypadkach możliwa jest tylko komunikacja jednostronna. Wy nie będziecie mogli odpowiedzieć. - Poklepał Liama po dłoni. - Po prostu pilnujcie harmonogramu.

- Obiecuję, że zrobię wszystko co w mojej mocy, panie Foster, nie inaczej.

- Wiem o tym, chłopcze.

Foster zszedł po schodkach z boku cylindra na betonową podłogę pomieszczenia.

- Okej, Madelaine, uruchom procedurę aktywacji.

- Minuta do zrzutu.

Rozległ się głęboki warkot podłączonego do cylindra urządzenia translokacyjnego.

Sal postąpiła krok w przód, przyglądając się mglistym zarysom w słoju.

- Powodzenia, Liamie! - krzyknęła. - Uważajcie na siebie!

Jedną ręką puścił się krawędzi i pomachał.

- Poradzimy sobie, Sal. Nie fraszuj się.

Żarówki pod sklepieniem zaczęły migotać, ponieważ energia powędrowała w stronę próbowki.

- Czterdzieści sekund do zrzutu! - zakomunikowała Maddy.

- Liamie! Pamiętaj, że jedziecie jedynie w celach obserwacyjnych. - Foster starał się przekrzyczeć rosnący hałas. - Nie wmieszajcie się w nic przypadkiem.

- Ma się rozumieć! - odkrzyknął chłopak podenerwowanym głosem.

- Trzydzieści sekund, chłopaki!

Liam wierzgał, wywołując kaskady wody wzbierającej w próbowce. Furkot generatora przybierał na sile.

- Dwadzieścia sekund! - zawołała Maddy, próbując przekrzyczeć ogłuszający jazgot maszynerii.

- Liamie! - odezwał się Foster. - Pora zanurkować!

Chłopak przytaknął, biorąc serię głębokich wdechów.

- Piętnaście sekund!

- No dalej, chłopcze... puść się!

Liam przytaknął, wciąż wentylując płuca i wierzgając w wodzie.

- Dziesięć sekund!

- Dalej, Liamie... pod wodę!

Chłopak wziął ostatni głęboki wdech i odczepił się od krawędzi cylindra, szybko zanurzając się w wodzie. Foster, Maddy i Sal obserwowali, jak za porysowaną, zamgloną szybą Liam szamocze się i powoli opada na dno. Bob bez wysiłku dał nura obok chłopaka i z troską - jak pomyślała Sal - złapał go za rękę.

Wydawało się, że odrobinę uspokoiło to Liama.

- Trzy... dwa... jeden...

Dwie postacie zniknęły wraz z wodą jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

## ROZDZIAŁ 35

Waszyngton rok 1956

Z ciężkim chlapnięciem wylądowali w zagajniku drzew cedrowych.

- Arghh! - wycharczał Liam. - Nienawidzę tego przeklętego akwarium!

- Informacja: nazwa urządzenia to cylinder translokacyjny - poinformował Bob, który przyklęknął obok niego, czujnie sondując okolice.

Liam podniósł się z ziemi i kucnął obok jednostki pomocniczej wśród gęstego listowia. Przez gałęzie nisko zawieszony nad ziemią dostrzegł jak na idealnie przystrzyżonym trawniku przed Białym Domem zbiera się grupa żołnierzy.

- Kim oni są?

Oczy Boba powoli skanowały rozgrywającą się przed nimi scenę.

- Na podstawie emblematów i mundurów stwierdzam, że jest to oddział składający się z amerykańskich marines, rangersów i spadochroniarzy - odpowiedział. - Rekomendacja:

zdobyć ubrania.

- Rzeczywiście, przydałoby się odzienie.

- Zdobę ubrania - zakomunikował Bob i zniknął wśród drzew i listowia.

Liam wciąż obserwował żołnierzy. Wyglądali na zaprawionych w boju - wielu było rannych, niektórym iść pomagali koledzy. Wszyscy sprawiali wrażenie wycieńczonych, wyczerpanych walką - na ponurych twarzach wypisana była klęska.

Zauważył duży, oliwkowozielony pojazd z gąsienicą w miejscu kół i wieżyczką, z której sterczała długa, smukła lufa. Czołg sunął przez trawnik wśród kłębow czarnego dymu; wgniecenia i osmalone elementy pancerza dowodziły, że i on pamięta wiele bitew. Cofał w stronę białego budynku - Białego Domu. Gąsienica wyrzucała na boki kępy trawy, znacząc ziemię głębokimi bruzdami.

Dla niewprawnego oka Liama żołnierze wyglądali na zbiorowisko wycieńczonych wojaków w łachmanach, szykujących się do obrony ostatniego bastionu. Być może to resztki armii Stanów Zjednoczonych.

„A niech mnie!” - wyszeptał.

Nad jego głową rozległ się głęboki warkot. Przez gęste gałęzie spojrzął na zachmurzone niebo - zawieszzone nisko, ciężkie, szare chmury zapowiadały deszcz. Klatka piersiowa Liama aż wibrowała od głośniego, potężnego hałasu dochodzącego sponad chmur.

Amerykańscy żołnierze, podobnie jak chłopak, nerwowo spoglądali na niebo, w napięciu czekając na pojawienie się źródła zgiełku.

Liam odchylił głowę, by objąć wzrokiem większy kawałek nieba.

„Co to może być?” - głowił się chłopak.

Za plecami usłyszał odgłos dudniących kroków - odwrócił się i zobaczył Boba,



wyciągającego w jego stronę ubrania i buty.

- Właściciel tych ubrań nie żyje - wyjaśnił klon bez najmniejszego śladu emocji. - Nie będzie ich potrzebował.

Liam wziął do ręki mundur i dotknął świeżych jeszcze plam krwi.

- Chyba nie zabiłeś nikogo, żeby to zdobyć?

Bob potrząsnął głową.

- Zabójstwo nie było konieczne.

Chłopak czuł się nieswojo, wkładając cudze ubranie. Z drugiej jednak strony paradowanie po strefie wojennej na golasa wydało mu się marną alternatywą. Błyskawicznie wciągnął na siebie spodnie i marynarkę.

- Ci żołnierze muszą przygotowywać ostatnią linię obrony.

- Potwierdzam - odpowiedział Bob, skanując wzrokiem podwórze przed budynkiem.

- I bez względu na to, co nadlatuje... - Liam ponownie spojrzął na niebo ciemniejące w miejscu, z którego dochodził warkot -...nadlatuje stamtąd.

- To prawdopodobnie powietrznodesantowy system militarny. - Powieki Boba zatrzepotały. - Mam pliki z danymi na temat zaawansowanych prototypów lotniczych opracowywanych przez Niemców pod koniec drugiej wojny światowej.

- Podczas drugiej wojny światowej naprawdę używano samolotów?

- Potwierdzam.

Hałas się potęgował, a Liam uświadomił sobie, że jego głos stopniowo przechodzi w coraz głośniejszy krzyk.

- Duże?!

- Napęd odrzutowy, projekty skrzydeł delta, systemy pionowo wznoszące - odpowiedział Bob, wzmacniając swój basowy głos, by przekrzyczeć ogłuszający huk.

- Niestety, nic mi to nie mówi! - odkrzyknął Liam. - Co to wszystko jest?!

Bob przekrzywił głowę.

- Jeżeli uda mi się zlokalizować moduł rysowania, będę mógł przedstawić szczegółowe schematy i wykresy...

Ciemne chmury zawieszane nad ich głowami nagle rozproszyły się na tyle, aby ukazać zarys nadciągającego statku powietrznego.

- Bob! Widzisz to?

Spomiędzy chmur wyłaniał się gigantyczny, szary okręt o kształcie dysku. Miał co najmniej milę średnicy i wydawał się wypełniać cały nieboskłon nad Białym Domem, gdy dostojnie przebijał rozstępujące się chmury. Liam mógł teraz dojrzeć setki wirujących śmigieł zamontowanych w dolnej części kadłuba. Gigantyczne ramiona zmiatające powietrze pod podbrzuszem olbrzymiego dysku tworzyły prąd zstępujący, który niemal wyrывał z ziemi otaczające ich drzewa cedrowe.

Chłopak zauważył, że na olbrzymim dziobie statku widnieje godło, które wcześniej widział na ekranach Maddy.

- Co to do diaska jest?! - krzyknął.

- Informacja: prawdopodobnie jest to sterowiec kolisty - odpowiedział Bob.

Liam niepewnie wzruszył ramionami; nie miał bladego pojęcia, o czym mowa.

- To statek powietrzny o kształcie dysku - pospieszył z wyjaśnieniem Bob. - W kadłubie zbudowanym z aluminium znajduje się mnóstwo dużych komórek wypełnionych gazem hydrostatycznym.

Zgromadzeni na podwórzu żołnierze marynarki wojennej zamarli w osłupieniu, po czym unieśli broń i zaczęli na oślep strzelać w stronę statku.

Z podbrzusza okrętu, jeden za drugim, zaczęły wyrastać czarne kwadraty.

- Nie wygląda to dobrze! - krzyknął Liam.

- Niedobrze - przytaknął Bob.

Z kwadratów zaczęła wypływać ciemna masa - rój punktów, które rosły w oczach i opadały na zgromadzonych w błyskawicznym tempie.

Mniej więcej trzydzieści metrów dalej, na trawnik zajmowany przez grupę zabiedzonych marines, spadł kanister o rozmiarze termosu. Żołnierze odskoczyli od puszek, z której zaczął wydobywać się żółty dym.

- Dym maskujący - poinformował Bob.

Powietrze szybko wypełniła gęsta, musztardowa mgła. Liam ledwo dostrzegał zarysy amerykańskich żołnierzy, cofających się z przestachem w stronę schodów i wielkiego portyku przed głównym wejściem Białego Domu.

Przez mgłę dostrzegli tuziny, może setki spadających ciemnych przedmiotów - tym razem większych niż pierwszy kanister.

Usłyszeli, jak wśród drzew, za ich plecami coś ciężko upadło, wydając głośny syk. Zobaczyli mężczyznę uwięzionego w groteskowej pozie pomiędzy grubymi gałęziami: miał na sobie czarny kombinezon przypominający Liamowi worki na odpadki zaśmiecające boczne ulice Nowego Jorku. Twarz mężczyzny zakrywała ciemna, gumowa maska z dwoma szklanymi okularami na wysokości oczu. Głowa człowieka była przekrzywiona pod

nienaturalnym kątem. Liam zrozumiał, że żołnierz, spadając między drzewami, skręcił sobie kark.

Z dwóch przypiętych do pleców cylindrów wylatywał pod wysokim ciśnieniem słup gazu. Po kilku sekundach głośnie syczenie ustało i zapadła cisza.

- Aerozolowy system spadochronowy - spokojnie wyjaśnił Bob.

W powietrzu nad nimi unosił się ten sam, zwielokrotniony świst. W pobliżu lądowali kolejni żołnierze w maskach.

- Niech to diabli! Nie możemy tu zostać!

Jednostka pomocnicza przytaknęła.

- Rekomendacja: taktycznie wskazane jest dostanie się do budynku znanego jako Biały Dom.

- Tak... Dobra! - potwierdził Liam, wychodząc z małego zagajnika na otwartą przestrzeń.

- Poczekaj! - zatrzymał go Bob. Podeszedł do zwisającego z gałęzi ciała i szybkim, mocnym ruchem ściągnął je na ziemię. Bez wysiłku przewrócił zwłoki na brzuch i wyciągnął broń z plecaka mężczyzny. W ciągu kilku sekund oszacował skuteczność karabinu i poznał sposób obsługi. Przyłożył broń do ramienia i z uznaniem skinął głową.

- Szybkostrzelny karabin pulsacyjny. - Szare oczy spoczęły na Liamie. - Technologia z połowy dwudziestego pierwszego wieku.

- To dopiero interesujące... ale czy możemy już iść?

- Potwierdzam. Chodź za mną, Liamie O'Connor.

- Jasne, w porządku, proszę przodem - zgodził się Liam.

Bob przecisnął się przez gęstwinę, wyszedł na otwartą przestrzeń i z karabinem przy biodrze podążył w stronę budynku.

Mętne, żółtawe powietrze wypełniał dźwięk syczących kanistrów oraz tąpnięcia lądujących na trawniku masywnych buciorów. Liam dostrzegł rozmazane zarysy lądujących wokół mężczyzn, słyszał stłumione odgłosy rozkazów wydawanych przez zamaskowanych Niemców.

„Och, jak ja pięknie dzisiaj umrę” - pomyślał.

Jeden z żołnierzy, którego sylwetka zamajaczyła we mgle, podbiegł w ich stronę zdecydowanie za blisko i wydał stanowczą komendę.

Bob był przerażająco szybki - krawędź jego wolnej dłoni ugodziła w gardło napastnika. Liam usłyszał głucho pęknięcie, wybijające się ponad ogólny rozgardiasz.

- Za mną! - rozkazał klon.

## ROZDZIAŁ 36

Waszyngton rok 1956

Ruszyli szybko przez trawnik. W pewnym momencie Liam uświadomił sobie, że znaleźli się na alabastrowych schodach w grupie wycofujących się marines, którzy oddawali pojedyncze wystrzały w kierunku gęstej mgły. Z dymu odpowiadały im szybkie serie karabinowe, schody i kolumny portyku eksplodowały tumanem pyłu i tynku. Stojący obok Liama żołnierz zakręcił się jak dmuchany wiatraczek i upadł na ziemię z dziurą w piersi po pocisku.

- Za mną! - ponaglił Bob, przeciskając się przez żołnierzy w stronę dwuskrzydłowych, szklanych drzwi. W przejściu zatrzymał ich ranny, przygarbiony żołnierz.

- Hej! A wy dwaj gdzie się wybieracie? Staramy się tu utrzymać linię obrony, psia mać!

Bob bez słowa wykręcił mu rękę i z łatwością odsunął od drzwi. Weszli do Białego Domu.

Wyłożona dywanem podłoga holu wejściowego była zasłana ciałami rannych żołnierzy, pomiędzy którymi poruszał się jeden roztrzęsiony medyk, robiąc zastrzyki z morfiny, która przynosiła konającym litościwą śmierć. Przed nimi znajdowały się podwójne drzwi, prowadzące w głąb zachodniego skrzydła budynku. Za prowizorycznie zbudowaną z mebli barykadą przyczało się kilkunastu żołnierzy ze srogimi minami. Byli gotowi bronić prezydenta do ostatniej kropli krwi.

- Mój Boże! - wymamrotał Liam. - To ostatnia linia obrony prezydenta!

Bob przebiegł wzrokiem po holu, barykadzie i twarzach czekających na śmierć marines.

- Potwierdzam: w budynku znajduje się prezydent o nazwisku Eisenhower.

- Co robimy? Ratujemy go?

Bob odwrócił się do Liama.

- Ty jesteś agentem. Prerogatywy do podejmowania decyzji o charakterze strategicznym mają wyłącznie oficerowie operacyjni. Jednostka pomocnicza nie ma takich uprawnień.

- Co?

- Ty dowodzisz, Liamie O'Connor.

- Ja... nie mam pojęcia, co należy zrobić.

Spojrzał za szklane drzwi - z powodu mgły nie widział zbyt wiele, ale bez trudu mógł wyobrazić sobie kolejną setkę żołnierzy z twarzami ukrytymi za maskami gazowymi, którzy formują właśnie szyk bojowy na trawniku przed wielkimi schodami i portykiem, szykując się do niszczycielskiego ataku na budynek.

„Jesteśmy tylko obserwatorami. Musimy dowiedzieć się, co się wydarzyło. Nic ponadto” - Liam przypomniał sobie zalecenia Fostera.

Nietrudno było się domyślić, że Amerykanie nie przywitali szkopów z otwartymi ramionami ani nie poprosili grzecznie o przejęcie rządów w swoim państwie. Jednak Jeźdźcy musieli zebrać więcej szczegółowych informacji, aby dokładnie określić moment, w którym historia zmieniła bieg.

- Musimy dowiedzieć się, dlaczego sprawy przybrały właśnie taki obrót. - Odwrócił się do Boba. - Prawda?

- Potwierdzam. Cel misji numer jeden: uzyskać informacje.

- Dobrze - odpowiedział, rozglądając się po holu. - Czyli musimy kogoś złapać i przepytąć?

- Potwierdzam.

Liam przeszedł ponad martwymi i umierającymi żołnierzami. Po lewej stronie znajdowały się drzwi wiodące do pokoju łącznościowego pełnego żołnierzy nadających przez radia polowe oraz cywilów, maszynistek i telefonistek, które przeprowadzały ostatnie rozmowy, wysyłały raporty sytuacyjne i wiadomości do bliskich. Po prawej stronie znajdował się pokój z biurkami i szafami na dokumenty. Panował w nim zdecydowanie mniejszy rozgardiasz. Liam wszedł do środka po dywanicę zwłok. Przez rozbite szyby do pokoju dostawały się strużki dymu z dziedzińca, barwiąc powietrze na żółtawy odcień.

Pomiędzy dwiema szafkami na akta siedział mężczyzna w eleganckim niebieskim garniturze - jego twarz była pokryta kurzem i strużkami spływającej z głowy, powoli

krzepnącej krwi.

Mężczyzna wpatrywał się tępo w przestrzeń.

- Stało się - wymamrotał łamiącym się, zmęczonym głosem. - To koniec. Zbliżają się tu... dopadną nas... dopadną...

Liam uklęknął obok niego.

- Niemcy? Naziści?

Mężczyzna wydawał się nie dosłyszeć pytania, jego wzrok błędził po pokoju.

- Powinniśmy byli wiedzieć... przygotować się... uświadomić sobie, że tylko tak może się to skończyć.

Bob, naśladując Liama, schylił się do poziomu mężczyzny.

- Prośba o informację: powiedz nam wszystko, co wiesz na temat rozbieżnej osi czasu.

- Bob?

- Słucham, Liamie?

- Pozwól, że spróbuję pierwszy, dobrze?

- Ty jesteś agentem - odpowiedział.

Liam położył dłoń na ramieniu mężczyzny.

- Proszę pana? Słyszysz mnie pan?

Rozbiegane oczy skupiły się na twarzy Liama.



- Zostało nam niewiele czasu - powiedział Liam. - Proszę mnie posłuchać: wszystko możemy jeszcze naprawić. Rzeczywistość powinna wyglądać inaczej. Znaleźliśmy się tutaj, aby uporządkow...

- Nie... - przerwał mu mężczyzna, potrząsając głową. - Nie, masz do cholery rację, mówiąc, że wszystko powinno wyglądać inaczej! Zaskoczyli nas, zupełnie jak te skubane japońce w czterdziestym pierwszym.

Liam pytająco spojrział na Boba.

- Informacja: w dwudziestym wieku japońska armia przeprowadziła niezapowiedziany atak na bazę marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych w Pearl Harbor. Ten incydent był bezpośrednią przyczyną przystąpienia Stanów Zjednoczonych do drugiej wojny światowej.

Liam podniósł rękę, aby przerwać Bobowi.

- Proszę opowiedzieć, co się wydarzyło.

- Co? A gdzie wyście się przez cały ten czas podziewali? - spytał mężczyzna.

- Na morzu... przez długi czas. - Chłopak wzruszył ramionami.

- Kilka miesięcy temu fryce desantowali się na plażach Nowej Anglii. Przebili się przez nasze linie obrony na Atlantyku jakby były z piasku, w ciągu tygodnia zdobyli Nowy Jork. Zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy, aby utrzymać Waszyngton. Ale... zmiotli naszych chłopców, starli nas na proch. Führer podyktował warunki. - Mężczyzna parsknął śmiechem. - Mieliśmy oddać naszego prezydenta i wszystkich członków rządu w charakterze zakładników, bo w przeciwnym wypadku wezmą ich sobie sami.

Uważnie spojrział na Boba i Liama.

- Czekaście! Powiedzieliście, że rzeczywistość może wyglądać inaczej. Co tu się dzieje? Kim wy właściwie jesteście? Tajnymi agentami?

- Może to zabrzmieć niedorzecznie, ale musisz nam uwierzyć - oznajmił Liam.

- Co? - Mężczyzna potrząsnął głową. - O co chodzi?

- Przybyliśmy tutaj z przyszłości, z roku dwa tysiące pierwszego. Ta odnoga historii nie powinna istnieć.

Twarz mężczyzny stężała.

- To nie jest odpowiednia pora na głupie zabawy, synku. Zaraz...

- Ma rację - potwierdził Bob.

- Jesteśmy agentami z przyszłości, zostaliśmy wysłani, by zebrać informacje na temat tej wersji historii - wyjaśnił Liam. - Musimy zrozumieć, co się tutaj naprawdę wydarzyło.

Mężczyzna popatrzył na nich w milczeniu.

- Jesteś wariatem.

- Chciałbym udowodnić ci, że mówię prawdę. Niestety nie wiem jak. - Liam wzruszył ramionami.

- Parametr misji: brak jakichkolwiek przedmiotów z przyszłości. Misja ma charakter wyłącznie obserwacyjny.

Za rozbitymi oknami, wśród lejącego się z nieba jazgotu, unosiły się odgłosy krzątający na dziedzińcu: wykrzykiwanych rozkazów, brzęku pasów z ekwipunkiem i ładowania broni.

- Jezus Maria! Jesteśmy trupami! - krzyknął mężczyzna. - Słyszałem, że Führer chce ostatecznie wyeliminować rząd Stanów Zjednoczonych: prezydenta, Kongres, senat i wszystkich urzędników państwowych najwyższego szczebla. Wybiją wszystkich ludzi znajdujących się w Białym Domu.

- Słuchaj - powiedział Liam - zmienimy to. Powstrzymamy Hifflera przed...

- Hifflera? - zdziwił się mężczyzna. - O czym ty, do diaska, mówisz, synku? Masz na myśli Adolfa Hitlera?

- Tak, o niego mi chodzi, o Hitlera. To właściwe nazwisko, prawda? - spojrzał na Boba, szukając potwierdzenia. - Czy wymówiłem je poprawnie?

- Potwierdzam. Adolf Hitler, przywódca NSDAP i Führer Trzeciej Rzeszy.

- Przecież ten człowiek, Hitler, zmarł mniej więcej dziesięć lat temu. Próbujecie mi wmówić, że nic o tym nie wiecie?

Liam i Bob spojrzeli na siebie.

- Wniosek: przesunięcie w historii miało miejsce co najmniej dziesięć lat temu.

- W czterdziestym szóstym, a nie pięćdziesiątym szóstym? - szepnął Liam pod nosem.  
- Czy musimy cofnąć się o kolejne dziesięć lat?

- Tak jest.

Mężczyzna podejrzliwie przyglądał się obu przybyszom.

- A niech mnie. Kim wy jesteście? Tajne służby? Może siły specjalne lub coś podobnego? Powiedzcie mi przynajmniej, że macie sekretny plan... jakąś cudowną broń, którą zaskoczemy szkopów.

Odgłosy wystrzałów wokół wejścia głównego nagle się nasiliły.

- Idą już! - powiedział Bob. - Musimy opuścić to miejsce. Portal zostanie uruchomiony za dokładnie godzinę i trzydzieści trzy minuty.

- Dobrze, dowiedzieliśmy się przynajmniej, że musimy ponownie wyruszyć w przeszłość... tym razem jeszcze dalszą.

- Potwierdzam.

Nieznajomy w garniturze wyciągnął rękę i chwycił chłopca.

- Czy władze mają jakiś sekret, tajemną broń, która pomoże nam odpowiedzieć na atak wroga?

Odpowiedzi udzielił Bob.

- Nie ma nic takiego. Prawdopodobieństwo, że zginie pan na tej osi czasu wraz z innymi ludźmi znajdującymi się w budynku jest wysokie. - Klon, próbując wzorem Liama pocieszyć mężczyznę, położył swoją olbrzymią dłoń na jego drżącym ramieniu. - Ale głowa do góry, obywatelu, aktualna linia czasu zostanie całkowicie wymazana po usunięciu kontaminacji czasowej.

Liam bezsilnie pokręcił głową w odpowiedzi na bezradne spojrzenie oszołomionego mężczyzny.

„Co za krzepiące słowa, Bob” - Uśmiechnął się gorzko w duchu.

Jednostka pomocnicza odwróciła się do Liama.

- Musimy natychmiast opuścić budynek.

## **ROZDZIAŁ 37**

Nowy Jork rok 2001

- Na pewno jest jakiś sposób, aby złamać zabezpieczenia i uzyskać dostęp do pozostałej części historycznej bazy danych - powiedziała Maddy.

- A może nie ma tam takich informacji? - zastanawiał się Foster. - Być może według zwycięzców wydarzenia poprzedzające podbój Ameryki są nieistotne. Wymazanie historii kraju, a nawet świata, może być jednym ze sposobów utrzymywania kontroli nad Amerykanami.

- Przecież to naziści, prawda? - Wzruszyła ramionami Maddy. - Bez wątplenia chcieliby zachować dla potomności historię dojścia Hitlera do władzy i zapis kluczowych wydarzeń drugiej wojny światowej, które pozwoliły im zwyciężyć w tej pochrzanionej wersji historii. Jestem pewna, że Adolf Hitler chciałby, aby jego poddani wiedzieli, jaki to z niego błyskotliwy przywódca i ile wycierpiał za młodu... wszystkie te bzdury od pucybuta do milionera.

- To nie ma sensu - westchnął Foster. - Nie mam pojęcia, dlaczego nic nie ma w tej bazie danych, Madelaine. Naprawdę nie wiem. Być może dla Niemców istotny jest jedynie podbój Ameryki, a wszystko przed tą datą nie ma znaczenia?

Sal grzecznie odchrząknęła, zwracając na siebie uwagę dwójki rozmawiających.

- Może - powiedziała - może Hitler umarł, a ktoś, kto przejął po nim władzę nie do końca za nim przepadał i rozkazał wymazać jego nazwisko z archiwów?

- Sal może mieć rację - przytaknął starzec. - Do tej pory zakładaliśmy, że Der Führer to Hitler.

Maddy zmrużyła oczy, próbując otworzyć wyszukiwarkę z poziomu strony głównej, ale poddała się po minucie sprawdzania różnych przycisków z niemieckimi napisami.

- Boże, ci naziści naprawdę beznadziejnie projektują stronki.

- Być może w tej wersji dwa tysiące pierwszego roku Internet jest zupełnie nowym

tworem.

Zrezygnowała z pomysłu wyszukania nazwiska „Hitler”. Zamiast tego zaczęła kolejno klikać zakładki rozmieszczone wokół diagramu z osią czasu i przeglądać wyświetlane artykuły z nadzieją, że dostrzeże gdzieś to nazwisko.

Pięć minut później pokręciła ze zrezygnowaniem głową.

- Brak jakiegokolwiek wzmianki o Adolfie, jakby nigdy nie istniał.

- Jest za to pełno informacji o Führerze... wodzu - dodał Foster.

Maddy z frustracji zgrzytnęła zębami.

- Kim więc naprawdę jest Führer? - Otworzyła lokalną bazę danych, przechowywaną w pamięci komputera gigantyczną encyklopedię, i wyeksportowała pliki na temat naczelnego dowództwa, ludzi z najbliższego otoczenia Hitlera i jego prawdopodobnych następców. Heinrich Himmler? Hermann Göring? Martin Bormann? Joseph Goebbels?

- Może któryś z nich? - powiedziała, odwracając się do Sal i Fostera.

Mężczyzna bezradnie rozłożył ręce.

- To może być każdy z nich, Maddy.

- Albo żaden - cicho odezwała się Sal.

\*

Waszyngton rok 1956

Na głowę Liama posypały się kawałki tynku.

- Dobry Boże, pomóż nam! - jęknął, nurkując za biurko. - Są już w holu!

Powietrze wypełniał perkusyjny terkot ostrzału karabinowego i chrapliwy syk strzelb pulsacyjnych.

Bob wskazał na przeciwległy koniec pokoju.

- Rekomendacja: poszukaj schronienia w głębi pomieszczenia.

- A co z tobą?

- Zapewnię nam taktyczną przewagę.

- A co to u licha ma znaczyć?

Bob popchnął go delikatnie.

- Idź już - powiedział spokojnie, ignorując pociski, które wleciały z holu przez otwarte drzwi, hałaśliwie demolując maszynę do pisania i telefon na biurku, za którym się kryli.

- A co ze mną? - spytał mężczyzna w garniturze. Liam lekko się uśmiechnął.

- Póki co możesz się do nas przyłączyć, ale nie możemy zabrać cię ze sobą.

- Jezuu... Będę wniebowzięty, jeśli przeżyję następne kilka minut.

- Idźcie już! - nalegał Bob.

Liam wystawił głowę ponad biurko, spoglądając przez otwarte drzwi na hol. Kilkudziesięciu żołnierzy w czarnych mundurach ostrzeliwało barykadę zbudowaną przez oddział marines. Staccato amerykańskich karabinów słabło z każdą chwilą, dominował nieustający świst strzelb pulsacyjnych.

Liam uświadomił sobie, że Niemcy powystrzelali już niemal wszystkich obrońców, ostało się góra dwóch żołnierzy piechoty morskiej. Walka dobiegała końca.

„Musimy natychmiast uciekać” - pomyślał chłopak.

Pobiegł wzdłuż przejścia pomiędzy dwoma rzędami biurka, z dala od otwartych drzwi i kończącej się bitwy. Dopadł do znajdujących się na przeciwległej ścianie drzwi obitych drewnianą okleiną.

Mężczyzna w garniturze przybiegł tuż za nim.

- Gdzie prowadzą te drzwi?

- Na korytarz. Po prawej stronie znajdziemy drzwi zewnętrzne, przez które wyjdziemy do rozarium.

Liam odwrócił się. W miejscu, gdzie się ukrywali, unosiła się już musztardowa mgiełka. Dostrzegł jedynie niewyraźny zarys postaci, która mogła być Bobem.

- Czy twój przyjaciel do nas dołączy? - spytał mężczyzna.

- Mam taką nadzieję.

Ciemny kształt poruszył się nagle, wynurzył zza biurka i wybiegł przez drzwi do głównego holu. Kilka chwil później napastnicy wznowili ostrzał. Do uszu Liama dobiegł intensywny szum karabinów pulsacyjnych, alarmujące krzyki pełne paniki, przytłumione głosy wydające po niemiecku pospieszne rozkazy, kilka urwanych w połowie okrzyków, odgłosy zacieklej walki oraz dźwięk przewracanych mebli i tłuczonych szyb.

- Co tam się u licha wyprawia? - jęknął przerażony mężczyzna.

„Co Bob wyprawia” - poprawił go w myślach Liam.

Przez krótki moment czuł nawet coś w rodzaju współczucia dla napastników, gdy wyobraził sobie, na jaką miazgę potężne ręce klona mogą zetrzeć ciało człowieka.



Chwilę później za mgłą pojawił się rozmyty kształt nacierający w ich stronę niczym rozjuszony byk. Zza dymu wyłonił się Bob - jego twarz i ciało pokryte były cudzą krwią.

- Uzyskałem przewagę taktyczną - zameldował spokojnie klon.

W śliskich od świeżej krwi rękach trzymał maskę gazową i czarny, gumowy kaptur.

- Rada: powinieneś założyć maskę i kaptur, Liamie O'Connor. Nie zostaniesz rozpoznany z odległości większej niż metr.

- A co ze mną? - spytał mężczyzna.

Bob popatrzył na niego beznamiętnie.

- Nie zostałeś uwzględniony w priorytetach misji.

Chłopak wziął w dłonie mokry od krwi kaptur.

- Zabiłeś jednego z nich?

- Błąd. Zabitych zostało siedem jednostek wroga.

„Gołymi rękami?” - chciał zapytać Liam.

Bob spojrzał na nich surowo.

- Nie mamy czasu na prowadzenie tej konwersacji.

Liam spostrzegł kilka poszarpanych ran na biodrach i brzuchu klona.

- Jezusie! Bob, zostałeś postrzelony. I to nie raz!

- Rany zagoją się w ciągu trzech dni. Krew zgęstnieje. To nie priorytet. - Jednostka pomocnicza szybko odwróciła się do mężczyzny. - Pytanie: czy dysponujesz szczegółowymi

danymi na temat układu pomieszczeń w tej budowlu?

- Co? - mężczyzna pytając spojrział na Liama.

- Pyta, czy znasz inną drogę wyjścia - odpowiedział Liam.

- Ach, tak... Prosto.

Bob skinął z uznaniem.

- Dobrze.

- Hej! - powiedział Liam. - Wiem, jak możemy przedostać się przez ogród do zagajnika.

- Wyjaśnij - zażądał Bob.

## ROZDZIAŁ 38

Waszyngton rok 1956

Liam i mężczyzna w garniturze wyszli przez drzwi do różanego ogrodu z uniesionymi rękami. Zaslona dymna wciąż jeszcze była dość gęsta. Przez pływającą w powietrzu mgielkę widział grupki krzątających się na dziedzińcu niemieckich żołnierzy, którzy zganiali sprawnych jeńców w jedno miejsce i dobijali marines zbyt słabych, by wstać o własnych siłach.

Z wnętrza budynku wciąż jeszcze dochodziły odgłosy sporadycznych wystrzałów - to napastnicy w czarnych, gumowych kapturach i kombinezonach sprawdzali pokój po pokoju, likwidując ostatnie punkty oporu.

Kiedy szli przez labirynt dekoracyjnych krzewów w stronę głównego dziedzińca,

Liam spojrział na niebo i zobaczył, że gigantyczny spodek powoli zmierza ku centrum Waszyngtonu, od czasu do czasu wypuszczając przez klapy w podbrzuszu czarne punkty; oddziały żołnierzy sprawnie opadały na ziemię, aby wykonać kluczowe cele misji, czyli jak najszybciej zabezpieczyć budynki administracyjne oraz zakłady użyteczności publicznej i węzły komunikacyjne o kluczowym znaczeniu.

Tuż za więźniami maszerował Bob ze strzelbą pulsacyjną wymierzoną w ich plecy. Zakrwawiony kaptur i maska osłaniały jego mocną czaszkę.

Stojący w pobliżu żołnierz z odsłoniętą twarzą krzyknął coś do nich ponad wysokimi rabatkami róż.

Bob odpowiedział po niemiecku.

- O co pytał? - syknął Liam półgębkiem.

- Powiedziałem mu, że prowadzę was na przesłuchanie.

- Doskonale, Bob - szepnął Liam niemal z dumą. - Dobrze pomyślane.

- Jestem zaprogramowany tak, aby imitować ludzkie zachowania, na przykład kłamstwa lub powielanie...

- Ciii, zostaw to na później - wyszeptał Liam.

Przeszli przez ogród i skierowali się w poprzek północnego dziedzińca Białego Domu, w stronę młodniaka, w którym wylądowali. Liam z wybałuszonymi oczami przyglądał się rozrzuconym po całym dziedzińcu zwłokom. Zauważył tylko kilka niemieckich mundurów i ponad setkę zabitych marines. Wyglądało na to, że gdy wraz z Bobem znajdował się w środku, na odsiecz pod Biały Dom przybyły kolejne oddziały amerykańskich żołnierzy, na próżno usiłując uratować swojego prezydenta.

Zasłona dymna ukryła efekty masakry przed samym budynkiem, gdzie strzelający na oślep w mgłę obrońcy zostali skoszeni przez śmiertelny strumień karabinów pulsacyjnych.

Wśród rozpraszającego się dymu chłopak dostrzegł wreszcie zagajnik drzew cedrowych. Jego serce zabiło mocniej, kiedy zauważył pluton odpoczywających przy lasku niemieckich żołnierzy, którzy zdjęli maski i kaptury i rozmawiali przyjaźnie ożywionym tonem, paląc papierosy.

- Niech to szlag! Blokują drogę do domu!

- Drogę do domu? - Amerykanin spojrzał na niego podejrzliwie. - Przecież to tylko kilka drzewek!

- W tym zagajniku aktywowany zostanie nasz portal powrotny - oznajmił Bob przytłumionym przez kaptur głosem i sprawdził swój wewnętrzny zegar misji. - Okno zostanie otworzone dokładnie za godzinę, siedemnaście minut i trzydzieści cztery sekundy.

- Co u licha mamy teraz zrobić? - jęknął Liam pod nosem.

- Brak taktycznych zaleceń.

- Cudownie.

Chłopak rozejrzał się po dziedzińcu. Ożywczy, jesienny powiew wiatru rozprasał ostatnie smugi dymu. Liam dostrzegł, że po j manie wewnątrz budynku więźniowie są wyprowadzani na sam środek trawnika, gdzie stojący w kręgu niemieccy szeregowcy pilnują przygnębionych cywilów i żołnierzy, którzy zostali już skrzepowani i usadzeni na ziemi.

Poczuł, że po kręgosłupie spływa mu lodowaty strumień strachu.

„Zaraz każą Bobowi nas tam zagonić - pomyślał z rozpaczą. - A jeśli znajdę się wśród jeńców, utkwimy tu na dobre”.

Jego myśli usłyszeć musiał niemiecki oficer, który ciasno zawinął wokół pasa swój kombinezon bojowy, odsłaniając szarą bluzę Wehrmachtu. Mężczyzna wydał Bobowi rozkaz, wskazując na zakładników.

Bob przytaknął, odpowiedział i pokierował fałszywych jeńców w stronę pokonanych żołnierzy.

- Oficer kazał mi odprowadzić was w tamto miejsce - wymamrotała po cichu jednostka pomocnicza. - Jakie są twoje rozkazy, Liamie O'Connor?

- Naprawdę nie wiem. Co sugerujesz?

- Sugestia: mogę podjąć próbę zaatakowania żołnierzy przy zagajniku, ale szanse zdobycia przyczółka i utrzymania go do momentu pojawienia się okna powrotnego oceniam na pół procenta.

Czas uciekał, wyczerpywały się możliwości ucieczki. Związani jeńcy siedzieli przy sobie jedynie kilkanaście metrów dalej; nawet jeśli maksymalnie zwolnią kroku i tak znajdą się tam za kilka chwil.

- Sugestia: zostawię cię w grupie więźniów i spróbuję cię uratować, gdy prawdopodobieństwo powodzenia przekroczy dziesięć procent.

Liam zacisnął zęby.

Nie. Grad pocisków wysokiego kalibru spadnie na nich, zanim zdążą pokonać połowę dystansu do zagajnika. Bob mógł sobie pozwolić na zebranie kilku kulek, ale Liam umrze od pierwszego pocisku... biorąc pod uwagę głębokie, szarpane rany, jakie zadaje broń pulsacyjna.

- W tej chwili nic nie możemy zrobić, Bob. Wygląda na to, że musimy zrezygnować z tego okna - mruknął dyskretnie. - Nie chcę, żeby podczas próby ucieczki odstrzelili mi głowę. Ile jeszcze?

- Godzina i piętnaście minut.

- Ale uruchomiony zostanie jeszcze jeden portal?

- Potwierdzam, za godzinę. I kolejny za następne dwadzieścia cztery godziny.

Od najbliższych strażników i skrupowanych na ziemi jeńców dzieliło ich już tylko kilka metrów.

- Zostaw mnie tu, a przy pierwszej nadarzającej okazji spróbuj mnie uratować. Ale, na łaskę Pana, nie pozwól, aby nas przy tym zabito.

- Jakie prawdopodobieństwo powodzenia akcji jest akceptowalne, Liamie O'Connor?

- Nie mam pojęcia! - syknął pod nosem. - Wybierz najdogodniejszy moment.

Jeden ze strażników krzyknął coś, wskazując Liama i towarzyszącego mu Amerykanina.

- Każe mi was tu zostawić - spokojnie powiedział Bob. W głębokim, monotonnym głosie jednostki Liam wyczuł delikatną nutkę niepokoju.

- Zrób, co każe i śledź nas, jeśli nas stąd zabiorą... czekaj na szansę, aby wydostać mnie z tej kabały. Rozumiesz?

- Priorytet misji: podstawowe zadanie to obserwacja i złożenie raportu.

- Co? Nie możesz mnie tu zostawić, Bob! Rozumiesz? - Liam zaklął pod nosem. - To rozkaz!

Strażnik podszedł do nich i brutalnie chwycił Liama za ramię.

- Cicho! - powiedział z wyraźnym akcentem. - Dołącz do pozostałych!

Chłopak chwiejnym krokiem podszedł do grupy jeńców i kucnął tuż przy nich. Bob, z twarzą ukrytą za maską i pod kapturem, stał nieruchomo, przyglądając się scenie.

Oficer po drugiej stronie trawnika krzyknął do Boba, aby pomógł rzucać ciała na stos

do spalenia.

Jednostka odwróciła się z wahaniem.

Za szklanymi okularami maski przeciwgazowej skomplikowany procesor z wczytanymi zasobami sztucznej inteligencji, wciąż przyswajający nowe informacje jak uczące się świata dziecko, rozpaczliwie zonglował priorytetami misji i zmiennymi sytuacyjnymi i analizował miliony scenariuszy postępowania.

Liam patrzył na ociężałą postać, która oddalała się powoli.

„A niech mnie! W co też ja wdepnąłem!” - pomyślał z wściekłością.

## ROZDZIAŁ 39

Nowy Jork rok 2001

- Madelaine, ile czasu do aktywacji okna powrotnego? - spytał Foster.

Maddy spojrzała na ekran.

- Odliczamy ostatnie dwie minuty - odpowiedziała.

- W porządku. Niedługo dowiemy się, co chłopcy tam zobaczyli i czego się dowiedzieli. - Uśmiechnął się delikatnie.

Nagle wymazanie historii sprzed tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku nie pozwalało im dokładnie określić czasu i miejsca przesunięcia ani wysłać tam agentów. Oczywiście usunięcie danych historycznych mogło wynikać jedynie z kaprysu szalonego dyktatora z przerośniętym ego, ale przyniosło również dodatkowy skutek: spowodowało całkowite zamazanie śladów przesunięcia czasowego. Jeśli właśnie to chciał osiągnąć ten podróżnik w czasie, postąpił sprytnie. Bardzo sprytnie. Ukrył wszelkie tropy, wskazówki i

przesłanki, które pozwoliłyby zidentyfikować dokładny moment jego przybycia do przeszłości.

„Bardzo sprytnie” - zadumał się Foster.

Maddy przerwała bieg jego myśli.

- Foster... wyświetliło się jakieś okienko dialogowe z komunikatem o błędzie.

Spojrzał na nie.

Zaburzenia gęstości wokół punktu ekstrakcji

anulować czy kontynuować?

- System wykrył zmienne stężenie gęstości wokół okna powrotnego - stwierdził mężczyzna.

- To znaczy?

- Na minutę przed powrotem agentów skanowany jest obszar wewnątrz okna ekstrakcji. Jeżeli wokół portalu panuje nieprzewidziany ruch, w pobliżu znajdować się mogą nieświadomi niczego ludzie bądź zwierzęta. Jeśli sytuacja utrzymuje się dłużej, w komputerze wyświetlany jest komunikat o błędzie.

- Co robimy?

- Czekamy, zobaczymy, czy sytuacja się utrzyma - odpowiedział, wskazując wyświetlony na ekranie wykres. - Nastąpił nagły wzrost współczynnika gęstości. Ktoś lub coś kilka sekund temu przeszło przez portal.

- Chyba ich nie zostawimy? - spytała Sal łamiącym się głosem.

- Oczywiście, że nie - upewnił ją Foster. - Jeśli będziemy zmuszeni zamknąć to okno,



ponownie spróbujemy za godzinę.

Spojrzał na ekran. Wahania gęstości ustały.

- Wygląda na to, że to tylko jednorazowy skok - powiedział. - Prawdopodobnie w pobliżu przeleciał ptak lub jakiś przedmiot porwany podmuchem wiatru. Zdarza się to dość często.

- W porządku. - Sal zdobyła się na błądy uśmiech.

- Trzydzieści sekund - zakomunikowała Maddy. - Anulować czy kontynuować?

Współczynnik gęstości na ekranie utrzymywał się na stałym poziomie. Bez względu na to, co przeszło przez portal, nie miało zamiaru wracać. Najprawdopodobniej Liam próbował wejść odrobinę za wcześnie, ale jednostka pomocnicza poradziła mu na chwilę się wstrzymać, a teraz obaj cierpliwie czekają na powrót do domu.

- Kontynuować - rozkazał Foster.

Maddy kliknęła przycisk myszy, zamykając okno dialogowe na ekranie.

- Dziesięć sekund.

Sal podeszła na środek pomieszczenia, aby powitać wracających kolegów.

- Nie podchodź tam, Sal - pouczył Foster, wskazując narysowane na betonie żółtą kredą, nieco już zamazane, koło. Wyznaczało ono rozmiar okna powrotnego. - Naprawdę nie chciałybyś się w nim znaleźć, kiedy się otworzy.

- Pięć sekund.

Generator zaterkotał, wszystkie światła zamigotały i przygasły. Foster przyjrzał się wykresowi na ekranie, spodziewając się skoku gęstości w momencie, gdy Liam i Bob wejdą do portalu. Ale linia nie drgnęła nawet na centymetr.

„Dalej chłopcy... przestańcie się wygłupiać” - zaniepokoił się Foster.

- Trzy... dwa...

Linia na wykresie gwałtownie podskoczyła.

Wszystkie światła zgasły.

Po kilku sekundach rozbłysły ponownie. Foster odwracał się już, aby zganić chłopaków za zwlekanie do ostatniej chwili, kiedy usłyszał krzyk Sal.

Na środku kredowego kręgu stał młody mężczyzna, wpatrując się w nich ze strachem i oszołomieniem. Był to młody, może kilka lat starszy od Liama, żołnierz ze ściętymi na jeża, jasnymi włosami i bladymi policzkami ministranta umazanymi błotem i plamami krwi. Miał na sobie czarny, elastyczny kombinezon zwinięty do wysokości pasa oraz szary mundur wojskowy z naszytymi na kołnierzu dębowymi liśćmi i przypiętym do piersi orłem.

Rozbiegany wzrok błędził od Sal do Maddy, od Fostera do... odrąbanych kończyn leżących wśród rozrzuconych suchych liści i gałęzi oraz okrągłych kępek trawy i brył ziemi zroszonej krwią.

- Was...? Was ist das? - żołnierz spojrzał na leżące na ziemi ucięte kończyny, z których na betonową podłogę wyciekała jeszcze krew. - Was geschiecht? Wo bin ich?

Jego usta drgały ze strachu, łamiący się głos przechodził w zawodzenie, podobne do lamentu małego dziecka, które zgubiło się w zatłoczonym supermarkecie.

Maddy zareagowała najszybciej. Wstała i podeszła do młodzieńca z uniesionymi rękami.

- Nie ma się czego bać - przybrała matczyńny ton. - Wszystko dobrze... Nikt nie zrobi ci krzywdy.

Młodzieniec oprzytomniał na tyle, aby wyjąć z kabury pistolet i wymierzyć lufę prosto w pierś dziewczyny.

- Halt, stehen bleiben! Wer sind Sie? Wo bin ich?

Maddy potrząsnęła głową.

- Nie... nie mówię po niemiecku, przykro mi - odpowiedziała z przyjaznym uśmiechem.

- Niech mówi jak najdłużej - szeptem poinstruował Foster.

Dziewczyna wskazała na siebie.

- Na... imię... mam... Maddy? A Ty?

Młody Niemiec trząsł się ze strachu i oddychał chrapliwie, przypatrując się jej bez słowa.

- Jak ci na imię? - spytała swoim najśłodszym tonem. - To... - powiedziała, wskazując młodszą koleżankę - To jest Sal.

- Cześć! - powiedziała dziewczyna, uśmiechając się przymilnie i powolutku wyciągając dłoń na powitanie.

Patrzył to na jedną, to na drugą dziewczynę.

- Ich... Ich bin Feldweibel Lohaans.

Maddy odgadła, że to stopień i nazwisko.

- Ale jak masz na imię? - zapytała, postępując jeszcze jeden krok do przodu.

Młodzieniec nerwowo poderwał broń.

- Stehen bleiben!... Stój! - krzyknął, oblizując suche wargi.

Dziewczyna zamarła i przepraszająco potrząsnęła głową.

- Przepraszam, zostanę tam, gdzie stałam. Nie zrobię ci krzywdy.

Przytaknął na znak, że rozumie i wziął kolejny głęboki oddech.

- Jesteście... Amerykaner?

- Tak. - Uśmiechnęła się.

- To...? - zaczął i wzruszył ramionami, nie mogąc znaleźć właściwych słów, aby dokończyć pytanie.

- To miejsce to Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Nowy Jork. - To... Nowy Jork? - Chłopak wybałuszył oczy ze zdziwienia.

Kiwnęła głową.

- Waszyngton... zehn - parsknął nerwowo, po czym świsnął przeciągle. - Nowy Jork?

- Zgadza się - odpowiedziała dziewczyna. - A teraz jesteś tutaj. Szalone, prawda?

Było to chyba jedno z trzech, może czterech angielskich słów, które znał.

- Ja... szal-one! - przytaknął z niedowierzającym uśmiechem.

Generator zawarczał bez zapowiedzi, światła zamigotały, a chwilę później młody żołnierz, ręka, noga i niemal wszystkie kępki trawy i kawałki ziemi zniknęły.

- Co się stało?

- Uruchomiłem zrzut awaryjny - odpowiedział Foster. - Wrócił w miejsce, z którego przybył. Chociaż...

- Co?

- W tej chwili to nieważne - odpowiedział, spoglądając na Maddy i Sal. - Wygląda na to, że ten niemiecki żołnierz został wyspany przez nasz system wprost z pola bitwy, z trawnika przed Białym Domem.

- Inwazja?

- Zgadza się. Pierwszy dzień zarejestrowanej, a właściwie aprobowanej historii, to dzień, w którym Stany Zjednoczone zostały podbite przez Niemcy. Dokładnie jak myśleliśmy.

- O nie - szepnęła Maddy. - To znaczy, że przenieśliśmy Liama i Boba w sam środek bitwy.

- Ale zdołamy ich stamtąd wyciągnąć, prawda? - Twarz Sal pobiła.

- Za godzinę spróbujemy ponownie. Ale tylko jeśli w ostatniej chwili nie odnotujemy podobnych skoków gęstości. Nie zamierzam sprowadzać tutaj kolejnego Niemca. Ani w całości, ani w kawałkach.

- A jeśli nie uda nam się sprowadzić Liama z powrotem? Czy to koniec? Utknie tam na dobre?

- Zgodnie z harmonogramem kolejny portal możemy otworzyć dopiero po upływie dwudziestu czterech godzin.

- A jeśli znowu nie zdąży?

- Medelaine! To łebski chłopak. Ma ze sobą Boba. Poradzą sobie bez najmniejszego problemu. Zresztą, mówiłem ci już, że możemy nawiązać z nimi kontakt, poinformować ich,

gdzie i kiedy uruchomione zostanie kolejne okno ekstrakcji. - Zrobił pauzę i spojrzał na obie dziewczyny. - Najważniejsze zadanie, jakie stoi w tej chwili przed nami, to dowiedzieć się, czy powstało więcej przesunięć, czy rzeczywistość w zmienionej postaci jest stabilna i czy nie grozi nam gorszy scenariusz.

- Możemy zrobić coś jeszcze?

- Jedyne, co w tej chwili możemy zrobić, to określić, gdzie i kiedy nastąpiła zmiana historii, odrobinę zawęzić zakres poszukiwań. Zgaduję, że coś musiało wydarzyć się podczas drugiej wojny światowej, coś co zaburzyło równowagę.

- Tak... możliwe - zgodziła się Maddy.

- Posłużymy się więc dostępnymi środkami - kontynuował Foster. - Powęszymy w Nowym Jorku. Być może zdołamy znaleźć wskazówki dotyczące wydarzeń sprzed inwazji na Amerykę. Zgadzacie się?

Maddy przytaknęła.

- Sal?

Dziewczyna spojrzała na niego załzawionymi oczami.

- Biedny Liam - zakwiliła. - Oby nic mu się nie stało.

Foster podniósł się z trudem i podszedł do Sal. Pochylił się nad nią i powiedział:

- Nie martw się, wróci cały i zdrow. Bob nie pozwoli go skrzywdzić, obiecuję.

- Co teraz?

- Potrzebujemy więcej informacji. Ponownie udasz się na Times Square, gdzie znajdziesz bezpieczne miejsce i będziesz obserwować okolicę. Postaraj się odnotować wszystkie wizualne tropy i zapamiętać wszelkie informacje odnoszące się do okresu przed

tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym rokiem. Aha, Madelaine?

Uniosła brwi w skupieniu.

- Musimy wykraść ich historyczną bazę danych. Spróbuj złamać zabezpieczenia, może uda nam się dowiedzieć czegoś więcej. Później przygotujemy się do aktywacji portalu powrotnego. - Wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby. - Miejmy nadzieję, że tym razem w okolicy nie będzie niemieckich oddziałów.

## ROZDZIAŁ 40

Waszyngton rok 1956

Bob przyglądał się panującej wokół niego krzątaninie. Chłodny wzrok wbił w gigantyczny dysk, który z wdziękiem unosił się ponad miastem, sporadycznie wypluwając oddziały żołnierzy. Z oddali dochodziły odgłosy strzelaniny i głucho dudnienie eksplozji. Gdzieś w mieście broniły się jeszcze rozproszone garstki amerykańskich żołnierzy, nieświadomych faktu, że wojna dobiegła końca, że ich przywódca - prezydent Eisenhower - zginął podczas walki, a jego ciało wyciągnięto z budynku i rzucono na schody Białego Domu obok zwłok pozostałych członków rządu i szefów sztabu.

Stojący w pobliżu oficer oswobodził się właśnie z kombinezonu spadochronowego, poprawił mundur i garnizonową czapkę Wehrmachtu i wrócił do energicznego dyrygowania pracą na placu.

- Ty! - Wskazał na Boba. - Ściągaj maskę. Powietrze już czyste.

Bob bez słowa zdjął maskę przeciwgazową. Krótkie, szorstkie włosy, które zaczęły rosnać ledwie dwa tygodnie temu, i mocne, beznamiętne rysy twarzy czyniły go ludozako podobnym do reszty żołnierzy z oddziałów szturmowych.

- Po uprzątnięciu tego bałaganu będziesz mógł odpoczywać do woli - spokojnie powiedział oficer. - A teraz rusz się wreszcie, człowieku.

Na ułamek sekundy klon zmrużył oczy, analizując, czy w dalszym ciągu powinien udawać wrogą jednostkę, czy przebiec te kilka metrów po zrytej trawie i wyrwać mężczyźnie rękę z obręczy barkowej.

„Atak: w tym momencie taktycznie niewskazany” - przemknęło przez procesory w głowie Boba.

Odwrócił się, sięgnął po ciało żołnierza piechoty morskiej, przerzucił zwłoki przez ramię i podążył z nimi w stronę powoli rosnącego usypiska ciała. Niedoświadczony mózg silikonowy Boba próbował teraz rozgryźć inne zagadnienie, o wiele istotniejsze niż jakiegokolwiek doraźne analizy taktyczne. Musiał podjąć decyzję o charakterze strategicznym...

Warianty taktyczne:

Uratowanie agenta operacyjnego, Liama O'Connora.

Powrót do biura terenowego z zebranymi informacjami wywiadowczymi.

Uniemożliwienie dalszego zanieczyszczenia historii - autodestrukcja.

Sztuczna inteligencja Boba pozwalała mu podejmować szybkie decyzje jedynie przy niewielkiej liczbie dostępnych wariantów - optymalnie dwóch lub trzech. Szerszy wachlarz opcji proporcjonalnie zwalniał proces oceny ryzyka.

Bob przeskanował zbitych ciasno więźniów i szybko zidentyfikował Liama, żałośnie skulonego wśród nich. Gdyby klon miał odrobinę więcej czasu, aby nauczyć się odczytywać z ludzkich twarzy emocje i interpretować mimikę, na pewno zauważyłby, że na twarzy młodzieńca maluje się mieszanina strachu, gniewu i poczucia zdrady.

Nagle odnotował poruszenie w cedrowym zagajniku, w miejscu, w którym miało



zostać aktywowane okno powrotne. Żołnierze zgromadzili się wokół czegoś leżącego na ziemi. Przedstawiało to na tyle nieprzyjemny widok, że jeden lub dwaj żołnierze, zgięci w pół, rżęzili w konwulsjach wymiotów. Bez względu na źródło zamieszania, w zagajniku zgromadziło się zbyt wielu ludzi, by uznać go za bezpieczny punkt ekstrakcji. Przynajmniej na razie. Klon uznał, że w tej chwili najbliższym parametrem misji jest pierwszy wariant: uratowanie Liama.

Wariant drugi oznaczał uwięzienie chłopaka w przeszłości, co wiązało się z ryzykiem tortur, a co za tym idzie, wyjawienia szczegółowych informacji na temat przyszłości.

Wariant trzeci, automatyczne spalenie elektronicznego mózgu, nie przyniósłby w tej chwili żadnego pożytku.

Bob odchylił głowę.

Wariant pierwszy ma najwyższy współczynnik zgodności z celem misji. Klon na chwilę przymknął oczy.

Sposób postępowania dla wariantu pierwszego:

**CZekać** na drugie okno ekstrakcji. Pozostały czas: 57 minut i 30 sekund.

**DZIAŁAĆ**, jeśli prawdopodobieństwo uwolnienia Liama przekroczy 25 procent.

**CZekać** kolejne 24 godziny na trzecie okno ekstrakcji, jeśli uwolnienie nie będzie możliwe.

Bob otworzył oczy i cisnął zwłoki na stos. Rozwiązanie było akceptowalne, choć wiązało się tylko z pasywnym oczekiwaniem i obserwacją. Nie zamierzał wysadzać się w powietrze ani opuszczać chłopaka - wykorzysta pierwszą nadarzającą się sposobność, aby uratować Liama. W toku dalszej analizy wykrył jednak, że na podjętą decyzję miał wpływ jeszcze jeden czynnik, któremu nie potrafił przypisać rozpoznawalnej etykiety. Póki co postanowił nazwać go „nieuchwytnym czynnikiem”. Nieuchwytny czynnik nie został wygenerowany w bazie danych ani za pomocą kodu sztucznej inteligencji - pochodził z małej,

organicznej części mózgu, drobnej grudki pomarszczonej tkanki połączonej wewnątrz czaszki wachlarzem cieniutkich, włoskowatych zwojów z silikonowo-komórkowym procesorem. Nieuchwytny czynnik szeptał do logicznie ustrukturyzowanego umysłu Boba bardzo nielogiczne i niepraktyczne komunikaty, wprowadzając zamęt do precyzyjnie zaprojektowanego kodu sztucznej inteligencji: „Liam O’Connor to mój przyjaciel”.

## ROZDZIAŁ 41

okręt powietrzny Führera nad Waszyngtonem rok 1956

Oberlejtant Ralf Hoffman wszedł na platformę załadunkową z dwoma szeregowcami dźwigającymi ciężki worek ze zwłokami. Ostrożnie odłożyli go na ziemię i, podobnie jak oficer, zadarli głowy, z zachwytem patrząc na gigantyczny, szary kadłub okrętu dowodzenia Führera.

Oddział Hoffmana, 23. Jednostkę Strzelców Spadochronowych, zakwaterowano na okręcie. Oficer doskonale poznał pokład statku powietrznego, ale dopiero obserwowanie maszyny z zewnątrz uświadomiło mu jej ogrom.

Platforma załadunkowa, a właściwie kwadratowy cokół z metalowego stopu zdolny pomieścić ciężarówkę, z wolna zaczęła się unosić. Biały Dom i imponujące bulwary Waszyngtonu stopniowo malały pod stopami.

Hoffman przyglądał się słabnącemu światłu późnego popołudnia, które ustępowało nadciągającemu zmierzchowi. Zasnute dymem niebo nad miastem przybierało nowy odcień. Nie działały latarnie, w budynkach nie było światła. Elektrownie zasilające miasto stały się celem pierwszej fali natarcia. Waszyngton rozświetlały jedynie odbłaski pożarów i kłujące ogniki przerywanej strzelaniny na ulicach miasta.

Odetchnął głęboko.

Nerwy.

Wznosili się na Das Mutterschiff... „okręt matkę”, jak kolosalny statek nazwała załoga. Platforma zatrzyma się dokładnie na górnym pokładzie zabudowanym długim szeregiem wielkich okien z widokiem na świat poniżej. Znajdą się na tarasie widokowym Führera.

Hoffmana nigdy wcześniej tam nie zaproszono. Nie licząc najwyższego dowództwa Führera i szefów sztabu, niewiele osób dostało tego zaszczytu. Nie było to zwykłe stanowisko dowodzenia, ale serce kampanii prowadzonej przez wielkiego wodza. Miejsce ze wszech miar wyjątkowe.

Platforma wznosiła się powoli, otoczona kokonem głuchego terkotu silników. Oberlejtant spojrzął na szeroko otwartą klapę w kadłubie. Bez zapowiedzi zapaliły się światła reflektorów, wysyłając potężne kolumny światła, które przebiły się przez mrok i zaczęły omiatać miasto w dole. Hoffman skrzywił się i osłonił oczy. Patrzył na statek akurat w momencie, gdy włączyli to ustrojstwo; aż dziw bierze, że nie oślepl.

„Ralf... naprawdę go poznasz. Już za chwilę. Przygotuj się” - gorączkował się oficer.

Jego ciałem wstrząsnął dreszcz strachu i ekscytacji. Zrobiło mu się głupio. Za żadne skarby nie chciałby wyjść przed Führerem na podekscytowanego żołdaka. Marzył o tym, aby zrobić dobre wrażenie. Zachowa spokój i profesjonalizm, jak przystało na oficera elitarnego oddziału strzelców spadochronowych. Tylko ci szeregowcy! Bezwstydnie szczyrzyli zęby - jak dzieci, które za chwilę usiądą na kolanach świętego Mikołaja.

- Wy dwaj! - rzucił z rozdrażnieniem. - Wyglądacie idiotycznie. Weźcie się w garść i zetrzyjcie z twarzy te małpie uśmiešky.

Żołnierze posłusznie przywołali się do porządku i ukryli radość pod marsowym, defiladowym obliczem.

Hoffmann spojrzął na worek ze zwłokami. Jego przełożony otrzymał rozkaz od samego Marszałka Rzeszy Haasa, najwyższego rangą oficera w armii Führera. Wódz pragnie zobaczyć to interesujące ciało na własne oczy i usłyszeć relację bezpośrednio od świadków

wydarzenia.

Dochodzący z góry łoskot wzbierał na sile. Mężczyzna podniósł wzrok, ostrożnie zasłaniając oczy - rampa załadunkowa znajdowała się jedynie dwadzieścia lub trzydzieści stóp nad nimi.

Platforma z szarpnięciem zatrzymała się przy rampie, na której czekało kilku stojących na baczność gwardzistów z dywizji SS Leibstandarte, ubranych w schludne reprezentacyjne mundury.

Przestraszył się, że mogą przejąć od nich worki i odesłać Hoffmana z dwójką szeregowców z powrotem na dół. Na szczęście jeden z gwardzistów nieznacznie skinął głową, wskazując im drogę.

Klatka schodowa chroniona przez kolejną parę wartowników zawiodła ich na górny pokład. Boazeria z ciemnego dębu zastąpiła szare ściany okrętu wojennego, do których Hoffmann i jego żołnierze zdążyli się już przyzwyczaić, gdy cisnęli się stłoczeni jak sardynki na dolnych pokładach Das Mutterschiffdostojnie żeglującej na południe od podbitego obszaru Nowego Jorku. Na podłodze, zamiast metalowych krat, leżał miękki, rdzawoczerwony dywan, tłumiący stukot zabłoconych butów wojskowych.

Znaleźli się przed podwójnymi drzwiami strzeżonymi przez następną parę stojących na baczność gwardzistów SS Leibstandarte.

- Oberlejtnant Hoffman do Führera! - oznajmił strażnik eskortujący ich z rampy.

Jeden z dwójki żołnierzy strzegących drzwi zapowiedział ich przybycie przez interkom. Kilka chwil później z biura wyszedł elegancko ubrany, młody adiutant.

- Ach, świetnie! - Uśmiechnął się. - Zapraszam za mną.

Gdy młody mężczyzna otwierał dwuskrzydłowe drzwi, Hoffman poczuł, że jego serce zaczyna walić jak młotem. Pierwszy rzut oka na komnatę Führera był dla Hoffmanna przeżyciem niemal nie do zniesienia.

„Pamiętaj - spokój i opanowanie. Zrób na Führerze dobre wrażenie” - przestrzegał się w myślach.

Adiutant łagodnym tonem zamienił kilka słów z kimś z wewnątrz pokoju.

- Wejdźcie! - Uśmiechnął się efektownie i gestem zaprosił do środka.

Hoffman przekroczył próg, tuż za nim weszli szeregowcy z workiem ze zwłokami. Pierwsza rzuciła mu się w oczy długa ściana szerokich okien wyginających się w łagodny łuk, jak na rufie osiemnastowiecznego masztowca. Jasna poświata reflektorów wlewała się przez szyby, oświetlając bogato zdobiony sufit wielkiej sali. Na zewnątrz rozciągały się zarysy skąpanego w ciemności miasta, nad którym przelewały się groźne, burzowe chmury wrześniego nieba; widok ograniczały ramy okien, tworząc coś na wzór gigantycznego ruchomego pejzażu.

Za długim stołem konferencyjnym - który ugiął się pod ciężarem map wschodniego wybrzeża Ameryki i niezliczonych flag symbolizujących niemieckie wojska najeźdźcze - stał Führer. Był wysoki, szczupły i charyzmatyczny. Plakaty nie kłamały.

Towarzyszył mu Marszałek Rzeszy: surowa twarz, atletyczny wygląd i czujna postawa odpowiadały jego reputacji. Nie było tajemnicą, że los połączył Haasa i Führera dawno temu, że znają się od ponad dekady. Mówiono, że po raz pierwszy spotkali się służąc podczas drugiej wojny światowej. O ich wcześniejszych powiązaniach oczywiście nikt nie wiedział.

Była to bardzo tajemnicza para.

- Ty prowadziłeś atak? - Führer wielkodusznie uśmiechnął się do Hoffmana.

- Tak jest, m...mein Führer! - niezręcznie zająknął się Hoffman.

Mężczyzna lekceważąco machnął ręką.

- Proszę się odprężyć, oberlejtncie... Ja nie gryzę. Pan dowodził szturmem na Biały Dom?

- Tak jest, mein Führer.

- Moje gratulacje. Doskonała robota.

W piersi Hoffmana wezbrała duma.

- Masz mi coś do pokazania, jak mniemam - zagadnął Paul Kramer.

## ROZDZIAŁ 42

Waszyngton rok 1956

- Gdzie... gdzie idziemy? - spytał Liam.

Z tylnej części ciężarówki wojskowej opadła rampa. Niemieccy żołnierze, wymachując bronią, pędzili ich na pakę.

- Do obozu reedukacyjnego - odpowiedział ubrany w garnitur mężczyzna, którego wcześniej przesłuchiwali w Białym Domu.

- Co?

- Słyszałem, że tak postąpili z mieszkańcami Nowego Jorku po zdobyciu miasta. Niemcy wszystkich tam wysyłają.

- Obozy reedukacyjne?

- Więzienia, jeśli nazwiemy rzeczy po imieniu. Tam zostaniemy skierowani - westchnął Amerykanin.

- Jeśli nam się poszczęści.

Liam odwrócił się, by na niego spojrzeć.

- A... a co, jeśli będziemy mieli pecha?

- Zabiorą nas w jakieś ustronne miejsce i zastrzelą.

Liam poczuł suchość w ustach i ciarki na ciele. Wyrzął na zewnątrz ponad głowami współwięźniów, po raz kolejny szukając wzrokiem Boba. Jeśli jednostka pomocnicza rzeczywiście ma mu pomóc, powinna natychmiast wziąć się do roboty i zrobić cokolwiek.

Zapadający zmierzch utrudniał obserwację, ale chłopakowi udało się dostrzec wyraźny zarys szczególnie wysokiego i muskularnego żołnierza w niemieckim mundurze, który stał w całkowitym bezruchu sto metrów dalej i bacznie przyglądał się Liamowi.

„Czyżby Bob?” - przemknęło przez myśl chłopcu.

- O Jezusie... no dalej, Bob! Wyciągnij mnie stąd! - jęknął pod nosem.

Mężczyzna w garniturze spojrzał na niego podejrzliwie.

- Hej, mały. Ty i twój duży kumpel wygadywaliście dziwne rzeczy o przyszłości, gdy byliśmy w...

- Tak - z roztargnieniem odpowiedział Liam. - Mam wrażenie, że w obecnej sytuacji nie ma najmniejszego znaczenia, skąd naprawdę pochodzimy. - Wyciągnął szyję, by po raz ostatni spojrzeć na Boba, ale samotna, nieruchoma sylwetka zniknęła.

Boże, dopomóż!

Jeden z żołnierzy krzyknął z poirytowaniem na Liama, aby ten wskakiwał na rampę i do ciężarówki. Chwycił chłopaka za rękę i pchnął do przodu.

- Rób, co ci każą - mruknął stojący obok mężczyzna. - Powinieneś się cieszyć, że nie zastrzelili nas wszystkich na trawniku.

Liam przyspieszył kroku, wdrapał się na ciężarówkę i usiadł w ciemności na drewnianej ławce. Miał nadzieję, że mężczyzna nie dostrzegł dwóch śladów łez spływających po jego umorusanych policzkach.

Bob patrzył, jak ostatni więźniowie wspinają się na pakę ciężarówki, jak kierowca uruchamia silnik, a z rur wydechowych buchają kłęby dymu.

„Szansa powodzenia: pół procenta” - przemknęło przez głowę klona.

Ratowanie Liama O’Connora w tym momencie nie miało praktycznego uzasadnienia. Ciało Boba zregeneruje się nawet po postrzeleniu kilkunastoma pociskami. Ale Liam... Klon patrzył, jak ciężarówka odjeżdża z dziedzińca, przejeżdża przez bramę, podskakuje na nierównym chodniku i wyjeżdża na szeroką, asfaltową drogę.

Najwyższym priorytetem w tym momencie jest powrót do przyszłości ze skąpą ilością danych wywiadowczych, które udało im się zgromadzić. Zgodnie z protokołem ostatni portal powrotny zostanie uruchomiony przez biuro terenowe za dokładnie dwadzieścia cztery godziny. Według analiz Boba najlepszym rozwiązaniem było przeczekaanie tego okresu w ukryciu. Pociski zostawiły na tułowiu klona kilka ran, ale kule nie sięgnęły kluczowych organów, a krew skrzepła, tamując dalszy ubytek płynów ustrojowych. Rany wymagały jednak oczyszczenia, dezynfekcji i opatrzenia. Komunikat wysłany za pomocą oprogramowania był jednoznaczny: prawdopodobieństwo rozprzestrzenienia się infekcji bakteryjnej na organiczną część jego ciała, a co za tym idzie ryzyko ostatecznej awarii systemowej, wynosi osiemdziesiąt trzy procent.

Umrze... zupełnie jak człowiek.

Oddalił się od żołnierzy, którzy zaczęli już nieufnie zerkać na nieznaną twarz. Szybko przemaszerował przez dziedziniec przed Białym Domem i zniknął w powszechnym rozgardiaszu. W zmroku wyglądał na kolejnego szeregowca, który spieszy wykonać



niecierpiący zwłoki rozkaz.

## ROZDZIAŁ 43

okręt powietrzny Führera nad Waszyngtonem rok 1956

Kramer odwrócił się, by spojrzeć przez rozległe okna obserwacyjne na Waszyngton - spowite ciemnością, spokojne miasto. Spodziewał się zdecydowanie większego oporu. Zdobycie stolicy zajęło im dwie doby. Decydująca bitwa rozegrała się pierwszego dnia na północnych przedmieściach. Już na samym początku czołgi amerykańskie, słabo uzbrojone i powolne Shermany MkIIs, zostały wymanewrowane i wzięte w krzyżowy ogień przez niemieckie Blitz Raptory MkVIs - dla zwinnych, poduszkowych platform strzelniczych raptorów była to bułka z masłem.

Napędce skonstruowane okopy ciągnące się ze wschodu na zachód miasta zostały sforsowane bez wysiłku. Amerykańskie pozycje obronne rozsypały się już wczesnym rankiem drugiego dnia bitwy o Waszyngton. Elitarne oddziały strzelców spadochronowych, Fallschirmjäger, wyposażone w sprzęt do lądowania z gazem napędowym i nowoczesne strzelby pulsujące, zostały zrzucone za łamiącą się linię obrony Amerykanów, szerząc chaos i panikę w szeregach wroga.

Dzisiaj zostało im tylko sprzątanie bałaganu.

Amerykanie zdołali jeszcze zorganizować kilka punktów oporu. Oddziały wywiadowcze informowały o brygadzie amerykańskich marines trzymających silną pozycję w jednej z południowych dzielnic stolicy. W całym mieście pojawiały się też niezorganizowane grupki stawiających opór żołnierzy. Amerykanom brakowało jednak czasu, aby przeciwstawić armii niemieckiej coś ponad chaotyczną zbieraninę zmęczonych wojną żołnierzy, którzy skupili się wokół Białego Domu.

Kramer pokręcił głową. Ostatnie chwile prezydenta Eisenhowera wydawały się żalodne i wyprane z godności. Liczył na dużo bardziej spektakularne zakończenie kampanii. Tymczasem Ameryka legła u jego stóp, skomląc zamiast walczyć do ostatniej kropli krwi.

Skorzystali na tym oczywiście cywile, długa kampania jesiennozimowa kosztowałaby przecież życie wielu niewinnych ludzi. Do Amerykanów nie odczuwał żadnej awersji, w końcu z tego kraju pochodziła jego matka - kobieta urodzona w Minneapolis. On sam miał kiedyś paszport amerykański. Rozbawiła go absurdalna złożoność tej sytuacji. Jego matka, Sally-Anne Gardiner, nie przyjdzie na świat za czterdzieści pięć lat ani nie pobierze się z jego ojcem, Borysem Kramerem, za lat sześćdziesiąt pięć. A jednak jej syn został wodzem narodu niemieckiego, związku państw europejskich... a teraz Stanów Zjednoczonych. „Czyż nie na tym właśnie polega niedorzeczność podróży w czasie?” - pomyślał.

O tych osobistych zależnościach wiedzieli wyłącznie ludzie z najbliższego otoczenia wodza: Karl Haas i trzech najemnicy, którzy przybyli wraz z nim w wehikule czasu i zdołali przeżyć do dzisiaj. Szturm na zimową rezydencję Hitlera w Bawarii okazał się kosztowny. W momencie gdy Hitler wydawał rozkaz wstrzymania ognia, zostało ich już tylko pięciu.

Lud niemiecki uwielbiał Kramera, swojego nowego Führera, który poprowadził naród do zwycięstwa i zastąpił Adolfa Hitlera, bezradnego głupca i antysemitę. Uwierzyli mu, że jest Niemcem, nie pytali o dzieciństwo, rodziców ani brak jakichkolwiek śladów jego istnienia sprzed wiosny tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku. Pojawił się znikąd - jak anioł stróż, który zstąpił z niebios, aby podarować im ostateczną wiktoryę. Odrzucił idiotyczny symbol swastyki i zjednoczył Europę pod jednym sztandarem własnego projektu, który przedstawiał uroborosa: węża pożerającego własny ogon - symbol nieskończoności.

Tak właśnie: koniec miał być początkiem.

Europa, a teraz Ameryka, wreszcie stały się jednością - zespolonym organizmem, który pozwoli mu uzdrowić świat.

A będzie to zdecydowanie lepszy świat. Świat, w którym nikt nie głoduje. Świat, którego populacja utrzymywana jest na stabilnym poziomie, aby plody ziemi mogły wyżywić wszystkich jej mieszkańców. Świat, w którym zasoby naturalne są wykorzystywane z

rozsądkiem, a nie marnotrawione przez obrzydliwie bogatych i samolubnych polityków. Świat wolny od spalin i zanieczyszczenia dwutlenkiem węgla. Świat, który nie umiera, ponieważ gatunek ludzki potrafił zapanować nad chciwością.

Ale co ważniejsze... To miał być jego świat. Należący do Paula Kramera.

Wewnętrzny głos ambicji sprawił, że Kramer poruszył się nerwowo. „Dokonałeś więcej niż jakikolwiek przywódca w historii” - skostatował z dumą.

Wiedział, że jego dotychczasowe osiągnięcia powinny go uszczęśliwić i uczynić dumnym. Nie czyniły. Powód leżał na podłodze, pod jego stopami, w otworzonym worku przyniesionym przez oberlejtanta i dwóch szeregowych: obrzydliwie zmasakrowane zwłoki, skleciona masa dwóch, może trzech młodych, niemieckich żołnierzy.

Kramer widział coś podobnego tylko raz, ponad dziesięć lat temu, w ośnieżonych lasach Obersalzbergu. Tak jak wtedy miał teraz ochotę wymiotować.

Karl przykucnął obok szczątków, aby uważniej im się przyjrzeć.

- To mogła być broń zapalająca. Wysoka temperatura przyspawała tych nieszczęsnych młokosów do siebie.

Kramer przytaknął z zaciśniętymi wargami i pogłaskał się po brodzie. To rzeczywiście mogło być taka broń... lub jedna z bomb pulsacyjnych generujących falę uderzeniową, która rozpuszcza tkankę miękką. Projektowane przez niego nowoczesne rodzaje broni zwykły zostawiać po sobie ciężkie do zidentyfikowania ofiary.

„A może to jeszcze co innego?” - pomyślał Kramer. Ale zaraz usłyszał znów ten głos, który rozkazał mu siedzieć cicho.

- Tak, Karl... to możliwe.

## ROZDZIAŁ 44

okolice Waszyngtonu rok 1956

Liam wyjrzał z ciężarówki hałaśliwie podskakującej na wybojach. Wyjeżdżali ze stolicy, mijając po drodze niemieckie patrole, prowadzonych na muszce uchodźców i żałosne grupki pokonanych, rannych żołnierzy amerykańskich w zielonych mundurach.

- Nazywam się Wallace - powiedział mężczyzna w garniturze. - Daniel Wallace. Pracuję w korpusie prasowym Białego Domu. No cóż - westchnął z rezygnacją. - Przynajmniej pracowałem.

Liam wyciągnął obolałą rękę. Nie był pewien, co oznacza termin „korpus prasowy”, ale domyślił się, że ma to związek z gazetami.

- Liam O'Connor z Corku w Irlandii.

- Dalekość od domu, synu! - zauważył Wallace.

- Dopiero mi nowina - odpowiedział z przygasłym uśmiechem.

- Ty i twój przyjaciel w dalszym ciągu mnie intrygujecie. Mówiłeś, że jesteście... - Wallace ściszył głos i popatrzył na innych więźniów, którzy trwali w szoku lub zamknęli się w sobie, próbując odsunąć ponurą rzeczywistość.

- Słuchaj, dlaczego po prostu nie zapomnisz o tym, co mówiłem? - odpowiedział chłopak. - Zresztą nie ma to większego znaczenia, wszyscy jedziemy teraz na jednym wózku.

- Co w takim razie z twoim kolegą?

- Co z nim?

- Przysięgam, że widziałem jak wladowali w niego kilka kulek. Z takimi ranami nie miał najmniejszego prawa przeżyć.

Liam nie zamierzał odpowiadać, więc Wallace zostawił go w spokoju i odwrócił się do więźniów rozmawiających po cichu na tyle ciężarówki - siwowłosego pułkownika i oficera marynarki wojennej.

-...wyglądało na to, że mają dość walki. Aż nie chce się wierzyć, że dwa miesiące temu Eisenhower i Kramer spotkali się na neutralnym gruncie, aby rozładować napięcie i ustalić warunki rozejmu.

- A przez cały ten czas - wtrącił oficer marynarki - Kramer czynił ostatnie przygotowania do inwazji na Amerykę. - Pułkownik przeciągnął dłonią po krótkich włosach. - Nikt nie sądził, że to naprawdę nastąpi, Bill... Oszukiwaliśmy sami siebie, wierząc, że naprawdę chcą pokoju i dadzą nam spokój.

Liam, nieobecny duchem, patrzył na mijane okolice.

„Moja pierwsza misja... - myślał z rozpaczą - i już po mnie”.

Kilka ostatnich tygodni jego życia przypominało szalony sen. Blisko miesiąc temu pracował jeszcze jako młodszy steward na Titanicu; obsługiwał bogatych, snobistycznych pasażerów i nie mógł doczekać się, kiedy wyląduje na wybrzeżu Ameryki i zobaczy krainę nieskończonych możliwości. Planował rzucić służbę w momencie, gdy statek przybije do portu; chciał rozpocząć nowe, pełne przygód życie. Przeczytał tyle książek o Ameryce, wiedział, że to dla niego idealne miejsce - kraj, w którym dorobi się fortuny.

Wszystko pokrzyżowała ta przeklęta bryła lodu, która wyrosła z morza.

A wraz z nią pojawił się Foster... ratując go od utonięcia, śmierci z jego koszmarów. Otworzył mu drzwi do wspaniałego, oszałamiającego świata przyszłości. Nierealnego świata metalowo-szklanych budynków, neonowych świateł, kolorowych ekranów, ruchu, technologii i nieustającej ekscytacji. Ale również do świata przeszłości, wszystkich epok, jakie zapragnie odwiedzić. Foster zapewniał go, że zobaczy tyle fantastycznych miejsc i doświadczy tylu niezapomnianych chwil, że w pewnym sensie - nie, na pewno - stanie się najszcześniejszym człowiekiem w historii.

Tymczasem utknął tutaj, w wojskowej ciężarówce, starając się, wraz z innymi więźniami, stawić czoła przerażającej i niepewnej przyszłości. Zostaną zastrzeleni, a w najlepszym razie zmuszeni do katorżniczej pracy w obozach jenieckich.

Jakiś ledwo słyszalny głos wewnętrzny próbował uświadomić chłopakowi, że wciąż żyje, a jego ciało nie zostało zgniecione i nie zamieniło się w gnijący na dnie Atlantyku pokarm dla ryb. Nie pocieszyło go to szczególnie. Nie miał szans zdążyć na trzecie okno ekstrakcji ani skontaktować się z Fosterem, Maddy i Sal... To koniec.

„Mogę już zacząć wymazywać te imiona z pamięci - westchnął w duchu. - Nigdy już ich nie zobaczę”.

Ciężarówka przejechała z turkotem obok płotu oklejonego plakatami z napisem „Widzieliście ich?”, na których zdesperowani bliscy wywieszali zdjęcia uśmiechniętych twarzy zaginionych. Wzdłuż płotu leżały świeże i wysuszone wiązanki kwiatów, krzyże, drobne pamiątki, pluszowe misie i lalki. Był to ołtarz, który mężowie i żony, ojcowie i matki poświęcili ludziom, którzy zniknęli pośród krwawej zawieruchy ostatnich tygodni.

Kilku innych więźniów z ciężarówki również przyglądało się mijanemu ogrodzeniu; ciągnącej się bez końca, bolesnej ekspozycji nadziei i smutku. Siedząca obok Liama kobieta zapłakała.

- Nie mieliśmy cienia szansy przeciwko tym przeklętym Niem com - wycedził z zaciśniętymi zębami jeden z mężczyzn.

„Pocieszające jest jedynie to - pomyślał Liam - że wszystko dobiegło już końca”.

## **ROZDZIAŁ 45**

okręt powietrzny Führera nad Waszyngtonem rok 1956

Kramer patrzył, jak podenerwowany młody oficer z oddziału strzelców spadochronowych i jego dwaj podkomendni wychodzą z pokoju.

Ma na głowie masę obowiązków, czeka go podjęcie szeregu decyzji operacyjnych dotyczących nie tylko właśnie podbitego kraju, ale i bieżących spraw europejskiej części imperium. Tymczasem jego umysł zajmowało tylko jedno - sprawozdanie złożone przed chwilą przez młodego oficera, informacja o połyskującym wśród drzew przy Białym Domu kręgu powietrza. Naoczni świadkowie twierdzili, że jeden z szeregowców został „połknięty” przez okrąg, a jego ciało, zlepione z ciałem innego żołnierza, który przypadkowo wszedł w błyszczącą strefę, zostało wyplute minutę później.

Zeznania zebrano bezpośrednio po bitwie, kiedy krew i adrenalina gotowały się jeszcze w żyłach. Żołdacy zawsze skłonni są fantazjować tuż po opadnięciu kurzu bitewnego. Historia wojskowości zna przypadki ludzi, którzy widzieli armie aniołów spieszące im na ratunek. Kramer mógł zignorować ten raport, uznając go za chaotyczny bełkot nadmiernie podekscytowanych młokosów, ale oficer przyniósł ze sobą to...

Na podłodze leżał worek z powykręcaną, zmutowaną masą mięśni i kości.

Karl spojrzał na przywódcę.

- Myślisz, że to sprawka innego podróżnika w czasie?

Kramer nic nie odpowiedział.

„Jak to możliwe, że ktoś inny podróżuje w czasie?” - rozmyślał gorączkowo.

Dobrze ukryty prototyp urządzenia Waldsteina był jedynym wehikułem czasu. Jednogłośnie uchwalono surowe prawo międzynarodowe, zabraniające prac nad rozwojem tej technologii. Nakładana na kraje, korporacje i pojedynczych ludzi kara za złamanie tego zakazu rozwiązywała problem: całkowite unicestwienie - bez ostrzeżenia, prawa do obrony, okoliczności łagodzących. Nawet w chaotycznym, niespokojnym świecie połowy dwudziestego pierwszego wieku istniało powszechne przekonanie, że przy czasie nie można manipulować, bez względu na to, czy chce się zmienić świat na lepsze, czy na gorsze.

- Tamten wehikuł czasu był jedyny? - spytał Karl. - Paul...?

Obecnie tylko Karl miał przywilej zwracania się do wodza po imieniu, i to wyłącznie na osobności.

- Tak, Karl... jedyny.

Kramer był przekonany, że po zniszczeniu prototypu Waldsteina nikt nie wyruszy w ślad za nimi do przeszłości, aby zniweczyć ich wysiłki zmierzające do zmiany świata na lepsze.

Ale co, jeśli istniał inny wehikuł?

Na tę myśl włosy zjeżyły mu się na karku.

Czy ktoś okazał się na tyle zdeterminowany, by po nich wrócić?

Jeżeli leżące na podłodze powykręcane ciało rzeczywiście zostało wyrzucone przez portal czasu, to przybysz z przyszłości wybrał właśnie ten moment na poprawienie historii. Musiał zakładać, że 5 września 1956 roku to dzień, w którym nastąpiło przesunięcie.

Ale to nie stało się dzisiaj.

Historia uległa zmianie piętnaście lat wcześniej, w dniu, kiedy Kramer i jego oddział przedarli się przez strażę SS do siedziby Hitlera. Tego dnia Kramer wyjaśnił Hitlerowi, że planowany atak na Rosję położy kres jego marzeniom i doprowadzi do smutnego końca cztery lata później: w bunkrze pod Berlinem z pociskiem w skroni i kapsułą cyjanku pomiędzy zębami.

Kramer oderwał wzrok od worka ze zwłokami i wyrztał przez panoramiczne okno widokowe.

- Karl, musimy całkowicie wymazać historię.



- Słucham?

- Wszystko, co wydarzyło się przed dzisiejszą datą, wszystkie wydarzenia od naszego przybycia tutaj w czterdziestym pierwszym.

- Zacieramy za sobą ślady?

- Tak, ale przedstawimy to jako gest symboliczny.

- Nie rozumiem.

- Dzisiejszy dzień nazwiemy „Dniem pierwszym”, odrodzeniem gatunku ludzkiego. Ogłosimy, że po latach splamionej krwią historii państw, królów, papieży i imperatorów toczących wojny o ziemię, pieniądze lub wiarę, rozlew krwi raz na zawsze przechodzi do przeszłości.

- Koniec wojen... tak. To powinno chwycić - zgodził się Karl.

Kramer wskazał na zarysy miasta rozciągającego się za oknem.

- Ameryka stanowiła dla nas największe zagrożenie, ale dziś stała się częścią Rzeszy. Nikt nie jest w stanie nam się przeciwstawić. Stoi przed nami niepowtarzalna szansa zjednoczenia całego świata pod jednym sztandarem.

- Zostają jeszcze Rosjanie i Chińczycy.

Kramer wzruszył ramionami.

- I na nich przyjdzie pora. Uważam, że jest to doskonały moment na tego rodzaju gest.

Odwrócił bladą twarz od rozkładającego się ciała, ciesząc się, że po wyjściu młodego oficera i szeregowców nie musi już patrzeć na ten obrzydliwy widok.

- Nigdy nie możemy zapomnieć, że jesteśmy w tym świecie intruzami. Od naszej podróży w czasie minęło już piętnaście lat, ale musimy czujnie zacierać za sobą ślady.

- Rozumiem.

- Dzięki ogłoszeniu dzisiejszego dnia początkiem nowej ery, wymażemy z historii wszystkie wydarzenia z ostatnich piętnastu lat. Nie zostawimy absolutnie nic, żadnych wskazówek, które mogliby wykorzystać ludzie z przyszłości. Ale to nie wszystko. Wymażemy też całą historię. Dlaczego by nie? Czyż nie po to właśnie tu przybyliśmy? Aby oddzielić przeszłość grubą kreską... rozpocząć nową erę, utworzyć nowy porządek?

Karl przytaknął.

- Wydam oświadczenie przez radio i telewizję - ciągnął Kramer. - We wszystkich krajach Wielkiej Rzeszy będzie to dzień święta, dzień jedności.

- Dzień Jedności... to idealna nazwa, Paul.

- Tak... tak więc go nazwiemy. Następnie rozpoczniemy systematyczną likwidację: spłoną wszystkie podręczniki historii, dokumenty, pamiątki.

- Tak jest, sir!

- Oznajmimy Amerykanom, że nie muszą się lękać. Nie zostaną zniewoleni, lecz przyłączą się do wspólnoty Niemców, Francuzów, Brytyjczyków i innych obywateli Wielkiej Rzeczy.

- Rozkażę przygotować przemówienie - zaferował Haas.

- Dziękuję, stary przyjacielu. To... - rzekł, wskazując zwłoki leżące na podłodze - to nie jest dla nas powód do niepokoju, rozumiesz? W tej chwili historia jest w naszych rękach, to glina, którą będziemy lepić wedle własnych upodobań. Nikt z przyszłości nie zdoła odnaleźć miejsca i czasu naszego przybycia.

- Jeżeli te ciała wskazują na to, że ktoś próbuje nas wytropić... - Karl spojrzął na Kramera -...to fakt, że przybył dzisiaj, a nie wiosną czterdziestego pierwszego roku, dowodzi...?

- Tak. - Kramer się uśmiechnął. - Że nie ma pojęcia, kiedy dokładnie wylądowaliśmy.  
- Delikatnie klepnął Karla po ramieniu. - To chyba dowodzi, że jesteśmy bezpieczni.

- Tak jest, sir! - Karl zasalutował energicznie. - Dopilnuję, aby przygotowano przemówienie.

- Dziękuję.

Kramer patrzył, jak Karl odchodzi, zamykając za sobą masywne podwójne drzwi. Potem po raz kolejny wyjrzał przez panoramiczne okno.

Czy to wystarczy... czy wymazanie historii wystarczy?

To bez wątplenia rozsądny środek zapobiegawczy, a mimo to Kramer odczuwał zaniepokojenie. Jeszcze pół godziny temu był przekonany, że prototyp Waldsteina jest jedynym wehikułem czasu, jaki kiedykolwiek zbudowano.

„Czy to możliwe, że się myliłem?” - pomyślał zaniepokojony Kramer.

Na niebie pojawił się szwadron pikujących z dużej wysokości odrzutowych messerschmittów, które wyrównały lot tuż nad wyludnionymi ulicami miasta i omiotły je światłem reflektorów.

Ameryka była najtrudniejszą przeszkodą do pokonania, reszta świata stała już przed nimi otworem. Rzesza Kramera była niepokonana i wszechpotężna. Kolejne państwa skapitulują jedno po drugim. Związek Radziecki i Chiny - ogromne, ale zacofane gospodarczo kraje - pozostawały odcięte od reszty świata, zablokowane na wszystkich frontach. Ich ostateczny upadek i zakończenie wojny to tylko kwestia czasu.

Spokoju nie dawała mu jednak myśl, że ktoś z przyszłości może przy odrobinie

szczęścia znaleźć sposób, aby go wytropić.

„A może to coś o wiele gorszego, Paul? Czy pamiętasz, co kiedyś powiedział ci staruszek Waldstein?” - niepokoił się Kramer.

Zaklął, spoglądając na ciało. Rozkazał stojącym na korytarzu wartownikom zabrać szczątki i raz na zawsze się ich pozbyć. Jak na jeden dzień widział już wystarczająco dużo krwi... a przecież teraz, po oficjalnej kapitulacji Stanów Zjednoczonych, było jeszcze tyle spraw do załatwienia.

## ROZDZIAŁ 46

Waszyngton rok 1956

Było ciemno i mokro. Oczy Boba już kilka godzin temu przystosowały się do warunków panujących w kanalizacji. Przez kratkę w chodniku wpadały blade kosmyki światła. Następnego dnia po podbiciu przez najeźdźców Ameryki popołudnie w Waszyngtonie było szare i pochmurne.

Jednostka pomocnicza siedziała bez ruchu na mokrej, betonowej półce, z nogami zanurzonymi w przepływających poniżej śmierdzących ściekach.

Słyszał, jak nad jego głową od czasu do czasu przejeżdżają ciężarówki, stukają buty i rozlegają się odległe, sporadyczne wystrzały. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin konwoje ciężarówek wywozły poza granice miasta tysiące potencjalnych wicherzycieli zdolnych na własną rękę zorganizować wokół siebie grupy rebeliantów. Wyłapano senatorów, kongresmenów, sędziów, prawników, dziennikarzy. Pozostali mieszkańcy miasta kulili się ze strachu w domach, zastanawiając się, jaki los gotuje im Kramer ze swoją armią najeźdźców.

Na chwilę zapanowała cisza, przerywana tylko echem wody, uporczywie kapiącej z

cegłanego sklepienia kanału ściekowego, i szumem ospałego strumyka cuchnących nieczystości.

Bob siedział bez ruchu. W roztargnieniu, raz po raz, odbezpieczał trzymany w rękach karabin pulsacyjny. Klik-pstryk, pstryk-klik: metaliczne zgrzytanie płynęło echem w dół kanału ściekowego.

Czekał cierpliwie. Zintegrowany z mózgiem-procesorem zegar odliczał minuty: „Informacja: 23 minuty do aktywacji ostatniego portalu”.

Bob przymknął oczy.

Od Białego Domu dzieliło go jedynie dziesięć minut drogi, mila w linii prostej. Połowę tego dystansu mógł pokonać podziemną siecią kanalizacyjną, a następnie wyjść przez właz na Pennsylvania Avenue i przebiec dalszą część drogi bez żadnej osłony. Dzięki czarnemu, elastycznemu kombinezonowi i masce pozostanie nierozpoznany przez kilka krótkich minut, ale ponieważ wszyscy żołnierze wroga dawno już ściągnęli rynsztunek bojowy i założyli szare mundury Wehrmachtu, najprawdopodobniej skupi na sobie uwagę zaraz po wyjściu na powierzchnię.

Jeśli jednak odpowiednio wszystko rozplanuje i szczęście się do niego uśmiechnie, będzie miał spore szanse na szybkie przedarcie się pod osłonę lasku cedrowego, dokładnie w momencie, gdy rozbłyśnie powietrze i pojawi się okno. Niemniej jednak pozostawało spore prawdopodobieństwo, że odniesie kolejne rany, które uniemożliwią późniejszą regenerację organizmu.

Ale to bez znaczenia.

Teraz liczy się tylko mały silikonowy chip w jego głowie. Za wszelką cenę należy go przetransportować do przyszłości przez portal. Nawet jeśli przyjdzie mu włożyć do okna samą głowę i zostawić za sobą resztę poranionego ciała, podstawowy cel misji zostanie wykonany. Zebrane dane wywiadowcze trafią do biura terenowego, czyli dokładnie tam, gdzie powinny.

Bob drgnął. Czas się zbierać.

Ale coś w organicznej części mózgu kazało mu ponownie oszacować priorytety misji; przez wewnętrzne przewody jednostki popłynęła jakaś płaczliwa prośba, natarczywy lament dziecka: „Nie zostawiaj go!”.

Niespokojny, nerwowy tik wstrząsnął głową Boba, gdy jego sztuczna inteligencja próbowała uporać się ze sprzecznymi sygnałami.

W mózgu klona zadźwięczała autorytatywna, beznamiętna odpowiedź, ignorująca błagania dziecka.

„Cel misji: zebrać i dostarczyć dane”.

Ale... było tak niewiele danych do przekazania, zdołali zebrać jedynie garść praktycznych informacji. Bob, żywy czy martwy, mógł powrócić do biura terenowego i pozwolić na pobranie z głowy całej relacji wydarzeń. Ale większość danych sprowadzała się do obrazów dymu i strzelaniny: nie dowiedzieli się nic naprawdę godnego uwagi. Poczynione obserwacje nie pomogą w ustaleniu źródła kontaminacji czasowej. Potrzebowali więcej danych, zdecydowanie więcej. Szczególnie użyteczna mogła okazać się wiedza na temat wydarzeń sprzed inwazji. Łatwiej będzie odkryć prawdę o przeszłości, pozostając tutaj, w roku pięćdziesiątym szóstym niż w zmienionym świecie dwa tysiące pierwszego roku.

Głowa klona poruszyła się niespokojnie, palec na bezpieczniku pracował z coraz mniejszą werwą.

„Parametry misji wymagają przewartościowania priorytetów”.

Na tym gruncie jednostka czuła się niepewnie. Sztuczna inteligencja umożliwiała szczegółową i szybką analizę sytuacyjną, ale podejmowanie decyzji to zdecydowanie domena ludzkiego umysłu. We wbudowanej pamięci wygenerowane zostały słowa wypowiedziane kilka dni temu przez Fostera: „Właśnie z tego powodu agencja wysyła w przeszłość i człowieka, i jednostkę pomocniczą. Robot nie potrafi podejmować intuicyjnych osądów, Liamie... w przeciwieństwie do człowieka...”.

Drobny guzek pomarszczonej tkanki pod czaszką Boba - słabo rozwinięty mózg - rozumiał to doskonale. Wiedział, że chłopak potrzebuje pomocy, lecz zintegrowany kod komputerowy podpowiadał, że cele misji należy realizować bez względu na cenę.

„Muszę go odnaleźć. - Jakiś głosik w elektronicznym mózgu Boba nie dawał za wygraną. - Rekomendacja: uaktualnić parametry misji”.

Palec Boba zastygł w bezruchu, ciało zeszywniało. Zintegrowany komputer analizował jeden problem, każdy mikrowolt mocy przetwarzania popłynął w jednym kierunku.

Zmiana priorytetów misji.

Podjęcie decyzji.

„Uaktualnienie misji - zadźwięczało w mózgu klona - zlokalizowanie i uratowanie agenta operacyjnego Liama O’Connora”.

## **ROZDZIAŁ 47**

Nowy Jork rok 2001

Foster i Maddy obserwowali licznik na ekranie komputera.

- Trzydzieści sekund - powiedział starzec.

Maddy przytaknęła.

- A co, jeśli przegapią i to okno?

- Kiedy... Jeśli do tego dojdzie, podejmiemy odpowiednie kroki.

Dziewczyna spojrzała przez ramię na oczyszczoną z przewodów i śmieci podłogę oraz zakreślone na jej środku blade, kredowe koło, w którym niedługo zmaterializują się Liam i Bob. Cieszyła się, że Foster wysłał Sal na obserwację Times Square. Gdyby tu została, na pewno zamartwiałyby się na śmierć, przeszkadzała im i rozpraszała. Foster i tak, bez konieczności dodatkowego uspokajania nastolatki, wyglądał na wystarczająco zestresowanego.

A jeśli Liam wróci ranny... lub gorzej?

Dobrze, że Sal tu nie ma.

- Coś musiało im się przytrafić, skoro przegapili poprzednie okna - stwierdziła Maddy.

- Nie wiemy tego na pewno. Mnie samemu kilkakrotnie nie udało się zdążyć na zaplanowane okna powrotne - odpowiedział mężczyzna. - Misje bywają nieprzewidywalne, dlatego mamy kilka portali awaryjnych.

- Ale jeśli rzeczywiście przegapią i ten?

Popatrzył na ekran.

Dziesięć sekund.

- Jeśli znowu nie zdążą, poinformujemy ich o nowej lokalizacji.

- Poinformujemy? Jak? - Dziewczyna spojrzała na niego pytająco.

- To skomplikowane, wyjaśnię ci później.

Odetchnęła z ulgą.

- Więc to nie koniec świata? Myślałam... że utracimy ich na zawsze.

Foster skontrolował wskaźnik zakłóceń, ale nie zauważył jakichkolwiek zaburzeń



gęstości w miejscu aktywacji portalu. To dobra informacja - żołnierze musieli odejść.

- W porządku... zaczynamy - oznajmił.

Zabrzmiał znajomy warkot maszynerii translokacyjnej, światła w pomieszczeniu przygasły, ponieważ prąd popłynął w stronę urządzenia. Na środku podłogi zaczęły tlić się zarysy dużej kuli. Za falującym powietrzem Maddy dostrzegła tańczące, powykrzywiane zarysy drzew.

- No chodź, Liamie - szepnęła Maddy. - Rusz tyłek.

- Tak, ruszajcie się! - Foster nerwowo przełknął ślinę.

Gdyby znajdowali się w pobliżu, natychmiast weszliby do środka. Długie utrzymywanie aktywności portalu nie było zbyt mądrym posunięciem - z okna prowadzącego do pogrążonych w chaosie wymiarów mogło wypaść wszystko. Im szybciej zostanie zamknięte, tym lepiej.

- No, dalej! - szepnęła niecierpliwie.

Kula zawisła w powietrzu i pojaśniała, wypuszczając niebieską poświatę, która rozświetliła mroczne pomieszczenie. Foster spojrział na ekran komputera, na którym wyświetlony został migający komunikat ostrzegawczy; portal pozostawał aktywny już od dziesięciu sekund.

- Muszę go zamknąć - stwierdził Foster. - Jeszcze chwila i złowimy szukacza. Nie ma ich tam.

- Nie! - krzyknęła Maddy. - Poczekajmy jeszcze sekundę.

- Nie zdążyli na wyznaczoną ekstrakcję - ostro odpowiedział Foster i uderzył przycisk „Stop” na ekranie. Kula zniknęła w mgnieniu oka, warkot generatora osłabł, a światła w bazie rozbłyły ponownie.

- A niech mnie, Foster. Przecież mogli odrobinę się spóźnić!

- Żadne drobne spóźnienia nie wchodzą w grę, Madelaine. Albo jesteś na miejscu, albo cię tam nie ma. Portal się otwiera, a oni albo do niego wchodzą, albo nie. Obawiam się, że nie możemy od tak otworzyć go sobie na oścież i z zaciekawieniem obserwować, co się wydarzy.

Przez chwilę siedzieli w ciszy, patrząc na kredowe koło na podłodze, jakby mieli nadzieję, że w jakiś magiczny sposób za chwilę zmaterializują się Bob i Liam, skruszeni z powodu spóźnienia.

- Więc to nie koniec świata - przerwała milczenie Maddy i dodała rzeczowym tonem:  
- Czy nie wspominałeś, że istnieje możliwość przesłania im wiadomości?

Foster przytaknął.

- Musimy wysłać im informacje na temat nowej sygnatury czasowej... być może trzeba będzie określić inną lokalizację, gdzieś w pobliżu miejsca pierwszego zrzutu. Wybierzemy bardziej dyskretne, mniej ruchliwe miejsce.

Maddy przygryzła wargę.

- A jak prześlemy tę wiadomość?

- Za pomocą transmisji tachionowej - odpowiedział. - Na razie oszczędzę ci szczegółów technicznych... to dość skomplikowane.

- Poczekam. - Wzruszyła ramionami.

## **ROZDZIAŁ 48**

okręt powietrzny Führera nad Waszyngtonem rok 1956

Kramer spożywał posiłek w samotności. Nie był w nastroju, aby świętować zwycięstwo z Marszałkiem Rzeszy Karlem Hassem oraz dowódcami dywizji i ich zastępcami. Od kapitulacji upłynęło kilka dni i chociaż zdarzały się jeszcze pomniejsze potyczki z zaciekłe broniącymi się stanami na zachodzie, kraj został anektowany do Wielkiej Rzeszy.

Członkowie najwyższego dowództwa ubrani w reprezentacyjne mundury właśnie celebrowali wiktoryę, uroczyście wznosząc toasty za nieobecnego Führera. Później udadzą się zapewne do sali konferencyjnej Białego Domu, aby omówić administracyjne problemy związane z rządzeniem Ameryką. Wierzył, że Karl zdoła utrzymać w ryzach wszystkich tych ambitnych generałów i gauleiterów, podejrzewał, że marszałek budzi w nich niemal taki sam strach jak Führer.

Nie, dzisiejszego wieczora chce być sam. Ma nad czym myśleć.

To ciało, to przeklęte ciało... poważnie go zaniepokoiło. Choć Karl twierdził inaczej, tych zwłok nie sprofanował zwyczajny granat zapalający. Kramer na własne oczy widział, co portal czasu może zrobić z ludzkim ciałem. Nigdy nie zapomniał widoku poskręcane mięsa i wybebeszonych organów, które, nie wiedzieć czemu, jeszcze funkcjonowały... przez chwilę.

- Ktoś z przyszłości próbuje nas dopaść - szepnął do siebie.

Niemal czuł, jak ktoś sonduje przeszłość, znajduje właściwy ślad i powoli zmierza w jego stronę. W każdym momencie powietrze obok stołu może zgęstnieć i wypluć zabójcę z bronią gotową do szybkiej egzekucji. Tego Kramer nieustannie się obawiał. Przez ostatnie piętnaście lat, niemal każdej nocy, nawiedzał go ten sam koszmar - zabójca pochyła się nad łóżkiem wyrwanego ze snu Kramera i ogłasza karę śmierci za nielegalne podróżowanie w czasie.

Ciało... to ciało... sprawiło, że jego sny stały się tysiącrotnie gorsze. A teraz, na jawie, bezustannie zastanawiał się, co może czaić się za rogiem. Nieustannie walczył, aby ukryć tę udrękę przed Karlem, zachować przy nim rezon. Czasem zastanawiał się, czy nie ma innego rozwiązania.

Po raz kolejny w jego głowie odezwał się cichy głos: „Jest jedno wyjście, wiesz jakie”.

Samobójstwo?

„Nie, inny sposób” - usłyszał w swojej głowie Kramer.

Wyrzwał przez okno na pogrążone w ciemności miasto, ożywiane gdzieś tam płomieniami tłące się ognia i przeszywane światłami reflektorów okrętu dowodzenia.

„Pomyśl o tym”.

Jego wewnętrzny głos. Głos, który towarzyszył mu, od kiedy sięgał pamięcią. Głos... ambicji... prowokujący, popychający do robienia rzeczy, na które normalnie zabrakłoby mu determinacji. Kiedy był dzieckiem, pomagał mu być prymusem w szkole, gdy był młodym człowiekiem, kazał mu zdobyć tytuł doktora fizyki kwantowej, zostać stypendystą w Instytucie Waldsteina. Dał mu śmiałość pozwalającą na realizację zuchwałego planu powrotu do przeszłości i podbicia jej.

„Mógłbyś zniszczyć ten świat, Paul, prawda? W gruncie rzeczy teraz należy do ciebie. Możesz z nim zrobić, co tylko zapragniesz”.

- To szaleństwo - zgał się, gwałtownie odkładając widelec, który głośno zabrzączał na talerzu, wypełniając przestronną salę cichnym echem.

„Szaleństwo, powiadasz?”.

Po tym, jak Kramer cofnął się w czasie, zdobył zaufanie Hitlera i sam został Führerem, głos przestał mu być potrzebny, ucichł jak obrażone dziecko. Ale teraz, gdy przeniesiono to zmasakrowane ciało, głos znowu stał się mocniejszy, odnalazł nowe źródło energii.

„Szaleństwo powiadasz? - nie ustępował głos. - A co powiesz, gdy za chwilę pojawi się tutaj przybysz z przyszłości i wpakuje ci w głowę kulkę?”.

Kramer przymknął oczy. Po plecach przebiegł mu dreszcz. Odpowiedź była oczywista. Historia, którą tworzył z takim mozołem, musi ulec zmianie.

„A co jeśli przybysz dowiedziało się, gdzie i kiedy pojawiłeś się na arenie historii? Jeśli wie o lesie w czterdziestym pierwszym roku? Co jeśli zabije cię tam, zanim spotkasz Hitlera?”.

- Świat się nie zmieni - odpowiedział głośno. - Powróci mroczna i niepewna przyszłość, którą zostawiliśmy za sobą.

„Właśnie tak. Umierający świat, duszący się pod płaszczem toksycznych oparów. Zatrute morza, głodujący ludzie. W pewnym sensie ucięcie tego w tej chwili to gest miłosierdzia. Czyż nie?”.

Miłosierdzia? Kramer dawno już nie myślał o świecie, który opuścili. Globalne ocieplenie przybrało zatrważającą skalę. Lodowce stopniały jeszcze przed dwa tysiące pięćdziesiątym rokiem. Afryka wyschła na popiół; tak jak na Marsie nie istniały tam już żadne formy życia. Dziewięć miliardów ludzi zostało stłoczonych w kilku regionach Ziemi, gdzie panowały jeszcze znośne warunki do życia. Większość populacji koczowała w brudnych barakach na przedmieściach kilku megamiast. Kramer zastanawiał się czy rasa ludzka pewnego dnia wyginie, jak niemal wszystkie gatunki biologiczne.

- Miłosierdzie - powtórzył z namysłem. - Może to prawda.

„Ogromne miłosierdzie” - potwierdził nieustępliwy głos.

Stracił już apetyt na posiłek.

„Ufasz mi, Paul, prawda?”.

Zawsze wierzył swojemu wewnętrznemu głosowi, instynktowi. Był to zdecydowanie lepszy doradca niż jakikolwiek nauczyciel, mentor, autorytet lub przyjaciel. „Jeśli nie potrafisz zawierzyć swojemu instynktowi, jesteś zgubiony” - usłyszał kiedyś.

„Nie rozumiesz? Ktoś lub coś jest już blisko i znajdzie cię, bez względu na to, co zrobisz. Wymazanie historii i zatarcie wszystkich śladów nic nie zmienia. W końcu cię dopadnie. Te zwłoki to tylko ostrzeżenie”.

W głębi duszy czuł, że to prawda. Być może zdał sobie z tego sprawę w momencie, gdy Karl pokazał mu to brutalnie powykręcane ciało, ale nie był jeszcze gotowy sam się do tego przyznać.

„Chyba wreszcie zrozumiałeś... dobra passa się wyczerpała”.

- Piętnaście lat - powiedział.

„W rzeczy samej, piętnaście lat. Przez dwanaście lat byłeś największym władcą świata i udało ci się osiągnąć wielkie rzeczy. Ale twój czas dobiegł już końca. Ktoś chce cię dopaść”.

- Podróżnik w czasie?

„Prawdopodobnie. Lub gorzej”.

Gorzej?

„Igrałeś z czasem, obudziłeś kilka wymiarów, wszedłeś w środek chaosu. Nie wiadomo, co próbuje cię wytropić”.

Kramer coraz silniej odczuwał zżerający go niepokój.

„Zdradziecki pocisk agenta z przyszłości może odebrać ci ten świat. Ale i to nie wszystko. Może przyjść po ciebie coś, czego nigdy nie będziemy w stanie zrozumieć... niewykluczone, że już w tej chwili czai się w tym ciemnym mieście...”.

Poczuł, że skóra mu cierpnie.

„Ale możesz temu zapobiec” - kusił głos.

- Niszcząc ten świat?

„Tak, Paul... niszcząc ten świat”.

Odepchnął krzesło. Ku jego zdumieniu, ta myśl dziwnie go uspokajała. Świat cichy, spokojny, martwy, niezmienny. Nieśmiertelny pomnik świata stworzonego przez Paula Kramera. Nagły, krótki błysk grzebiący życie na ziemi, kończący przeciągającą się nędzę przyszłości. Istniał już sposób - apokaliptyczna bomba masowego rażenia, którą zdołał skonstruować przez te lata.

„Obaj wiedzieliśmy, że kiedyś to się wydarzy. Czyż nie? Być może to właśnie jest twoje przeznaczenie?” - przebiło się do jego świadomości.

Kramer zmrużył oczy, wyczuwając niemal, jak jego przeznaczenie nieuchronnie skreca, historia ulega zmianie i tworzy się na nowo. Podjął decyzję.

- Niechaj więc tak będzie!

Jego instynkt wydawał się uspokojony.

„To bardzo adekwatne zakończenie, Paul. Gatunek ludzki zawsze zmierzał w kierunku zagłady. Nasza natura każe nam niszczyć wszystko, co zbudowaliśmy. Właśnie ty to zrobisz. Czyż to nie zabawa w Pana Boga?”.

## **ROZDZIAŁ 49**

Nowy Jork rok 2001

- Czy Sal jest tam bezpieczna? - spytała Maddy.

- Nic jej nie będzie. - Foster przeglądał historyczną bazę danych.

Znaleźli dla niej zwyczajny granatowy T-shirt i szare dżinsy. Ubrania należały do członka poprzedniej drużyny i były odrobinę za duże. Sal niemal w nich tonęła, ale nie wyróżniała się tak jak w swoich ulubionych ciuchach emo.

- Nikt nie zwróci uwagi na zwykłą dziewczynkę - dodał. - To tylko nieszkodliwe dziecko.

- Na zewnątrz wszystko jest takie ponure, szare, uporządkowane - stwierdziła Maddy.

Na chwilę wyszła wraz z Sal, aby rzucić okiem na ten alternatywny Nowy Jork. Miasto wyglądało bardzo schludnie i równie bezbarwnie. Z monotonną szarością jednakowych wieżowców kontrastowały jedynie jaskrawoczerwone sztandary i chorągwie powywieszane w całym mieście.

Foster przytaknął.

- Rzeczywiście ponure. Ale dla niewinnego dziecka spacerującego po ulicach, być może wracającego ze szkoły do domu lub wysłanego na zakupy, miasto jest w tej chwili prawdopodobnie dużo bezpieczniejsze niż wcześniej.

- Co masz na myśli?

Odwrócił wzrok od ekranu.

- Przypuszczam, że nie mają tutaj problemu z przestępczością. To kraj faszystowski. Stawiam dolary przeciwko orzechom, że w tej wersji Nowego Jorku za kradzież grozi znacznie więcej niż łagodne pouczenie i sądowy nakaz poprawy z tytułu wykazywania zachowań antyspołecznych.

- Chyba masz rację - zgodziła się Maddy.



- Ale pora wracać do roboty. Okno powrotne powinniśmy uruchomić w pobliżu Białego Domu, niezbyt daleko, ale w bezpiecznej odległości od strefy bezpieczeństwa. Poszukajmy mapy tego nowego, niemieckiego Waszyngtonu. Miasto może wyglądać inaczej, niektóre obszary mogły zostać przebudowane.

- Okej.

- A więc tutaj. Teraz musimy zastanowić się kiedy. Mam propozycję. Portal otworzymy w ostatnim momencie. Maksymalna użyteczność Boba podczas misji...

Maddy poczuła zawroty głowy, jakby za chwilę miała stracić przytomność.

Ekrany zgasły, a chwilę później również zawieszona nad ich głową sycząca żarówka wypaliła się, pogrążając ich w całkowitej ciemności.

- Co to do...?

- Przesunięcie czasu - w ciemności zabrzmiał głos Fostera. - Duże przesunięcie. Też je poczułem.

- Padło zasilanie - szepnęła Maddy. - To niedobrze, prawda?

- Oznacza to, że bez względu na to, jak wygląda świat wokół naszej bańki czasowej, nie możemy już czerpać z niego energii elektrycznej. - Foster z frustracją zacisnął ręce. - Nie działa też generator pola. Dwudniowa karuzela czasu właśnie się zatrzymała, a my naprawdę utknęliśmy na tej osi czasu... czymkolwiek ona jest.

- Nie podoba mi się ten dźwięk.

- Powinniśmy wyrzeć na zewnątrz - powiedział przyciszonym głosem.

Usłyszała skrzypnięcie krzesła na podłodze.

- Chodź.

Wstała i wyciągnęła przed siebie rękę.

- W tę stronę.

Podążyła za głosem w stronę wyjścia.

- Idź dalej.

Chwilę później jej palce dotykały kruszącej się, ceglanej ściany.

Foster zaklął pod nosem.

- Nienawidzę podnosić tego ustrojstwa.

- Pomogę - zaoferowała Maddy. Po omacku kierowała się wzdłuż ściany, aż jej palce wyczuły kasetę z korbą. Położyła dłoń na uchwycie obok starczej, wątlej ręki Foster.

- No to do góry - szepnął.

Pociągnięta korba zatrzeszczała. Roleta podnosiła się wolno i hałaśliwie. Słabe popołudniowe światło wpadło do pokoju, rozpraszając grobową ciemność pod sklepieniem.

- Wygląda na kolejny pochmurny dzień na Manhattanie. - Maddy zaśmiała się nerwowo.

Roleta podnosiła się cal po calu i zatrzymała na wysokości pasa.

- Starczy, Madelaine - powiedział Foster. - Uda ci się przejść pod nią i rozejrzeć?

- Jasne. - Skinęła głową.

Schyliła się i wyjrzała na zewnątrz. W uliczce leżał gruz i zdeformowane kawałki zardzewiałego metalu, wyglądające, jakby ktoś zrzucił je z mostu wiele, wiele lat temu.

Grube, suche chwasty wyzierały ze wszystkich szpar i szczelin, roszcząc sobie prawa do najmniejszego skrawka ziemi. Natura wyszarpywała, co jej się pierwotnie należało.

Maddy przecisnęła się pod roletą i wyszła na dwór.

- Co widzisz?

Spojrzała na most ponad nimi - ten sam, który jeszcze kilka chwil wcześniej majestatycznie rozciągał się ponad rzeką Hudson. Teraz nad wodą smętnie unosił się jedynie skrzypiący, zrujnowany labirynt zardzewiałego metalu. Widoczne w oddali betonowe budynki niemieckiego Manhattanu, które Maddy widziała odprowadzając Sal, przypominały teraz próchniejące, stare zęby. Nagie, żel betonowe konstrukcje wyrastały z rumowiska po drugiej stronie rzeki. Nisko zawieszona słońce przypominało nabiegłe krwią oko zerkające przez pędzące brązowe chmury trujących toksyn.

Nowy Jork był martwy. Na jego miejscu pojawiło się apokaliptyczne pustkowie.

Zdarzyła się tu jakaś niewyobrażalna katastrofa. Sądząc po widoku wysuszonych roślin, nieśmiało pojawiających się wśród ruin, musiało się to stać kilkadziesiąt lat temu.

- Mój Boże, Foster... to... koniec świata - wyszeptała słabym, więznącym w gardle głosem.

Koniec świata.

## **ROZDZIAŁ 50**

Nowy Jork rok 2001

Sal się bała. Bardzo.

Spoglądała w ciemność, na milczące, zniszczone konstrukcje: wysokie, jęczące

szkielety, pomiędzy którymi jak duchy przemykały kłęby kurzu.

Na Times Square nie było już Times Square. W jego miejscu stał grobowiec, niszcząca pamiątka po dawno upadłej cywilizacji. Sal nie była nawet w stanie wyobrazić sobie, co tu się wydarzyło. Bryza penetrująca budynki zawodziła przez otwarte okna jak udręczona dusza, lojalnie ostrzegając dziewczynę, że najwyższa pora brać nogi za pas. Sal stwierdziła, że to bardzo rozsądna propozycja i odwróciła się w kierunku biura terenowego, drżąc z obawy, czy most, znajdująca się pod nim baza i boczna uliczka jeszcze tam są.

W pobliżu coś się poruszyło.

Za kolejnymi oknami przemykał niemal niezauważalny, błąd kształt.

„To tylko jakiś pył... nic więcej” - uspokoiła się w myślach.

Szybko przedzierała się przez gruzowisko, wykopując spod nóg pomniejszych kamienie, które hałaśliwie toczyły się dalej, rozpraszając panującą wokół ciszę. Zdało jej się, że w ciemnych zakamarkach jednego z budynków znowu dostrzegła niewyraźny kształt.

Błada, owalna twarz z dwiema czarnymi jamami w miejscu oczu przyglądała jej się uważnie przez sekundę, po czym zniknęła w posępnym wnętrzu drapacza chmur.

Dziewczyna nie była tu sama.

Przyspieszyła kroku, powstrzymując się jednak przed zerwaniem do biegu, który mógłby zachęcić tajemniczą istotę do pościgu. Zaczęła nucić piosenkę - głupiutki, naiwnie optymistyczny, plastikowy kawałek bollywoodzki; jedną z tych piosenek, które szybko wpadają w ucho i nie mogą z niego wypaść.

Przedzierała się ze stukotem przez Times Square, echo nuconej piosenki odbijało się od spopieliałych i zniszczonych ścian wieżowców. Przeszła obok rdzewiejącego wraku samochodu, wyszła na ulicę, która niegdyś była Broadwayem, i zamarła w przestrachu. Kilkanaście metrów przed nią pojawiła się istota.

Potwór zatrzymał się i wbił w dziewczynę głębokie, czarne, pozbawione życia oczy osadzone w popielatoszarej, łysej czaszce.

Śpiew zamarł jej na ustach.

Postać przypominała istotę z jakiegoś starego filmu o elfach, krasnoludach i magicznych pierścieniach. Akurat tego bohatera pamiętała bardzo dobrze. Nazywano go Gollumem, a stojący przed nią stwór był łudząco podobny. Stał nieruchomo, wpatrując się w nią uporczywie. W końcu otworzył usta, ukazując krwistoczerwone dziąsła i dwa krzywe zęby.

A później krzyknął.

Wycie popłynęło echem wśród wysokich ruin, uruchamiając lawinę podobnych pisków.

Sal rozpaczliwie rozejrzała się wokół i zobaczyła więcej pociągłych twarzy, które wylaniały się zza setek okien jak termyty z zaatakowanego gniazda. W kilka sekund wokół dziewczyny wyrosło mrowie czarnych oczu i niemal bezzębnych, krwawiących ust.

Dziewczyna zaczęła krzyczeć z nimi.

Foster dołączył do Maddy oglądającej spustoszone miasto.

- Zagłada totalna - szepnął. - Dawno temu musiało nastąpić tu coś strasznego. A jeśli wydarzyło się tutaj, bez wątpienia dotyczy całego świata. - Spojrzał na Maddy. - Może to jakaś wojna jądrowa?

- O Boże! Co stało się z ludźmi? Do pełni szczęścia zawsze musi brakować im pięknej eksplozji?

- Obawiam się, że właśnie to leży w naszej naturze.

„A może to sprawiedliwe?” - zamyśliła się dziewczyna. Czasem wstydziła się za swój

gatunek.

Spojrzała na Fosterę.

- Sal musi być przerażona. Może też mieć problem ze znalezieniem drogi powrotnej. Krajobraz zmienił się nie do poznania.

- Poczekaj, zabiorę tylko kilka rzeczy. - Starzec z powrotem zanurkował pod drzwi.

Kilka minut później wynurzył się spod rolety z dwiema latarkami i butelką wody w rękach oraz strzelbą pod pachą.

- Sądzisz, że naprawdę będziemy tego potrzebować? - zdziwiła się dziewczyna.

- Lepiej być przygotowanym na najgorsze.

- Okej. Chodźmy jej poszukać. - Przytaknęła i nerwowo przełknęła ślinę.

## ROZDZIAŁ 51

Nowy Jork rok 2001

Sal biegła ile sił w nogach, omijając gruzy i niszczące fragmenty budynków, od dawna zawałające zapomniane ulice. Co chwila potykała się, traciła grunt pod nogami, zdierała golenie i kaleczyła ręce. Tuż za nią biegły dziesiątki stworów z łatwością dotrzymujących jej kroku. W kruchych, bladawych ciałach kryła się zadziwiająca sprawność. Istoty wyglądały jak małe, niedożywione dzieci ze smutnymi twarzami dorosłych. Śledziły ją, zachowując stały, bezpieczny dystans. Wykazywały jedynie niezwykłą ciekawość.

Na razie.

Spojrzała na ulicę przed nimi - pofałdowaną aleję rozbitych kawałków betonu i

sterczących masztów skorodowanego metalu. Szkielety budynków po obu stronach sugerowały, że dawno temu przebiegała tędy ulica.

Jeśli to szczątki Broadway'u, to w którymś momencie będzie musiała skręcić w lewo, w Czternastą. Skieruje się na zachód w stronę rzeki i mostu Williamsburg.

O ile się nie zawalił.

Gdy odwróciła się po raz kolejny, zobaczyła, że jedno ze stworzeń zmniejszyło dystans i znalazło się tuż za nią, wyciągając przed siebie długą, bladą rękę. Łysa głowa odchyliła się na bok, oczy z ciekawością sondowały długie, czarne włosy dziewczyny.

- O Boże! - krzyknęła. - Zostawcie mnie w spokoju!

Nagle zatrzymała się w miejscu i błyskawicznie odwróciła na pięcie, aby stawić czoła istocie.

Stwór zahamował kilka centymetrów przed jej twarzą. Pozostałe mutanty rozproszyły się na wszystkie strony, wlepiając w Sal szeroko otwarte, płonące z ciekawości ślepia.

Dziewczyna złapała za leżący na ziemi kawałek rury. Z podnoszonego metalu posypały się płaty rdzy. Sal zastanawiała się, czy rura nie rozleci się w pył przy pierwszym kontakcie z napastnikiem, ale dobrze było czuć jej ciężar w dłoni.

- Trzymajcie się z dala! - krzyknęła piskliwym, wysokim głosem.

Stojący najbliżej niej stwór bał się podejść; skulił się tylko i uchylił, niemal jak ssak naczelny.

Ciszę wypełniał krótki oddech dziewczyny i melancholijnie wyjący wiatr: miała czas, aby bliżej przyjrzeć się mutantowi.

Para oczu wyrazistych jak u człowieka. Wynędzniałego człowieka. Gdyby nie paraliżował jej strach, mutant z pewnością wzbudziłby w niej litość.

Stwór zrobił jeden, ostrożny krok naprzód, wyciągając w jej stronę rękę.

- Nie! W tył zwrot! - warknęła, wywijając popękaną rurą.

Istota jęknęła i zaskamlała jak wygłodniały pies zamknięty w klatce w schronisku dla zwierząt. Miała białą, przezroczystą jak u ducha, skórę rozciągniętą na chudych kończynach i wystających żebrach i biodrach. Pod skórą migotały blade zarysy fioletowych arterii. Z ust, oczu i nosa wyciekała krwawa wydzielina.

Stworzenie rozpaczliwie pragnęło zbliżyć się do dziewczyny, coraz śmielej wyciągało rękę, próbując dotknąć nieznajomej.

- Nie! Uderzę cię! - ponownie krzyknęła Sal.

Potwór ponownie przekrzywił łeb i zamlaskał, odsłaniając prawie bezzębne usta.

- Oh! Ahhh-iiittttt-oooooo - wydusił.

Próbował ją naśladować.

- Ty... ty... potrafisz mówić? - wydukała w odpowiedzi.

- Ooo... ooo... ooo-annng-zbikkkkk? - zacharczał.

Dostrzegła coś w jego twarzy. Inteligencję. Za zamglonymi, rybimi ślepiami migotał ślad wyblakłych wspomnień. Mogłaby przysiąc, że stworzenie jest człowiekiem, a przynajmniej kiedyś nim było.

- Na... na imię mam Sal - powiedziała, wskazując na siebie i podnosząc głos, aby usłyszały ją pozostałe mutanty.

Kiedy przedstawiała się Bobowi, klon z ciekawością przekrzywił głowę i, niezdarnie wykrzywiając usta, próbował powtórzyć jej imię. Ale te stworzenia płochliwie skuliły się na



dźwięk jej głosu.

Apatyczne ślepie nie wyrażały takiego zaciekawienia jak oczy jednostki pomocniczej. Stwory kwiliły i jęczały do siebie.

„Czy próbują mi coś powiedzieć?” - zastanawiała się Sal.

- Sal - powtórzyła zadowolona, że trzyma ich to w bezpiecznym dystansie. - Mam na imię Sal.

- Annnng-aahhh.

- Właśnie tak! - Uśmiechnęła się. - Sal.

Wyciągnięta ręka znajdowała się centymetry od jej ubrania. Zastanawiała się, czy uderzyć w nią rurą, czy pozwolić się dotknąć. Nie była pewna, czy istoty chciały jej coś przekazać, czy też próbowały tylko oszacować, jak duże zagrożenie stanowi.

„Czy jeśli go uderzę...?” - myślała gorączkowo.

Obawiała się, że w takim wypadku może nimi zawładnąć jakiś instynkt gromadny - zaatakują ją w mgnieniu oka.

„Pozwól się dotknąć, pozwól mu nawiązać kontakt”.

Nerwowo przełknęła ślinę, gdy koniuszki palców z zapalem sięgnęły jej włosów i delikatnie je pogłaskały.

- Włosy - powiedziała.

Mutant zawijał włosy wokół swoich palców, bawił się nimi, podrzucał je.

- To włosy - powiedziała ponownie łagodniejszym głosem, starając się zamaskować strach.

Usta potwora rozciągnęły się w poprzek całej twarzy, ukazując kilka spróchniałych zębów wyrastających z pokrwawionych dziąseł.

„Mój Boże... czy to uśmiech?”.

Wąska, koścista pierś stwora naprężyła się, a z gardła wypłynął kojący zaśpiew przypominający mruczenie zadowolonego dziecka przyssanego do butelki z mlekiem. Sal bezwiednie wyciągnęła rękę - skopiowanie jego gestu, wykazanie podobnej ciekawości wydawało się dobrym pomysłem. Ręka dziewczyny dotknęła przedramienia istoty. Spodziewała się, że skóra będzie zimna i oślizgła, ale okazała się ciepła i sucha. Taka jak powinna być skóra każdego człowieka.

Odwzajemniła uśmiech.

- Miło... miło mi cię poznać - powiedziała.

- Eeeeeee... eeeee-ooo-eeee-oooo.

Wtedy za plecami usłyszała dźwięk rozrzuconego gruzu.

- Nie ruszaj się!

Był to głos Maddy. Nawet nie krzyk, ale chropowaty szept przesywający ciemność.

- Nie wykonuj gwałtownych ruchów - odezwał się głos Foster. - Patrz mu prosto w oczy, Sal. Nie odwracaj głowy. Rozumiesz?

Przytaknęła.

- W porządku, możesz powoli zrobić krok do tyłu.

Chciała spojrzeć przez ramię, zobaczyć gdzie i w jakiej odległości znajdują się przyjaciele.

- Nie! - syknął Foster. - Cofaj się, ale nie spuszczaaj z niego wzroku.

- D... dlaczego? - zdołała wyszeptać.

- Po prostu rób, co mówię!

Posłusznie, ze wzrokiem wbitym w stworzenie zaczęła ostrożnie stawiać jeden krok za drugim, próbując stopami znaleźć oparcie na nierównym gruncie.

Gollum zmarszczył brwi. Łagodny zaśpiew szybko przeszedł w pomruk irytacji, gdy człapiący stwór został zmuszony do ponownego schwycenia włosów dziewczyny.

- T... to mnie nie chce puścić - wymamrotała Sal. - Ałaj! Znowu złapał mnie za włosy!

- Po prostu idź... Nie przestawaj się cofać. - Głos Maddy wydawał się dochodzić z nieco mniejszej odległości.

Istota mocno trzymała pukiel włosów, szponiaste palce próbowały znaleźć jak najlepszy chwyt. Wyraz niewinnego zaciekawienia zniknął, ustępując miejsca mrocznemu instynktowi. Z otwartych ust mutanta wypłynął niemal ludzki krzyk, który nie przypominał jednak żadnego języka.

Pozostałe potwory gwałtownie ruszyły w ich stronę.

- O nie! - krzyknęła Maddy.

Zabrzmiął ogłuszający huk wystrzału. Stwór trzymający Sal za włosy upadł na plecy. Na kamienie chlapnęła gęsta krew.

- Sal, szybko!

Dziewczyna odwróciła się i zauważyła Maddy i Fostera, którzy stali dziesięć metrów dalej. Niebieski obłok dymu rozproszył się, ukazując mężczyznę ładującego kolejny nabój do

strzelby. Sal wspinała się na czworakach w ich stronę po chrzęszczących stertach cegieł i kamieni, czekając tylko chwili, w której szpony kolejnego stworzenia wplotą się w jej włosy i powalą ją na ziemię. Ale chwilę później wpadła w otwarte ramiona Maddy.

- O Boże, Sal! Wszystko w porządku?

Dziewczyna była zbyt roztrzęsiona, aby odpowiedzieć.

- Biegnijmy! - wyszeptała. - Po... po... powinniśmy biec!

Maddy stała pewnie, przyciskając do siebie przyjaciółkę.

- Już dobrze, Sal... wszystko gra. Popatrz.

Sal spojrzała przez ramię. Wszystkie stworzenia, za wyjątkiem targanego konwulsjami mutantą, zniknęły - rozplynęły się w powietrzu kilka kroków przed nią, jakby zawsze były tylko smugą dymu, którą teraz rozproszył poryw wiatru.

- Odgłos strzału wystraszył je wszystkie - powiedział Foster.

Maddy niespokojnie omiotła wzrokiem otaczające ich ciemne łupiny zrujnowanych budynków.

- Chowają się tam. Powinniśmy wracać, póki są jeszcze przestraszone.

Foster wskazał drogę:

- Idziemy.

Dziewczyny ruszyły z powrotem. Foster, ze strzelbą przygotowaną do wystrzału, szedł kilka kroków za nimi.

## ROZDZIAŁ 52

New Jersey rok 1956

Feldwebel Johan Kernst rozgrzewał dłonie, patrząc, jak widoczna w oddali ciężarówka zmierza w stronę zachodniej bramy obozu jenieckiego Gefangenenlager 63. Pojazd jechał szybko, zdecydowanie zbyt szybko.

- Ruszcie zadki, panienki! - warknął na żołnierzy strzegących barykady.

Oslonił oczy przed oślepiającymi promieniami słońca, które odbijały się od pokrytych śniegiem pól po obu stronach zrytej żwirówki. Czuł, że coś jest nie tak.

- Wyciągnijcie M96 - wydał krótki rozkaz.

Dwaj strażnicy włożyli karabiny pod pachę i zabrali się do rozkładania działa automatycznego ciężkiego kalibru: czterech szybkostrzelnych karabinków montowanych na masywnych trójnogach i dodatkowo stabilizowanych workami z piaskiem. Ich piękne działko zdolne było zmieść z powierzchni ziemi każdy nieopancerzony pojazd w ułamku sekundy.

Kierowca nie zwalniał. Spod kół pędzącej po wrytych koleinach ciężarówki bryzgała fontanna błota, barwiąc leżący na poboczu śnieg.

Kernst wyszedł przed szlaban i zamachał obiema rękami, sugerując kierowcy, że najwyższa pora zwolnić, zatrzymać się i pokazać dokumenty. Albo to, albo powitalna seryjka z M96.

Usłyszał, że silnik wskakuje na wyższe obroty.

„Przyspiesza” - pomyślał i zaklął pod nosem.

Niemiecki sierżant przeszedł z błotnistych kolein na środku drogi na pobocze i

zasygnalizował szeregowcom, aby wypuścili salwę ostrzegawczą. M96 zaśpiewała, wypływając na ziemię kaskadę parujących łusek. Bryły błota i rozmokłego śniegu zatańczyły w powietrzu kilkadziesiąt metrów przed zbliżającym się pojazdem.

Ale kierowca nie miał zamiaru zwalniać.

Kernst potrząsnął głową. Głupiec prowadzący ciężarówkę to pewnikiem jakiś w gorącej wodzie kąpany amerykański dzieciak, próbujący sforsować barykadę, aby uratować kogoś bliskiego, może ukochaną. No cóż, głupiec niedługo zginie.

Gdy ciężarówka zbliżyła się na pięćdziesiąt metrów i dodatkowo zwiększyła prędkość, Kernst wydał podkomendnym kolejny sygnał. Szeregowcy wycelowali grube lufy M96 w przednią szybę pojazdu.

I wystrzelili.

Szyba eksplodowała. Metalowe okratowanie na masce rozpadło się wśród deszczu iskier. Ale impet niepowstrzymanie gnał ciężką, czterotonową ciężarówkę wprost przed siebie.

Kernst w ostatniej chwili uskoczył w głęboki śnieg przed szar żującym pojazdem, który zahaczył kołami o stanowisko M96 i, mknąc na dwóch kołach, staranował szlaban, po czym wyrócił się na bok i przekoziołkował kilkanaście metrów, pociągając za sobą pięćdziesięciometrowy odcinek ogrodzenia z drutu kolczastego i zatrzymując się w końcu na ośnieżonym podwórzu przed pierwszym szeregiem baraków.

Kernst zdołał wygramolić się z sięgającego pasa nasypu śnieżnego i odbezpieczyć karabin. Ostrożnie podszedł do przewróconej ciężarówki. Warkot silnika zamarł, kręciło się tylko jedno koło, a spod rozbitej kratownicy na masce unosił się pióropusz dymu i pary.

Drzwi od strony kierowcy otworzyły się z hukiem. Z szoferki wypadł mężczyzna, opadając na ziemię z zadziwiającą szybkością i sprawnością.

Kernst oddał kilka serii strzałów - większość chybionych, choć (jak zarzekał się kilka

godzin później podczas składania zeznań) co najmniej kilka dosięgło celu, trafiając w sam środek klatki piersiowej szaleńca.

Napastnik był duży, umięśniony i najwyraźniej nieustraszony. Nie upadł, jęcząc i trzymając się za rany, ale wolno odwrócił głowę i spojrzął na Kernsta. Podniósł trzymane w obu dłoniach ciężkie karabiny pulsacyjne i wystrzelił.

Niemiec znowu zanurkował głową w ośnieżony nasyp, aby uniknąć gradu kul rozpruwających powietrze kilka cali nad nim. Kernst uznał, że najrozsądniej będzie nie zmieniać tej pozycji.

Muskularny mężczyzna przeszedł przez plac, skanując wzrokiem długie, niskie drewniane baraki. Kilka chwil później zaczęły otwierać się drzwi. Z ciemnych pomieszczeń wyłoniły się twarze. Dziesiątki twarzy.

„Trwa skanowanie” - rozbrzmiało w głowie klona.

Na mikrosekundę jego oczy zatrzymywały się na kolejnych twarzach.

Nic.

Brak Liama O’Connora.

Bob skierował się w stronę najbliższej chaty. W tym samym momencie w obozie zaryczał alarm. Przez plac popłynął strumień wykrzykiwanych po niemiecku rozkazów. Klon kopnął najbliższe drzwi i wtargnął do ciemnego pomieszczenia, automatycznie dostosowując wzrok do panującego w środku mroku.

„Trwa skanowanie”.

Żadna z bladych, przerażonych twarzy nie należała do agenta operacyjnego.

- Cz... cz... czy jesteś tu, aby nas uwolnić? - łamiącym się głosem spytał jeden z więźniów zbitych w przestraszoną grupkę.

Bob z namysłem przekrzywił głowę.

- Zaprzeczam.

- Proszę.. pomóż nam. Pomóż.

„Ocena taktyczna.” - Przez procesory w głowie Boba przemknął kolejny komunikat.

W końcu stwierdził, że ucieczka więźniów bardziej mu pomoże niż zaszkodzi. Stojąc samotnie na środku placu, skupiłby na sobie zbyt intensywny ogień, otrzymałby zbyt wiele ran postrzałowych i nawet jego genetycznie udoskonalony organizm miałby problem ze zregenerowaniem tylu ubytków. Choć był robotem, jego ciało zbudowano z krwi, kości i organów. Bob mógł zostać zabity. Setka ludzi uciekających we wszystkich kierunkach wzbudzi pożądane zamieszanie; spowoduje, że ostrzał będzie chaotyczny, zostanie skierowany i na niego, i na więźniów.

Bob spojrzał na grupkę mężczyzn.

- Jesteście wolni - powiedział monotonnym głosem.

Pięćdziesiąt cztery baraki. Jednostka pomocnicza wchodziła do kolejnych budynków, zachęcając wystarczająco odważnych więźniów do ucieczki przez wyrwę w ogrodzeniu. Oczy metodycznie skanowały twarze stłoczonych w środku jeńców. Na dziedzińcu obozu panował chaos. Ludzie przepychali się w kierunku zawalonego płotu, wydeptując śnieg i znacząc go różowawymi śladami krwi. Ze wszystkich stron dochodziły okrzyki, perkusyjny terkot wystrzałów skierowanych w więźniów, wykrzykiwane rozkazy i mściwe nawoływania. Bob widział, jak jeńcy z zaskoczenia powalili kilku strażników, których brutalnie pobili i zastrzelili, ignorując błagania o litość. Przy okazji odnotował, że własnoręcznie uśmiercił trzydzieści sześć osób. Informacja zostanie uwzględniona podczas późniejszej ewaluacji misji za pomocą silikonowego procesora.

Gdy biegł w otoczeniu uciekających z obozu więźniów, bez powodzenia przenosząc wzrok z twarzy na twarz, przez śnieg przytruchtał do niego mały, chudy człowieczek.



- Hej, ty!

Bob odwrócił się, by na niego spojrzeć.

- Tak, ty. Duży.

Kilka pocisków przemknęło tuż nad głową Boba, który błyskawicznie przerzucił karabin do ręki, dokładnie wymierzył i wystrzelił bez chwili wahania. Stojący pięćdziesiąt metrów dalej strażnik zgiął się wpół, zalewając ziemię pasowymi strugami krwi.

Człowieczek szeroko otworzył usta, ukazując szereg pożółkłych od tytoniu zębów.

- Łaaadnie, stary... to ci dopiero strzał!

Bob, nie zwalniając kroku, zmierzał w stronę powalonego ogrodzenia.

- Informacja: ta broń palna strzela z niezawodną precyzją na odległość do stu metrów  
- wyjaśnił rzeczowo.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Taa, jasne... ale ty wykręciłeś tę pukawkę i wystrzeliłeś, nawet na gościa nie spoglądając.

- Sytuacja taktyczna jest ryzykowna. Niedługo zjawią się posiłki - zakomunikował Bob, przechodząc przez powykręcane i powyginane druty kolczaste. - Musisz natychmiast opuścić tę lokalizację.

- Co ty nie powiesz - odparował człowieczek. - Szwaby będą potężnie wnerwione, jak tu przyjadą. Nie mam zamiaru wystawać tu minuty dłużej!

Bob wybiegł już na ośnieżone pole po drugiej stronie płotu. Człowieczek ponownie go dogonił i próbował dotrzymać kroku, sapiąc ze zmęczenia.

- Hej! Nazywam się Panelli. Raymond Panelli - wystękał. - Ale kumple wołają mnie Ray, bo to... ałć! - Potknął się na ukrytym pod śniegiem kamieniu i zaklął, podskakując przez chwilę na jednej nodze i znowu nadrabiając stracony dystans.

- A więc... kim jesteś? - wysapał. - Jak się nazywasz?

- Nazywam się Bob.

- Bob?... Bob? Tylko tyle?

W milczeniu biegli przez pole, kierując się pod osłonę lasu. Wlekący się za Bobem Panelli rzeził jak stary astmatyk.

- Bob?

Bob w milczeniu truchtał dalej. Oczy klona skanowały twarze jeńców rozproszonych po ośnieżonym polu. Procesor wewnątrz czaszki przetwarzał parametry misji i analizował sytuację taktyczną. Ciało z trudnością regenerowało się po pięciu ranach postrzałowych odniesionych podczas szarży na obóz; krew wokół obrażeń samoczynnie krzepła, następowała reprodukcja leukocytów powstrzymująca ryzyko infekcji.

- Hej, Bob!

Towarzyszący mu człowieczek powoli stawał się bezużytecznym balastem. Bob spojrzał na niego.

- Czego chcesz?

- Hmm... tak myślę, czy mógłbym się do ciebie przyłączyć? Nieźle skopałeś im tyłki, naprawdę dałeś im popalić. To było niesamowite. - Panelli zamilkł na chwilę i wzruszył ramionami. - Pomyślałem, że dobrze byłoby mieć takiego przyjaciela jak ty.

Bob otaksował wzrokiem człowieczka. Mógł się przydać.

- Jak sobie życzysz - odrzekł obojętnie.

## ROZDZIAŁ 53

Nowy Jork rok 2001

Czwartek/Piątek? (Nie jestem pewna)

Już trzy dni. Przynajmniej tak mi się wydaje. Puszek z kredensu ubywa. Niedługo będziemy głodni.

Foster i Maddy kilka razy opuścili bazę w poszukiwaniu prowiantu. Jak na razie nic nie znaleźli. Nic tylko ruiny i szkielety.

Istoty z zewnątrz okazały się kanibalami.

Foster znalazł na wpół zjedzone ciało jednego z nich... a w pobliżu cmentarzysko podobnych kości. Potwory tworzą małe plemiona, które wzajemnie się zjadają. Teraz, gdy wiem, że tak niewiele brakowało... To obrzydlistwo głaszczące mnie po włosach oceniało moje rozmiary. Sprawdzało, czy można mnie bezpiecznie zjeść.

Nie chcę umierać w ten sposób. Wybrałabym każdy rodzaj śmierci, tylko nie to. Wciąż boję się, że za chwilę usłyszę jak drapią w drzwi, próbując wedrzeć się do środka.

Nigdy w życiu nie byłam tak jahullnie przerażona.

- Nie... nie chcę znów tam iść - szepnęła Sal. - Nigdy. Nigdy więcej.

W blasku stojącej na stole świecy Foster dostrzegł, że w oczach biednej dziewczyny czai się paniczny strach. Pozostała część pomieszczenia była pogrążona w ciemności.

- Nie mamy innego wyjścia - oznajmił stanowczo.

- Ale... ale te potwory...

Te potwory były kiedyś ludźmi, ale wydarzyło się coś strasznego. Podejrzał, że mogła to być wojna nuklearna. Wysadzone w powietrze budynki, osmalone ściany i spopieliałe gruzy wskazywały na uderzenie fali intensywnego ciepła. Żałosny wygląd mutantów, ich anemiczna cera, ropiejące rany i bezzębne usta mogły być efektem ewoluującej przez dekady choroby popromiennej.

- Foster ma rację - powiedziała Maddy. - Nie możemy ukrywać się wiecznie.

- Ale... te... te dziwolągi to... kanibale.

- Tak, doskonale wiemy, czym są - rzuciła Maddy.

- Może zdołamy nawiązać z nimi kontakt - zastanawiał się Foster. - Jeżeli wojna nuklearna wybuchła w pięćdziesiątym szóstym roku, stworzenia żyjące dzisiaj są wnukami nielicznych ocalałych. Być może starszyzna potrafi posługiwać się naszym językiem.

- Żartujesz, prawda? - niedowierzała Maddy. - One się ślinią, a nie mówią. Mają nas za darmową wyżerkę.

„Czy ona nie ma racji? - Foster ogarnęły wątpliwości. - Prawdopodobnie zabiją mnie, zanim zdołam wpaść na pomysł, jak się z nimi porozumieć”.

- No dobrze... - westchnął. - Straciliśmy już wystarczająco dużo czasu. Miałem nadzieję, że nadejdzie kolejna fala czasoprzestrzenna, która poprawi naszą sytuację. Niestety wszystko wskazuje na to, że utknęliśmy tu na dobre. Nie mamy wyboru. Trzeba znaleźć jakiś sposób wygenerowania mocy, aby ponownie uruchomić system komputerowy i otworzyć okno dla Liama i Boba.

- Wygląda na to, że będziemy potrzebować sporo ładunku - spochmurniała Maddy.

- Nawet jeśli wystarczy nam jej tylko do sprowadzenia jednego z nich, może dowiemy się, kiedy i gdzie oś czasu została odchylona.

Maddy zdjęła okulary i przetarła zaparowane szkła.

- Tylko, że wtedy będziemy potrzebowali kolejnej porcji mocy, żeby ponownie wysłać ich do przeszłości, aby w niej posprząkali, prawda?

- Tak. - Foster zdobył się na ponury uśmiech. - Będziemy się tym przejmować, kiedy do tego dojdzie. Nie wszystko na raz.

- Na Jahullę! Jesteśmy zgubieni! - szepnęła Sal.

- Ależ skąd! - odpowiedział stanowczo. - Przez te wszystkie lata pracy dla Agencji nauczyłem się jednego: wszystko płynie... nic nie trwa wiecznie. Możemy... musimy wszystko zmienić. Rozumiesz? Porażka nie wchodzi w grę.

Dziewczyny przyglądały mu się w milczeniu.

- Nikt za nas tego nie zrobi, wszystko jest w naszych rękach. Jeśli będziemy tu tylko siedzieć w bezpiecznym ukryciu, umrzemy z głodu, a świat za roletą pozostanie w tym kształcie na zawsze.

Pozwolił ciszy zawisnąć w powietrzu. Trzy twarze wokół migającego płomienia świecy zastygły w bezruchu.

- Więc... na zapleczu, w pomieszczeniu z cylindrami dla klonów, znajduje się generator. Do uruchomienia potrzebny jest olej napędowy.

- Dlaczego w magazynie nie mamy żadnych kanistrów? - zapytała Maddy. - Jak sens ma trzymanie zapasowego generatora bez paliwa?

Foster pokręcił głową.

- Gromadziliśmy zapasy paliwa... ale pole energetyczne bańki czasowej otaczającej biuro terenowe powodowało rozpad związków chemicznych tej substancji.

- Czyli?

- Olej napędowy ulegał rozkładowi. Substancja, którą przechowujemy w magazynie jest bezużyteczna. Trzeba opuścić bazę i znaleźć paliwo w terenie.

Przerwał na chwilę, przysłuchując się niepokojącym odgłosom wiatru delikatnie uderzającego w drzwi. Ciszę przerwała Sal.

- W takim razie ruszmy tyłki i zacznijmy szukać.

- Mamy broń. Potwory nie odważą się podejść - poparła ją Maddy.

- Gdzieś w Nowym Jorku, w jakiejś piwnicy lub magazynie, musiało się chyba ostać parę beczek z olejem napędowym.

- Racja - zgodziła się Maddy.

Sal w zamyśleniu przygryzła wargę i w końcu również kiwnęła głową:

- Zróbmy to.

Foster mocno złapał je za ręce i uśmiechnął się z dumą.

- Mam przeczucie, że wy dwie i Liam stworzycie kiedyś fantastyczną drużynę. Najlepszą w historii Agencji.

Dziewczyny z trudem przywołały na twarze swoje najśmielsze uśmiechy.

## ROZDZIAŁ 54

obóz jeniecki nr 79 w New Jersey rok 1957

Laim ciasno owinął się lichym, szarym kocem, próbując zachować przynajmniej odrobinę ciepła swojego ciała. Powoli zaczynał tracić rachubę czasu - nie był pewien, czy jest w obozie od czterech, czy może pięciu miesięcy.

„Coś koło tego” - pomyślał.

Plac wypełniały setki, jeśli nie tysiące, więźniów zawiniętych w szare koce, spoglądających apatycznie poza kolczaste ogrodzenie, na jałowy, zimowy pejzaż otaczający obóz jeniecki.

- Słuchaj, po prostu ciężko to pojąć... uwierzyć - powiedział stojący obok Wallace i zamyślił się, pocierając zgrabiałe dłonie i dmuchając w nie. - W Białym Domu widziałem, jak kule dziurawiły twojego przyjaciela, Boba, jak sito, a on zupełnie nic sobie z tego nie robił. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

- Czyli mi wierzysz?

Wallace z irytacją podrapał się po ciemnej, szczeciniastej brodzie.

- Naprawdę chcesz, bym uwierzył, że jesteś przybyszem z przyszłości?

- Tak. - Liam wzruszył ramionami. - W zasadzie pochodzę z tysiąc dziewięćset dwunastego roku, ale... - Na twarzy chłopca pojawił się zmęczony uśmiech. - Tak... tutaj przybyłem z przyszłości.

- I powiadasz, że wylądowaliście w teraźniejszości... w pięćdziesiątym szóstym, aby naprawić historię i nie pozwolić Niemcom wygrać drugiej wojny światowej?

- Tak. Aby poprawić historię.

Wallace potrząsnął głową i wybuchnął śmiechem. Wypuścił kłęb pary, która szybko

wymieszała się z rześkim, porannym powietrzem.

- To kompletne wariactwo. Słuchaj, mówię ci, że nazistom nawet przez sekundę nie groziło ryzyko przegranej. Podbili Polskę, Belgię, Francję, Wielką Brytanię... i całą kontynentalną Europę w przeciągu dwóch lat. Nie było szans, żeby ich powstrzymać. Żadnych.

Liam wzruszył ramionami.

- Tam, skąd pochodzę komuś się udało. Tak mi przynajmniej mówiono. Niemcy przegrały z kretesem. Ich przywódca, ten cały Hitler, popełnił kilka poważnych błędów. Zaatakował Rosję, prowadząc jednocześnie wojnę na froncie...

Wallace znowu podrapał się w podbródek.

- Stary Adolf był szalony, to się akurat zgadza. Dlatego w czterdziestym czwartym na szczytach władzy dokonano roszady i Kramer został wodzem Rzeszy.

Liam odwrócił się do Wallace'a.

- Opowiedz mi o Hitlerze i tym drugim, Kramerze. Muszę dowiedzieć się więcej. To wszystko zdarzyło się czterdzieści lat po mojej śmierci, więc staram się nadrobić zaległości i pojąć bieg wydarzeń.

- Po śmierci? Ach tak, wspominałeś, że byłeś na pokładzie Titanica - dodał sceptycznie Wallace.

- Tak, na tym pierońskim, rzekomo niezatapialnym, kawałku metalu.

- Ty w to naprawdę wierzysz! - parsknął Wallace.

- Po prostu opowiedz mi o nich, o Hitlerze i Kramerze - westchnął z rezygnacją Liam.

Mężczyzna wziął głęboki oddech.



- Adolf Hitler był przywódcą niemieckiej partii nazistowskiej, która doszła do władzy w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku, wykorzystując to, że kraj był pogrążony w kryzysie i stał na krawędzi bankructwa. Hitler obiecał ludziom, że za jego rządów recesja zostanie zażegnana. I rzeczywiście tak się stało. Udało mu się wprowadzić kraj na prostą, a ludzie pokochali go za to. Ale później... lekko oszalał, jego umysł owładnęła całkowicie żądza władzy. Niemcy pod jego rządami uruchomiły program zbrojeń i wydarzyło się nieuniknione - w trzydziestym dziewiątym najechali Polskę. I tak oto wybuchła druga wojna światowa.

- Druga wojna światowa? A więc była i pierwsza?

- Pytasz o pierwszą wojnę światową? Tak, oczywiście. Chcesz, żebym opowiedział ci też o wcześniejszych wydarzeniach? Wybuchła zaraz po twojej... hmm... śmierci.

Liam potrząsnął głową.

- Nie... już w tej chwili to dla mnie wystarczająco zagmatwane. Skończ opowiadać o Hitlerze i Kramerze.

- No dobra. Wybuchła druga wojna światowa. Niemcy zajęli Polskę, Belgię i Francję. Wykopali z Francji Brytyjczyków, pokonując ich w bitwie pod Dunkierką. Przez kolejny rok budowali linie obronne i ubezpieczali swoje pozycje. Roosevelt, prezydent Stanów Zjednoczonych, chciał przystąpić do wojny, ale skutecznie blokowali go kongresmeni i senatorzy. Większość Amerykanów sądziła, że to rozsądna polityka, uważaliśmy, że to wewnętrzny problem Europy. Nie nasz.

Wallace przerwał na chwilę, by zebrać myśli.

- Krążyły plotki, że następnym krokiem Hitlera będzie atak na Związek Radziecki - kontynuował. - Bez wątplenia szykował jakiś plan. Czytałem przygotowane dla prezydenta raporty wywiadowcze informujące o przerzucaniu czołgów i oddziałów piechoty na wschód. Ale niespodziewanie Hitler poszedł po rozum do głowy.

- Co masz na myśli?

- Zdecydował się odstąpić od planów ataku na Związek Radziecki. Wczesnym latem czterdziestego pierwszego Niemcy i Rosjanie, wbrew wszelkim oczekiwaniom, podpisali traktat pokojowy. I właśnie w tym samym roku Paul Kramer pojawił się na scenie politycznej jako zastępca Hitlera. Była to niewiarygodna i niespodziewana zmiana planów. Wszyscy doskonale wiedzieli, że Hitler gardzi Rosjanami, Stalinem i komunistami. Byliśmy pewni, że są następni na jego liście.

- Sądysz, że to Kramer odwiódł go od tej decyzji?

- Tak... tak, nie ma co do tego wątpliwości - przytaknął Wallace. - Jestem pewien, że Kramer od razu zafascynował Hitlera; został jego najbliższym doradcą i zastępcą. A trzy lata później ten szczywany lis, Kramer, pozbawił starego szaleńca władzy.

Liam spojrział na Wallace'a.

- W przyszłości, z której pochodzę, usłyszałem zupełnie inną historię. Hitler pozostał u władzy i w efekcie przegrał wojnę. Umarł w bunkrze, o ile dobrze sobie przypominam - chyba popełnił samobójstwo. Nic nie słyszałem o Kramerze.

Wallace rzucił chłopakowi sceptyczne spojrzenie.

- Chcesz mi powiedzieć, że w waszych podręcznikach historii nie ma wzmianki o Paulu Kramerze?

- Z tego, co wiem, nie ma tam o nim ani słowa - potwierdził Liam.

Wallace gapił się na niego, nie dowierzając własnym uszom.

- Dobry Boże, gdyby to rzeczywiście była prawda - odpowiedział, potrząsając głową. - Świat przyglądał się poczynaniom tego człowieka z zapartym tchem. Nigdy nie wykonał fałszywego kroku. To geniusz i szaleniec. Przyglądaliśmy się, jak buduje potęgę swojego imperium, jak prześciga nas w zakresie technologii wojskowej. Przez ostatnie piętnaście lat

stanowił dla Stanów Zjednoczonych nieustannie rosnące zagrożenie.

Wallace dmuchnął na zgrabiałe ręce.

- Ale myśleliśmy - mieliśmy nadzieję - że zostawi nas w spokoju. Istniała nadzieja, że Kramer jest gotowy podpisać rozejm pomiędzy Wielką Rzeszą a Stanami Zjednoczonymi; traktat pokojowy, który zakończy zimną wojnę pomiędzy naszymi narodami. - Wallace westchnął i dodał: - Jak widać zostaliśmy nabici w butelkę.

Liam przyglądał się dwójce uzbrojonych strażników patrolujących obszar przed ogrodzeniem; na czarne mundury z emblematem trupiej czaszki narzucili grube, zimowe peleryny.

„Kramer? Czy to on? Czy to on przybył tutaj z przyszłości?” - Na tę myśl Liam zadygotał pod kocem.

- Słuchaj, możliwe, że Kramer to ktoś taki jak ja: inny podróżnik w czasie.

- Ta historia robi się odrobinę zbyt naciągana. Nawet jak dla mnie - odparł ze śmiechem Wallace.

- Ale ja mówię poważnie.

Wallace się skrzywił.

- Wtedy, w Białym Domu, pomyślałem, że ty i twój kumpel jesteście agentami specjalnymi, że jest w was coś wyjątkowego, tajemniczego. Ale teraz - rzucił, potrząsając głową - przepraszam, ale teraz mam cię tylko za szalonego dzieciaka ze zbyt wybujałą wyobraźnią.

- Mówię prawdę. Podróżowanie w czasie jest możliwe.

- Wiesz co? Może w takim razie sam skonstruujesz wehikuł czasu i własnoręcznie zabijesz Kramera? - zadrwił Wallace. Miał już po dziurki w nosie tej zwariowanej opowieści

chłopaka.

Liam westchnął.

- Jestem tylko głupim stewardem, a przynajmniej nim byłem. Zresztą, nawet gdybym był wystarczająco inteligentny, aby zbudować wehikuł, musiałbym wiedzieć, gdzie i dokąd się udać... dowiedzieć się, w którym momencie Kramer pojawił się w tym świecie.

- Wszyscy to wiedzą, za wyjątkiem ciebie, jak widać. - Wallace z rezygnacją potrząsnął głową.

- Słucham? Co masz na myśli?

- Istnieje relacja z pierwszego spotkania Kramera z Hitlerem. Znajduje się w drugiej autobiografii Hitlera - Mein Sieg... Moje zwycięstwo - opublikowanej w czterdziestym czwartym, tuż przed przejściem władzy przez Kramera.

- Mów dalej!

- To słynne spotkanie odbyło się w kwietniu czterdziestego pierwszego. Adolf nazwał Kramera bożym posłańcem, aniołem, pisał o boskiej interwencji. W książce opisał historię, jak Kramer przybył pod osłoną ciemnej, mroźnej nocy do cieszącego się złą sławą Orlego Gniazda. O ile pamięć mnie nie myli, wydarzyło się to w nocy piętnastego kwietnia.

Liam poczuł, jak zaczyna łomotać mu serce.

„O mój... to może być właściwy czas i miejsce, w które powinniśmy się udać” - pomyślał rozgorączkowany.

Wallace zbierał się już do odejścia, ale zawahał się. Na wychudłej twarzy pojawił się uśmiech, za ciemną brodą zaślniły białe zęby, gdy powiedział:

- Chciałbym ci wierzyć, mały, że gdzieś istnieje piękniejsza wersja historii.

- Istnieje!

Mężczyzna zaśmiał się, wypuszczając obłok pary.

- Nie zapomnij mi powiedzieć, gdy ją znajdziesz.

Liam patrzył, jak skulona postać zawinięta w szary koc odwraca się i odchodzi, brodząc w skrzypiącym śniegu i w poszukiwaniu ciepła wchodzi w tłum innych więźniów. Chłopak uchwycił się promyka nowej nadziei: gdyby tylko znalazł sposób, aby przekazać informację o dokładnym miejscu i dacie Fosterowi i Maddy...

Być może oni również, jakimś cudem, natknęli się na informację o tym zadziwiającym spotkaniu Kramera z Hitlerem. Być może Bobowi udało się przejść przez portal i właśnie w tej chwili starali się naprawić przeszłość, odnaleźć Kramera w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku.

I zabić go.

To przynajmniej jakaś iskierka nadziei. Powinien uchwycić się tej myśli.

## ROZDZIAŁ 55

okręt powietrzny Führera nad Waszyngtonem rok 1956

Karl Haas sprężyście odsalutował dwóm strażnikom z oddziału SS Leibstandarte, strzegącym drzwi na pokład obserwacyjny Führera. Żołnierze energicznie zaszurali butami i wpuścili oficera. Karl przeszedł przez korytarz obity dębową boazerią i znalazł się przed drugimi, wewnętrznymi drzwiami, za którymi znajdowała się luksusowo wyposażona kwatery główna Kramera. Obcasy czarnych, skórzanych butów z cholewami nie stukały już hałaśliwie o metalową posadzkę, ale wydawały głuche tąpnięcia tłumione przez gustowny, gruby dywan.

„Co się dzieje z Paulem?” - pomyślał po raz nie wiadomo który Karl.

Od pewnego czasu niepokoił się o swojego wodza. Przez kilka ostatnich miesięcy, od ostatecznego ataku na Waszyngton i zdobycia Białego Domu, coś trawiło duszę Kramera. Karlowi coraz trudniej przychodziło przekonywanie Führera, że jego obecność na cotygodniowych spotkaniach informacyjnych z naczelnikami okręgów i dowódcami floty jest niezbędna. A kiedy już się zjawiał, wydawał się całkowicie nieobecny duchem.

Co go trapi? Chyba nie to ciało?

Mogło ono oznaczać co najwyżej tyle, że agentowi z przyszłości nie powiodła się próba zabicia Kramera. Nieudany zamach, nic więcej.

Pozostałe wieści były pomyślne. W domu, w Europie, obywatele Rzeszy entuzjastycznie reagowali na wyświetlane w kinach kroniki filmowe przedstawiające żołnierzy sił wyzwolicielskich, dumnie maszerujących ulicami Nowego Jorku, Waszyngtonu i Bostonu. Nieśmiałe dowody radości dochodziły również z prowincji, które zostały podbite ponad dekadę wcześniej. Mieszkańcy Wielkiej Brytanii i Francji szybko zrozumieli, że Führer jest wielkim człowiekiem, któremu przyświeca idea zjednoczenia narodów, a nie zniewolenia świata.

Ogłoszenie Dnia Jedności świętem na cześć zakończenia wojny i zjednoczenia zachodnich ziem spotkało się z entuzjastyczną reakcją obywateli Wielkiej Rzeszy. Karl był przekonany, że podczas przyszłych obchodów Dnia Jedności organizowane będą uliczne parady, a ludzie we wszystkich miastach imperium Kramera świętować będą kres dwóch mileniów krwawej historii. Wojny, krucjaty, nietolerancja religijna, inkwizycja, tortury, czystki etniczne, Holocaust - wszystkie te mroczne wydarzenia odejdą do przeszłości.

Zapukał w drewniane drzwi, czekając na zaproszenie Kramera. Po chwili wszedł do środka i zsalutował wodzowi.

Kramer siedział we wnęce okiennej, obserwując kształty rysujące się we mgle pochmurnego poranka - kopułę Białego Domu, latarnie na Pennsylvania Avenue i punktowe

światła samochodów wiozących do pracy zaspanych mieszkańców stolicy.

Po chwili z ciepłym uśmiechem odwrócił się do Haasa.

- Dzień dobry, Karl. Jak się masz?

Karl rozluźnił się, opuścił dłoń wzniesioną do salut i podszedł do swojego wodza, przyjaciela.

- Dobrze - odpowiedział.

- To niesamowite, jak szybko na ulice wraca normalność. - Kramer pokręcił głową. - Ludzie idą do pracy, do szkoły, odwiedzają przyjaciół, ukochanych. Jakby nic się nie wydarzyło. Mają nowego przywódcę, nową flagę... ale życie toczy się dalej.

- Tak... Paul.

- Wygląda na to, że Amerykanie - kontynuował Kramer - zaakceptowali już nowy porządek.

Karl poruszył się nerwowo. „Oczywiście nie licząc mąciwodów atakujących obozy jenieckie” - pomyślał.

- A więc... - podjął Kramer - zabierajmy się już za tę poranną odprawę. Mam inne sprawy na głowie.

- Oczywiście. To samo co zwykle: stos dokumentów do podpisania. Większość to nominacje dla przychylnych nam gubernatorów stanowych. - Karl położył papiery na biurku.

Führer podniósł się z fotela przy oknie i usiadł przy sekretarzyku, kartkując ze znużeniem formularze i automatycznie je podpisując.

- Sporo ostatnio tej biurokracji - westchnął.

- Armia Stanów Zjednoczonych przegrupowała się w Teksasie i nieoficjalnie przyjęła warunki kapitulacji. Zdaje mi się, że tymi niedobitkami dowodzi generał MacArthur.

- Świetnie... doskonale. To głupota walczyć na próżno.

- Liczy na łagodne potraktowanie wysokich rangą oficerów. Chcą wrócić do domów, do rodzin.

- Szczerze mówiąc, nie ufam im za grosz - odpowiedział Kramer, nie przerywając stawiania parafek na kolejnych dokumentach. - Powiedz MacArthurowi, że jego oddziały zostaną rozbrojone, a żołnierze zwolnieni do domu. Obawiam się jednak, że on sam i starsi rangą oficerowie zostaną internowani wraz z innymi więźniami politycznymi - mruczał Kramer, niecierpliwie kartkując papiery. - Aż zdecyduję, że odeszła im już ochota na wywołanie powstania.

Karl niespokojnie zaszurał nogami.

- Jeśli już o tym mowa... mamy drobne problemy w okolicach Waszyngtonu.

- Hmm?

- Ataki. Powstańcy niszczą obozy jenieckie.

Kramer przestał pisać i spojrzał na swojego marszałka.

- Zaatakowano pięć obozów - kontynuował Karl. - Rebelianci pokonali żołnierzy z garnizonów, za każdym razem uciekało wielu więźniów.

- Domyślam się, że ci powstańcy to jakiś zbuntowany oddział armii amerykańskiej. O jakiej sile mówimy?

- To dość skomplikowane, sir - niezręcznie odrzekł Karl. - Świadcowie pierwszych napaści mówili o bardzo małym oddziale.



- Jak małym?

- Jednoosobowym.

- Co?

- Oczywiście nie może to być jeden człowiek. To czyste szaleństwo. Natomiast wśród zbiegłych więźniów, których zdołaliśmy schwycić, krąży plotka, że uwolnił ich ktoś w rodzaju... supermana. Według ich opisu to postać, od której odbijają się kule...

- Superman?

- To tylko pobożne życzenia, fantazja. - Karl się uśmiechnął. - Amerykanie zawsze kochali komiksy i heroiczne postaci w głupawych kostiumach. To nawet logiczne, że ich nadzieje i modlitwy przybrały postać mitycznego bohatera.

Karla zaniepokoił wyraz nieobecności na twarzy Führera, jakby nagle cała jego uwaga odpłynęła w inną stronę. Wódz zdawał się łowić uchem jakąś ledwie słyszalną melodię lub głosy rozmowy dochodzące z pokoju za ścianą.

- Według wszelkiego prawdopodobieństwa, sir, powstańcy zebrali mały oddział świetnie przeszkolonych, zmotywowanych i doskonale uzbrojonych żołnierzy z korpusu piechoty morskiej i dywizji przeciwlotniczych. Na razie mieli piekielnie dużo szczęścia.

- Tak... tak. Możesz mieć rację - przytaknął Kramer.

- Według mnie, sir, należy podwoić siły garnizonów w pozostałych obozach tego okręgu. Jeszcze kilka takich ataków, a liczebność rebeliantów niebezpiecznie wzrośnie.

Kramer nie odezwał się słowem. Ze ściągniętymi brwiami i wyrazem skupienia na pochmurnej twarzy wyglądał jakby komuś się przysłuchiwał. Haas zauważył, że wódz nie ogolił się dzisiejszego ranka. Szczeka Führera, z której wystawały srebrnoszare nitki pojedynczych włosów, delikatnie drgała. Oko przyjaciela szybko wychwyciło te drobne zmiany.

Drobne zmiany, które bardzo go martwiły.

Czyżby Kramer cierpiał na jakieś załamanie nerwowe?

- Paul? Wszystko w porządku?

- Tak... tak, oczywiście - powiedział Kramer z roztargnieniem. Wzrok wodza odzyskał przytomność i skupił się na Karlu. - Utnij sprawę tych ataków w sposób, jaki uznasz za stosowny.

Kramer pośpiesznie złożył podpisy na ostatnich dokumentach i podał je Karlowi z promiennym uśmiechem.

- Dziękuję, Karl. Możesz odejść.

- Tak jest, sir! - Haas energicznie zsalutował, odwrócił się na pięcie i opuścił salę widokową.

Kramer poczekał, aż odgłosy kroków z korytarza na zewnątrz ucichną. „Do roboty!” - pomyślał.

- Do roboty - powiedział na głos i przeszedł przez wypolerowaną podłogę w stronę gabinetu. Chwycił za mosiężną klamkę i wkroczył do swojego sanctum sanctorum, miejsca najświętszego ze świętych: rzędy półek na ścianach, kilka skórzanych foteli i stół roboczy zavalony schematami i projektami. Biuro stanowiło replikę jego prywatnego gabinetu w Kancelarii Rzeszy w Berlinie, w którym opracowywał plany, projektował technologie wojenne, rozmyślał nad kierunkiem polityki całego imperium.

Z szuflady biurka wyciągnął mały, czarny notesik z postrzępionymi, wytartymi rogami i pożółkłymi stronami. Bezcenna księga pomysłów i idei, teorii i sekretów. Fragmenty z młodości były zapisane nierównym, zdradzającym niecierpliwość, charakterem pisma.

W roku dwa tysiące pięćdziesiątym szóstym był dwudziestoletnim gołowąsem i

żarliwym wielbicielem tajemniczego wynalazcy Roalda Waldsteina. Naukowiec cieszył się reputacją ekscentrycznego geniusza, który jako jedyny matematycznie opisał pole translacji zdolne wygiąć czasoprzestrzeń. To jedyny człowiek w historii, który odważył się eksperymentować z tą teorią na prototypie roboczym. Był honorowym prezesem Międzynarodowego Instytutu Badań Kwantowych i Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej, bogatym przedsiębiorcą, doradcą naukowym kolejnych prezydentów... człowiekiem zagadką.

Dzięki ciężkiej pracy i szczycie talentu Kramer dostał się na staż w prestiżowym instytucie badawczym Waldsteina w New Jersey - czekał go kilkumiesięczny pobyt w siedzibie wielkiego, doświadczonego naukowca. Waldstein lubił otaczać się rzutkami, młodymi umysłami. Szybko zwrócił uwagę na Kramera. Wzbudzało to zazdrość innych stażystów, którzy twierdzili, że Paul Kramer przypomina sentymentalnemu staruszkowi straconego wiele lat wcześniej syna.

Kramer uśmiechnął się do tych miłych wspomnień. Podczas tygodni spędzonych u boku wielkiego naukowca starał się zyskać jego zaufanie. Pilnie przysłuchiwał się wykładom na temat niewidzialnych wymiarów metawarstwy, które spajają materię w sposób niepojęty dla ludzkiego umysłu i ze wszystkich sił starał się dotrzymać geniuszowi kroku. Młody umysł przyswajał jednak tylko fragmenty całej układanki.

Obłądną pasją starca, która nie dawała mu zasnąć; pasją, która budziła w nim żarliwość fanatycznego kaznodziei, było zniszczenie własnej technologii - uśmiercenie w zarodku idei podróży w czasie, aby absolutnie nikt nie rozwijał jego teorii. Kramer z frustracją obserwował jak Waldstein, wcześniej swobodnie opowiadający o swojej nowatorskiej koncepcji, nagle zaczął podejrzliwie spoglądać na każdego, kto pyta o teorię translacji.

Starzec. Musiał mieć wtedy około sześćdziesięciu lat, choć wyglądał dużo starzej: jego kruche ręce nieustannie drżały, wilgotne oczy wciąż rzucały niespokojne spojrzenia w stronę ciemnych kątów. A te dziwaczne rytuały! Każdego ranka po śniadaniu Kramer patrzył jak staruszek człapie w stronę zawieszonych na ścianie żółknących arkuszy starych gazet oprawionych w ramki. Waldstein, ze łzami spływającymi po zapadniętych policzkach, codziennie przez kilka minut wpatrywał się w te arkusze.

Kramer kiedyś im się przyjrzał - były to strony wyrwane z jakiejś starej gazety z ogłoszeniami z rubryki „Samotny pan pozna samotną panią”.

Waldstein tracił rozum... podczas prywatnych rozmów, kiedy w wolnych chwilach siedział z młodym Kramerem obok kominka, kilka razy wypsnęło mu się o jedno słowo za dużo. Był już stary i na tyle ufał Kramerowi, że zdradził sekrety, które nigdy nie powinny dostać się do jego uszu.

Kramer kartkował zniszczony notes ze stronami pełnymi matematycznych symboli i równań. Elementy łamigłówki staruszka, które ten beztrząsco wypuścił z rąk, były wymieszane z niezliczonymi stronami gniewnie powykreślanych formuł, nad którymi przez długie lata pracował sam Kramer. Fragmenty równań, którymi próbował wypełnić luki w schludnie rozrysowanej teorii Waldsteina, nigdy idealnie nie trafiały we właściwe miejsce.

Uśmiechnął się na widok nagryzmołonych notatek, rozrzuconych po tablicy kreślarskiej na biurku.

„Teraz wszystko do siebie pasuje, Paul - pomyślał. - Czyż nie?”.

Niektóre fragmenty rzeczywiście pasowały do „pola translokacji Waldsteina”. Kramer przez piętnaście lat analizował ten problem. Było to jego hobby, może nawet obsesja.

Teoretycznie, na papierze pole Waldsteina pozwalało jedynie zrobić szczelinę w czasoprzestrzeni - nie był to jeszcze wehikuł czasu, a wyłącznie sposób na nakłucie struktury czasoprzestrzeni. Do zbudowania wehikułu Kramer potrzebował mocy obliczeniowej, która pozwoliłaby dokładnie nawigować przez kłębowisko wymiarów, w których człowiek nie był mile widzianym gościem. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku nie było jeszcze komputerów Mac czy PC ani palmtopów i notatników elektronicznych, które można by rozmontować na części pierwsze i zaadaptować do własnych potrzeb.

Leżący przed Kramerem arkusz papieru przedstawiał schemat urządzenia, które pozwoliłoby otworzyć niewielkie okno i z gmatwaniny chaosu pobrać nieskończone pokłady energii.

Waldstein powiedział mu kiedyś: „Otworzyć czasoprzestrzeń to jak otworzyć drzwi do samego piekła”.

„Już przechodziłeś przez te drzwi” - przemknęło mu teraz przez myśl.

- Tak - mruknął. - Wszedłem do piekła. - W jego głosie brzmiała mieszanina lęku i fascynacji.

Waldstein powiedział również młodemu Kramerowi coś, co przez te wszystkie lata nie przestało go niepokoić: „Zastanów się, Paul... jeżeli człowiek może postawić stopę w piekle, to cokolwiek tam istnieje, może z równą łatwością przejść przez te same drzwi i wejść do naszego świata”.

Słowa profesora dręczyły go teraz nieustannie, uświadomił sobie bowiem, że zagraża mu coś dużo straszniejszego niż tropiący go agent z przyszłości. Coś zdecydowanie bardziej przerażającego.

„Musisz się spieszyć, Paul... zanim cię wytropi” - pomyślał Kramer.

- Do roboty - powiedział, odsuwając na skraj blatu talerz z jedzeniem, o którym dawno zapomniał.

## ROZDZIAŁ 56

New Jersey rok 1957

Bob pochylił się nad mapą. Krzyżyki wskazywały lokalizację innych obozów jenieckich na obszarze pomiędzy Waszyngtonem a Nowym Jorkiem. Logicznie rzecz biorąc, Liam O'Connor musiał zostać umieszczony w jednym z tych miejsc. Bob skreślił już dziewięć krzyżyków: dziewięć obozów, które zaatakował, zostawiając za sobą obraz chaosu, więźniów uciekających przez zawałone płoty, płonące budynki oraz dziesiątki walających się

po dziedzińcach ciał strażników i pechowych cywilów.

Na razie szczęście mu nie dopisało. Dziewięć obozów... żadnego śladu Liama.

„Ocena misji: prawdopodobieństwo sukcesu zmniejszone do 31 procent”.

Przebijanie się do obozów było coraz trudniejsze - wzmocniono garnizony, żołnierze byli czujniejsi, przygotowani na odparcie ataku. Po ostatniej akcji Bob zdołał ująć z dwunastoma ranami w ciele. Do zdrowia wracał pięć dni. Pięć dni leżenia w kompletnym bezruchu i koncentracji całej energii na regeneracji ciała.

Mały człowieczek, który nie chciał się od niego odczepić, Raymond Panelli, otoczył Boba opieką, doglądał go, gdy leżał unieruchomiony w stanie przypominającym śmierć. Klon nie wiedział, dlaczego mężczyzna troszczy się o niego. Nie wiedział również, dlaczego od obozu do obozu podąża za nimi rosnąca grupa ludzi. Po każdej akcji pojawiała się ich coraz więcej. Z taktycznego punktu widzenia byli oczywiście użyteczni, ponieważ skupiali na sobie ogień wroga.

W brzuchu zaburczało potężnie, komputerowy mózg Boba informował, że już najwyższa pora uzupełnić poziom białka w organizmie. Jedzenie serwowane rosnącej grupie rebeliantów - przeróżne gulasze, rosoly i inne zupy - nie było tak bogate w substancje odżywcze, jak roztwór proteinowy, który przyjmował odpoczywając w próbkach porodowych w biurze terenowym, ale na razie musiało wystarczyć.

Jeden z partyzantów podbiegł do jednostki pomocniczej z parującą miską zupy.

- Dla pana, kapitanie Bob!

Bob ujął w ręce podaną miskę i podszedł do siedzącej przy ognisku milczącej grupy mężczyzn, którzy bacznie śledzili każdy jego ruch. Klon usiadł ociężale, skrzyżował nogi, wlepił wzrok w błyskające płomienie i zaczął mechanicznie podnosić łyżkę z zupą do ust.

Człowiek nazywany Raymondem Panellim pochylił się nad nim.

- Kapitanie Bob, przybyła kolejna grupa ludzi gotowych walczyć za naszą sprawę. Przyłączyli się dzisiaj wieczorem.

Bob zatrzymał łyżkę w połowie drogi do ust i spojrzał na niego.

- To ci tutaj - powiedział Panelli, wskazując na grupkę skulonych wokół ogniska mężczyzn, którzy patrzyli z pełnym nabożnego lęku milczeniem, nie wiedząc, co myśleć o tym wielkim, muskularnym superbohaterze.

Bob przeskanował ich wzrokiem, jednego po drugim - siedmiu nosiło złachmanione mundury armii Stanów Zjednoczonych. Wyglądali na fizycznie sprawnych, wszyscy byli w wieku optymalnym do walki. Większa liczba ludzi skuteczniej rozproszy strażników wroga - więcej ciał, w które wystrzelone zostaną kule oznacza mniej strzałów wymierzonych w Boba.

„Ocena misji: wzrost prawdopodobieństwa sukcesu o 1 procent” - przemknęło przez silikonowy procesor.

Bob skinął głową.

- Dobrze. Prawdopodobieństwo skutecznego wykonania misji rośnie wraz ze wzrostem liczebności.

Na głęboki, dudniący i władczy głos klona odpowiedziało delikatne westchnienie.

Jeden z żołnierzy siedzących przy ognisku, młody kapral, odwrócił się do Panelliego.

- Czy... czy mogę zadać kapitanowi Bobowi pytanie?

Panelli zamyślił się na chwilę, po czym niechętnie skinął głową.

- Tylko jedno, rozumiemy się? Bohater potrzebuje odpoczynku, musi przemyśleć plan jutrzejszego ataku.

- Czy mogę, sir? - Młodzian nerwowo przełknął ślinę.

Stalowszary oczy Boga powoli zwróciły się w stronę żołnierza.

- Po całym stanie krążą pogłoski, że jest pan supermanem, którego nie imają się kule, że jest pan niezniszczalny.

Bob patrzył na niego w milczeniu, jego twarz nie wyrażała żadnych emocji ani chęci reakcji.

Usta młodzieńca nerwowo drgnęły.

- Ja... Ja... wierzę w Naszego Pana i...

- Świetnie, synu - uciął Panelli - ale kapitan ma teraz ważniejsze sprawy na głowie niż słuchanie biblijnych frazesów.

- Muszę o to zapytać, kapitanie Bob - nie dawał za wygraną młody kapral. - Czy został pan zesłany przez Boga, by nas wybawić?

Silikonowy mózg jednostki pomocniczej błyskawicznie przerwał analizę misji i zainteresował się ciekawym pytaniem młodego człowieka. Procesor podsunął listę najbardziej adekwatnych odpowiedzi.

Ciszę rozprasało strzelanie płomieni. Zza drzew w oddali dochodziło niecierpliwe pohukiwanie sowy, które zdawało się ponaglać Boga do udzielenia stosownej odpowiedzi.

Klon wybrał z bazy danych cytaty biblijny, który wydawał się idealnie pasować do okoliczności.

- Gdy czarna godzina wybija, Pan nasz jest bezpieczną ucieczką. Zmiecie on swych wrogów i jak podle robactwo zmiążdży - odpowiedział głębokim jak grzmot głosem. Bob nie był do końca pewien, co oznaczają te słowa, ale wydawało się, że wywarły oczekiwany efekt na ludziach zgromadzonych wokół ogniska.



- Amen! - szepnął ktoś po chwili.

## ROZDZIAŁ 57

metro nowojorskie rok 2001

Latarka Fostera rozświetlała ciemność stacji metra. Promień omiół błyszczące, metalowe szyny i migoczącą pomiędzy nimi kałużę wody gromadzącej się tuż za krawędzią peronu po lewej stronie. Kawalek dalej Sal dostrzegła stary, przewrócony na bok wózek dziecięcy do połowy wypełniony wodą. Słyszeli szelest płynący wzdłuż torów i drewnianych, gnijących wagonów sypialnych: w całej stacji słyhać było delikatny szmer biegającego robactwa. Miarowe skapywanie wody z zakrzywionego sklepienia tunelu przypominało odmierzanie tempa metronomem: „kap, kap, kap”.

Sal zafascynowały spłowiałe billboardy reklamowe rozwieszone na wykafelkowanych ścianach peronu. Przeszła obok wyblakłego zdjęcia szczęśliwej rodziny zgromadzonej wokół tradycyjnego, dębowego stołu kuchennego - uśmiechnięci ludzie z lśnącymi, rumianymi policzkami, cieszący się wszystkimi przyjemnościami, jakie tylko może zaoferować pudełko Owsianych Ciasteczek Pułkownika Johnstona.

- Czego tu szukamy? - spytała Maddy.

Chociaż starała się mówić szeptem, jej drżący głos odbił się echem od ścian stacji i zakrzywionego sufitu i popłynął echem w głąb czarnego tunelu.

- Jakiegoś magazynku z zapasami paliwa - wyszeptał Foster. - Czytałem, że w większości nowojorskich stacji metra w czasie drugiej wojny światowej instalowano rezerwowe generatory. Miejmy nadzieję, że znajdziemy jeden z nich, a wraz z nim kilka baryłek oleju napędowego. - Foster przerwał i spojrzał na dziewczyny. - Wiem. To czysta loteria.

- Nie miałam pojęcia, że już wtedy istniało metro - powiedziała Sal.

- Oczywiście, że tak - odrzekła Maddy. - Kiedyś na zajęcia musiałam przygotować prezentację o nowojorskim metrze. Wydaje mi się, że pierwsze tunele wydrążono już w tysiąc dziewięćset czwartym roku.

- To prawda. Do pracy ściągnięto dziesiątki tysięcy Irlandczyków... - Starzec chciał powiedzieć więcej, ale ugryzł się w język.

Jak do tej pory na szczęście nie spotkali nawet jednego z mutantów. Na powierzchni widzieli natomiast niezliczone ślady ich bytności: szkielety zwierząt: szczurów, kotów, a nawet psów. No i oczywiście - budzące największą grozę - sterty większych kości, które czasem były ułożone w schludne kopczyki i posegregowane według rozmiaru. Sal uważała to za najbardziej odrażające - myśl o kilku potworach pedantycznie odkładających kości niedawno skonsumowanej ofiary.

Zadrzała.

Wydawało jej się, że za szybą domu towarowego na Piątej Alei dostrzegła zerkającą w jej stronę bladą twarz, która szybko zniknęła wśród cieni za oknem sklepu. Na Broadwayu złowiła uchem dyskretny szelest pomiędzy sklepowymi manekinami z przypaloną plastikową skórą i niemal całkowicie roztopionymi palcami nóg i stóp. Gotowa była jednak wierzyć, że to złudzenie - właściwie wołała w to wierzyć. W końcu nawet jeśli potwory tam były, łypiąc ślepiami z ciemności, trzymały się z dala, ponieważ obawiały się broni Fostera. Dziewczyna zastanawiała się jednak, jak długo to potrwa, w którym momencie nienasycony głód każe stworzeniom porzucić wszelkie środki ostrożności i zaatakować pulchne i dobrze odżywione z ich punktu widzenia ciała ludzi.

- Przed nami - wyszeptał Foster. - Patrzcie! - Skierował promień latarki na koniec peronu, w stronę małych drzwi z wyblakłym napisem TYLKO DLA PERSONELU. Poniżej znajdował się znak ostrzegający o ryzyku poparzenia prądem.

Starzec przyspieszył kroku, buty stukały o posadzkę peronu, kilka opadłych ze ścian kafelków potoczyło się hałaśliwie i roztrzaskało się poza krawędzią platformy, w kałużach wody. Sal skuliła się, gdy przeciągające się w nieskończoność echo wędrowało w dół tunelu.

Foster złapał i energicznie nacisnął klamkę, która natychmiast odpadła, zostawiając w jego ręce kawałki rdzy.

- No po prostu świetnie. - Zgrzytnął zębami.

- Czekaj, ja spróbuję - zaoferowała się Maddy.

Wzięła szeroki zamach i mocno kopnęła buciorem w drzwi na wysokości zardzewiałego otworu po klamce. Drzwi otworzyły się do środka z ostrym chrupnięciem zawiasów, na podłogę posypały się kawałki zardzewiałego zamka i drewniane drzazgi.

Foster stał z twarzy szary pył.

- Wchodzimy?

- Starsi przodem - powiedziała Maddy.

Odpowiedział delikatnym uśmiechem i żartobliwym uniesieniem gęstej brwi, po czym wszedł do pokoju, szybko omiatając latarką pomieszczenie. Snop światła zatrzymywał się na sprzętach pokrytych półwieczną warstwą kurzu.

Maddy weszła tuż za nim. Sal rzuciła jeszcze przez ramię ostatnie spojrzenie na pusty peron, pozbawiony już światła latarki Foster, który szedł dalej. Dziewczyna szybko dołączyła do towarzyszy. Starzec wolno przesuwiał światło latarki. Na środku małego pokoju dostrzegli krzesła i stół, na którym leżało kilka emaliowanych kubków oraz żółty, obszarpany i wyblakły egzemplarz „New York Timesa” otwarty na stronie z dowcipami i pokryty szczerzymi bobkami. Na ścianach znajdowały się wieszaki na płaszcze, szafki robocze i plakaty z pięknymi gwiazdami filmowymi o zapomnianych twarzach, które być może rozpoznaliby jej rodzice.

- Wygląda na to, że nikt nic nie zmienił w tym pomieszczeniu od... od dnia, w którym to się wydarzyło - stwierdziła Maddy.

- Od dnia zagłady - przytaknął Foster.

Starzec podszedł do stolika i oświetlił starą gazetę.

- Środa, trzynasty marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku. Hm, nigdy specjalnie nie przepadałem za środami - powiedział, spoglądając na dziewczynę.

Maddy prychnęła, a Sal uśmiechnęła lekko, pokrzepiona próbą rozładowania napięcia. Pochyliła się nad kartką papieru i odczytała nagłówki:

Ataki terrorystów na obozy przesiedleńcze trwają

Aresztowano nauczyciela uczącego historii sprzed zjednoczenia

Führer nieobecny na paradzie z okazji Dnia Jedności - niepokojące

wieści o poważnej chorobie

Superman - jak powstaje rebeliancki mit.

Na końcu pokoju znajdowały się kolejne drzwi ze znakiem informującym o ryzyku porażenia prądem i napisem WSTĘP DLA UPOWAŻNIONYCH.

- Może uda nam się znaleźć tutaj coś przydatnego - powiedział Foster.

Okrzyknął stół i położył rękę na klamce. Tym razem drzwi puściły bez problemu, choć zawiasy znowu tępo zatrzeszczały. Mężczyzna otworzył drzwi i ponownie omiół światłem latarki ciemną pustkę pomieszczenia.

- Widzisz coś? - spytała Maddy.

- Widzę półki po obu stronach... widzę zwoje kabli... jakieś na rzędzia... oj!

Cisza.

- Co jest? - spytała Sal.

- Właśnie - Maddy zawtórowała młodszej koleżance. - Co tam masz?

- Sekundę - powiedział Foster, wchodząc w głąb pomieszczenia i puszczając za sobą drzwi. Maddy złapała je w ostatniej chwili, zanim zdążyły zatrzaskać się z głośnym hukiem.

- Foster?

Sal widziała nad ramieniem Maddy jedynie zarys sylwetki, tańczące cienie, mignięcie światła odbitego od pokrytych kurzem rur podwieszonych pod klaustrofobicznie niskim sufitem. Mężczyzna szedł wąskim przejściem wzdłuż rzędów półek sięgających sufitu.

- Są tu całkiem użyteczne zapasy. Tylko się rozglądam, zostańcie na miejscach! - odkrzyknął. Doszedł do końca rzędu regałów i odbił w lewo, znikając im z oczu.

Sal miała ochotę krzyknąć, aby natychmiast wracał, bo powinni trzymać się razem. Ale powstrzymała się. Miała obok siebie Maddy.

Kiedy skręcał, górne półki rozbłysły, odbijając światło latarki, a znikający cień zatańczył pod niskim sklepieniem. Słyszały stukotanie stóp na zimnej betonowej podłodze.

- No i jak, Foster? Jest tam coś, co nam się przyda, czy nie?! - zawołała Maddy.

Odgłosy kroków ustały, a snop światła unosił się przez chwilę nad jednym miejscem.

- Sekundę - odpowiedział.

Foster się nie spieszył.

- Co on tam robi? - szepnęła Sal.

- Chyba coś sprawdza.

Sal przygryzła wargę, starając się zachować spokój. „Racja. Jest tuż za rogiem, bardzo blisko. Nie ma potrzeby panikować, Saleeno Vikram” - uspakajała się dziewczynka.

Nagle uświadomiła sobie, że Foster zabrał ze sobą jedyną broń, jaką mają. A co, jeśli stwory z tunelu wyszły już na peron i cierpliwie obserwują ich z cienia? Może spokojnie czekają i z każdą sekundą stają się odważniejsze. Mogą być już na peronie, może właśnie zbliżyły się do drzwi, przystanąły z ciekawością tuż przed nimi i sprawdzają, co dzieje się w środku. Może próbują podejść jak najbliżej niezauważone.

Nerwowo odwróciła się przez ramię, aby spojrzeć w mrok małego pomieszczenia. Było ciemno jak w kadzi smoły. Dostrzegła jedynie kwadratową krawędź stołu, rysującą się w skąpej poświacie emitowanej przez podskakującą w oddali latarkę Fostera, i rozmyty kształt jednego z kubków. Zauważyła jeszcze niewyraźny zarys krzesła, może dwóch. Tyle, nic poza tym. Odwróciła się, aby zobaczyć, jak radzi sobie starzec.

- Foster? - Tym razem Maddy zawołała ciszej. - Powiesz nam wreszcie co tam znalazłeś?

W odpowiedzi zajaśniały kosmyki światła na suficie. Chwilę później usłyszały poruszenie i odgłosy kroków na podłodze. W pomieszczeniu ponownie zatańczyły cienie. Wracał do nich.

- Znalazłeś coś?! - krzyknęła Maddy.

Z końca długiego rzędu półek wypłynął strumień jasności i coraz mocniej świecił w twarze dziewczyn.

- Foster?

- Mamy szczęście - zabrzmiał szorstki głos. - Na końcu jest generator... przy odrobinie szczęścia znajdziemy na tych półkach jakieś paliwo...

Nagle jego głos zamarł.

Coś zauważył.

Poczuła, że krew jej krzepnie w żyłach.

„Coś za mną stoi?!” - zdążyła pomyśleć.

Rzuciła szybkie spojrzenie przez ramię i zobaczyła dwa blade punkciki; szare, rybie ślepia w upiornej twarzy znajdowały się jedynie kilka stóp od niej. Ślepia zaczęły przesuwać się wokół stołu i chyżo szybować w jej stronę.

- Padnij! - krzyknął Foster.

Maddy instynktownie odsunęła się na bok, pociągając za sobą Sal.

Mały pokój wypełnił ogłuszający grzmot strzelby Fostera. W błysku wystrzału Sal dostrzegła zatrzymaną w pół ruchu sylwetkę mutanta, który wybijał się do skoku - jego długa, wąska ręka na ułamek sekundy zawisała o centymetry od miejsca, w którym stała Maddy. Za nim czaiły się dziesiątki stworów, cisnących się przy otwartych drzwiach magazynu, okrążających stół, zbliżających się do swoich ofiar.

Ciemność.

Coś na stole wywróciło się i hałaśliwie przekoziółkowało. Po chwili słychać było już tylko tupot stóp spanikowanej gromady, ciężki brzęk podskakujących kubków, przerażone piski i wściekle warknięcia.

- Bang!

Kolejny oślepiający błysk wystrzału ukazał rozciągnięte na stole, wciąż szarpane konwulsjami, ciało mutanta. Z czarnej, poszarpanej dziury, wybitej w środku jego klatki piersiowej, wypływała śliska ciecz gromadząca się pod zwłokami. Przy wąskich drzwiach kotłowała się płatanina białych kończyn i kościstych torsów. Wszystkie mutanty chciały w tym samym momencie pierzchnąć przez drzwi.

Po chwili znowu zapadła ciemność.

Szybkie klapnięcia bosych stóp cichły; mutanty uciekały z peronu, wyjąc ze strachu i złości.

Wokół nich zapadła cisza przerywana tylko chrypiącym oddechem dziewczyn, odległym, miarowym skapywaniem wody z sufitu i stukotem wydawanym przez emaliowany kubek turlający się w tę i we w tę po podłodze.

- O mój Boże! - wydyszała Maddy.

- Niewiele brakowało - powiedział Foster.

Upuszczona w panice latarka leżała na podłodze, tuż przy jego stopach. Starzec pochylił się, podniósł ją i szybko skierował światło na dziewczyny.

- Jesteście całe? - wydyszał.

- Tak - odpowiedziała Sal głosem, który nijak nie przypominał szeptu.

Maddy i Sal popatrzyły na siebie.

- Były tuż za nami! - Sal o mało nie zachłysnęła się powietrzem. - One naprawdę były tuż za nami!

- Lepiej się zbierajmy - szybko powiedział Foster. - Mogą tu wrócić.

## **ROZDZIAŁ 58**



Znaleźli je w zamkniętym składziku na samym końcu magazynu: trzy duże, metalowe beczki pełne oleju napędowego, który pluskał zachęcająco, gdy Maddy próbowała ściągnąć je na podłogę.

- Są zdecydowanie zbyt ciężkie. Ledwie mogę je ruszyć z miejsca, nie mówiąc już o przeniesieniu ich do bazy - stęknęła.

- Masz rację. - Foster ściągnął usta w zamyśleniu i zaczął szukać rozwiązania, rozglądając się po półkach w poszukiwaniu inspiracji. - Możemy przelać paliwo do kilku małych kanistrów, które podzielimy między siebie.

- Ale ile będziemy potrzebować?

Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Nigdy nie używał generatora, który jak do tej pory nie był potrzebny. Podczas ostatniej konserwacji działał sprawnie przez kilka minut. Gdyby wiedział cokolwiek na temat generatorów napędzanych olejem napędowym, gdyby był mechanikiem, prawdopodobnie zdołałby trafnie oszacować wymaganą ilość paliwa.

Ale... wiedział tylko, że przed uruchomieniem maszynery translokacyjnej należy naładować ją odpowiednią dawką mocy. Zasilanie stracili kilka ładnych godzin temu, więc wehikuł bez wątpienia jest rozładowany. Generator będzie musiał popracować kilkanaście godzin, a prawdopodobnie całą dobę, zanim uda im się cokolwiek zrobić. Nie miał najmniejszego pojęcia, ile paliwa będą faktycznie potrzebować. Prawdopodobnie dużo.

Dziewczyny patrzyły na niego w oczekiwaniu na odpowiedź.

„Dalej... myśl. Ile oleju będziemy potrzebować?” - ponaglał się w duchu.

To zależało od planu działania. W pierwszej kolejności trzeba przesłać wiadomość w czasie do Boba, aby zaplanować nowe okno powrotne. Faktyczna ilość zużytej mocy będzie przede wszystkim zależała od czasu i miejsca uruchomienia portalu.

Nawet jeśli uda im się sprowadzić Liama i Boba, wciąż potrzebny będzie zapas.

Muszą ponownie wysłać agentów w czasie, aby naprawili historię. Istniało zbyt wiele zmiennych. Foster nie potrafił precyzyjnie określić wymaganej ilości.

- Foster? To ile tego będziemy potrzebować? - ponownie spytała Maddy.

- Ile zdołamy wynieść - odpowiedział.

Jeśli to nie wystarczy, będą musieli tu wrócić po kolejne baryłki. Fosterowi nie uśmiechał się ten pomysł, a dziewczyny już na pewno nie będą zachwycone. Rozejrzył się. Na dolnych półkach stało pół tuzina kanistrów. Jeśli je opróżni i wypełni olejem napędowym, łącznie zabiorą do bazy czterdzieści pięć litrów paliwa.

Wystarczy?

Musi.

- Widzicie te kanistry? - powiedział, wskazując dolną półkę. - Wypełnimy je wszystkie olejem. Da to nam czterdzieści pięć litrów.

- Czy to wystarczy?

Być może. Oby.

- Foster?

- Pewnie, że tak - odpowiedział. - Będzie w sam raz.

Maddy z zadowoleniem kiwnęła głową, na chwilę uspokojona.

- Ale jest jeszcze jeden problem - dodał. - W jaki sposób zataaszczymy pełne, ciężkie kanistry do domu? Chyba będziemy musieli nieść je między sobą - to sześć wypraw.

Sal odwróciła się do nich.

- Czekaście, ja mam pomysł.

Wyszli po schodach ze stacji metra. Między sobą dźwigali wózek dziecięcy wyładowany kanistrami z chlupoczącym paliwem. Przenieśli go jeszcze kilka metrów i postawili na pokrytym gruzem chodniku. Duże, staromodne kółka o wiele sprawniej radziły sobie na powierzchni pokrytej kamieniami i gruzem niż małe kółka wózka sklepowego.

Robiło się ciemno. Foster planował bezpiecznie wrócić do bazy, zanim bezbarwne przebłyski szarego światła dnia ustąpią miejsca nocy. Niestety, sprawy zajęły im więcej czasu niż podejrzewał. Nieważne. Byli już na powierzchni i chociaż nad martwym miastem zaczynało zmierzchać, czuli się o wiele pewniej niż w podziemiach. Popychali wózek przez zaśmiecone ulice, czując na plecach wzrok pilnie obserwujących i cierpliwie czekających mutantów.

- Już niedługo wrócimy do domu - cicho powiedział Foster.

Sal przytaknęła. Już całkiem blisko. W dół Czternastej, później w prawo w Czwartą Aleję, prosto do ulicy Delancey i już tylko w lewo, przez most, i do domu.

Maddy uśmiechnęła się z niepokojem.

- Wieziemy śliczną niunię, wózek nam wesoło sunie - zamruczała śpiewnie drżącym głosem. - Uh-huh... Nigdzie nosa nie wtykamy, bo do domu już zmierzamy... amy, amy - nuciała, spoglądając w kolejne ciemne okna.

- A może tak spróbujemy nie hałasować? - upomniał ją Foster.

Maddy zachichotała i przestała się wygłupiać.

Nerwy.

Koła głośno zachrzęściły na rozsypanym żwirze.

- Przypuszczam, że i tak jesteśmy obserwowani, Foster - odpowiedziała cicho. - Może

pomyślą, że się ich nie boimy.

Foster przytaknął. Może ma dziewczyna rację.

- Dobrze się dzisiaj spisaliśmy - powiedział głośno. - Mam przecucie, że najgorsze już za nami.

- Naprawdę tak myślisz? - Sal spojrzała na niego pytająco.

- Oczywiście. Zawieziemy tę partię do bazy, rozruszamy generator, uruchomimy proces ładowania i spokojnie zaczekamy z kubkami gorącej kawy w ręku. Co wy na to?

- Cudownie - odpowiedziała.

- Po jakim czasie będziemy mogli spróbować ściągnąć ich z powrotem? - spytała Maddy.

Foster ostentacyjnie wzruszył ramionami. Bacznie przypatrywał się rosnącym po obu stronach ulicy plamom zmroku.

- Sądzę, że portal będziemy mogli otworzyć za mniej więcej dwadzieścia cztery godziny.

- Dwadzieścia cztery godziny! - Głos Maddy odbił się od ściany najbliższego budynku i zniknął wśród opustoszałych ruin Czternastej.

- Ale... - Uśmiechnął się. -... wiadomość do jednostki pomocniczej i Liama będziemy mogli wysłać zdecydowanie szybciej.

- Do Boba. - Sal zmarszczyła brwi. - Takie imię mu nadaliśmy.

- Tak, tak. Przepraszam... do Boba.

- A więc na czym polega przesyłanie wiadomości w czasie?

- Nie jestem fizykiem, Madelaine, nie zasypuj mnie szczegółowymi pytaniami. Jak mówiłem, to technologia cząstek tachionowych. To cząstki materii przemieszczające się z prędkością szybszą od światła, zdolne przenikać materię czasu. Jeżeli uda nam się skierować wiązkę w miejsce, gdzie znajdują się Liam i Bob, wbudowany procesor Boba odbierze i odkoduje zaszyfrowaną wiadomość.

- Ale oni nie mogą nam odpowiedzieć, prawda? Foster potrząsnął głową.

- Nie, cząstki mogą przemieszczać się tylko w jedną stronę, w przeszłość. - Włączył latarkę, stożek światła rozjaśnił ciemniejące ulice. - Wiemy, że znajdują się w okolicy Waszyngtonu, wyślemy więc wiązkę tachionową mniej więcej w tym kierunku.

- Czy sygnału nie należy wysłać w konkretne miejsce? - spytała Sal.

- Cóż, jeśli strumień z wiadomością jest wysyłany do konkretnej lokalizacji, smuga cząstek jest węższa, a konsumpcja mocy zdecydowanie mniejsza. Gdybyśmy więc wiedzieli, gdzie dokładnie znajdują się Bob i Liam, zużylibyśmy zdecydowanie mniej ładunku. Ale jeśli sporządzimy odpowiednio zwięzły komunikat, to przy szerokiej smudze cząstek spalimy podobną ilość paliwa.

- Chyba rozumiem - przytaknęła Maddy. - Czyli zużyjemy tyle samo mocy, ile przy długiej wiadomości i wąskiej smudze?

- Właśnie tak!

Przez chwilę szli w milczeniu, przysłuchując się chlupotaniu oleju w kanistrach załadowanych na wózek i stukotowi kół pokonujących gruzowisko na chodniku.

- Mam nadzieję, że Liam czuje się dobrze - powiedziała Sal. - Wiem, że wyruszyli w przeszłość raptem kilka dni temu, ale czuję, jakby upłynęły całe wieki.

- On... dla niego upłynęło już sześć miesięcy.

- To megadziwne. - Zmarszczyła brwi.

Znowu zapadła cisza. Sal starała się zrozumieć, jak to możliwe, że dla Liama ta historia ciągnie się już niemal pół roku.

- A... a jak długo ty jesteś Jeźdźcem w Czasie? - spytała dziewczyna.

- Wystarczająco długo, Sal - odpowiedział. - Wystarczająco długo.

- Zdołałeś coś pojąć z tego wszystkiego?

Foster pokręcił głową i prychnął lekceważąco.

- A gdzie tam! Wciąż mi się to nie mieści w głowie.

## ROZDZIAŁ 59

obóz jeniecki nr 79 w New Jersey rok 1957

Liam był wykończony. Ledwie od godziny, wraz z poranną zmianą robotników, kopał rów wzdłuż kolczastego ogrodzenia obozu, a już czuł się wypruty z energii i z trudem podnosił łopatę. Pół roku marnej, niemal głodowej diety, osłabiło jego siły i uniemożliwiało wykonywanie jakiegokolwiek wysiłku fizycznego przez dłuższy czas.

Pochylił się na łopacie, próbując złapać oddech i dając mięśniom krótką chwilę na regenerację. Koszulę miał przemoczoną od spływającego po plecach potu. Wypuszczał chmury gorącego oddechu, które mieszały się z rześkim, zimowym powietrzem.

- Lepiej, żeby Kohl tego nie widział - wyszeptał pracujący obok niego w rowie Wallace.

Kohl był jednym z najbardziej bezwzględnych strażników. W poprzednim tygodniu

wyciągnął człowieka z okopów i zaczął rytmicznie okładać go kolbą karabinu pulsacyjnego za przerwanie pracy i odpoczynek. Mówiono, że nieszczęśnik zmarł od poniesionych obrażeń. Jeden ze strażników zdradził Liamowi, w jakim właściwie celu kopią rowy obronne wokół kolczastego ogrodzenia. Otóż małe siły rebelianckie dopuściły się kilku ataków, skutecznych ataków. Partyzanci zdobyli kilka obozów, uwalniając więźniów i zabijając większość niemieckich wartowników. Wśród strażników krążyły pogłoski, że bojowników do walki prowadzi jakaś demoniczna postać. Opisywano ją różnie: żołnierze, którzy uszli z życiem mówili o wysokim na osiem lub dziewięć stóp gigancie z diablami rogami wystającymi z głowy. Inni naoczni świadkowie twierdzili, że cały jest z żelaza, a mimo to może przemieszczać się z przerażającą szybkością i zręcznością tygrysa.

Nadali mu nawet przydomek.

Der Eisenmann. Człowiek z żelaza.

Jeden ze stojących kawałek dalej strażników spostrzegł, że Liam opiera się o szpadel i wrzasnął na niego:

- Weiterarbeiten, Du Amerikanischer Haufen Scheiße!

Chłopak ponownie zabrał się do kopania, oddychając z ulgą, że nie trafił na Kohla.

- O'Connor, jeśli jeszcze raz zawieszysz się na tej łopacie, dostaniesz kulkę w łeb - zasyczał Wallace.

Miał rację.

Pogłoski o Der Eisenmannie naprawdę rozstroiły strażnikom nerwy. Liam widział w ich oczach strach, gdy niespokojnie spoglądali na linię drzew w oddali, klnąc w duchu, że nie mogą już wrócić za ogrodzenie.

Człowiek z żelaza.

Upłynęło już tyle dni... Liam powoli zaczynał wierzyć, że krótki epizod Jeźdźca w

Czasie to jedynie wytwór jego wyobraźni, a podróże przez czasoprzestrzeń to bajka na dobranoc... być może całe jego życie, dzieciństwo spędzone w Irlandii, praca na Titanicu, dzięki której miał dostać się do Ameryki, wszystko to jest tylko snem. A prawdziwy świat, prawdziwe życie, to ten posępny obóz, głodujący współwięźniowie w szarych gałganach i długie, niskie baraki z drewnianych belek.

Później usłyszał jednak plotki o Der Eisenmannie. Pojawiła się desperacka nadzieja, dawno porzucona myśl - a jeśli człowiek z żelaza to Bob? Ganił się za to, że tak szybko dopuścił do siebie ten promyk nadziei. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że pogłoski o człowieku z żelaza to paplanina wystraszonych, przesądnych żołnierzy, którzy w żadnej potyczce nie doświadczyli jeszcze przegranej.

„Ugrzęźłeś w tym bagnie na dobre, Liamie. Lepiej się do tego, psia krew, przyzwyczajaj” - upominał się w duchu.

Ale to wcale nie było proste. Niełatwo było oprzeć się krzepiącej nadziei, że pewnego dnia, bez ostrzeżenia, zmaterializuje się obok niego migocąca kula z Fosterem, Bobem i dziewczynami, którzy przybędą, by zabrać go do domu.

„Przestań! Nikt po ciebie nie przyjdzie. To już niemal sześć miesięcy. Nikt nie przyjdzie” - dręczył go uparty głos.

Pięć miesięcy i trzy tygodnie. Sto siedemdziesiąt pięć dni. Wiedział dokładnie, jak długo... Jeden z więźniów sprzątających biuro komendanta zauważył na jego biurku kalendarz. Od tego czasu więźniowie mogli już liczyć niekończące się, identyczne dni spędzone w obozie.

- Wszystko dobrze? - wyszeptał Wallace. - Nie możesz stracić nadziei, synu. Kiedy utracisz ją, umrzesz.

Miał rację. Nieśmiały promyk nadziei - w postaci szeptanych z ucha do ucha plotek, podsłuchanych strzępków rozmów wartowników - pozwalał im funkcjonować. Trzymał ich przy życiu.



Liam odwrócił się do Wallace'a z cieniem zmęczonego uśmiechu.

- Wszystko dobrze.

- Pamiętaj, mały... przyjdą lepsze dni - odrzekł po cichu. W jego grubej, ciemnej brodzie błysnęły zęby. - Amerykanie na to nie pozwolą. Będą walczyć. Nie mam najmniejszych wątpliwości.

Liam zamyślił się na chwilę. Słyszał, że w obozach umieszczono ludzi, którzy mogli organizować lub tworzyć ruch oporu: oficerów, przywódców obywatelskich, kongresmenów, prawników, nauczycieli, profesorów uniwersytetów, redaktorów gazet. Reszta... ci, którzy uniknęli uwięzienia i mogli prowadzić normalne życie, ponieważ nie stanowili zagrożenia dla nowej władzy, nigdy nie zaryzykują swojego życia ani życia bliskich, dopóki będą mogli cieszyć się namiastką normalnej egzystencji. Liam rozumiał plan Führera z całkowitą jasnością - zamknąć potencjalnych intrygantów i zagłodzić ich na śmierć lub wykończyć pracą ponad siły. Tak czy owak, nigdy już nie opuszczą tego miejsca. Reszta populacji z czasem przywyknie do nowego reżimu, do posłuszeństwa wobec nowych panów. W końcu wszyscy zapomną, co oznacza słowo „wolność”. I będą wdzięczni nowemu przywódcy - swojemu Führerowi - za stałe dostawy jedzenia, wody i energii. Co też ten więzień mamrotał wczoraj w nocy w baraku? „Jeśli za szkopów wciąż będą jeździć tramwaje, a ludzie wciąż będą mogli robić zakupy, chodzić do kin na westerny, oglądać play-offy ligi baseballu i jeść w przerwach meczów hot dogi polane musztardą i keczupem, zwykli obywatele będą cieszyć się życiem i nie upomną się o zmiany. Wszyscy o nas tutaj zapomną...”.

Zwykli ludzie mogą nienawidzić tyrana, ale dopóki życie będzie toczyło się znośnie, a oni będą mieli dach nad głową, naród nigdy nie wywoła powstania.

„Utknęliśmy tu... na zawsze” - pomyślał Liam z rozpaczą.

- Łup!

Gejzer błota eksplodował kilka metrów od nich i chlusnął w Liama.

- Co to było?!

## ROZDZIAŁ 60

obóz jeniecki nr 79 w New Jersey rok 1957

Liam bardziej to poczuł, niż usłyszał.

Kolejny huk delikatnie zawibrował w jego klatce piersiowej.

Kilkanaście metrów od niego w powietrze wyleciał gejzer śniegu i gleby. Chwilę później następny, kawałek dalej. I następny.

- Atak mózdzierzowy! - krzyknął ktoś z okopu.

Zobaczył błyski światła wśród drzew po drugiej stronie pola, a kilka chwil później usłyszał odległy, perkusyjny stukot wystrzałów.

Wartownicy zareagowali niemal natychmiast, chowając się w okopach obok więźniów i oddając strzały w kierunku linii drzew. Oficer wydał kilku żołnierzom rozkaz, aby bezzwłocznie eskortować więźniów z powrotem na podwórze.

Strażnicy zaczęli niecierpliwie pokrzykiwać na więźniów, poganiając ich lufami karabinów.

- Więźniowie do obozu, już! - krzyknął jeden z nich. - Ruszać się... Ruchy! Schnell!

Liam zrobił, co mu kazano i zgięty w pół pobiegł wzdłuż okopów w stronę otwartej bramy obozu. Nad głową chłopaka latały grudki ziemi rozbryzgiwane przez strzały z drugiej strony pola.

Po obu stronach okopów z hukiem wylądowało kilka kolejnych mózdzierz, zasypując żołnierzy bryłami wilgotnej gleby. Więzień w obszarpanym, oliwkowozielonym mundurze

piechoty morskiej krzyknął prosto w twarz Wallace'a:

- To mózdzierze armii amerykańskiej!

Strażnicy wrzasnęli na nich ostro, aby szli szybciej. Liam wygramolił się z rowu i wbiegł przez otwartą bramę na dziedziniec, na którym zgromadziło się pół tuzina kolejnych żołnierzy.

Wallace zatrzymał się tuż obok i klepnął chłopaka w ramię, uśmiechając się i sapiąc z wysiłku jednocześnie.

- A nie mówiłem, synu?

Stojący w pobliżu strażnicy przypatrywali się intensywnej wymianie ognia na polu i niespokojnie spoglądali na rozentuzjasmowanych więźniów. Liam czuł, że są zdenerwowani - rosnąca euforia więźniów w obozie budzi w nich takie same obawy jak atak rebeliantów z lasu.

- Taak! - z triumfem krzyknął do nich Wallace. - Już po was idą, dranie!

Kilku z nich odwróciło się w jego stronę, patrząc niespokojnie to na Wallace'a, to na rosnącą falę więźniów, którzy wylegli z baraków na dziedziniec, aby zobaczyć, co się dzieje.

- Chodźcie! - krzyczał Wallace w stronę nadchodzących rebeliantów. - Dorwijcie tych szwabów!

Liam chwycił go za ramię.

- Wallace, uspokój się!

W okopach na zewnątrz mózdzierz rozerwał na krwawe strzępy kilku strażników. Wallace wraz z kilkoma innymi więźniami zaczął głośno wiwatować i entuzjastycznie wymachiwać rękami. Komendant obozu wbiegł z baraku otoczony kilkunastoma strażnikami. Powiedział coś do nich, próbując przekrzyczeć rosnące odgłosy bitwy i wskazał

na tłum gwizdzących i wznoszących szydercze okrzyki więźniów. Strażnicy stojący obok niego skinęli głowami i powoli unieśli karabiny.

Kamienny, bezlitosny wyraz twarzy komendanta uświadomił Liamowi, że właśnie padł rozkaz natychmiastowej egzekucji. Żaden ze współwięźniów tego nie zauważył. Wszyscy wpatrywali się w ogarnięte bitwą pole za obozem.

„Muszę uciekać... natychmiast!” - przemknęło przez myśl chłopakowi.

Zaczął przepychać się przez gromadę prowokująco gwizdzących i wiwatujących jeńców; w tym samym czasie strażnicy cicho unosili swoje karabiny pulsacyjne.

„Jezu Chryste!”.

Szczęk ładowanej broni zaalarmował jeńców, którzy spojrzeli na linię wartowników. Zanim zdążyli zareagować, komendant wydał krótki rozkaz:

- Feuer!

Strażnicy otworzyli ogień.

Powietrze wokół Liama wypełnił szelest przelatujących pocisków, głuchy łomot kul wbijających się w ciała, stłumione westchnienia padających i umierających, krzyki ranionych i przerażonych. Chłopak chaotycznie wycofywał się przez spanikowany tłum, spodziewając się, że lada chwila dostanie między łopatki, a wystrzał wypompuje całe powietrze z jego płuc i zwali z nóg na błotnisty śnieg.

Pierwszą serię wystrzałów zakończył głuchy klekot opróżnionych magazynków. Strażnicy zaczęli przeładowywać broń. W nagłej ciszy uwydatniły się jęki, krzyki i zawodzenia rannych oraz odgłosy zbliżającej się bitwy.

Liam zorientował się, że nie biegnie. Klęczał na kolanach w błocie, otoczony drgającymi w konwulsjach ciałami.

„Biegnij!” - pomyślał i niezdarnie podniósł się z ziemi, depcząc zabitych i konających. Gdy odwrócił się na chwilę, zobaczył, że strażnicy właśnie skończyli ładować karabiny i ponownie kierują lufy w stronę jeszcze stojących na nogach, zszokowanych więźniów, którzy nie byli w stanie ruszyć się z miejsca. Inni, znajdujący się z tyłu, na oślep uciekali w stronę otwartych drzwi baraków. Niemcy zaczęli strzelać do nich jak do kaczek; wybierali pojedyncze cele i oddawali starannie wymierzone strzały jak automaty bezmyślnie wypełniające rozkazy: cel-pal... cel-pal...

Liam zerwał się z kolan i rzucił w stronę najbliższego baraku. Gwałtowne poruszenie przyciągnęło wzrok strażnika, który natychmiast wycelował w chłopca. Obok jego uszu świsnęło kilka kul - blisko, bardzo blisko. W tym samym jednak momencie Liam potknął się i wpadł do wnętrza pogrążonego w ciemności baraku przez dywan martwych i umierających mężczyzn. Na czworakach przemierzył starą, zniszczoną podłogę i schował się pod najbliższym drewnianym łóżkiem.

Z zewnątrz wciąż dochodziły odgłosy strzelaniny: przerywanych serii karabinowych - długich i krótkich - oraz pojedynczych wystrzałów, sugerujących, że spacerujący między ciałami Niemcy właśnie dobijają rannych więźniów. Dźwięki kanonady rozpętanej przez rebeliantów były coraz wyraźniejsze. Moździerze z głuchym łomotem łądowały już na dziedzińcu obozu. Przerażeni strażnicy krzyczeli kompletnie spanikowani.

Liam zaczął się modlić. Nie robił tego często. W zasadzie prawie nigdy mu się to nie zdarzało. Nie został gorliwym katolikiem, chociaż od małego matka, ojciec i wszyscy nauczyciele wpajali mu zasady wiary. Ale teraz modlił się naprawdę gorliwie, błagając Dziewicę Maryję, aby żaden ze znajdujących się na zewnątrz żołnierzy nie zajrzał przez otwarte drzwi baraku i go nie zabił.

Usłyszał szybkie tąpnięcia butów wojskowych na brei przed barakiem. Żołnierz ominął otwarte drzwi, uwaga strażników skupiła się na nadciągających napastnikach. Niemcy zaczęli organizować pozycje obronne, hałas strzelaniny potęgował się z każdą chwilą.

Wyglądało na to, że bitwa przeniosła się na teren obozu.

Seria kul przedziurawiła cienkie, dyktowe ściany baraku. Na podłogę opadł deszcz

drzazg. W powietrzu zatańczyły linie bladych promieni słońca wpadającego przez rząd dziur po pociskach. Kolejny mózdzierz eksplodował wśród błota i ciał na podwórzu, zalewając barak mokrymi bryłami ziemi.

Strażnicy wydzielali się po niemiecku. Nie były to już rozkazy zawodowych żołnierzy, ale okrzyki czystego przerażenia.

- Der Eisenmann! Das ist der Eisenmann!

- Töten Sie ihn! Töten Sie ihn!

Liam usłyszał potworny, przeciągły krzyk, który urwał się nagle zastąpiony dźwiękiem rozdieranej skóry. Rozbrzmiały inne krzyki. Z przeciwległej strony dziedzińca dochodziły, ledwo jeszcze słyszalne, pokrzykiwania Amerykanów.

- Zabić strażników! Zabić ich wszystkich!

Do uszu chłopaka dobiegł terkot strzelaniny i tupot stóp depczących zakrwawione podwórze.

- Wy tam! Bierzcie się za tych wartowników... Uciekają! Zabić ich! Nie bierzemy jeńców, zrozumiano? Żadna z tych szumowin nie ocaleje!

Liam chciał wyczołgać się spod łóżka, ale strach kazał mu pozostać w ciemności. Po obozie wciąż niesło się echo strzelaniny, pełne złości pomruki mężczyzn przerażonych widokiem rzezi dokonanej na podwórzu.

- Oh nie... Jezusie! - krzyczał mężczyzna na zewnątrz. - Zmasakrowali ich, zanim zdążyliśmy z odsieczą, te dranie zabiły ich wszystkich... nigdy nie... widziałem... Jezu.

- Nein! Nein! Ich... ich habe niemanden erschossen - błaganie niemieckiego wartownika przerwało trzaśnięcie pojedynczego wystrzału, który popłynął echem wzdłuż rzędu baraków. Liam usłyszał jeszcze kolejne błaganie o litość niemieckiego żołnierza, szybko ucięte puknięciem wystrzału, i odgłosy strzelaniny dochodzące z drugiej strony obozu.

- Czy jest tu Liam O'Connor? - zapytał głęboki, bezbarwny głos, w którym nie było śladu emocji.

- Czy jest tu Liam O'Connor? - Głos był coraz mocniejszy, wyraźniejszy, brzmiał jak wyjąca bez zmiany tonacji syrena okrętowa.

- Czy jest tu Liam O'Connor?

Chłopak usłyszał, że czyjeś buciory rozbryzgują błoto tuż przed barakiem, sekundę później w drzwiach stanęła wielka postać, niemal całkowicie blokując dostęp światła do pomieszczenia. Przez wąską szparę sączył się tylko szary promień światła.

- Czy jest tu Liam O'Connor? - Potężny głos ogłuszająco zawibrował w baraku.

Liam leżał prawie jak sparalizowany. Zupełnie nie był na to przygotowany. Zdążył już przekonać sam siebie, że nigdy nie ujrzy tego mechanicznego goryla. Rzeczywistość chwilę torowała sobie drogę do jego mózgu.

Bob powstał jeszcze sekundę i wyszedł z baraku.

- Bob! - słabo zawołał Liam, wyczołgując się na czworakach spod łóżka. - Bob! Czeka! Tu jestem!

Szerokie ramiona i mała głowa zwieńczona kępką orzechowo brązowych włosów ponownie zajrzała do baraku.

- Liam O'Connor?

Liam spojrzał na niego z wysokości podłogi.

- Och, słodki Jezu, Święta Mario Miłosierna! Dobrze cię znowu widzieć, Bob, nie inaczej.

Jednostka pomocnicza weszła do środka i przykucnęła, z zainteresowaniem przyglądając się kruchej postaci na podłodze. Spokojne, szare oczy błyskawicznie zaadaptowały się do ciemności.

Liam mógłby przysiąc, że na ułamek sekundy, w momencie gdy procesor Boba potwierdził wizualną tożsamość chłopca i zweryfikował tembr jego głosu, w mętnych, pozbawionych wyrazu oczach klona pojawiła się łza.

Podniosły nastrój prysnął w jednej chwili, gdy Bob wypowiedział beznamiętny komunikat:

- Cel zrealizowany.

- Ja też się cieszę, że cię widzę, Bob - słabo odpowiedział Liam, uśmiechając się przez łzy.

## ROZDZIAŁ 61

Nowy Jork rok 2001

- Strasznie tu cuchnie - skrzywiła się Sal - Fúj. Jak zepsute jedzenie.

Foster zapalił latarkę. Nie wchodzili na zaplecze od czasu awarii zasilania kilka dni temu. Promień zatrzymał się na rzędzie ustawionych przy ścianie próbek porodowych z tworzywa sztucznego.

- To one - powiedział. - Embriony w środku umarły.

Sal postąpiła krok do przodu, by spojrzeć na ciemne formy ukryte za zaparowanym plastikiem - na płód, dziecko, małego chłopca i nastolatka.



- Wszyscy nie żyją?

Foster przytaknął.

- System filtracyjny przestał działać. Ich wydzielina musiała się cofnąć i zatruć roztwór odżywczy.

- Co to znaczy?

- Zadławili się własnymi odchodami - pospieszyła z wyjaśnieniem Maddy, przelewając olej napędowy z kanistra do generatora. - Hej, Foster, jesteś pewien, że to dobry typ paliwa? Skąd wiesz, że urządzenie pracuje na oleju napędowym, a nie benzynie?

- Na oleju. Ale czy to dobry rodzaj... hmm, tego dowiemy się wkrótce - odpowiedział, podchodząc do dziewczyny.

- Mój dziadek trzymał generator w piwnicy - powiedziała Maddy. - Zawsze pilnował, aby wlewać właściwe paliwo... do silników dwusuwowych, czy jakoś tak. Mówił, że zła benzyna w końcu zatka karburator. A później trzeba wydać majątek na naprawę.

Foster potrząsnął głową.

- Będę szczęśliwy, jeśli generator popracuje na tyle długo, aby wyciągnąć nas z tej kabały. Jeśli potem się zatka i będziemy musieli go wymienić, pomyślimy o tym później. Okej?

- Okej. - Maddy wzruszyła ramionami.

Foster skończył przelewać ostatni kanister i przykręcił pokrywę na zbiorniku generatora.

- Dobrze - powiedział, oblizując wargi. - Dobra... trzymajcie kciuki.

Kilka razy szarpnął dźwignię na bocznej obudowie generatora i sapiąc z wysiłku opuścił ją do pozycji roboczej. Rzucił jeszcze okiem na Maddy i wcisnął czerwony przycisk na panelu. Maszyna zakasłała i ospale obróciła się kilka razy wokół własnej osi, po czym zarzęziła i ucichła.

- Nie brzmi to zachęcająco - wymamrotała Maddy.

- Spokojnie, tylko przeczyszcz gardło - odpowiedział niezbyt przekonującym tonem. Kilkakrotnie nacisnął dźwignię, dysząc przy tym z wysiłku, i ponownie nacisnął przycisk. Generator znowu obudził się do życia, tym razem ze zdecydowanie większym entuzjazmem. Po kilku długich sekundach rytm pracy urządzenia ustabilizował się, obroty zaczęły wzrastać. Powolne dudnienie, przypominające rytmiczne uderzenia gigantycznego serca, zastąpił energiczny terkot, który stopniowo przeszedł w ogłuszający warkot zalewający całe zaplecze.

Foster podszedł do bocznego panelu wibrującej maszyny i przekręcił kilka przełączników na tablicy bezpiecznikowej. Pokryta pajęczyną żarówka na suficie rozbłysła migotliwym, czerwonym światłem, które rozjaśniło pomieszczenie.

- Taak! - krzyknęła Maddy. - Udało się!

Foster skinął głową i uśmiechnął się z ulgą.

- Wygląda na to, że znowu mamy prąd! - krzyknął, próbując przebić się głosem przez nieznośny furkot.

Odwrócił się do Sal, która wciąż przyglądała się martwym ciałom w próbkach.

- Hej, Sal, rozchmurz się! Jesteśmy na dobrej drodze, aby wyciągnąć chłopców z przeszłości!

Dziewczyna spojrzała na niego zaczerwienionymi od płaczu oczami.

- Ale dla nich już jest za późno.

Mężczyzna stanowczo pokręcił głową.

- Wyglądają jak ludzie, ale nie należy o nich myśleć w ten sposób. To tylko roboty z ludzkimi organami, Sal. Nic więcej, chodź - powiedział, wskazując rozsuwane metalowe drzwi prowadzące do głównego pomieszczenia. - Niech urządzenie translokacyjne trochę się podładuje - dodał, ponaglając dziewczyny do wyjścia.

Sal po raz ostatni zerknęła na próbówki.

- Co z nimi zrobisz? - spytała.

- To co należy, nie przejmuj się tym.

- Ale co dokładnie z nimi zrobisz?

Foster z rezygnacją pokręcił głową.

- Mamy teraz zdecydowanie ważniejsze sprawy na głowie.

Zamknął za nimi drzwi, odcinając zapach zgnilizny i gromki grzechot maszyny, i zanotował w pamięci, że musi pozbyć się ciał klonów, gdy już Sal zapadnie w głęboki sen. Widok Fostera wynoszącego martwe ciała to ostatnia rzecz, na jaką należało ją teraz narażać.

Podszedł do maszyny obok pleksiglasowego cylindra i nacisnął przełącznik. Zapalił się długi rząd małych, czerwonych światełek LED. Pierwsze z nich niemal natychmiast zamigotało i zmieniło barwę z czerwonej na zieloną.

- Dobra, ładowanie rozpoczęte - stwierdził.

Dołączył do dziewczyn zatopionych w fotelach przy stole kuchennym.

- Trochę już przeszliśmy, a przed nami wiele trudności do pokonania. Gdy generator wystarczająco się naładuje, prześlemy wiadomość do Boba. Musimy też ustalić, gdzie i kiedy otworzymy okno powrotne. Ale teraz... - Westchnął. - Teraz oddałbym wszystko za kubek

kawy.

Dziewczyny spojrzały na niego, obie były zmęczone i umorusane.

- Co tylko szef rozkaże! - powiedziała Maddy.

Foster opadł na fotel. Poczul się stary jak świat.

- Czyja kolej na parzenie?

## ROZDZIAŁ 62

Nowy Jork rok 2001

- Im krótsza wiadomość, tym mniejsza konsumpcja energii - powtórzył po raz kolejny Foster. - Musimy być zwięzli i konkretni. W ten sposób będziemy mogli poświęcić więcej energii tachionowej na poszerzenie wstęgi cząstek.

- Wciąż nie rozumiem - strapiła się Sal.

Foster podrapał się po kilkudniowym, srebrzystym zarostcie. Porządne golenie będzie pierwszą rzeczą, jaką zrobi po uporządkowaniu tego bałaganu.

Koncepcja wstęp zbudowanych z subatomowych cząstek wystrzeliwanych w przeszłość była dla Fostera jednym z cięższych zagadnień, gdy dołączył do oddziału Jeźdźców w Czasie. Większość koncepcji, problemów i gadżetów technologicznych początkowo również i jemu sprawiała kłopot. Młody umysł z trudem poruszał się wśród teoretycznych subtelnosci. Ale Foster w końcu zrozumiał wszystko.

- Słuchaj! - powiedział. - To, co teraz robimy, to właściwie zalanie wybranego obszaru Ameryki sprzed pięćdziesięciu lat strumieniem mikroskopijnych cząstek - tachionów. Gdybyśmy wiedzieli, gdzie dokładnie w danym momencie stoi Bob, moglibyśmy nakierować

nasz nadajnik bezpośrednio na ten punkt i wystrzelić wiadomość z użyciem bardzo małej porcji mocy i za pomocą niewielkiej liczby cząstek tachionowych. Niestety nie wiemy, gdzie w tej chwili przebywa. Znamy tylko ogólną lokalizację.

- Ale dlaczego nie skierujemy promienia na lokalizację i punkt w czasie, w które zostali wysłani? Pamiętasz... główny dziedziniec Białego Domu... powiedzmy trzydzieści sekund po ich przybyciu. Przez pół minuty nie mogli przecież odejść zbyt daleko - powiedziała Maddy.

- To prawda - odrzekł Foster - ale w ten sposób nie zostawimy im wystarczająco dużo czasu na zebranie informacji wywiadowczych. Wrócilibyśmy do punktu wyjścia, nie uzyskalibyśmy potrzebnej wiedzy ani użytecznych informacji.

Spojrzał na maszynę ustawioną obok cylindra z pleksiglasu. Rząd migających na czerwono diod wskazywał, że pozostało jeszcze sporo czasu do pełnego naładowania maszynerii translokacyjnej.

- Słuchajcie, będę z wami szczerzy. Naprawdę nie wiem, czy uda nam się sprowadzić z powrotem choć jednego z nich, nie mówiąc już o obu. Musimy mieć nadzieję, że zdołali dowiedzieć się wystarczająco dużo, by dokładnie określić czas i miejsce zakrzywienia osi czasu. To bardzo ważne, ponieważ - ciągnął, uważnie patrząc na dziewczyny - z tym zapasem mocy możemy mieć tylko jedną szansę, aby wysłać kogoś z powrotem. Jedną, ostatnią szansę.  
- Upił łyk kawy z kubka. - Jedną szansę, aby naprawić historię.

- Oczywiście - cicho odpowiedziała Maddy.

- Wiemy więc, że przegapili okno powrotne, okno awaryjne godzinę później i ostatni portal awaryjny dokładnie dobę po ostatnim oknie. Oznacza to, że musieli wpaść w kłopoty. Ale to wcale nie musi być zła informacja.

- Nie? - zdziwiła się Sal.

- Nie. Jestem agentem od wielu lat i wiem, że kłopoty niemal zawsze stanowią źródło wiedzy. - Foster uśmiechnął się. - Im większe kłopoty, tym większe prawdopodobieństwo, że

dowiedzieli się więcej o świecie roku pięćdziesiątego szóstego.

- Jeśli jeszcze żyją - zauważyła Maddy.

- Liam to bystry młody mężczyzna, który szybko się uczy. Jest z nim jednostka pomocnicza, a to maszyna do zabi... cóż, sytuacja może przybrać niewesoły obrót. Zabicie człowieka nie jest takie łatwe. Wspólnymi siłami uda im się pozostać w ukryciu, zebrać informacje i poczekać na wiadomość.

- Jaką w takim razie wiadomość im wyślemy? - spytała Sal.

Foster spojrział na dziewczynę.

- Prześlemy jedynie sygnaturę czasową: lokalizację i punkt w czasie, gdzie mają się pojawić.

- Rozumiem.

- Możemy założyć, że znajdują się w pobliżu Waszyngtonu.

- Jesteś pewien? - przerwała Maddy. - To bezpieczna hipoteza?

- Tak, bo ma to sens. Bob dojdzie do wniosku, że odbierzemy ich mniej więcej z tego samego obszaru. Będzie więc starał się pozostać możliwie blisko Białego Domu.

- Niezła zgadywanka - odpowiedziała Maddy z nutką sceptycyzmu w głosie.

- Obawiam się, że w tej chwili możemy już tylko zgadywać.

Dziewczyny nie wyglądały na zachwycone tą wiadomością.

- Plan jest następujący - powiedział - uruchomimy system komputerowy, otworzymy mapę Waszyngtonu i spróbujemy odnaleźć cichą uliczkę w pobliżu Białego Domu... powiedzmy oddaloną o milę lub dwie. Tam otworzymy okno powrotne. Wprowadzimy

współrzedne i wyłączymy komputery, by nie czerpały mocy z generatora.

- Dobrze.

- Druga część wiadomości to czas. Dopiero tutaj musimy odpowiednio trafić.

- Może dzień po ostatnim oknie awaryjnym? - zasugerowała Sal.

- Może... ale jeśli nie uda im się dotrzeć w porę, będzie to oznaczało, że coś uniemożliwiło im przybycie. Według mnie powinniśmy dać im więcej czasu.

- Coś uniemożliwiło im przybycie?

Foster wzruszył ramionami.

- Mogło to być wiele rzeczy. Bob lub Liam mogli zostać zranieni, w jakiś sposób zatrzymani... unieruchomieni. Istnieje ryzyko, że zostali aresztowani albo cały obszar został odcięty lub zrobiło się tam zbyt niebezpiecznie.

- Jak długo muszą w takim razie czekać? - spytała Sal. - Dwa dni? Trzy?

- Tak długo, jak to możliwe - zacisnął usta. - Niewiele wiemy o ich faktycznej sytuacji, ile potrzebują czasu, by dotrzeć do wskazanej lokalizacji lub wyzdrowieć.

- O jakim okresie mówimy? - spytała Maddy. - O tygodniu?

- O maksymalnym czasie misji. O sześciu miesiącach - odpowiedział.

Maddy ściągnęła okulary i zmrużyła oczy, z roztargnieniem przecierając szkła.

- Maksymalny czas misji? Raz już o tym wspomniałeś.

- Maksymalny czas misji - powtórzył Foster - to dwadzieścia sześć tygodni. Sześć miesięcy. To okres żywotności jednostki pomocniczej.

- Okres żywotności? - zaniepokoiła się Maddy. - Nie podoba mi się to.

- Jednostka pomocnicza przeprowadzi autodestrukcję, jeśli nie powróci do teraźniejszości po upływie sześciu miesięcy.

- Dlaczego?! - spytała Sal.

- Aby nie dostała się w niepowołane ręce... nie stała się niebezpieczną bronią.

- Niebezpieczną?

- Mózg Boba to sztuczna inteligencja o charakterze adaptacyjnym - oprogramowanie przyswajające nowe informacje. Wyobraźcie sobie, co wydarzyłoby się, gdyby Bob dostał się w niepowołane ręce, gdyby oprogramowanie Boba przyswajało informacje podsuwane przez kogoś złego lub szalonego. Pomyślcie, że Bob wykonuje rozkazy jakiejś obłąkanej postaci, na przykład rzymskiego cesarza Kaliguli, albo Napoleon lub Czyngischan uczynili z niego swoją śmiertelnością broń.

Dziewczyny w milczeniu próbowały wyobrazić sobie podobny scenariusz.

- Co gorsza - kontynuował Foster - ponieważ jego organiczne ciało się nie starzeje, przy normalnym odżywianiu może żyć wiecznie. Czyni z niego praktycznie nieśmiertelnego siłacza. Pomyślcie o tym. Taka istota - szczególnie w zamierzchłej przeszłości zdominowanej przez przesady - mogłaby być czczona jak bóg.

- O, ja cię! - szepnęła Maddy - Założę się, że ci kretyni z przeszłości byliby zachwyceni.

- Jak widzicie, pozostawienie jednostki pomocniczej w historii to bardzo zły pomysł. Właśnie dlatego po upływie sześciu miesięcy uruchamiany jest proces autodestrukcji.

- Co więc zrobi Bob? Wysadzi się w powietrze? - Sal zmarszczyła brwi.



- Nic aż tak dramatycznego. System komputerowy w mózgu wytworzy iskrę powodującą zwarcie i spalenie procesora, który zamieni się w niepotrzebny nikomu kawałek metalu.

- Czy to zabije Boba? - spytała Maddy, dopijając ostatni łyk kawy.

- Nie do końca. Bez procesora w głowie jednostka pomocnicza będzie wielkim, krzepkim mężczyzną z mózgiem noworodka.

- Przez resztę życia będzie bełkoczącym idiotą - stwierdziła Maddy. - Cudownie.

- Nie. W końcu umrze. Bez umiejętności myślenia nie będzie w stanie troszczyć się o siebie i zdobywać pożywienia. Wygłodzony organizm odmówi posłuszeństwa po kilku tygodniach, tak jak ciało zwykłego człowieka. Prawdopodobnie umrze w przeciągu kilku dni, ponieważ nie przyjdzie mu do głowy, że musi pić, by utrzymać się przy życiu.

- Biedny Bob - posmutniała Sal.

Foster pochylił się i położył dłoń na jej ramieniu.

- Organiczny robot... pamiętasz? Jest tylko organicznym robotem, nie człowiekiem.

Wolno skinęła głową

- Organiczny robot, organiczny robot... - powtarzała jak mantrę.

- Czyli - odezwała się Maddy, ponownie nakładając okulary - właśnie taką sygnaturę czasową im prześlemy? Mają ruszyć tyłki, udać się w pobliże Białego Domu i czekać na portal, który uaktywni się sześć miesięcy po dniu, w którym przybyli do przeszłości?

- Proponuję kilka lub kilkanaście dni przed wygaśnięciem okresu żywotności. Nie powinniśmy czekać do ostatniej chwili. Ale tak - odpowiedział - sądzę, że to najlepsza propozycja.

- W porządku - Maddy kiwnęła w stronę monitorów. - Teraz powinnam chyba odpalić komputery, sprawdzić, czy wciąż działają i zdobyć mapę Waszyngtonu.

- Dobra dziewczynka!

## ROZDZIAŁ 63

lasy wokół Baltimore rok 1957

- Więc.. kim są ci wszyscy ludzie, Bob? - spytał Liam, próbując dotrzymać kroku Bobowi raźnie maszerującemu w stronę lasu przez pokryte śniegiem pola. Dziesiątki rebeliantów wymachiwało bronią, padały salwy i triumfalne okrzyki.

- Ciągłe za mną chodzą - odpowiedział Bob beznamiętnie.

Liam spojrział na nich przez ramię: armia umorusanych obdartusów, cywilów i żołnierzy. Po białym polu za ich plecami rozbiegły się ledwie stąd widoczne sylwetki wynędzniałych więźniów, którzy umykali z obozu we wszystkich możliwych kierunkach.

- Kapitanowi znowu się udało! - radośnie wykrzyknął jeden z bojowników.

- Na cześć Kapitana Boba: hip hip...

- Huurrra!!! - zawyła banda mężczyzn i po raz kolejny padło kilka salw.

Liam zbliżył się do Boba i zniżył głos.

- Kapitan Bob? Powiedziałeś im, że jesteś oficerem armii? Ja nie mogę... to sprytne! - Liamowi naprawdę zaimponowała inicjatywa Boba. - Jestem z ciebie dumny - powiedział, uderzając go w szerokie barki.

- Nic im nie powiedziałem - odpowiedział Bob. - Sami zaczęli mnie tak nazywać.

- Hej! Ty!

Liam z zaskoczeniem odwrócił głowę. Kilkanaście metrów za nimi biegł niski mężczyzna o twarzy łasicy, wyglądający jak jeden z szemranych ściągaczy długów, przed którymi niegdyś ostrzegła go matka.

- Hej, mały! Nie męcz tak kapitana. Jeśli chcesz porozmawiać z nim w cztery oczy, najpierw musisz poprosić mnie o zgodę, rozumiemy się? Kapitan nie ma czasu i ochoty zajmować się podobnymi tobie namolnymi gagatkami proszącymi o autograf.

Liam spojrział na idących z tyłu partyzantów. W ich oczach wciąż paliła się euforia bitewna. Zasapani żołnierze wydychali kłęby powietrza i wpatrywali się w Boba z intensywną... płomienną...Czułością? Miłością? Nie, raczej bojaźliwym zachwytem.

- Hej, mały! - Łasica w garniturze właśnie ich dogoniła. - Chcesz przyłączyć się do Armii Wolności Kapitana Boba? Jeśli o to ci chodzi, porozmawiamy w obozie. Nazywam się Panelli, adiutant Panelli. Jestem zastępcą kapitana. Dostaniesz broń i jedzenie, nie martw się.

- Ach.. nie, nie ma potrzeby. Nie chcę przyłączać się do waszej Armii Wolności. Jestem tylko...

- No to pryskaj stąd już i nie zawracaj głowy. Przed nami kolejne obozy do zdobycia, wojna do wygrania. A Kapitan Bob potrzebuje czasu na odpoczynek, zanim po raz kolejny poprowadzi nas na szkopów.

Liam spojrział na Boba.

- Chyba nie po to tutaj jesteśmy, prawda? Żeby walczyć z armią Kramera? - spytał, ignorując Panelliego.

- Potwierdzam - odrzekł Bob. - Cel misji to powrót do domu z uzyskanymi danymi.

- W jaki sposób to zrobimy?

Bob zamyślił się na chwilę, zanim udzielił odpowiedzi.

- Nie mam gotowego planu. Sugestia: czekamy na sygnał z dalszymi instrukcjami od Agencji.

- Mamy tylko czekać, aż się odezwą?

- Potwierdzam.

- Hej - wciął się Panelli, chwytając Liama za rękę. - Hej, przestań. Co to za gadanina, którą zamęczasz kapitana?

Liam ze złością odwrócił się na pięcie i odepchnął człowieczka.

- Proszę! Dlaczego nie zostawisz nas wreszcie w spokoju? Musimy porozmawiać.

Panelli spojrzał na nich podejrzliwie.

- Słyszałem, że mówicie coś o sygnale od agencji. Czy ty przypadkiem nie jesteś jakimś szpiegiem? Stronnikiem wroga?

- Co? Ależ skąd!

- Trochę śmiesznie gadasz, z dziwnym akcentem. Co wy na to, towarzysze?

- No na litość boską! Jestem Irlandczykiem! - zdenerwował się Liam. - A nie żadnym niemieckim szpiegiem!

Liam spojrzał na jednostkę pomocniczą.

- Bob, powiedz im, że jestem twoim przyjacielem.

- Jest moim przyjacielem.

Panelli wyglądał na zaskoczonego.

- Czy ty... znasz tego chłopaczka?

- Potwierdzam. Znam go.

- O co tutaj chodzi? Może jesteście rodziną?

Liam obojętnie wzruszył ramionami.

- Tak... właśnie. Jesteśmy rodziną. Prawda, Bob?

Bob podniósł do góry jedną brew, nie wiedząc, co powinien odpowiedzieć. Po chwili zdecydował:

- To właśnie jego szukałem - zagrzmiął głęboki głos.

Panelli nagle się strapił, zły, że jego samozwańcza pozycja prawej ręki kapitana Boba została najwyraźniej podkopana przez jakiegoś wychudzonego smarkacza.

- Kapitanie Bob... szukałeś tego chłopca i wreszcie znalazłeś. Co to oznacza dla mnie... dla nas? - spytał z coraz bardziej zaniepokojoną miną. - Czy... czy w dalszym ciągu mamy za tobą podążać?

Bob spochmurniał i pytająco spojrział na Liama, znowu niepewny jak zareagować.

„A niech mnie! - odkrył chłopak. - Ci wszyscy ludzie... myślą, że to jakiś święty”.

Niemal zaśmiał się z absurdalności tego pomysłu.

- Powiedz im, Bob. Powiedz im dokładnie, co teraz zamierzamy zrobić.

- Czekamy na sygnał.

- Na znak? - sapnął młody kapral, stojący tuż za Panellim.

- Tak... dokładnie na to - powiedział Liam - czekamy na znak.

Słowo wywarło natychmiastowe wrażenie na zgromadzonych wokół żołnierzach, którzy zaczęli szeptać je sobie z ucha do ucha z rosnącym podekscytowaniem i trwogą: „Znak. Znak”.

- Czy... czy masz na myśli - dopytywał kapral - z... znak od Pana?

- Z biura teren... - Bob spieszył już z wyjaśnieniem, ale szybko zamknął usta, bo Liam mocno stuknął go łokciem w żebra.

- Skąd? - spytał Panelli.

- Znak - powtórzył Liam - z... sam wiesz... z góry.

Wśród mężczyzn uniosła się fala szeptów. Liam zauważył, że kilku z nich nabożnie się przeżegnało.

- Z góry - wymamrotał kapral, którego oczy przybrały rozmiar spodków.

- Właśnie - potwierdził Liam, starając się nie wybuchnąć śmiechem - od... sam wiesz kogo.

Zapadła głucha cisza.

W tej samej chwili podmuch wiatru rozproszył chmurę zakrywającą słońce: oślepiające promienie załazy osnieżone, zaorane pole, zalewając postać Boba ciepłym światłem. Nad puszką gęstych, orzechowobrazowych włosów na chwilę uniosła się poświata; poświata przypominająca aureolę. Obserwujący to cudowne zdarzenie żołnierze, jednocześnie westchnęli i zaczęli klękać, jeden po drugim. Na kolana opadł nawet Panelli łasica, którego Liam nigdy nie posądziłby o regularne uczestnictwo w niedzielnych

nabożeństwach.

„No, po prostu świetnie. Tylko tego nam teraz było trzeba” - pomyślał chłopak.

## ROZDZIAŁ 64

lasy wokół Baltimore rok 1957

Zupa w misce Liama pachniała i wyglądała niemal tak samo obrzydliwie jak kleik, którym regularnie karmiono więźniów w obozie.

Spojrzał na mężczyznę, który wlał mu porcję brei.

- Dziękuję.

Mężczyzna uśmiechnął się niezręcznie i poprawił czapkę.

- Mogę coś zrobić dla kapitana Boba?

Liam przypomniał sobie, że Bob z trudem posługuje się łyżką. Mógł zalać zupą całe ubranie.

„To nie wyglądałoby dobrze” - pomyślał chłopak i dodał:

- Dowódca chciałby dostać chleb, jeżeli jakiś macie.

Mężczyzna rozpromienił się na myśl o wyświadczeniu kapitanowi przysługi. Sięgnął do plecaka, z którego wyciągnął długi bochen czerstwego chleba. Liam skinął głową w podziękę, włożył chleb pod ramię i już chciał ruszać z powrotem do namiotu, gdy zawahał się i ponownie odwrócił do żołnierza.

- Hmm... dowódca pragnie pobłogosławić cię za ten pokarm.

Mężczyzna uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Dziękuję, dziękuję! - wykonał znak krzyża. - Niech Bóg go błogosławi.

Liam przeszedł przez obóz rozświetlony poświatą trzaskającego ognia i srebrnymi promieniami księżyca, które przesywały gałęzie lasu. Uprzejmie pozdrawiał mijanych rebeliantów, błogosławiąc ich w imieniu kapitana Boba. Przez kilka ostatnich dni atmosfera w obozie przypominała nastrój panujący w klasztorze. Żołnierze, którzy wcześniej opowiadali spróśne dowcipy, teraz sprawiali wrażenie bogobożnych i refleksyjnych.

„Wierzą, że Bob jest aniołem-wojownikiem zesłanym przez Boga - tłumaczył sobie Liam. - Nic dziwnego, że tak się zachowują”.

Gdy dotarł w końcu do skromnego szałas Boba, zanurkował pod strzępem zwisającej szmaty służącej za drzwi i wszedł do środka.

- Przyniosłem ci trochę chleba. Obawiam się, że nie jest to wysokoproteinowa, przyprawiająca o wymioty papka, którą dostawałeś w biurze terenowym.

- Konsumowałem już ten rodzaj pokarmu - odpowiedział Bob, sięgając po bochen i ułamując piętękę. Przez chwilę przeżuwał chleb, jego ślina rozbijała go na drobniejsze kawałki, a komputer analizował skład białkowy.

- Wystarczy - odpowiedział.

Liam usiadł na drewnianej skrzyni naprzeciwko jednostki pomocniczej.

- Byłem pewien, że ugrzęzłem w tym obozie na zawsze. Myślałem, że tam umrę.

Zadrzał na myśl o miesiącach spędzonych w uwięzieniu, o twarzach jeńców, których zdążył bardzo dobrze poznać. Ciekawe, co w tej zawierusze stało się z Wallacem? Czy



przeżył masakrę? Czy uciekł? Liam miał nadzieję, że tak.

- W pewnym momencie zacząłem się zastanawiać, czy nie lepiej by było zostać na Titanicu. Utonięcie jest o wiele szybsze niż śmierć z głodu. - Liam głośno siorbnął zupę z łyżki.

- Potwierdzam - zakomunikował Bob. - Zgon z powodu odcięcia dopływu tlenu trwa od trzech do pięciu minut.

„Jak ty, przyjacielu, potrafisz podnieść na duchu” - Liam uśmiechnął się do siebie. Odłożył łyżkę, wyciągnął dłoń i klepnął Boba po muskularnym ramieniu.

- Wiem, że prawdopodobnie nie ma to dla ciebie większego znaczenia, bo, jak mówi Foster, twój umysł to maszynka z kodami i programami, ale... chyba... chciałem ci podziękować, Bob. Podziękować za przybycie i uratowanie mojej skóry.

Zauważył, że przez sztywną twarz jednostki pomocniczej przemknął ślad jakiejś emocji. Czy był to mimowolny skurcz mięśni, czy może uśmiech? Tak czy siak wypadło niemal naturalnie.

Przez chwilę jedli w milczeniu przerywanym tylko siorbaniem Liama i dzwonieniem zębów Boba, które przypominało nieco skrzypiący dźwięk wydawany przez krowy wujka Diarmida żując zimową paszę.

- Sądysz, że powinniśmy pozostać tutaj do momentu otrzymania wiadomości?

- Zaprzeczam.

- Mów po prostu „nie”, Bob. Będzie to brzmiało zdecydowanie naturalniej.

- Nie.

- Jak długo w takim razie?

- Poczekamy jeszcze siedemdziesiąt osiem godzin i pięćdziesiąt siedem minut.

- Słucham? - Siedemdziesiąt osiem godzin i pięćdziesiąt siedem minut wydawało się podejrzenie konkretnym terminem. - Dlaczego właśnie tak długo, Bob?

- Do tego czasu muszę uruchomić proces autodestrukcji.

Liam mimowolnie upuścił łyżkę do talerza z zupą.

- Słucham? Autodestrukcji... co to dokładnie oznacza?

Bob przestał przeżuwać chleb i zwrócił na chłopca swoje chłodne, szare oczy.

- Podstawowy wymóg operacyjny: maksymalna żywotność podczas pracy w terenie to pół roku. Jeżeli nie powrócę z misji po sześciu miesiącach, muszę przeprowadzić proces samozniszczenia. Wiedzą o tym, więc po upływie tego okresu nie będą przysyłać już żadnych wiadomości. Jeżeli wyślą jakikolwiek sygnał, otrzymamy go przed planową autodestrukcją.

- Sześć miesięcy? Czy chcesz mi powiedzieć, że zamierzasz sam siebie zniszczyć za.. za...?

- Trzy dni, sześć godzin i pięćdziesiąt siedem minut - odpowiedział Bob. - Muszę umrzeć do tego czasu.

- Ale dlaczego?

- Aby uniemożliwić wykorzystanie mojej technologii przez osoby trzecie.

Liam nagle zdał sobie sprawę, że naprawdę przejmują się losem siedzącej przed nim wielkiej maszyny. Czy to troska? Wiedział, że nie ma to najmniejszego sensu, ponieważ Bob to tylko zautomatyzowana góra mięśni, platforma wojskowa z wbudowanym komputerem osobistym. Może miało to związek z tym, że obaj nie tak dawno zostali Jeźdźcami w Czasie. Obaj są nowi. A może to tylko strach przed samotnością w świecie, który nigdy nie powinien istnieć, strach przed pozostaniem tutaj bez Boba, który nie będzie mógł już pospieszyć mu na

ratunek.

- Bob, czy możesz zrezygnować z samozniszczenia?

- Zaprzeczam.

- A gdybym wydał ci bezpośredni rozkaz? W końcu jestem agentem. Ja tu dowodzę, prawda?

- Potwierdzam.

- Gdybym ci rozkazał, aby anulować...

- Ten protokół jest nieodwołalny. To kod mikrooprogramowania.

- Kod mikrooprogramowania?

- Zintegrowany z procesorem. Nie może zostać usunięty.

Liam spojrział na pozbawioną wyrazu twarz jednostki.

- Ale to głupie!

- To nieuniknione.

Zupa w misce Liama już prawie całkiem wystygła.

- Czy myśl o śmierci... czy to cię nie przeraża?

- Zaprzeczam.

- Bob, staraj się mówić „nie”, zamiast „zaprzeczam”.

- Nie.

- Czy myśl o samobójstwie nie budzi w tobie żadnych emocji?

- Moja świadomość to jedynie kod proceduralny; wspomnienia są przechowywane na wewnętrznym dysku twardym. Ciało można w całości zregenerować z jednej komórki. Mogę być powielany w nieskończoność, Liamie O'Connor. Pojęcie śmierci jest mi obce, podobnie jak pojęcie strachu.

- Brak strachu - niewesoło prychnął Liam. - Jezu, chciałbym kiedyś to poczuć. Przez kilka ostatnich miesięcy strach nie opuszczał mnie na sekundę. Bałem się, że któryś ze strażników dla przykładu zastrzeli mnie na miejscu, że Niemcy zdecydują się wykończyć nas wszystkich, że...

- Chciałbym... - zagrzemiał potężny głos Boba.

Liam zaniemówił i natychmiast przestał się nad sobą rozczulać. Odłożył łyżkę do miski z zupą i spojrzał na zaszklone oczy jednostki pomocniczej, wpatrujące się w jakieś nieosiągalne pragnienie w oddali.

Czy on właśnie powiedział „chciałbym”...?

Przypomniał sobie, jak Foster mówił, że procesor jest połączony z małym organicznym mózgiem. Być może drobna, pofałdowana część Boba, nie w pełni rozwinięty fragment tkanki mózgowej, sprawiała, że klon może w ogóle czegoś chcieć, pragnąć w nieuchwytny sposób.

- Powiedz mi - wyszeptał Liam - czego chcesz.

- Chciałbym... chciałbym... być jak ty, Liamie O'Connor.

- Jak ja? - Liam podniósł głowę. - Jezu! Popatrz na mnie. Cherlawe, małe chuchro. Mam szesnaście lat i ani śladu włosów na brodzie. A moim największym osiągnięciem, zanim uniknąłem śmierci na Titanicu, było zostanie stewardem na statku. Marnym kelnerzyną. Świetnie, co?

- Zostałeś wybrany ze względu na swoje wyjątkowe umiejętności.

- Wyjątkowe umiejętności? Wolne żarty. Potrafię posprzątać kajutę, zaparzyć dzbanek herbaty i postawić go na stole bez zalania serwetki. Wielka mi rzecz.

- Według akt twoje podstawowe zalety to: bardzo wysoki iloraz inteligencji, zdolność szybkiego reagowania i kreatywne umiejętności poznawcze.

- Naprawdę?

- Te informacje są dostępne w dokumentacji z twoim profilem osobowym.

- Jakiej dokumentacji?

- Na moim dysku twardym zapisano twój pełny profil. Znajdują się w nim dane na temat przebiegu pracy w linii żeglugowej White Star Line, szczegóły dotyczące życia rodzinnego i miasta pochodzenia, raporty ze szkoły...

- Nosisz w swojej głowie moje raporty ze szkoły?

- Potwierdzam - powieki Boba zatrzepotały. Klon rozpoczął proces pozyskiwania danych.

- Liam O'Connor jest bez wątpienia bystrym chłopcem - Bob zaczął recytować raport, który, jak pomyślał Liam, musiał zostać napisany przez starego dyrektora szkoły, Ojca O'Herlihy'ego - jednym z najinteligentniejszych w swoim roczniku. Ma jednak tendencję do częstego wyglądania za okno i bujania w obłokach. Nie przykłada się do nauki w takim samym stopniu jak inni dobrze zapowiadający się uczniowie. Liam to typ samotnika, podczas pauz preferuje własne towarzystwo i nie przyłącza się do grupy kolegów. Raczej trzyma się na uboczu...

Bob przerwał i znieruchomiał.

- Wszystko w porządku, Bob?

- Chwilka... jedna chwilk.

Mięśnie w twarzy Boba drgały i napinały się, oczy mrugały gwałtownie, proces myślowy został nagle i całkowicie wstrzymany.

„Wykryto transmisję cząstek.” - W głowie Boba pojawił się nowy komunikat.

Procesor Boba filtrował przychodzące dane; subatomowe cząstki magicznie wirowały wokół niego i przenikały przez ciało stałe jak by było powietrzem. W neuronową sieć, jak muchy w pajęczynę, wpadały tachiony. Wkrótce Bob mógł już odcyfrować fragmenty wiadomości: „... kontam... czaso... kompletna destrukcja... mało mocy... lokali... następująca: Szer. geogr. 38°54'24...”.

- Bob? Co z tobą?

- Chwila... jedna chwila - odpowiedział bezbarwnym głosem.

Pojawiało się więcej cząstek, fragmenty wiadomości zaczynały tworzyć spójną całość. Odczekał, aż fala zniknie, ale milczał przez kolejną minutę, nie wiedząc, czy drugi strumień tachionów znowu nie zaleje jego umysłu. Nic się jednak nie wydarzyło. Sygnał nadany z przyszłości przemknął przez okolicę i popłynął dalej.

- Przed chwilą otrzymałem słaby sygnał z biura terenowego - zakomunikował.

- Co? - Twarz Liama rozświetliła się nadzieją. - Przed chwilą?

- Potwierdzam.

- Ach... Dzięki ci, Przenajświętsza Panienko, znaleźli nas! Są bez pieczni, prawda? Oczywiście, że są.

Bob rozprostował zeszywniałe członki i odgryzł kawałek chleba.

- Nie trzymaj mnie w niepewności, Bob. Jaka jest treść wiadomości?L

Powieki jednostki ponownie zatrzepotały.

- Wiadomość biura terenowego: kontaminacja czasowa postępuje. Efekt: pełna destrukcja. Bardzo mało mocy. Niepewny rozmiar okna. Dla jednego. Ostatnia szansa. Sygnatura czasowa: Szer. geogr.  $38^{\circ}54'24.35''N$  - Dł. geogr.  $77^{\circ}2'33.94''W$  - Czas 23:50, 03-03-57.

Liam wybałuszył oczy

- Nie jestem pewien, czy cokolwiek z tego zrozumiałem. A ty?

Bob przytaknął.

- Ich oś czasowa uległa znacznemu przesunięciu, którego rezultatem są ogromne zniszczenia i awaria zewnętrznego systemu zasilania.

- Co to więc dla nas oznacza? Wehikuł czasu nie działa? - spytał zdezorientowany Liam.

- Błędny wniosek. Maszyneria działa, ale przy ograniczonym dopływie mocy.

- „Okno dla jednego”... Co to znaczy...?

- Oznacza to, że rezerwy mocy pozwolą im na zabranie stąd tylko jednego z nas - odpowiedział Bob. - To musisz być ty.

Liam zaprzeczył ruchem głowy.

- Na pewno znajdą sposób, aby wyciągnąć nas obu, jeśli pogmerają przy wehikule.

- Zaprzeczam. Masa ciała wpływa na wolumen mocy konsumowanej podczas jazdy w

czasie. Jesteś bardzo mały, pozwoli to zaoszczędzić więcej mocy.

Liam usiadł i zamyślił się na chwilę. W końcu pokręcił głową.

- Ja... ja nie mogę zostawić cię tutaj samego i pozwolić na autodestrukcję. Po prostu...

- To nielogiczna ocena.

- Jestem pewien, że istnieje sposób na wygenerowanie silniejszego pola mocy w bazie lub zmniejszenie obciążenia po naszej stronie portalu. Przecież musi istnieć jakieś rozwiązanie.

- Jest jedna rzecz, którą należy zrobić - powiedział Bob. - Dane dotyczące tej osi czasu przechowywane na moim twardym dysku muszą znaleźć się w przyszłości.

- Hmm... Coś czuję, że ten pomysł nie do końca mi się spodoba. - Liam nerwowo przełknął ślinę. - Czy myślimy o tym samym?

- Aby uzyskać dostęp do procesora, będziesz musiał rozbić moją czaszkę i usunąć ze środka tkankę miękką, w tym organiczny mózg. Odłączenie i usunięcie procesora to skomplikowana operacja, grożąca przypadkowym uruchomieniem mikrooprogramowania odpowiedzialnego za proces autodestrukcji. Musisz poznać szczegółowe instrukcje dotyczące tej czynności.

- Nie... nie jestem do tego wszystkiego przekonany, Bob. Naprawdę, ja...

- Nie masz wyboru. To wymóg misji.

Liam potrząsnął głową, czując, że robi mu się niedobrze na myśl o otwieraniu czaszki Boba.

- Kiedy będę musiał wykonać tę operację?

- Okno ekstrakcji zostanie aktywowane za dwadzieścia cztery godziny.



- Gdzie?

Bob zamrugał, pobierając dane.

- Współrzędne wskazują na ulicę o nazwie Jefferson Place w mieście Waszyngton DC. To miejsce oddalone o około milę od miejsca, w którym wylądowaliśmy.

Liam jeszcze bardziej wybałuszył oczy.

- Mila od Białego Domu? Przecież to szalone! Na tym obszarze jest pełno żołnierzy i bzyjących tych, no, jak im tam, odrzutowców.

- Musimy zdążyć tam na czas. Na miejscu wyciągniesz procesor z mojej czaszki lub urwiesz głowę i zabierzesz ją ze sobą.

- Mam ci uciąć głowę? - Liam zbladł jak płótno. - Nie mogę tego zrobić, Bob... Od kiedy pamiętam brzydzę się krwią i wstrętnymi rzeczami. Zemdleję... mówię ci, przewrócę się i zasłabnę. A wtedy przegapię okno i obaj znajdziemy się w poważnych tarapatach.

Spojrzał na wystygłą, grudkową breję w misce i odsunął ją od siebie, czując, że nagle odechciało mu się jeść.

- Naprawdę nie ma innego sposobu?

- Może gdybyś był mniejszy, gdybym ja był mniejszy. Może gdyby okno ekstrakcji zostało otwarte w pobliżu biura terenowego albo odległość na osi czasu była mniejsza. Wszystkie te czynniki determinują całkowity pobór mocy.

Bob spojrzał na chłopca swoimi spokojnymi, szarymi oczami i z jakiegoś powodu uśmiechnął się litościwie w sposób, który podpatrzył u Sal. Liam pomyślał, że w niczym to nie pomaga. Zupełnie nie pomaga. Bob wyglądał teraz na dziwnie bezbronnego, jak nienaturalnie przerośnięty brzdąc.

- Trzeba zdobyć piłę do cięcia kości lub ząbkowane ostrze - kontynuował Bob. - Przyda się też wiertarka z...

- Jezu Chryste! - nie wytrzymał Liam. - Dość tego, muszę złapać trochę świeżego powietrza. Chyba zaraz puszczę pawia!

## ROZDZIAŁ 65

lasy wokół Baltimore rok 1957

Liam wyszedł na zewnątrz i zaczął głęboko oddychać, zachłannie wciągając świeże powietrze, aż poczuł, że uczucie nudności powoli ustępuje. Odszedł kilka metrów od szałas Boba, w głąb lasu, aby poukładać sobie w głowie, co należy zrobić.

Przez smukłe pnie młodziaka i nisko zwisające gałęzie jodły dostrzegł tańczące światełka ogniska rozpalonego na środku polany. Przy płomieniach grzała się mała armia Boba; po ostatniej akcji liczebność oddziału urosła już do niemal setki żołnierzy. Chłopak wyobraził sobie uczucie zdrady i wściekłości, jakie ogarnie tych ludzi, gdy Bob ogłosi decyzję o swoim odejściu i poinformuje ich, że obaj mają w tej chwili pilniejsze sprawy na głowie.

Ludzie tak łatwo nie rezygnują ze swoich bogów i przywódców.

Pomyślał o dramacie tego pożegnania. Wszystkie podejrzania padną na niego, zostanie oskarżony o sączenie jadu do uszu wodza. Ale nie ma czasu zwlekać. Waszyngton jest oddalony tylko o godzinę jazdy ciężarówką, a będą musieli unikać blokad drogowych i w jakiś sposób przedostać się do centrum przez pilnie strzeżone granice miasta.

Dlaczego wybrali miejsce tak blisko Białego Domu?

Zachodził w głowę, jak mogli w ogóle pomyśleć, że to rozsądne rozwiązanie. Szybko doszedł jednak do wniosku, że Foster, Maddy i Sal nie mieli bladego pojęcia o miejscu

pobytu Boba i Liama. Właśnie z tego powodu przyjęli jedyne, logiczne założenie - agenci pozostali w pobliżu miejsca zrzutu.

Po prostu genialne założenie.

W ciągu sześciu miesięcy mogło zdarzyć się dosłownie wszystko; przy odrobinie pecha mogli znajdować się już na drugim końcu kraju. Nawet na innej półkuli.

Pokręcił głową. To szalone i idiotyczne, że Bob nie może im odpowiedzieć. Nie po raz pierwszy przeklął w duchu tę przeklętą technologię podróżowania w czasie. Już myślisz, że prawie wszystko pojąłeś, a tu nagle sprawy dodatkowo się komplikują.

Przynajmniej znają czas i miejsce ekstrakcji. To już coś. Pakowanie się w sam środek okupowanego Waszyngtonu to samobójczy plan. Ale czy mają jakieś wyjście?

- No cóż - mruknął do siebie. Był pewien, że Bob z przyjemnością utoruje sobie drogę przez ciała złoczyńców. W tym się w końcu specjalizuje.

Im szybciej wyruszą, tym lepiej - należy jak najprędzej zostawić za sobą te lasy i zgrać gorliwych wyznawców Boba.

Liam stwierdził, że najlepiej wyruszyć wczesnym świtem. Jeśli mają zostać zatrzymani, lepiej niech to będzie środek dnia. Wzbudziłoby znacznie większe podejrzenia, gdyby patrol natknął się na nich po godzinie policyjnej, która obowiązywała przecież w całym kraju.

W międzyczasie chłopak obmyśli plan taktownego pożegnania się z gorliwymi wyznawcami kapitana Boba. Wolał nie myśleć o linczu, jaki może go spotkać za próbę sprowadzenia mesjasza na złą ścieżkę.

## ROZDZIAŁ 66

Nowy Jork rok 2001

5. dzień (?) od awarii zasilania

Czekamy. Czekamy, aż wehikuł się naładuje i będziemy mogli spróbować otworzyć okno.

Nijak nie możemy się dowiedzieć, czy otrzymali przesłaną wiadomość. Dowiemy się dopiero po otwarciu okna w Waszyngtonie. Jeśli dostali wiadomość, przejdą przez portal i zmaterializują się przed naszymi oczami. Jeśli nie... cała energia pójdzie na marne.

Wszystko jest odłączone. Wyłączyliśmy światła, zasilanie, wszystko.

Maddy zasugerowała, aby otoczyć bazę „bańką czasową” i ponownie uruchomić czterdziestośmiogodzinny cykl. Gdyby w tym czasie stwory nie zdołały nas odnaleźć, bylibyśmy całkowicie bezpieczni: wszystkie informacje na temat naszego ukrycia zebrane przez mutanty resetowałyby się po dwóch dniach. Foster mówi jednak, że pochłonęłoby to zbyt dużo mocy niezbędnej do uruchomienia maszyny translokacyjnej. Mówi, że w tej chwili ważne jest tylko jedno - naładowanie urządzenia.

Jahulla... wołałabym aktywować bańkę czasową i poczekać odrobinę dłużej. Najdrobniejszy szmer na zewnątrz przyprawia mnie o palpacje serca.

- Jak myślisz, ile to jeszcze potrwa? - spytała Maddy.

Foster przyglądał się rzędomi migających światełek na ekranie ładowania.

- Myślę, że od czterech do pięciu godzin.

- Tak długo?

- Za cztery, może pięć godzin... otworzymy okno, z którego wyskoczą Liam i Bob. - Uśmiechnął się do niej zachęcająco. - Nic prostszego.

W rzeczywistości Foster nadal nie był pewien, czy furkoczący na zapleczu generator naładuje się w stopniu pozwalającym na otwarcie okna, w którym zdoła się zmieścić choćby sam Liam. Zależało to od wielu czynników: odległości w czasie i przestrzeni, rozmiaru okna, masy transportowanej osoby: wszystkie te zmienne determinują ilość niezbędnej mocy. Gdy byli podłączeni do sieci elektrycznej Nowego Jorku, kalkulacje tego rodzaju w ogóle nie byłyby potrzebne, ale przy skąpej ilości mocy, jaką zdołali wygenerować... wszystkie zmienne i czynniki zyskiwały na znaczeniu. Poza tym ściągnięcie Boba i Liama to jedynie pół sukcesu - potrzebują przecież kolejnej porcji ładunku, aby ponownie wysłać ich w przeszłość i rozwiązać problem raz na zawsze. Foster musiał pamiętać, aby zostawić w urządzeniu odpowiednią rezerwę mocy.

Mężczyzna zaklął pod nosem. Zbyt wiele niewiadomych.

- A jeśli dostaną wiadomość, Foster - pytała Maddy - ale nie będą w stanie dotrzeć w wyznaczone miejsce? Co, jeśli okaże się to niemożliwe? - Dotknęła ekranu, na którym wyświetlona została mapa Waszyngtonu. - Miasto mogło się diametralnie zmienić. W ich czasie może tam nawet nie być tej ulicy. Mogła zostać przebudowana przez Niemców, zrównana z ziemią, zmieniona w olbrzymie wysypisko śmieci lub...

- Musimy zaryzykować. - Foster usiadł z wysiłkiem w starym fotelu biurowym z piszczącymi kółkami i wypłowiałą skórą. - Liam to bystry chłopak, wspólnymi siłami znajdą sposób, żeby dostać się tam na czas, Madelaine.

- Jeśli jeszcze żyją - ponuro zauważyła dziewczyna.

Foster mógł z irytacją odpowiedzieć, że malowanie wszystkiego w czarnych barwach niczemu nie służy, ale dziewczyna miała rację. Strzelali na chybił trafił. Jeśli chybią... To koniec.

Świat na zawsze pozostanie taki sam - proch i gruzy. Apokaliptyczny krajobraz zamieszkiwać będą tylko te żalosne, zmutowane stworzenia żywiące się własnym mięsem, żerujące na padlinie jak szczury. Za kilka dni wyczerpie im się woda, skończą się konserwy, będą musieli wziąć przykład z potworów i zjadać odpadki. Ciekawe, ile czasu zajmie mutantom znalezienie ich małej bazy. Może kwilą i bełkoczą jak dzieci, ale w tych błędnych

ślepiach czai się inteligencja. Oczami wyobraźni widział, jak powoli, ale konsekwentnie potwory przetrząsają miasto w poszukiwaniu ofiar, jak stopniowo je namierzają. Na samą myśl jeżyły mu się szare włosy na głowie.

Jeśli mutanty zdołają ich tutaj odnaleźć... z pewnością znajdą sposób, by dostać się do środka. W końcu ich skromna baza to tylko niewielka przybudówka z kruszejącej cegły i zaprawy, a nie twierdza nie do zdobycia.

„Znajdą sposób na przedostanie się do środka... - rozmyślał niewesoło Foster - a wtedy wszystko skończy się szybciej niż nam się zdaje”.

Nie mógł oczywiście zdradzić swoich myśli dziewczynom. Nie mógł powiedzieć im, że według niego plan jest niemal skazany na niepowodzenie. Szansa, że wiadomość dotrze do adresatów jest niemal zerowa, a przecież Liam i Bob muszą jeszcze zdążyć na wyznaczone okno. Do tego słabnący, przytłumiony warkot generatora... wygląda na to, że urządzenie goni resztkami sił. Zresztą istniało ryzyko, że maszyna translokacyjna wcale nie wytworzy mocy niezbędnej do wybawienia ich z opresji.

- Wszystko w porządku, Foster? - cicho spytała Maddy; na tyle cicho, aby nie usłyszała ich Sal. - Nie wyglądasz najlepiej.

- Nic mi nie jest... jestem tylko odrobinę zmęczony - odrzekł z uśmiechem.

- To naprawdę zadziała, prawda? - spytała.

Foster musiał robić dobrą minę do złej gry.

- Oczywiście, że tak. Wszystko pójdzie jak z płatka.

Jak z płatka? Jeśli nie powie im się próba sprowadzenia Liama i Boba do domu, ugrzęzną w tym zrujnowanym miejscu na zawsze. Przysiągł sobie w duchu, że w takim wypadku zrobi to, co absolutnie konieczne. W strzelbie zostało dwanaście pocisków. Pierwsze dziewięć wpakuje w potwory, które znajdą biuro terenowe i zdecydują się do niego włamać.

A ostatnie trzy? Cóż, zostaje po jednym dla każdego.

## ROZDZIAŁ 67

okręt powietrzny Führera nad Waszyngtonem rok 1957

- Paul? O co chodzi?

Kramer podniósł głowę znad stołu roboczego. Uśmiechnął się na widok przyjaciela, który stał w drzwiach laboratorium.

- Karl, świetnie cię widzieć.

Haas wszedł do laboratorium, przyglądając się zmontowanym urządzeniom i próbując rozszyfrować przeznaczenie płataniny kabli, zespawanych części zamiennych i klatki drucianej.

„Co to u diabła jest?” - zastanawiał się w duchu, lecz głośno powiedział:

- Od dwu tygodni ani razu nie pojawiłeś się na codziennej odprawie strategicznej, Paul. Twój adiutant powiedział mi, że nie czujesz się najlepiej... i nie przyjmujesz nikogo.

Kramer ponownie spojrzał na leżący przed nim szkic.

- Byłem zajęty, Karl. Bardzo zajęty.

- To akurat widzę - odpowiedział, kręcąc głową, a na szczupłej twarzy żołnierza pojawił się wyraz zaskoczenia. - Nad czym teraz pracujesz?

Kramer lekceważąco wzruszył ramionami. Karl podszedł odrobinę bliżej, uważając, aby nie zaczepić głową pętli kabli zasilania.

- Mam dla ciebie trochę zaległej papierkowej roboty. Jest też kilka palących problemów do przedyskutowania. Sytuacja w stanach New Jersey i Maryland coraz bardziej się komplikuje... dostałem raporty o kolejnych napaściach na obozy jenieckie.

Karl precyzyjnie przesunął się obok półki z butlami acetylenowymi i podszedł do stołu Kramera.

- Amerykańskie gazety wciąż publikują artykuły o tym ich superbohaterze i jego armii. To nie wróży nic dobrego, Paul. W ten sposób Amerykanie zyskują symbol, wokół którego mogą się zjednoczyć.

- No to zamknij drukarnie - odpowiedział Kramer i z roztargnieniem wrócił do nanoszenia poprawek na projekt.

- Już to zrobiłem, korzystając z przysługujących uprawnień. Ale uruchomili podziemne wydawnictwa. Nie tylko w Waszyngtonie, ale i w Nowym Jorku, Bostonie i innych miastach.

Kramer wciąż notował coś w milczeniu.

- Paul? To problem, który bardzo szybko może urosnąć do niebezpiecznych rozmiarów. Mamy tutaj za małą armię, aby poradzić sobie z ogólnonarodową insurekcją. Jeśli ruch oporu przybierze na sile, będziemy musieli zwiększyć liczebność armii co najmniej trzykrotnie, czterokrotnie. Tylko z taką siłą stłumimy powstanie.

Kramer nie odrywał wzroku od stołu.

- Rób, co uważasz za słuszne, Karl... Jestem zajęty. W tej chwili nie mam na to czasu.

Karl w milczeniu przypatrywał się wodzowi.

„On mnie w ogóle nie słuchał” - zauważył.



Z frustracją wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu Kramera.

- Paul, musisz...

Kramer spojrział na niego twardo, chwycił za dłoń i mocno odepchnął.

- Zdaje się, że zapomniałeś, kto tu jest Führerem!

- Przepraszam... chciałem tylko...

- Cisza!

Karl wzdrygnął się. W oczach Kramera dostrzegł chłód i żelazną determinację, gdzieś ulotniła się przyjacielska serdeczność, która wytworzyła się między nimi przez te wszystkie lata.

Paul nie był sobą. Zaczął coś mówić, ale szybko z irytacją pokręcił głową. Znowu niecierpliwie spojrział na dokumenty piętrzące się na stole.

Karl wciąż stał na baczność i rozglądał się po pomieszczeniu, czekając, aż Kramer oficjalnie go odprawi. Z laboratorium na pokładzie okrętu dowodzenia Führer zrobił swój azyl. Zazwyczaj panował tu porządek odzwierciedlający poukładany umysł przywódcy, było to miejsce pełne ładu i spokoju; miejsce, w którym Kramer mógł bez przeszkód budować technologiczną potęgę Rzeszy. W tej chwili stan laboratorium przywodził jednak na myśl nieporządek udręczonego umysłu. Na stole leżał napoczęty, dawno zapomniany posiłek, kubek niedopitej i wystudzonej herbaty z gęstniejącym kożuszkim mleka. Karl spojrział na plątaninę kabli biegnących w stronę klatki.

Dopiero teraz do niego dotarło: klatka!

Umysł Karla przywołał obraz piwnicy w muzeum... sprzed piętnastu laty: śmiertelną strzelaninę, pospieszne umykanie do podobnej klatki, wyładowania elektryczne, iskry i okropne uczucie spadania.

- Mój Boże... czy ty konstruujesz wehikuł czasu?

W odpowiedzi Kramer wymamrotał coś pod nosem.

Karl powiódł wzrokiem za grubym zwojem kabli odchodzących od klatki na drugi koniec laboratorium, w stronę antałka na piwo podtrzymywanego przez grube sprężyny w środku ochronnej metalowej ramy. Widok ramy był dla niego nowością, ale antałek rozpoznał niemal natychmiast.

- Paul! Przecież to bomba atomowa!

- Rzeczywiście - westchnął Kramer, unosząc głowę.

- Czy została dezaktywowana?

- Nie, Karl. Jest naładowana i gotowa do użycia.

Karl poczuł, jak włosy jeżą mu się na głowie.

- Ale rozumiesz... rozumiesz, jak niebezpieczne jest trzymanie naładowanej bomby jądrowej na pokładzie okrętu dowodzenia...

Uśmiech Kramera był lodowaty i martwy, lecz najbardziej niepokojący był jego nieobecny wzrok. Karl czuł, że jego wódz - przyjaciel - patrzy przez niego jak przez szybę. Tiki oraz drżenie szczęki, które Haas po raz pierwszy zauważył kilka tygodni temu, teraz wyraźnie się nasiliły. Opuchnięte i podkrążone z braku snu oczy cofnęły się w głąb czaszki.

- Paul, co się stało? Powiesz mi, co się tutaj dzieje?

Kramer znowu przeniósł wzrok na marszałka.

- Mój stary przyjacielu... - Na szczupłą twarz wreszcie powrócił wyraz sympatii. - Obawiam się, że to koniec.

- Koniec? Co się skończyło?

- Ktoś po mnie przyszedł, Karl.

- O czym ty mówisz?

- Widziałeś ciało. Przypominasz sobie? W dniu zdobycia Białego Domu?

Karl wrócił pamięcią do niedawnych wydarzeń. Tak, pamiętał to nietypowo spalone ciało. Zaprzętało mu umysł przez kilka nocy, ale ich broń wysokiego rażenia i bomby zapalające zawsze zbierały żniwo w postaci stert powykręcanych i zmasakrowanych ciał. Prawdę mówiąc, nie miał czasu dłużej tego roztrząsać. Ktoś w końcu musiał pilnować porządku w podbitym kraju.

- Widzisz, stary przyjacielu... to ich sprawka.

- Ich?

- Wiedzą, gdzie jesteśmy... wiedzą, w jakim czasie jesteśmy. I nie zawahają się tutaj przyjść.

- Kto się nie zawaha?

Kramer kręcił głową, szczęka drżała mu coraz mocniej. Karl uświadomił sobie, że Paul przechodzi załamanie nerwowe.

- Nasze zabawy z przeszłością ich rozzłościły. Teraz przychodzą wyrównać rachunki. Zemścić się.

- Mówisz o innych podróżnikach w czasie? - Karl spochmurniał.

Zaczerwienione, płonące oczy Kramera rozszerzyły się jeszcze bardziej.

- Widziałem to w koszmarach. Może dostrzegłem tę twarz w luce czasoprzestrzennej, kiedy trafiliśmy do czterdziestego pierwszego roku. Wtedy musiałem ją dostrzec... w środku wirującego chaosu pomiędzy teraźniejszością a przeszłością.

- Twarz? Czyją twarz?

- Diabła, Karl... Szatana, śmierci, chaosu.

Haas przyglądał się przywódcy z niezręcznym milczeniem.

„On całkiem oszalał” - pomyślał z przerażeniem.

- Paul, diabły nie istnieją.

- Ależ istnieją! Obaj przeszliśmy przez lukę w czasoprzestrzeni, wyrwę w prawach fizyki... znaleźliśmy się tam na krótką, bardzo krótką chwilę, ale zdążyliśmy postawić stopę w samym piekle.

„Trzeba to przerwać. Paul nie jest sobą” - myślał gorączkowo Karl.

- Piekło wpadło na nasz trop, Karl. Wyczuło nasz zapach. Znajdzie nas i ukarze.

Haas uciekł wzrokiem od nabrzmiałej twarzy Kramera i ponownie spojrzął na osadzoną w metalowej ramie bombę atomową.

„To urządzenie zabije nas wszystkich - pomyślał. - Zabije wszystkich na pokładzie okrętu dowodzenia”.

Kramer podążył wzrokiem za spojrzeniem marszałka.

- Tak, Karl. Chcesz wiedzieć, do czego służy ta perełka?

- To bomba atomowa podłączona do wehikułu czasu?

Kramer pokręcił głową.

- To nie jest wehikuł czasu. Do tego potrzebowalibyśmy urządzeń, których nie można dostać w pięćdziesiątym siódmym roku. Nie... to bomba zagłady. Bomba atomowa o sile rażenia zwielokrotnionej dzięki polu translokacji Waldsteina. - Wyciągnął rękę w stronę drucianej klatki. - Wybuch i promieniowanie gamma zmiotą z powierzchni ziemi wszystkie ślady życia.

- Mój Boże! - westchnął Karl.

- Nie masz ochoty zabawić się w Boga? - Kramer uśmiechnął się figlarnie.

Karl poczuł jak pod srebrnym orłem przszytym do lewej kieszeni grafitowego munduru zaczyna mocniej kołatać mu serce.

- Paul, przecież to... to szaleństwo.

- Według mnie to miłosierdzie, stary przyjacielu.

- Co?

- Tak, tak. Miłosierdzie. Przez pomyłkę wpuściliśmy do tego świata ciemną siłę. Coś z gruntu złego... chaos. On nas tropi. Przybędzie do tego świata i upomni się o każdą duszę. Teraz widzę to jasno.

- Słuchaj, Paul. Nie ma żadnych aniołów, demonów ani...

- Przybędzie i pochłonie wszystkie dusze zamieszkujące ten świat... ponieważ to świat, który nie powinien istnieć, a ludzie na ziemi żyją życiem, które nigdy nie powinno było się narodzić.

Karl instynktownie, powoli sięgnął ręką po pistolet przymocowany do pasa na biodrach. Może Kramer nie zauważy, że to tylko nienaładowana atrapa.

„Czy ja naprawdę zamierzam grozić mu bronią?” - przemknęło mu przez myśl.

Tak. Musiał go stąd natychmiast zabrać, z dala od tego ustrojstwa, w miejsce, gdzie będzie mógł z nim normalnie porozmawiać i przemówić do rozsądku. A jeśli zajdzie taka potrzeba, każe lekarzowi przygotować środki uspokajające dla Führera. Sądząc po wyglądzie, Kramer koniecznie musi się wyspać, uspokoić.

- Chciałem stworzyć lepszy świat, pewniejszą przyszłość - powiedział Kramer. W kącikach oczu pojawiły się łzy. - Zamiast tego skazałem nas wszystkich na coś gorszego niż śmierć, Karl.

- Ale ty mówisz o postaciach nadprzyrodzonych, Paul; o demonach i aniołach, Bogu i szatanie... Przecież to średniowieczne zabobony. Jesteś człowiekiem nauki, a nie obłąkanym... klechą.

- Być może to co nadprzyrodzone wykracza poza granicę nauki? Może pochodzi z luki w czasoprzestrzeni? - Po wychudłym policzku Kramera spłynęła łza. - Wiem, że diabeł tu jest, z każdą sekundą coraz wyraźniej czuję jego oddech.

„Całkowicie oderwał się od rzeczywistości” - stwierdził Karl i zapytał:

- Muszę o to spytać, Paul... Czy to urządzenie działa?

- Tak.

Karl uznał, że nie ma wyboru. Sięgnął do kabury i szybkim, płynnym ruchem wyciągnął z niej pistolet, mierząc prosto w Kramera. Ręka pewnie trzymała broń, lecz głos marszałka drżał.

- Paul... Wybacz, ale doskonale wiesz, że nie mogę na to pozwolić.

Kramer zachował spokój i nie spuszczał wzroku z broni. Uśmiechnął się bez urazy.

- Obawiam się, że coś jeszcze muszę zrobić.

Karl odbezpieczył broń.

- Chodź ze mną, Paul. Porozmawiamy o tym w twojej kwaterze. Tylko ty i ja...

Kramer spokojnie wyciągnął rękę w stronę interkomu.

- Paul! Nie rób tego, będę strzelał!

- Nie wierzę ci, stary przyjacielu - łagodnie odparł Kramer, wciskając guzik na interkomie. - Ochrona do prywatnego laboratorium, natychmiast.

W głośniku zatrzeszczał głos potwierdzający przyjęcie rozkazu.

Kramer spojrzał na Haasa.

- Miałem nadzieję, że wspólnie stawimy temu czoła, Karl. Po tym ile razem przeszliśmy...

- Nie rozumiesz? Nie czujesz się dobrze. Jesteś zmęczony. Nie jesteś w stanie jasno myśleć. Odeślij wartowników, abyśmy mogli spokojnie porozmawiać.

Karl słyszał już stukot butów na twardej podłodze przed laboratorium.

- Odwołaj ich, Paul. To szaleństwo.

Ktoś zapukał w podwójne drzwi, z zewnątrz dobiegł przytłumiony głos:

- Ochrona, sir!

- Wejść!

Karl szybko opuścił pistolet. Gwardziści z SS Leibstandarte bez wahania zastrzelą nawet Marszałka Rzeszy, jeśli zobaczą, że mierzy w ich ukochanego wodza. Drzwi otworzyły

się na oścież, do środka weszło pięciu gwardzistów. Prowadzący ich oberlejtant zerknął na wycelowany w podłogę pistolet Karla.

- Mein Führer? Czy coś się stało?

Kramer z westchnieniem opuścił ramiona.

- Przykro mi, Karl. - Ominął zwój kabli, podszedł do przyjaciela, delikatnie wyjął nienaładowany pistolet z jego dłoni i położył na stole.

- Paul, posłuchaj mnie...

Kramer uciszającym gestem położył palec na jego ustach. Drugą ręką z tkliwością poklepał Haasa po ramieniu.

- Uważam cię za najbliższego przyjaciela... być może za jedyne prawdziwego przyjaciela, Karl. Ale to sprawa wielkiej wagi.

„Mój Boże. On zamierza zamknąć mnie w więzieniu” - pomyślał Karl.

Zagryzł wargę, uświadamiając sobie, jak wielką głupotą byłoby prowokowanie Kramera w tej chwili. Jest zastępcą dowódcy w armii Rzeszy Niemieckiej, może zdoła przekonać strażników, najwyższych rangą oficerów... ale nie tutaj, nie w ten sposób.

Kramer zrobił krok do tyłu.

- Zaufaj mi - powiedział cicho, niemal szeptem, zwracając się tylko do Karla. - To gest miłosierdzia.

- Paul? O czym ty...

- Oberlejtancie!

- Tak, sir?



- Proszę zabić Marszałka Rzeszy Haasa.

Młody oficer zaniemówił.

- Wykonać natychmiast.

„Co? On nie może...!” - przemknęło przez głowę Karla.

Odwracał się już, aby wydać ostrą komendę odwołującą rozkaz Führera, ale w tym samym momencie dwa precyzyjne strzały zakończyły jego życie. Na stół Kramera bryznęła krew i kawałki tkanki.

## ROZDZIAŁ 68

lasy wokół Baltimore rok 1957

- Dobrze, Bob? Rozumiesz, co im musisz powiedzieć?

- Potwierdza...

Liam uniósł palec i ganiąco uniósł brew.

- Tak... rozumiem, Liamie O'Connor.

- Teraz lepiej. To musi być przekonujące. Musisz brzmieć jak starotestamentowy prorok, a nie jakiś przeklęty robot.

- Rozumiem.

- Pamiętasz wszystko?

Bob spojrział na spoczywający w jego dłoniach wystrzępiony kawałek papieru, pełen powykreślanych wyrazów i zdań chaotycznie nabazgranych przez Liama brzydkim charakterem pisma.

- Skopiowałem to do pamięci.

- Dobrze, w takim razie chyba powinniśmy się już zbierać.

- Potwierdzam - zadudnił Bob. - Waszyngton znajduje się pięćdziesiąt siedem mil na południowy zachód. Musimy podróżować szybko.

Liam wyprowadził ich z szałasów Boba i zamrugał pod wpływem promieni porannego słońca, które przeszywało gałęzie i sosnowe igielki nad ich głowami i zalewało wydeptany śnieg ciepłym światłem. W obozie rozpoczęła się już poranna krzątania, kilku ludzi, którzy zbudzili się wcześniej, rozniecało tłące się ognisko, aby ugotować śniadanie i podgrzać kawę.

Panelli rozmawiał już z nowymi ochotnikami chętnymi przystąpić do walki, by na własne oczy zobaczyć legendarnego Kapitana Boba w akcji.

„O kurczę, to im się naprawdę nie spodoba” - zaszepczał Liam.

- Idziemy - szepnął do Boba - lepiej ty prowadź.

Bob wyprzedził Liama i pomaszerował w stronę wycinki na środku obozu. Gdy wyłonił się spod niskich gałęzi, odgłosy krzątania ucichły, a żołnierze wyczekująco i z zachwytem patrzyli na imponującą postać bohaterskiego przywódcy.

Okolo trzydziestu podekscytowanych nowicjuszy podeszło bliżej, by lepiej przyjrzeć się kapitanowi Bobowi.

- Cisza! - krzyknął Panelli. - Wódz ma coś do przekazania!

Bob stanął obok ogniska z szeroko rozstawionymi nogami i ręką na biodrze - dokładnie jak instruował go Liam. Zimne, szare oczy powoli, z wielką powagą skanowały

stojących przed nim rebeliantów.

- Mój czas tutaj dobiega końca... dobrzy ludzie!

Liam skrzywił się na dźwięk monotonnego głosu Boba. Na papierze przemówienie wyglądało zgrabnie; gdy czytał je po cichu kolejne frazy idealnie się zazębiały. Ale te same słowa wypowiedane przez Boba bez zmiany tonacji brzmiały żenująco.

- Otrzymałem znak z niebios, moja misja tutaj dobiegła końca... Zostawiam was, aby wzniecić żar walki w narodzie i zesłać armię bojowników na kark niegodziwego najeźdźcy. Zgnieciemy mroczne siły zła; na proch zetrzemy armię sługusów Szatana, w otchłań zrzucimy ich broń i piekielne wynalazki.

Liam poczuł, że robi się cały czerwony. „Ten fragment mogłem sobie darować” - zauważył.

- Wy jednak nie ustawajcie w wysiłkach swoich, wypełniajcie Boży plan. Ja, kapitan Bob, kapitan Bożych bojowników, powrócę tu pewnego dnia; powrócę... by wspólnie z wami zniszczyć Bestię i zrzucić kajdany ze stóp tego dumnego narodu - wyrecytował Bob ze swadą znudzonego nauczyciela, który znowu musi sprawdzić listę obecności.

W lesie zapadła długa cisza. Zbyt długa. Liam zaczynał się niepokoić; zastanawiał się, czy połączenie jego koszarnej prozy i beznamiętnego tonu Boba rzeczywiście wydało się żołnierzom tak komiczne jak podejrzewał.

Jeden z rebeliantów, bogobojny młody kapral, opadł na klęczki i wycharczał:

- Amen!

W jego ślady poszli następni, i następni.

Panelli patrzył na całą scenę i postąpił podobnie, nie chcąc pozostać w tyle.

- Amen!

Kolejni żołnierze z obozowiska uroczyście klękali jeden po drugim.

„A niech mnie, naprawdę ujdzie to nam na sucho?” - pomyślał z ulgą chłopak.

- Oto słowa przywódcy... - kończył przemowę Bob.

Liam dał mu kuksańca w zębra.

- Chyba powinniśmy się zbierać - wyszeptał kącikiem ust. - Póki możemy.

Bob kiwnął głową, postąpił krok do przodu i wykonał gest, którego nauczył go Liam w namiocie.

- Bądź błogosławiony! - huknął do stojącego najbliżej mężczyzny, który bojaźliwie dotknął jego ramienia.

- Bądź błogosławiony! - powiedział do kolejnego partyzanta.

Liam szedł tuż obok niego, nieśmiało uśmiechając się do mijanych rebeliantów.

- Odchodzimy... odchodzimy, by głosić słowo Pana.

Bob szedł obok przybyłych dzisiejszego ranka ochotników, którzy bojaźliwie klęczeli, wlepiając wzrok w bohatera.

- Niech was wszystkich Bóg błogosławi! - warknął bezdźwięcznie i skręcił w stronę zakamuflowanych ciężarówek.

- Tak. Oby tak dalej, chłopcy. Wytrwajcie - dorzucił Liam i skrzywił się, uświadamiając sobie jak niedorzecznie to musiało brzmieć.

Bob wszedł do ciężarówki i uruchomił silnik, który głośno zakasłał i wykrztusił chmurę spalin w momencie, gdy Liam wchodził do szoferki. Bez zbędnego wahania Bob

wrzucił jedynekę, a ciężarówka zaczęła toczyć się po nierównym poszyciu w stronę błotnistych kolein wyłobionych w leśnej drodze.

- Jejciu... to było dość dziwne - powiedział Liam, spoglądając na odbijające się w środkowym lusterku blade owale zaciekawionych twarzy. Spomiędzy drzew na drogę wychodzili partyzanci, aby po raz ostatni spojrzeć na swojego kapitana.

Poczuł dziwne ukłucie w piersi. Smutek? Może poczucie winy? Ci biedni ludzie będą najprawdopodobniej kontynuowali walkę bez Boba, wielu z nich zginie, walcząc o przyszłość, która nie nastąpi.

Gdy wróca do domu, do dwa tysiące pierwszego roku, Liam powie Fosterowi, gdzie i kiedy należy powrócić, aby przywrócić właściwy bieg historii. Zmierzą się z Kramerem i zabiją go, zanim zdoła odwrócić przeznaczenie Hitlera. Kiedy to się wydarzy, niewłaściwa wersja historii przestanie istnieć. Po prostu zniknie. Wszystkie ofiary jakie do tej pory ponieśli ci mężczyźni oraz ich poświęcenie w najbliższej przyszłości... wszystko to pójdzie na marne.

Chociaż Liam nigdy nie ujrzy tego na własne oczy, świat rozbłyśnie i zacznie się przesuwać wśród rosnących fal czasoprzestrzennej niestabilności, a później w mgnieniu oka - pstryk! - powróci właściwa wersja roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego.

Bob odwrócił się do Liama.

- Mamy wystarczająco dużo czasu, aby dotrzeć do punktu ekstrakcji w Waszyngtonie. Zostało czternaście godzin i pięćdziesiąt dwie minuty.

- Świetnie, dzięki Bob.

- Istnieje duże prawdopodobieństwo, że po drodze natkniemy się na jednostki wroga. To zmniejsza szacowane prawdopodobieństwo bezpiecznego dotarcia do punktu ekstrakcji do...

- Nie musisz kończyć, Bob... jeśli to nie problem.

Jednostka pomocnicza beznamiętnie spojrzała na chłopca.

- Nie chcesz znać prawdopodobieństwa sukcesu?

- Wiesz co... nie, nie bardzo.

## ROZDZIAŁ 69

Waszyngton rok 1957

Do Waszyngtonu dotarli po zmroku. Trwała już godzina policyjna i absolutna cisza na ulicach. Wśród plaskania i szelestu spadającego śniegu z deszczem z cicha brzęczały tylko latarnie. Kiedy na przedmieściach spostrzegli przed sobą blokadę drogową, wojskową ciężarówkę ukryli, a dalszą część drogi pokonali pod ziemią, korzystając z sieci kanalizacyjnej Waszyngtonu.

Bob sprawnie nawigował między korytarzami. Liam szedł tuż za nim, zatykając nos i krzywiąc się na widok szczurów, które przebiegały obok niego po ceglanej półce, niespokojnie łypiąc w stronę intruzów.

W pewnym momencie Bob przekrzywił głowę i zatrzepotał powiekami. Skręcił w lewo z głównego korytarza.

- Musimy wejść po tej drabinie. Według współrzędnych punkt ekstrakcji znajduje się pięćdziesiąt metrów stąd.

Klon wspiął się po drabinie i ostrożnie odepchnął okrągły właz. Na chwilę wystawił głowę, by sprawdzić sytuację i ponownie schował się do studzienki.

Liam stał na drabinie tuż pod jednostką pomocniczą.

- Jest czysto?

- W polu widzenia nie ma wrogich jednostek. Trzymaj się blisko mnie.

- Ile czasu do aktywacji okna?

- Siedemnaście minut - odpowiedział Bob, pokonując ostatnie szczeble.

Liam przytaknął. Zdążyli w ostatniej chwili. Ale byli na miejscu. Tylko to się liczyło.

Liam wspiął się po drabinie i wystawił głowę przez właz kanalizacyjny. Zobaczył czteropasmową, opustoszałą ulicę. Po obu stronach ciągnęły się rzędy trzy - i czteropiętrowych kamienic, w których najwyraźniej toczyło się życie. Przez zasłony sączyło się przytłumione, waniliowe światło. Chłopiec dostrzegł rozproszone zarysy ramion i głowy człowieka, który właśnie przechodził obok lampy w sypialni.

A więc życie toczyło się dalej. Tylko ludzie byli podbici, zastraszeni... wystraszeni.

Wysoko na nocnym niebie, bezpośrednio nad Białym Domem, unosił się niczym ciemna chmura burzowa okręt dowodzenia Kramera. Mrok pod statkiem rozświetlało kilkanaście reflektorów, które przeczesywały posępne i pogrążone w ciszy miasto, tropiąc nierozsądnych obywateli, którzy wazyli się złamać godzinę policyjną i wyjść na ulicę po zmroku.

- Chodź! - wyszeptał Bob.

Liam podciągnął się i wygramolił na pustą drogę, dołączając do Boba stojącego u wylotu ciemnej, zaśmieconej uliczki.

- To wyznaczona lokalizacja - oznajmił Bob. - Dwadzieścia metrów dalej - dodał, wskazując drewniany płot na końcu uliczki, przy którym piętrzyły się kubły na śmieci i kartonowe pudełka.

Dotarli do samego końca ulicy, starając się omijać rozrzucone na ziemi śmieci.

- To wyznaczona lokalizacja - powtórzył Bob, klękając. Zaczął odsuwać na bok mokre, kartonowe pudła pełne śmieci. - Rekomendacja: oczyścić najbliższy obszar z wszelkich przeszkód. W przeciwnym razie komunikaty o gęstości uniemożliwią otworzenie okna czasu.

Liam skinął głową i zabrał się do pomocy. Nagle uświadomił sobie, że po raz pierwszy od momentu wysłania w przeszłość, od kiedy na dziedzińcu Białego Domu cały ich plan wziął w łeb, mają szansę wrócić do domu w dwa tysiące pierwszym roku.

- Zawdzięczam ci życie, Bob - powiedział, klepiąc jednostkę pomocniczą po plecach. - Sprowadziłeś nas tutaj w jednym kawałku.

Bob przerzucił na bok zamokłą papkę kartonowych pudełek i gnijących odpadków.

- Cel misji zostanie zrealizowany pod warunkiem, że powrócisz do biura terenowego wraz z pozyskanymi danymi do analizy.

Liam wyszczerzył zęby.

- Rozumiem, Bob. Próbowałem ci tylko podziękować, to wszystko.

- Podziękować?

- Tak, wiesz... dzięki. Uratowałeś mnie. Przypuszczam, że wcale nie musiałeś tego robić, prawda? Jestem niemal pewien, że powinieneś być przejść przez okno awaryjne sześć miesięcy temu.

Bob zasępił się, otworzył usta i ponownie je zamknął.

- Priorytety misji zostały... oszacowane ponownie.

- Priorytety misji oszacowane ponownie, hmm... - Liam uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Zdaje mi się, że chciałeś powiedzieć, że zdecydowałeś się uratować... przyjaciela.



Na twarzy Boba pojawił się grymas zmieszania, który nieporadnie imitował gniew.

- Zaprzeczam. Nie mam przyjaciół. Jestem biologiczną platformą zbrojną, jednostką pomocniczą do pracy w terenie.

Liam przygryzł wargę i przytaknął.

- Oczywiście. Jasne... jeśli tak...

Bob zamrugał.

- Lokalizacja jest właśnie skanowana pod kątem pakietów gęstości.

- To oni, prawda? Foster i Maddy?

- Potwierdzam.

Liam zatarł ręce.

- Och, tak! Jezusie drogi, Przenajświętsza Panienko! Wracamy do domu!

- Minuta do aktywacji okna - zakomunikował Bob. - Odsuń się na bezpieczną odległość.

Liam posłusznie wziął przykład z Boba i zrobił krok do tyłu. Obaj czekali w ciemności, aż pojawi się błyśnięcie światła ostrzegawczego.

- Dziesięć sekund.

Liam chwycił ręką Boba i mocno ją uściśnął.

- Dobrana z nas para, co?

Bob spojrział na dłoń chłopca uwięzioną pomiędzy jego gigantycznymi, parówkowatymi palcami. Przez moment zastanawiał się, jakie znaczenie ma wykonany gest, po czym uśmiechnął się krzywo.

- Dobrana para - odpowiedział.

Pojawiła się blada iskra i zamigotała niewyraźnie jak światełko. Chwilę później Liam poczuł delikatny podmuch powietrza na twarzy. Pod wpływem dyskretnego powiewu wiatru kilka przemoczonych skrawków gazet pofrunęło wzdłuż uliczki, a puste puszkę z brzękiem poturlały się po ziemi.

Liam mrugał i przecierał łzawiące od kurzu oczy, gdy zagrział głęboki głos Boba:

- Niedobrze.

Liam oczyścił oczy z pyłu, otarł łzy zewnętrzną częścią dłoni i spojrział na portal: kilka stóp nad ziemią falowała mała kula wątlej, bladoniebieskiego światła.

- Co to...?

- Niewystarczająca ilość mocy - oznajmił Bob.

- Tylko tyle? Nie mogą tego, psia krewo, powiększyć?

- Niewystarczająca ilość mocy - powtórzył Bob.

- Och, nie! - jęknął Liam. - Och, Jezu, nie, nie nie... to nie może dziać się naprawdę!

Bob odwrócił się i spojrział na chłopaka.

- Liamie O'Connor, musisz działać błyskawicznie.

- Błyskawicznie? Co błyskawicznie?

Bob wyciągnął zza pasa długi nóż.

- Ani ty, ani ja nie będziemy w stanie wrócić, Liamie O'Connor. Dane muszą znaleźć się w bazie. - Bob wepchnął nóż do trzęsących się dłoni Liama. - Musisz się spieszyć - powiedział i uklęknął, aby Liam mógł sięgnąć jego głowy.

- Ja... Ja nie mogę. - Ostrze w rękach Liama podskakiwało chaotycznie. - Bob... Ja nie mogę tego zrobić!

- Nie poczuję bólu. Umieść ostrze w miejscu połączenia karku z podstawą czaszki, to newralgiczny punkt, a później naciśnij bardzo mocno.

Liam przytaknął, stanął za Bobem i uniósł ostrze na wysokość czarnej kępki włosów na karku klona.

- Zrób to teraz - nalegał Bob.

- Ja... Ja... - Ciałem Liama wstrząsnął dreszcz. W skurczonym żołądku coś zbulgotało, chłopak poczuł, że za chwilę zwróci ostatni posiłek.

- Zrób to t e r a z.

Mała, niebieska poświata unosząca się nad ziemią zamigotała intensywniej i spazmatycznie się poruszyła. W środku kuli Liam dostrzegł połyskliwą, falującą postać... nie, trzy postacie... nawołujące kogoś lub coś do przejścia przez portal.

Chwilę później wszystko zniknęło.

W uliczce ponownie zapanował mrok i cisza, przerywana jedynie kapnięciami rozmokłego śniegu.

- Przepraszam - wymamrotał Liam. - Przepraszam cię, Bob, po prostu nie mogłem tego zrobić.

## ROZDZIAŁ 70

Nowy Jork rok 2001

Maddy i Sal wpatrywały się w podłogę, gdzie przed ułamkiem sekundy z pomrukiem wibrowało powietrze błyszczące jak welon płomieni nad grillem lub nagrany od słońca asfalt autostrady.

Foster dezaktywował urządzenie translukacji czasowej.

- Przykro mi - powiedział, pochylając się nad biurkiem z komputerami. Był zmęczony, wyglądał jak człowiek, który nie jest w stanie udzielić sensownej odpowiedzi na żadne pytanie. - Myślałem, że mamy wystarczająco dużo mocy, aby sprowadzić tutaj Liama. Myliłem się.

Sal odwróciła wzrok od małej piłki gorącego powietrza, która unosiła się trzy stopy nad podłogą. Kula podskakiwała i falowała niecałą minutę. Dziewczyna była niemal pewna, że w drgającej mgielece dostrzegła wpatrujące się w nią twarze Liama i Boba.

- Już po wszystkim? - wyszeptała.

Foster przytaknął.

- Poczekaj! Wciąż zostało nam jeszcze trochę mocy - powiedziała Maddy, wskazując na rząd diod na panelu urządzenia. Trzy diody LED paliły się na zielono, jedna na pomarańczowo, natomiast pozostałe były czerwone.

- Tak - odpowiedział.

- Dlaczego nie wykorzystaliśmy jej do poszerzenia okna? - spytała. W jej głosie

pobrzmiwały ostre tony desperacji.

- Było maksymalnie szerokie. Po prostu nie byłem w stanie go powiększyć. Przykro mi. - Foster westchnął głęboko.

- A nie mogliśmy... - Maddy szukała innych rozwiązań. - Nie mogliśmy na dłużej otworzyć okna? Może udałoby się nam nawiązać z nimi jakiś kontakt?

- Traciliśmy moc, Madelaine. Całkiem na darmo. Było oczywiste, że nie są w stanie przejść przez portal.

- Dlatego je zamknąłeś?

- Została nam dzięki temu odrobina ładunku - odrzekł.

Dziewczyna pokręciła głową, z jej ust wydobył się przeszywający, rozpaczliwy śmiech.

- Po co, Foster? W jakim celu?

Nic nie odpowiedział.

- Może - wtrąciła Sal - może w generatorze zostało wystarczająco dużo oleju, żeby...

- Żeby co? - prychnęła Maddy. - Naładować go ponownie i znowu otworzyć okienko dla krasnali?

Ciszę wypełnił przytłumiony warkot dochodzący z zaplecza. Foster w końcu pokazał głową mały rząd światełek na urządzeniu.

- Pozostało nam trochę mocy. Wydaje mi się, że powinniśmy się zastanowić, jak się uratować, skoro...

- Skoro już za późno, by ratować historię? - spytała Maddy.

Foster uśmiechnął się słabo.

- Tak. Resztkę energii zapewni nam światło.

- I kawę - dodała Sal.

Zaśmiał się cicho.

- I kawę... aż do wyczerpania zapasów.

Maddy spojrzała na żarówkę pod sufitem.

- W końcu i ona zgaśnie. A wtedy staniemy się takimi samymi potworami jak mutanty na zewnątrz. Zaczniemy przetrząsać miasto w poszukiwaniu ochłapów żywności - powiedziała i niemal natychmiast pożałowała swoich słów. Wszyscy doskonale wiedzieli, że wyczerpały im się możliwości. Nie musiała tego artykułować tak obcesowo.

Opadła na jeden z foteli stojących wokół stołu kuchennego.

- To chyba koniec.

- Przykro mi - odpowiedział Foster. - Wszystko na to wskazuje.

## **ROZDZIAŁ 71**

Waszyngton rok 1957

„To koniec. Już po nas” - pomyślał Liam, patrząc na pogrążoną w mroku olbrzymią sylwetkę klona, który stał w alejce obok niego. Nieruchomy, spokojny, wolny od jakichkolwiek wątpliwości i rozpacz. Jak zawsze.

W miejsce deszczu ze śniegiem pojawił się lodowaty deszcz; krople opadały na ziemię z cichym plaskiem. Ciemność co jakiś czas rozjaśniały światła reflektorów, które w równych odstępach omiatały dachy kamienic przy ulicze.

- Należy zdefiniować nowe parametry misji - huknął Bob.

Nowe parametry misji? Liam miał ochotę odpowiedzieć na to okrutnym śmiechem. W tej chwili nie było już nic do zrobienia, na pewno nie w tak krótkim czasie. Za mniej niż dwa dni w głowie Boba eksploduje mały ładunek, czyniąc z niego otępiałego giganta - bezmyślne, śliniace się warzywko. Liam sądził, że być może uda mu się utrzymać Boba przy życiu, wpychając w niego jak w rozkapryszone dziecko proteiny i wodę. Ale czemu to miałyby służyć? Bob odejdzie... nie będzie w stanie dłużej go chronić.

- Nie mam pojęcia, co zaproponować, Bob - wyszeptał Liam. - A ty?

Bob przez chwilę szukał odpowiedzi na to pytanie.

- Zaprzeczam.

„Może powinniśmy ponownie dołączyć do partyzantów?” - pomyślał Liam i uśmiechnął się słabo. Ciekawe jak żołnierze zareagowaliby na widok supermana - kapitana Boba - bezwolnie opierającego się o pień drzewa, toczącego z ust strużki śliny i bezmyślnie wpatzonego w trzaskające iskierki ogniska.

Marny materiał na legendę.

Podszuchał prowadzoną przez zgromadzonych w namiocie żołnierzy rozmowę na temat Boba. Mówili lęklwym, przyciszonym tonem. Jeden z partyzantów zdawał ochotnikom podkoloryzowaną relację z akcji, podczas której uratowany został Liam. Zarzekał się, że nad głową maszerującego przez plac obozu jenieckiego kapitana unosiła się boska aureola, chroniąca go przed kulami wartowników... a wszystkiemu z niebios przyglądali się aniołowie.

Liam zastanawiał się, czy w ten sposób narodziły się wszystkie opowieści o legendarnych postaciach. Może podobne historie snuto przy prastarych ogniskach, a później

powtarzano z pokolenia na pokolenie: dziadek opowiadał je ojcu a ojciec synowi, za każdym razem dodając kilka nierealistycznych szczegółów.

Nagle przyszła mu do głowy szalona myśl. A może antyczny grecki bohater, Achilles, był podobną do Boba jednostką pomocniczą, która przez pomyłkę znalazła się w samym środku wojny trojańskiej i przypadkiem trafiła do podręczników historii. A co z biblijnym siłaczem Samsonem? Atyllą, wodzem Hunów? Leonidasem, królem Spartan? Ciekawe, ilu bohaterów to tylko efekt uboczny misji wykonywanych przez oddziały Agencji, które musiały zostawić po sobie wymuszony okolicznościami odcisk w czasie.

- Należy zdefiniować nowe parametry misji.

„Odcisk w czasie...” - powracała uparta myśl.

- O mój Boże! - wyszeptał Liam. - Odcisk.

Bob nie zareagował.

- Odcisk - ponownie wyszeptał Liam. - Bob?

- Potwierdzam.

- Chyba wpadłem na sposób skontaktowania się z biurem terenowym.

- Niewykonalne. Jedynie transmisja cząstek tachionowych pozwala...

- Ciii! - syknął Liam. - Posłuchaj mnie. Ile czasu zajmie nam dotarcie do Nowego Jorku?

## **ROZDZIAŁ 72**

Nowy Jork rok 2001



Maddy uświadomiła sobie, że się zdrzemnęła. Rytmiczny, przytłumiony warkot generatora zesłał na nią niespokojny sen.

Śniła.

Śniła o dniu, w którym została wyciągnięta ze spadającego samolotu pasażerskiego; o dniu, w którym obudziła się na tym samym co teraz łóżku i zobaczyła zgarbionego na sąsiedniej kanadyjce Liama, który uśmiechał się głupawo i niezręcznie. Uświadomiła sobie, jak bardzo za nim tęskni. Za nim i za Bobem. Po dodaniu wszystkich zapętlonych poniedziałków i wtorków, które razem spędzili w bazie - zanim sytuacja się skomplikowała - wyszłoby może kilka wspólnie spędzonych tygodni. To wszystko. A wydawało jej się jednak, że zna ich zdecydowanie dłużej.

Tęskniła za nimi.

Do półprzytomnego umysłu wpłynęło kolejne wspomnienie: zwiedzanie Muzeum Historii Naturalnej z Fosterem. Odwiedzała to miejsce już wcześniej, podczas szkolnych wycieczek. Ale ostatnia wizyta była inna. Nie zachowywała się już jak znudzony uczeń, obojętnie oglądający stare, zakurzone eksponaty za szklanymi panelami. Teraz widziała w tych przedmiotach bezcenne pamiątki przeszłości, kamienie milowe historii, która domaga się ochrony, kultywowania... ciągłości.

Przypomniała sobie...

Nagle Maddy ocknęła się z sennego bujania w obłokach.

- O mój Boże! - wyszeptała.

Z zaplecza wciąż dochodził furkot generatora. Dziewczyna zesła z pryczy i rozejrzała się po pomieszczeniu. Sal siedziała przy długim biurku, apatycznie wpatrując się w wyłączone monitory.

- Gdzie jest Foster?

Sal wskazała prowadzącą na zaplecze rozsuwane drzwi z blachy falistej.

- Dłubie coś przy generatorze.

Maddy podeszła do drzwi, rozsunała je i weszła do cuchnącego pokoiku.

- Foster!

Oślepiło ją światło latarki, mimo hałaśliwego warkotu generatora słyszała zbliżającego się Fostera.

- O co chodzi?

- Foster, wydaje mi się, że Liam może nawiązać z nami kontakt.

- Słucham? Co tam mówisz? - powtórzył, osłaniając ucho dłonią. - Straszny tu hałas! - Zgrzytnął zębami. - Lepiej stąd wyjdźmy.

Szczelnie zamknął za nimi drzwi do zaplecza. Hałaśliwy, perkusyjny charkot generatora ponownie przeszedł w odległe dudnienie.

- Co mówiłaś?

- Liam... myślę, że Liam może spróbować się z nami skontaktować.

Foster pokręcił głową.

- Przecież wiesz, że Bob nie może wysłać zwrotnej wiązki tachionów...

- Tak, wiem - przerwała niecierpliwie. - Słuchaj... muzeum. Muzeum Historii Naturalnej...

- Co z nim?

- Kiedy nas tam zabrałeś, przeglądaliśmy z Liamem księgę gości. Niektóre komentarze pierwszorzędnie nas rozbawiły.

- No i? - Foster wzruszył ramionami.

- Księgi gości są przechowywane w muzeum od początku jego powstania. Archiwum znajduje się w piwnicy. Zdaje mi się, że najstarsze księgi pochodzą z XIX wieku.

- Tak! - Nagle oczy Foster'a rozbłysły.

- Gdyby udało nam się tam dotrzeć...

- W dalszym ciągu mogą tam być - dopowiedział za nią starzec, a promyk nadziei nadał jego twarzy młodzieńczy wyraz. Ale tylko na ulotną chwilę. Nadzieja zniknęła równie szybko jak przyszła.

- Ale Liam nie ma o tym pojęcia.

- Ależ ma! - wyszczerzyła zęby Maddy. - Powiedział mi o tym ochroniarz, gdy Liam stał tuż obok mnie. Mówił do nas obojga! A jeśli ja byłam w stanie sobie o tym przypomnieć...

Pokrytą zmarszczkami twarz Foster'a wykrzywił koślawy uśmiech.

- To Liam również.

- Tak sobie właśnie pomyślałam.

- Na pewno tak będzie. To inteligentny dzieciak - upewnił ją Foster.

- Jeśli więc udało mu się dotrzeć do Nowego Jorku - kontynuowała - i odwiedzić muzeum w pięćdziesiątym siódmym roku, być może zostawił tam dla nas wiadomość.

- Z dokładną datą i miejscem, w którym mamy otworzyć okno powrotne.

- Bliżej domu? Może w Nowym Jorku? Wystarczy nam mocy?

Foster spojrział na mrugające diody LED. Kolejne czerwone światełko zmieniło barwę na zieloną.

- Sądząc po tym rzężeniu, generator nie pociągnie długo. Zbiornik na paliwo jest już praktycznie pusty. Zgaduję, że na panelu ładowania musi zabłysnąć dziesięć zielonych diod.

- A jeśli się nie uda?

Foster przygryzł wargę i zamyślił się na moment.

- Nawet jeżeli otworzymy okno bardzo blisko domu... nawet wtedy będą mieli jedynie kilka chwil. Musimy znać dokładny czas... z dokładnością do sekundy. - Ich spojrzenia się spotkały. - Wtedy otworzymy okno, przez które przecisnie się Liam. Może nawet Bob.

- W takim razie - rzuciła, nerwowo obgryzając paznokiec - musimy tam iść i sprawdzić, przeszukać archiwum w muzeum.

- Chyba nie mamy innego wyjścia. - Foster głęboko westchnął.

Maddy poczuła, że zaczynają jej drżeć ręce i nogi. „O Boże - pomyślała. - Dlaczego musiałam w ogóle otwierać usta i to zasugerować?”.

Myśl o ponownym opuszczeniu bazy napawała ją niemal panicznym lękiem, ale nieporównanie bardziej przerażająca była perspektywa ugrzęźnięcia w tym koszmarze na zawsze.

Foster odwrócił się do Sal.

- Może powinnaś tu zostać. Madelaine i ja nie zabawimy tam długo.

- Nie, idę z wami. - Potrząsnęła głową i wstała, biorąc głęboki wdech, aby uspokoić nerwy. - Jesteśmy drużyną, nie? Troje... Jeźdźców w Czasie.

Foster roześmiał się zaraźliwie, zmuszając do wesołości obie dziewczyny.

- Najlepszych, Sal. Najlepszych z najlepszych - powiedział Foster.

- Na co więc, do Jahulli, czekamy? - Sal wsunęła krzesło pod biurko i zapięła bluzę z kapturem.

- Zuch dziewczyna! - pochwaliła Maddy.

- Faktycznie, na co właściwie, do Jahulli, czekamy! - odpowiedział Foster. - Niech tylko wezmę strzelbę.

## ROZDZIAŁ 73

Nowy Jork rok 1957

Liam patrzył przez okno na ulice Nowego Jorku, wzdłuż których ciągnęły się rzędy brązowo-szarych drapaczy chmur, tak wysokich, że musiał kulić się w fotelu, by dostrzec ich dachy.

Rozpoznał kilka budynków, które widział, gdy Foster oprowadzał drużynę po Manhattanie. Empire State Building - Foster twierdził, że w filmie pod tytułem King Kong wysoki na osiem stóp goryl huśtał się na samym szczycie tego budynku. Liam sądził, że starszerek stroi sobie z niego żarty. Pomysł wydawał się zbyt nieprawdopodobny na scenariusz prawdziwego filmu.

Chłopak zauważył, że Kramer odcisnął już swoje piętno na ulicach miasta - jego twarz

uśmiechała się dobrotliwie z setek plakatów upstrzonych różnymi sloganami: „Przybyliśmy, by zaprowadzić pokój na świecie”, „Zjednoczenie to postęp”, „Obiecuję wam millenium bez rozlewu krwi”.

Po ulicach przechadzały się patrole, na co ruchliwszych skrzyżowaniach zorganizowano posterunki kontrolne, żołnierze zatrzymywali przechodniów, aby sprawdzić ich papiery. Nad budynkami unosiły się poduszki patrolujące niebo. Natomiast nad rzeką Hudson majestatycznie unosił się jeden z kolosalnych, szarych spodków dowodzenia: wyraźne przesłanie dla mieszkańców miasta, że wojna dobiegła końca, siły Kramera zwyciężyły, a dalszy opór jest... cóż, daremny.

Mundur był niewygodny, Liam uwierał sztywny kołnierzyk. Bob miał na sobie podobny uniform oficera SS - czarny ze srebrnymi guzikami i pagonami oraz naszytym na lewej piersi orłem. Wokół lewego ramienia zawinięta była czerwona opaska z zapętlonym węzłem. Dzisiejszego ranka, na cichej podmiejskiej ulicy w Queens, Bobowi udało się zatrzymać niemiecki samochód, Volkswagena Kübelwagen. Oficerowie zostali błyskawicznie obezwładnieni szybkim ciosem krawędzią ręki w kark. W zasugerowany przez Boba atak wkalkulowane było ryzyko. Zdarzenie obserwowało bowiem kilku przechodniów, którzy woleli jednak pospiesznie udać się w swoją stronę niż pozostać na miejscu napaści i ryzykować przesłuchanie. Ale ktoś mógł donieść. To możliwe. Tak czy owak, ciała zostaną prędzej czy później odkryte.

Liam zadarł głowę i spojrzał na patrolujące miasto poduszkowe messerschmitty, zastanawiając się, czy podniesiono już alarm i rozpoczęto poszukiwania ukradzionego pojazdu. Może, ale jak na razie ryzyko się opłaciło. Dzięki mundurom i samochodowi zatrzymano ich jedynie w jednym punkcie kontrolnym, a płynny niemiecki Boba ułatwił im przejazd; młody żołnierz, widząc naszyty na kołnierzykach emblemat trupiej czaszki, posłusznie przepuścił ich przez blokadę.

Liam ujrzał przed sobą imponujący fronton muzeum. Muzeum wyglądało niemal dokładnie tak, jak je zapamiętał podczas ostatniej wizyty, oczywiście za wyjątkiem czerwonych sztandarów łąpoczących na dwóch bliźniaczych masztach nad głównym wejściem. Przed muzeum panował ruch: robotnicy kursowali pomiędzy budynkiem a dziedzińcem obładowani pudłami i skrzyniami.

- Jak myślisz, co się tutaj dzieje?

- Nie wiem - odpowiedział Bob, przyglądając się scenie.

Liam pochylał się w siedzeniu i mrużył oczy, gdy z wolna zmierzający w górę ulicy Kübelwagen zatrzymał się na kolejnych światłach.

- Wygląda na to, że opróżniają muzeum.

Zasłyszane plotki wydawały się potwierdzać. Zeszłej nocy zatrzymali się w barze, aby coś przekąsić. Kiedy Liam pałaszował talerz kaszy kukurydzianej z bekonem, a Bob niewesoło siorpał podejrzanie wyglądającą mieszaninę owsianki z jajecznicą, podsluchali prowadzoną ściszonymi głosami rozmowę stałych bywalców knajpy: kierowców ciężarówek i lokalnych robotników, którzy wpadli jeszcze na kufel piwa przed powrotem do domu. Przyciszonym głosem rozmawiali o jakimś przywódcy ruchu oporu w okolicach Waszyngtonu, który „spuścił tym nazistowskim szumowinom solidne lanie”.

Mężczyzna w starej, utyłanej czapce baseballówce Yankeesów i znoszonym kombinezonie roboczym usiadł na wysokim stołku i powiedział głośniejsz:

- Słyszałem, że tymi partyzantami dowodzi nie kto inny a duch starego, dobrego Jerzyka Waszyngtona! Nie dziwota, że szwabiki nie mogą mu żadnej krzywdy uczynić... bo to musi być duch, skoro kule się go nie imają.

- Żaden tam duch, Jeb. A niech mnie, to najdurniejsza rzecz, jakom w życiu słyszał - odezwał się drugi. - Ja słyszałem, że zwał go Kapitanem Fantastycznym czy jakoś tak. Ludziska mówią, że to... wojskowy superbohater jest, ale ja tam myślę, że to tajemna superbroń, którą rząd trzymał w ukryciu.

- Tak czy siak - podjął trzeci - szwabys zaczynają już trząść portami na jego widok, no nie?

Przez bar przetoczył się szmer aprobaty.

Rozmowa przeszła na ostatnią zapowiedź Kramera o usunięciu historii ludzkości; cała historia nienawiści, prześladowań religijnych, uprzedzeń rasowych miała dobiec końca i zostać... wymazana. Właśnie to najbardziej rozwścieczyło mężczyzn zgromadzonych wokół lady.

- Nie ujdzie im to płazem! - warknął jeden z nich. - Pokonaliśmy Anglików, by zbudować ten kraj. Później toczyliśmy wojnę secesyjną, by uczynić go lepszym! Nie mogą zabrać nam przeszłości i jej zwyczajnie... spalić!

- Ja tam zamierzam ukryć moje książki i wszystkie encyklopedie, co je kupiłem dzieciakom do szkoły. Upcham to wszystko na strychu, w razie gdyby fryce przyszły węszyć w domu. Już widzę jak mnie zmuszą do spalenia tego wszystkiego! Ha ha! Takiego!

- To złe. - Zza lady odezwała się kelnerka. - Po prostu złe.

Wyglądało na to, że zalecenia Kramera właśnie wprowadzano w życie. Bob przejechał przez skrzyżowanie, skręcił w prawo i zaparkował samochód przy krawężniku przed muzeum. Liam miał okazję lepiej przyjrzeć się scenie.

- A niech mnie! - mruknął.

Na dziedzińcu przed schodami prowadzącymi do głównego wejścia znajdowała się wielka sterta staroci, wysypisko drewnianych eksponatów, książek i dokumentów, ram, mebli i powykręcanych kończyn wypchanych zwierząt. Z rosnącym przerażeniem patrzył, jak kilku pracowników muzeum wynosi egipski sarkofag. Na schody opadały wyblakłe płyty złoto-niebieskiej farby oraz kawałki antycznego wyschłego drewna, zostawiając za sobą smugę śmieci. Następnie robotnicy, pod czujnym okiem kilku stojących na straży żołnierzy, od niechcenia cisnęli artefakt na stos. Sarkofag złamał się wpół, ukazując kruchy, zeschnięty szkielet zmumifikowanego faraona, po czym rozpadł się na kilka części i wolno potoczył w dół wielkiego usypiska. Kilkanaście metrów dalej, obok ustawionych w równym rzędzie baryłek z benzyną, stali żołnierze, czekając na rozkaz, by wylać na eksponaty paliwo i podpalić stertę.



- Mój Boże... oni zamierzają to wszystko spalić - wyszeptał Liam.

- To logiczne - odpowiedział Bob. - Kramer nie chce zostać zlokalizowany przez agenta z przyszłości. Wymazanie historii oznacza pozbycie się raz na zawsze wszystkich punktów referencyjnych.

- Mam nadzieję, że nie zaczęli od eksponatów przechowywanych w piwnicy - Liam zerknął kątem oka na Boba. - Kiedy dokładnie eksploduje twój mózg?

Bob zmrużył swoje chłodne oczy.

- Dwie godziny i pięćdziesiąt trzy minuty. Nie mamy czasu do stracenia.

Liam uświadomił sobie, że jego całe ciało drży; przeklinał w duchu fakt, że wygląda tak młodo. Być może mundur SS, który miał na sobie, okaże się na tyle onieśmielający, że ani robotnicy, ani żołnierze nie odważą się bliżej mu przypatrywać i pytać, w jaki sposób ktoś tak młody mógł zostać oficerem.

- Musimy kontynuować - huknął Bob.

- Masz rację. - Liam nerwowo odetchnął. - Bob, powiedz tym żołnierzom, że z rozkazu Kramera będziemy nadzorować prace.

- Tak.

- I powiedz im, że przeprowadzimy inspekcję pomieszczeń w piwnicy.

- Tak.

Wysiedli z samochodu.

„O rany! Lepiej, żeby to zadziało” - pomyślał Liam.

## ROZDZIAŁ 74

Nowy Jork rok 2001

Niewiele brakowało, a nie znaleźliby muzeum, które wyglądało jak jedna z wielu zakurzonych, szarych skorup znaczących krajobraz miasta: wyszczerbione ściany kruszących się kamieni i spękanego marmuru.

- Jesteśmy na miejscu? Jesteś pewien?

Foster przytaknął.

- Z tego, co widzę... kiedyś to było muzeum. - Spojrzał na blade i schorowane słońce przeblaskujące przez pędzące chmury. Wisiało wysoko na niebie.

- Musimy zdążyć, zanim zapadnie zmrok. Ruszamy.

Gdy przedzierali się przez pokryte gruzem schody prowadzące do głównego wejścia gmachu, Sal spostrzegła bladą twarz, zerkającą sponad rdzewiejącej maski samochodu po drugiej stronie ulicy.

- Patrzcie! - westchnęła - Cały czas nas śledziły!

- Nie miałem co do tego złudzeń - odrzekł Foster.

- Robią się coraz odważniejsze - zauważyła Maddy. - Wystrzel na wiwat, żeby je wystraszyć.

Foster odbezpieczył strzelbę i wycelował w niebo, ale w ostatnim momencie się zawahał.

- Lepiej nie, powinniśmy oszczędzać amunicję. Możemy jej na prawdę potrzebować.

Dziewczyny spojrzały na siebie z niepokojem.

- Chodźcie, miejmy to już za sobą - powiedział i zaczął przedzierać się przez rumowisko w stronę posępnego jak pieczara wnętrza muzeum.

Maddy i Foster zapalili latarki. Bliźniacze promienie wyłowiły w ciemności jakieś kształty - powyginane belki metalu, zakurzone posągi, spalone na popiół szczątki szerokich schodów z drewna.

- A gdzie się podział szkielet tego olbrzymiego dinozaura? - spytała Sal.

- Muzeum musiało zostać opróżnione przed wybuchem wojny nuklearnej.

- To ma sens - zauważyła Maddy, a jej cichy głos rozbrzmiał echem w holu. - Jeśli w pięćdziesiątym siódmym roku ludzie wiedzieli, że zagrożenie wojną nuklearną jest realne, na pewno pomyśleli o przeniesieniu wszystkich bezcennych przedmiotów do bunkrów przeciwiatomowych. Myślicie, że zabrali tam wszystko? Włącznie z księgami gości?

- Musimy to sprawdzić. Ochroniarz mówił, że gdzie przechowywali te księgi?

- W piwnicach muzeum. Jest tam jakieś archiwum.

Promień latarki Fostera omiótł podłogę i natrafił na drzwi prowadzące do kolejnych skrzydeł muzeum. Foster i tak doskonale wiedział, gdzie znajduje się zejście do podziemi, ponieważ często odwiedzał to miejsce, gdy nie był zajęty ratowaniem historii.

- Za mną. Po prawej stronie są dwuskrzydłowe drzwi do piwnicy.

Maddy szła tuż za ostrożnie stąpającym po zakurzonej marmurowej podłodze Fosterem. Sal rzuciła jeszcze okiem na zarys frontowych drzwi, spodziewając się, że zobaczy zgarbioną sylwetkę mutantu łpiącego zaciekawionymi ślepiami. Gdy odwróciła się ponownie, Maddy i Foster znajdowali się już kilkanaście metrów przed nią.

- Hej, czekajcie na mnie - wyszeptała.

Promień latarki padł na spłowiały znak przyklejony do dwuskrzydłowych drzwi: MAGAZYN PIWNICZNY: WSTĘP TYLKO DLA PERSONELU. Foster oparł się barkiem o skrzydło, które z trudem ustąpiło. Po drugiej stronie zachrząściły przesuwane odpady i gruz.

Foster przełożył głowę i latarkę przez powstałą szczelinę. Snop światła padł na znajdującą się kilka metrów dalej klatkę schodową. Starzec nie przestawał pchać drzwi, aż szczelina zrobiła się na tyle szeroka, by mogli się przez nią swobodnie przecisnąć. Promień latarki omiótł gładkie betonowe ściany i prowadzące na dół schody.

Maddy złapała Sal za rękę, czując, że drży spazmatycznie.

- Hej, Sal. Wszystko w porządku. Zejdziemy na dół, weźmiemy, co trzeba i natychmiast wracamy do domu - wyszeptała.

- Ja... ja nie zejść znowu pod ziemię, po prostu nie zejść - wysyczała w odpowiedzi.

To zrozumiałe. W końcu podczas przygody w metrze doświadczyli już uczucia uwięzienia, zapędzenia w kozi róg. Sama Maddy nie miała na to szczególnej ochoty.

- Nie zostawię cię tu przecież samej. Chodź, Sal. Uwiniemy się w trymiga.

- O...Okej. - Sal zacisnęła zęby.

Powoli zeszły po schodach i dołączyły do znajdującego się już na dole Fostera, który oświetlał wejście do dużej piwnicy za schodami. W przeciwieństwie do parteru podłoga nie była zasłana hałdami kamieni i żwiru; tutaj całą posadzkę pokrywał jedwabny dywan kurzu. Wzdłuż ścian ciągnęły się szeregi pustych półek pokrytych zwałami zalegającego od lat pyłu.

Foster odwrócił się do dziewczyn.

- Nic tu nie ma. Przepadło. Wszystko przepadło.

## ROZDZIAŁ 75

Nowy Jork rok 1957

Pracownik muzeum powiódł Boba i Liama w dół schodów.

- Tutaj je trzymamy - powiedział wolno. - Razem z innymi cennymi przedmiotami, które mają zostać zniszczone - dodał, słabo maskując nienawiść, jaką ewidentnie czuł do oprowadzanej pary esesmanów.

Pokonali dwa ostatnie schody i weszli do piwnicy, gdzie Liam ujrzał ciągnące się w nieskończoność równe rzędy precyzyjnie skatalogowanych skrzyń i pudełek, jakby w milczeniu czekających na swoją kolej na stosie.

Chłopak dokładniej przyjrzał się twarzy człowieka i nagle uświadomił sobie, że dostrzega w niej coś znajomego. Miał pamięć do twarzy.

„Skąd mogę go znać?” - zastanawiał się Liam.

- Więc... - Pracownik spojrzał na nich z miną zdradzającą, że chętnie zadźgałby ich na miejscu, gdyby tylko mogło mu to ująć płazem. - Czy będę jeszcze potrzebny?

Bob posłusznie udawał, że ni w ząb nic nie rozumie. Ustalili, że to Liam będzie posługiwał się łamaną angielszczyzną.

- Ja. My szukać... der księga gości.

- Chcecie zabrać książki gości? - Pracownik z ciekawością uniośł brwi.

- Ja! Das ist racja.

Mężczyzna wzruszył tylko ramionami na tę osobliwą prośbę i pokazał gestem, aby za

nim podążyli. Poprowadził ich korytarzem pomiędzy wznoszącymi się od podłogi do sufitu półkami. Przeszli dwadzieścia metrów, kiedy pracownik zatrzymał się, przyciągnął z kąta drabinę i wspiął się po niej pod sufit.

- Wszystkie trzymamy tutaj - powiedział, gładząc kartonowe pudło.

- Barzo dobrze - odpowiedział Liam beznamiętnie.

- Czy życzycie sobie, abym je dla was ściągnął? - spytał mężczyzna.

- Ja. Zdzziągaj żybko.

Mężczyzna zdjął pudło, wznecając tumany kurzu.

- Są tu wszystkie archiwalne księgi, aż od tysiąc osiemset sześćdziesiątego dziewiątego roku. Ale - dodał wzgardliwie - zapewne wszystkie te dokumenty pójdą z dymem wraz z pozostałymi eksponatami.

Liam delikatnie przekrzywił głowę - tembr głosu mężczyzny też brzmiał zastanawiająco znajomo.

Chłopak był przekonany, że już kiedyś spotkał tego butnego człowieka.

Młody mężczyzna położył pudełko na ziemi i wyciągnął z niego pierwszy z wierzchu skórzany tom; wszystkie grube strony papieru rysunkowego były gęsto pokryte ostatnimi wpisami zwiedzających. Ostatnimi... czyli pochodzącymi sprzed ośmiu miesięcy. Wtedy Niemcy dokonali desantu na wschodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych.

- Księga gości - oznajmił mężczyzna, podając tom Liamowi. - Każdy zwiedzający może złożyć podpis i napisać dowolną wiadomość.

W tym właśnie momencie Liam uświadomił sobie, gdzie już widział tego człowieka.

Czy to nie ten sam ochroniarz?

Po raz kolejny bacznie przyjrzał się młodziutkiej twarzy pracownika: pod brwią ukrywał się pieprzyk w kształcie serca. Mężczyzna miał około dwudziestu pięciu lat. Ochroniarz, z którym rozmawiał razem z Maddy, musiał mieć w okolicach sześćdziesięciu pięciu, może siedemdziesięciu lat. Stojący przed nim pracownik był z nim w jakiś sposób spokrewniony.

„Wcale nie spokrewniony, głupcze - pomyślał Liam. Podobieństwo było łudzące. - To ten sam człowiek”.

Nagle Liam poczuł całkowicie irracjonalne pragnienie przytulenia ochroniarza. W pewnym sensie stanowił ogniwo pomiędzy terażniejszością, a przyszłością, w której chcieli się znaleźć. Niemal poczuł zapach domu... zobaczył mignięcie świata z dwa tysiące pierwszego roku. Krzepiące uczucie.

- Ach, chrzanić to! - nagle zdradził się Liam. - Nie jestem żadnym przeklętym nazistą.

Bob przekręcił głowę i z zainteresowaniem spojrzał na chłopaka. Niemal identyczny gest wykonał pracownik.

- Żaden z nas nie jest. Tak naprawdę pochodzę z Irlandii, a on... - powiedział, wskazując na Boba - A on... no cóż, on też nie jest Niemcem.

Pracownik stał nieporuszony. Bał się, że to jakiś perfidny podstęp.

- Prawda jest taka, że pochodzimy z przyszłości i próbujemy naprawić historię. Prawda, Bob?

- Potwierdzam. - Klon wzruszył ramionami.

Liam wyszczerzył zęby.

- Spotkałem cię tutaj w dwa tysiące pierwszym roku. I wiesz co? Wciąż tu pracujesz. Jesteś ochroniarzem i tak się składa, że pilnujesz właśnie tych ksiąg.

- Nic z tego nie rozumiem. - Pracownik zmrużył oczy.

- Nic nie musisz rozumieć. Chcę tylko, żebyś wiedział. - Liam chwycił go za rękę. - Chcę, żebyś wiedział, że zamierzamy zakończyć ten koszmar. Wszystko ulegnie zmianie, a kiedy tak się stanie, inwazja w ogóle się nie wydarzy.

Młodzieniec zrzucił maskę ostrożnej obojętności.

- Czekaj, czekaj! Czy wy nie jesteście przypadkiem z ruchu oporu?

Partyzanci z ruchu oporu. Tak, dzięki temu łatwiej wszystko wyjaśnią. Przekonywanie go, że są podróżnikami z przyszłości nie ma najmniejszego sensu.

- Tak... tak się składa, że jesteśmy rebeliantami. - Liam skinął głową.

- Dlaczego, do diaska, nie powiedzieliście tak od razu? Nazywam się Sam Penney!

- Mam na imię Liam. - Chłopak wyciągnął rękę na przywitanie.

- A więc o co chodziło z tym, że już mnie spotkałeś?

- Przepraszam, zapomniałem, że... myślałem o kimś zupełnie innym. Słuchaj, pomożesz nam?

- Pewnie! Oczywiście... czego tylko sobie życzycie, zrobię wszystko, co w mojej...

- Stań na czatach przy schodach i daj sygnał, gdy ktoś będzie próbował to zejść.

- Jasne.

- Zostaniemy tu tylko kilka minut, Samie Penneyu. Później opuścimy to miejsce. Dochowasz tajemnicy? Nie zdradzisz tego nikomu?



- Oczywiście, że nie. - Młodzieniec spoglądał to na Liama, to na Boba. - Co więc planujecie zrobić? - powiedział ze zmienionym wyrazem twarzy. - Chyba nie podłożycie tu żadnej bomby, prawda?

- Nie. Nic z tych rzeczy. Żaden z tych bezcennych eksponatów nie zostanie zniszczony. Bądź spokojny. Masz na to moje słowo.

- Ach.. rozumiem. Co więc planujecie...?

- To ściśle tajne, Sam. Mogę ci jedynie powiedzieć, że to element zemsty. Musisz mi zaufać. Rozumiesz?

Penney szybko przetrawił słowa Liama i przytaknął.

- To mi w zupełności starczy.

- W takim razie idź na szczyt klatki schodowej i daj nam kilka minut.

- Tak jest.

Liam odprowadził wzrokiem wbiegającego po schodach młodego mężczyznę, po czym spojrzał na spoczywającą w jego dłoniach otwartą księgę.

- Co napisać? - Odwrócił się do Boba.

- Muszą znać dokładną lokalizację geograficzną: podam ci współrzędne z dokładnością do jednego metra. Będą też wymagali dokładnej sygnatury czasowej. Podaj rok, miesiąc, dzień, godzinę i minutę.

- Racja. I jeszcze jedno... W jaki sposób zyskamy pewność, że odnajdą tę książkę za ponad cztery dekady, kiedy już wszystko na świecie się zwęgli?

Bob popatrzył na niego obojętnie.

- Brak sugestii.

## ROZDZIAŁ 76

Nowy Jork rok 2001

- Nic tu nie ma - wyszeptała Maddy, kierując światło latarki na kolejne zakamarki piwnicy. W jej słabym głosie odezwało się poczucie klęski. - Myślałam, że może... może...

- Jest tu sporo półek - powiedział Foster. - Powinniśmy się rozdzielić i przeszukać je wszystkie.

- Ale na nich nic nie ma, Foster. Nie widzisz? Jeśli księgę gości przechowywano tutaj z całą resztą archiwalnej dokumentacji, została już dawno ukradziona, razem ze wszystkim innym. Może spłonęły w jakimś ognisku rozpalonym przez mutanty lub ludzi, którzy ocalili po katastrofie.

Foster w napięciu rozglądał się po pomieszczeniu.

- Liam to mądry chłopak. Na pewno ukryłby to w bezpiecznym miejscu.

- Tak? A gdzie dokładnie? I w jaki niby sposób odnajdziemy to tutaj?

- Znak! - wyszeptała Sal.

Foster i Maddy odwrócili się, by spojrzeć na Sal, stojącą na ostatnim schodku klatki schodowej.

- Znak - powtórzyła.

- Widzisz znak?

- Nie, na razie żadnego nie widzę, ale jeśli rzeczywiście tu zszedł musiał zostawić jakiś znak. Czyż nie? - spytała pełnym nadziei głosem.

Foster przytaknął.

- Dziewczyna ma rację. Ślad, który przetrwa próbę czasu. Coś trwałego. - Wrócił pod schody i oświetlił klatkę schodową promieniem latarki. - Gdybym to był ja, zostawiłbym znak gdzieś tutaj. Chodźcie - powiedział - rzućcie na to okiem.

Podeszły bliżej, wodząc światłem latarki wzdłuż chropowatych pustaków, z których zbudowano ściany klatki schodowej. Szukały jakiejś wskazówki wrytej w ścianie, wydrapanej na rurach biegnących po murze lub naciętej na dwuskrzydłowych drzwiach piwnicy. Szukali czegoś, co mogło bez uszczerbku przetrwać czterdzieści cztery lata i nigdy nie zostać całkowicie zatarte.

- No dalej, Liamie - wyszeptał Foster. - Odezwij się, jeśli tu byłeś.

Przez kilka minut w milczeniu przeszukiwali piwnice, metodycznie oświetlając ściany, poręcze schodów, rury grzewcze biegnące przy framugach, puszkę elektroinstalacyjną... Sprawdzili nawet wiszącą na ścianie gaśnicę... ale nie znaleźli absolutnie nic.

Maddy westchnęła.

- Może zostawił znak, ale ktoś go zdrapał lub otynkował albo wskazówka sama wyblakła. To było dawno temu. - Z frustracją pokręciła głową. - A może w ogóle tutaj nie wrócił, tylko został z Bobem w okolicy Waszyngtonu. Albo...

„Albo do tego czasu już nie żyli” - niewypowiedziane słowa zawisły między nimi w powietrzu.

Sal spuściła głowę, jej ciemna grzywka opadła na oczy.

- To była strata czasu - wymamrotała. - Nigdy ich nie znajdziemy.

- Sal może mieć rację - przytaknął Foster. - Powinniśmy pomyśleć o powrocie, dopóki wciąż jest widno.

Dziewczynka zmarszczyła brwi i utkwiała wzrok w podłodze.

- Zawsze możemy ponownie spróbować jutro, jak tylko wstanie słońce - kontynuował Foster. - Będziemy mieli osiem lub dziewięć godzin na dokładne rozejrzenie się po piwnicy. Równie dobrze Liam mógł zostawić wskazówkę na górze, w holu głównym. Jutro będziemy mieli więcej czasu.

Maddy poklepała Sal po ramieniu.

- Rozchmurz się, Sal. Foster ma rację. Jutro spróbujemy ponownie. Nie płacz, to tylko...

- Nie płaczę - odpowiedziała, odpychając jej rękę i szybko klękając na ziemię. Rozsunęła grubą warstwę kurzu i palcami dotknęła ledwie zarysowanej rysy w betonowej podłodze.

- Sal?

- Daj mi swoją latarkę - powiedziała dziewczynka.

- Co to jest?

- Po prostu daj mi ją! - warknęła.

Maddy podała jej latarkę i z ciekawością przyglądała się, jak dziewczyna jeszcze bardziej pochyła się nad podłogą, zdmuchując z niej wysuszony tynk. Sal skierowała snop światła na małą bruzdę wrytą w betonie.

- Co to jest?

- Wydaje mi się, że to litery... litery wydrapane w posadzce. - Uważniej przyjrzała się znakom, przekrzywiając latarkę tak, aby światło ukośnie padło na wyblakłe wyżłobienia i nadało im więcej głębi i ostrości.

Foster uklęknął obok dziewczyny.

- Co to jest, Sal?

- Wygląda na I i H. A znak obok to chyba... strzałka.

Teraz Maddy opadła na kolana i z uwagą zaczęła przyglądać się literom. Po chwili westchnęła.

- „I” to w rzeczywistości „L”... widzicie? Dolna część litery jest bardzo niewyraźna, ale jeszcze nie jest całkiem starta. Widzicie?

- Mój Boże, faktycznie - powiedział Foster.

Sal przejechała palcami po drugiej literze.

- A, H - powiedziała - to może być...?

- B. - Maddy wyszczerzyła zęby. - A niech mnie. To naprawdę jest B. L i B. Jak Liam i Bob.

- Tak jest! - powiedział Foster i podniósł się z trudem, jednocześnie stękając z wysiłku i śmiejąc się jak młodzieniaszek. - Był tutaj! A to znaczy, że...

- Zostawił dla nas wiadomość. O mój Boże, Liamie! - krzyknęła Maddy z radością. - Jesteś wielki!

Sal poderwała się z ziemi z twarzą błyszczącą jak bożonarodzeniowa bombka.

- Wracają do domu! - pisnęła z zachwytem.

- W takim razie - powiedział Foster, uciszając je ruchem ręki - zgodnie ze strzałką powinniśmy kawałek iść prosto, a później skręcić w lewo.

Weszli do piwnicy, odwrócili się w lewo i ujrzeni ścianę rdzewiejących metalowych ram i pustych półek.

- Na półkach nic nie ma - powiedziała Maddy.

- Może jest tam kolejna wiadomość - odrzekł Foster. - Sprawdźcie podłogę.

Dziewczyny opadły na czworaka i odgarnęły pył i kurz wokół wejścia do piwnicy. Po omacku badały podłogę w poszukiwaniu głębszych szczelin. W tym samym czasie Foster powoli przesunął latarkę wzdłuż pustaków przy lewym skrzydle drzwi. Dawno temu ścianę pomalowano ponurą, miętowozieloną farbą, która odchodziła teraz płatami w miejscach, gdzie spływała wilgoć ze znajdujących się wyżej sal muzealnych. Snop światła padł na siatkę zarysowań i wyżłobień - pamiątek po niefrasobliwych dozorcach, którzy równie niefrasobliwie wnosili ciężkie eksponaty do magazynu i wynosili je tą samą drogą, objijając przy okazji ściany.

„Dalej, Liamie. Mów do nas” - zaklinał go w myślach Foster.

Pod pierwszą warstwą bruzd i zadrapań kryły się starsze dowody niezdarności personelu. Ale żaden ze znaków, jak sądził Foster, nie powstał w ciągu ostatnich dekad. A już na pewno nie po katastrofie, która miała miejsce jakiś czas temu.

Starzec natrafił na lekko zarysowaną, zakrzywioną szczelinę - niewyraźne i niepełne zakrzywienie, które mogło być literą lub cyfrą. Przesunął palcem wzdłuż wygięcia i odsłonił cały znak, uwalniając przy okazji solidną chmurkę pyłu.

Litera „C”.

Foster delikatnie dmuchnął w ścianę; w powietrze wzbiły się kolejne kłęby kurzu, które opadły po chwili, ukazując szereg znaków przypominających... cyfry!

- Chyba coś znalazłem!

Dziewczyny poderwały się z ziemi i sekundę później stały już przy mężczyźnie, uważnie wpatrując się w ledwo czytelny ciąg cyfr wyrytych na betonowej ścianie.

- Wygląda to... na jakiś kod.

- C... S... P, później myślnik - czytała Sal. - Pięć, trzy, siedem... kolejny myślnik... dziewięć, osiem, jeden, zero... jeszcze jeden myślnik, a później pięć, siedem, dziewięć. Co to oznacza?

- Nie wiem. - Foster pokręcił głową.

- Musimy się dowiedzieć - nalegała Maddy. Odeszła od ściany, omiatając latarką pomieszczenie. - Jeśli to znowu Liam, to na pewno jest to jakaś informacja. Odpowiedź musi znajdować się w zasięgu naszego wzroku.

- To miałyby sens - odpowiedział Foster.

Przeszła kilka metrów wzdłuż ściany, oświetlając rzędy pustych półek.

- Ale tu nic nie ma - szepnęła pod nosem sfrustrowana. - Nic.

Promień światła błądził chwilę po rdzewiejących pionowych prętach, po czym spoczął na małej, kwadratowej etykietce.

- Poczekajcie chwilkę.

Podeszła do konstrukcji, aby przyjrzeć się uważniej. Mała, metalowa ramka przykręcona do pręta śrubami, które zdążyły się już zamienić w grudki łuszczącej się farby. W ramce znajdował się poślizgnięty kawałek zwilgotniałej karty z nadrukowanymi cyframi,

których niemal nie można już było odczytać.

Snop światła powędrował wzdłuż kolejnego pionowego pręta. Nic. Ale na następnym znajdowała się podobna etykieta. Podbiegła do niej i znalazła kolejny pomięty pasek kremowego papieru z blaknącym ciągiem numerów.

- To ich system katalogowania! - zawołała. - Trzy litery, trzy cyfry, cztery cyfry i znowu trzy cyfry.

- Zgadza się - powiedział Foster, kierując wiązkę światła na ścianę. - „Mówi nam, której półki powinniśmy szukać” - pomyślał i uśmiech rozjaśnił mu twarz.

## ROZDZIAŁ 77

Nowy Jork rok 2001

Odnalezienie właściwej półki zajęło im niemal godzinę. Sporo etykiet miało całkowicie nieczytelne znaki, z kilku ramek już dawno temu wypadły tekturowe znaczniki.

W końcu dwieście metrów od wejścia do piwnicy, na jednej z najwyższych półek - co zmusiło Maddy do wspinaczki - znaleźli właściwą etykietę.

I nic więcej.

Dziewczyna otarła czoło z kurzu i potu, po czym opadła na metalową konstrukcję, która lekko skrzypnęła, rozbryzgując pył i płaty rdzy.

- Nic tu nie ma! - krzyknęła do nich z góry. - Zupełnie nic.

- Coś tam przecież musi leżeć - pisnęła błagalnie Sal.

- Półka jest pusta. Ktoś zdjął z niej wszystko wieki temu.



Usiedli w milczeniu z poczuciem klęski. W pustym pomieszczeniu doskonale słychać było ich ciężkie oddechy i dźwięk kapiącej gdzieś w oddali wody.

- Niedługo zapadnie zmrok - powiedział Foster. - Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy.

- Nie chcę wracać po ciemku - wyszeptła Sal.

- Zatem czas się zbierać.

- W porządku - zgodziła się Maddy.

Uniosła się i ostrożnie przewiesiła jedną nogę przez drewnianą półkę, trzymając w ręku włączoną latarkę - stożek światła przebił się przez kłębowisko tańczących kłębow pyłu i padł na ścianę. Dziewczyna zauważyła, że jedna z cegieł widocznych w kręgu światła jest wyraźniej zarysowana niż pozostałe.

Nie. To niemożliwe.

- Poczekajcie chwilkę - powiedziała do pozostałych, ponownie wciągając nogę na półkę. Ostrożnie podczołgała się na czworakach po skrzypiących drewnianych listwach, pamiętając, by opierać ciężar ciała na metalowych wspornikach biegnących pod półką. Wyciągnęła dłoń w stronę pustaka i z nadzieją go popchnęła. Cegła przesunęła się z głuchym zgrzytem niczym odsuwana pokrywa sarkofagu.

- Co tam na górze znalazłaś? - spytał Foster. Musiał usłyszeć ten dźwięk.

- Nie uwierzysz. Poluzowany pustak... niech tylko... niech tylko go wyciągnę...

Powoli wyjęła go z otworu w ścianie. Masywna bryła wymknęła jej się z rąk i wylądowała na półce. Usłyszała jak pod ciężarem pustaka pęka drewniana listwa; cała metalowa konstrukcja zachwiała się i głośno skrzypnęła.

- Ostrożnie, Maddy! - przestraszyła się Sal.

- Nic mi nie jest.

„O mój Boże, to musi być to” - pomyślała podekscytowana.

Pochyliła się, oświetliła szeroką na stopę dziurę w murze i zajrzała do otworu, w którym wirowały kłęby kurzu. Była to mała szpara pomiędzy ścianami, zaśmiecona skamieniałymi szczurzymi odchodami i obklejona setkami pajęczyn. W samym jej środku spoczywała wielka, oprawiona w skórę księga.

„O mój Boże” - jęknęła w duchu.

Krzywiąc się z niesmaku, wyciągnęła dłoń, delikatnie złapała za oprawę tomiszczą i wyjęła je z dziury w ścianie. Obtarła okulary z kurzu i skierowała promień latarki na skórzaną okładkę.

Szeroko się uśmiechnęła.

- Jest tutaj! Mam ją!

Sal i Foster krzyknęli z podekscytowaniem.

Uniosła sztywną, skórzaną oprawę i szybko przekartkowała kilka grubych stron księgi.

- Jak sądzicie, kiedy najpóźniej Liam i Bob mogli się tu pojawić? - spytała.

- Biorąc pod uwagę datę autodestrukcji Boba, sześć miesięcy po rozpoczęciu misji, kilka dni po próbie przejścia przez okno w Waszyngtonie. A więc...

- Piątego marca pięćdziesiątego siódmego roku - dokończyła Sal.

Maddy przewracała kolejne strony, odczytując daty wpisane przez różnych gości.

Znalazła mnóstwo wpisów z poprzednich lat, ale lato tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku przyniosło dramatyczny spadek liczby odwiedzających.

„Być może właśnie w tym okresie muzeum zamknięto” - pomyślała.

Dotarła do ostatniej strony i przeczytała ostatni wpis złożony przez niejaką Jessicę Heffenburger:

„Muzeum musi zostać dzisiaj zamknięte. Oddziały wroga niebawem zdobędą nasze miasto. Chce mi się płakać”.

Rzuciła okiem na pozostałe wpisy na tej samej stronie. We wszystkich odbijały się podobne tony: smutek i gorycz porażki... wygląda na to, że załamani ludzie szykowali się na przyjęcie nieuniknionego losu, składając ostatnią wizytę w ukochanym muzeum.

Wreszcie jej wzrok przykuł wyblakły atrament, komentarz napisany innym piórem niż pozostałe na wolnym fragmencie papieru pomiędzy dwoma starszymi wpisami. Niechlujny charakter pisma wskazywał na duży pośpiech piszącego...

Ja i Bob bardzo chcemy wrócić do domu, proszę.

Szer. geogr.: 40°42'42.28"N

Dł. geogr.: 73°57 ' 59.75 „W

Czas: 18:00, 05.03.1957

Przezołgała się po listwach z książką w rękach i spojrzała na stojących we wnęce poniżej przyjaciół, którzy patrzyli na nią z wyczekiwaniem.

- Znalazłaś coś? - spytał Foster.

Wyrwała stronicę z książki, chwyciła za latarkę, przerzuciła nogi przez krawędź półki i zeskoczyła na podłogę, z której wzbiła się chmura kurzu w kształcie grzyba.

- Jest tutaj! - powiedziała, wymachując przed nosem wyrwaną stroną. Jej głos nagle uwiązł w gardle, ramiona zaczęły się trząść, po czym z ust wydobył się wzmocniony adrenaliną, szaleńczy śmiech, który wypędził z piwnicy ciszę.

- Zrobił to, skubaniec!

## ROZDZIAŁ 78

Nowy Jork rok 1957

Bob z Liamem wyszli z piwnicy i zobaczyli, że pracownik muzeum, Sam, sumiennie pilnuje przejścia na szczycie schodów, dokładnie tak jak go prosili.

- Zrobiliśmy swoje - cicho powiedział Liam. - Dzięki, że stałeś dla nas na straży.

- Słuchajcie - szepnął, patrząc uważnie na przybyszów - mówiliście coś o przywróceniu właściwego porządku rzeczy?

Naprawdę nie było czasu na wyjaśnienia, nawet jeśli Liam z wdzięczności za pomoc chętnie wytłumaczyłby wszystko mężczyźnie.

- Czas wkrótce się skoryguje - odparł z uśmiechem Liam. - A wszystko powróci na swoje miejsce. Obiecuję. - Wyciągnął dłoń i dotknął ramiona Sama. I wiesz co?

- Co?

- Sądzę, że w przyszłości zobaczymy się ponownie, w rzeczy samej.

Sam Penney odprowadził ich wzrokiem, w osłupieniu drapiąc się po głowie i próbując dociec, czy nonsensy, które wygadywał ten młokos, miały jakikolwiek sens; już dochodził do wniosku, że chłopak zwyczajnie oszalał, ale niemiecki strażnik właśnie rozkazał mu pomóc

innym pracownikom w przeniesieniu przez sień oszklonej gabloty, która miała spłonąć na stosie wraz z innymi eksponatami.

Liam i Bob wyszli przez podwójne drzwi do głównego holu muzeum, w którym krzątali się robotnicy w kombinezonach, uginając pod ciężarem surowych spojrzeń żołnierzy. Bob posłusznie odsalutował strażnikowi stojącemu przy głównym wejściu i pozdrowił go okrzykiem Heil Kramer.

Na dziedzińcu płonęło już ognisko: pomarańczowe jęzory ognia atakowały tańczące drobinki popiołu, które ulatywały w stronę zachmurzonego nieba. Kiedy schodzili ze stopni na dziedziniec w stronę ulicy, Liam czuł na twarzy piekące ciepło. Na połyskującej od fali gorąca hałdzie płonących antyków chłopak dostrzegł wystającą ramę egipskiego sarkofagu: suche drewno szerniało, a pamiętająca czasy faraonów farba tliła się i odchodziła warstwami.

Robotnicy ze smutkiem w oczach patrzyli, jak eksponaty płoną. Na ulicy poza dziedzińcem gromadzili się mieszkańcy miasta, aby pożegnać bezcenne zabytki i dziedzictwo narodowe, znikające pod płachtą kłującego w oczy dymu.

Horyzont znaczyły podobne słupy bladego dymu, szybujące w kierunku lodowatego, zimowego nieba. W całym mieście palono księgi i drogocenne obrazy, dokumenty historyczne i dzienniki, inwentarz bibliotek publicznych i zbiory prywatnych galerii. Liam pomyślał, że w najbliższych dniach ten sam spektakl rozegra się w pozostałych wielkich miastach Ameryki, a w najbliższych tygodniach stosy zapłoną również we wszystkich miastach Rzeszy Kramera. Historia zostanie wymazana, a wszystkie pamiątki z przeszłości hurtowo zmiecione z powierzchni ziemi.

Zrobiło mu się niedobrze.

Wyszli na ulicę, przeciskając się przez milczący tłum ludzi patrzących z nieskrywaną nienawiścią na czarne mundury. Liam z ulgą zauważył, że Kübelwagen wciąż stoi zaparkowany na zewnątrz, a wokół niego nie ma żołnierzy czekających na beczelnych złodziejasków.

Bob szybko wszedł do samochodu i uruchomił silnik.

- Myślisz, że uda im się odnaleźć naszą wiadomość? - spytał Liam, zajmując siedzenie pasażera. Samochód wyjechał na ulicę i powoli torował sobie drogę przez zastępy gapiów. - Chodzi mi o to, że ukryliśmy to dość dobrze... może zbyt dobrze.

- Dowiemy się za około siedemdziesiąt dziewięć minut.

Jechali na południe, wzdłuż uporządkowanej Central Park West, po jednej stronie mijali park miejski z nagimi drzewami i zniszczoną, żółtobrunatną trawą, po drugiej - niekończące się rzędy biurowców i sznur samochodów wolno posuwających się od jednych czerwonych świateł do drugich. Zaczęło padać. Szare, śliskie krople stukały o przednią szybę i przemacały przygnębionych przechodniów ospale sunących przed siebie.

Liam nie miałby nic przeciwko porzuceniu tego przygnębiającego, pokonanego świata.

„Ale teraz zmierzamy do domu... miejmy nadzieję” - pokrzepił się w myślach.

Zastanawiał się, jak w tej chwili wygląda sklepienie pod mostem, kto w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym roku zajmuje te pomieszczenia, o ile nie stoją puste. Ale jego umysł zaprzętał przede wszystkim los dziewczyn i Foster.

## ROZDZIAŁ 79

Nowy Jork rok 2001

Foster zobaczył mutanty szybko przemykające przez stopnie przed głównym wejściem muzeum... i nie dziesiątki, ale setki oczu łypiących z ciekawością przez ciemne dziury po oknach w zniszczonych budynkach.

„Wieść się niesie... jak zapach świeżego mięsa” - pomyślał niewesoło starzec.

- O mój Boże! - wymamrotała Sal. - Jest ich całe mrowie.

Maddy opiekuńczo złapała ją z rękę.

- Foster, strzel w nie.

Pokręcił głową.

- Nie sądzę, aby hałas wystraszył je teraz.

- Ale może akurat te stwory nie wiedzą, że twoja broń zabija.

- Wiedzą doskonale... w przeciwnym razie już by nas dopadły.

Ulica wiodąca na południe roiała się od mutantów tworzących jakieś dziwne, milczące zgromadzenie. Po lewej stronie znajdował się dawny Central Park, który zamienił się w wyjałowioną patelnię gęsto znaczoną zwęglonymi pniami drzew i przepalonymi kikutami martwych krzewów. Foster pomyślał, że gdyby diabłu zaproponowano zaprojektowanie ogrodów miejskich, urządziłby je na podobną modłę. Ale był to przynajmniej otwarty, pusty teren. Stwory nie miały się za czym kryć ani skąd wyskakiwać. Już lepsze to niż przedzieranie się przez boczną ulicę zasypaną rdzewiejącymi pojazdami.

- Powinniśmy przeciąć park - stwierdził. - Znajdziemy się we wschodniej części dzielnicy, a stamtąd już blisko do rzeki Hudson. - Pomyślał, że pójda wzdłuż rzeki, aż do samego mostu. Bulwar nadrzeczny aż do mostu Williamsburg był na tyle szeroki, że będą musieli uważać tylko na swoją prawą flankę.

- Naprzód! - zakomenderował, schodząc z ostatnich stopni na dziedziniec. Przedarli się przez powyginany metalowy płot, a potem utorowali sobie drogę przez skrzyżowanie ukryte pod płataniną zardzewiałych karoserii porzuconych samochodów.

W promieniach popołudniowego słońca przebijającego się przez brudne, brązowe chmury przeszli przez zniszczone resztki dekoracyjnego żywopłotu i weszli do Central Parku.

- Śledzą nas - powiedziała Sal drżącym głosem.

Foster spojrzął za siebie i zobaczył gigantyczną horde mutantów; setki stworów skręcały z Central Park West, wspinały na ogrodzenie i przedzierały przez obumarłe krzewy, aby podążyć ich tropem do parku.

- Śledzą nas, ale przynajmniej zachowują bezpieczną odległość.

Ale w tym samym momencie mutanty zaczęły zmniejszać dzielący ich od uciekinierów dystans; kilka odważniejszych potworów wysforowało się kilkadziesiąt metrów przed gromadę. Foster pomyślał, że mogą to być przewodnicy - przywódcy stada, osobniki pragnące udowodnić coś swoim pobratymcom.

Dziewczyny przyspieszyły tempo. Szybkie kroki zastąpił chaotyczny trucht. Spod stóp wzbijały się chmury kurzu i pyłu. Foster zamykał odwrót.

Odległość zmniejszała się z każdą sekundą. Trucht przygarbionych mutantów przeszedł w żwawy kłus. Co odważniejsze stwory zbliżały się nieubłaganie. Już tylko trzydzieści-czterdzieści metrów. Foster odwrócił się i spojrzął na najbliższego potwora - wysokiego i przeraźliwie chudego samca z kilkoma rozsianymi na czaszce kępkami białych włosów, ubranego w wystrzępione gałgany zwisające z mlecznobiałego ciała. Starzec słyszał ciężki oddech i żalosne skomlenie mutantą, który pomimo wielkiej chęci nie mógł dopaść ofiar z powodu ciemnego, metalowego przedmiotu spoczywającego w dłoniach jednej z nich. Być może istota przypomniała sobie słowo pochodzące z dawno zapomnianego języka: „broń”.

Wiedziała, że metalowy pręt zsyła śmierć w ułamku sekundy.

Przez ciągnące się w nieskończoność minuty ten szczególny balet utrzymywał wszystkich w impasie: biegnące przez wymarły park dziewczyny, sapiący z coraz większym wysiłkiem kilka metrów z tyłu Foster i bezgłówna czereda swobodnie biegnących równym



tempem mutantów, które powoli i ostrożnie osaczały uciekających.

- Druga strona parku, patrzcie! - krzyknęła Maddy.

Za pustą, betonową niecką, w której niegdyś był staw z kaczkami, na wysokości przeżartych rdzą konstrukcji po huśtawkach, Foster zauważył rząd skarłowaciałych, czarnych drzew i szary, metalowy płot. Po jego drugiej stronie, z północy na południe wzdłuż parku, biegła Piąta Aleja. Pięćdziesiąt metrów przed nimi zauważył bramę, dzięki której nie będą musieli zatrzymywać się i wdrapywać na ogrodzenie. Z Piątej Alei wyjdą na Siedemdziesiątą Drugą. Potem przejdą kilka przecznic otoczonych zrujnowanymi budynkami i dotrą do rzeki.

„Ale właśnie tam mogą nas zaatakować” - pomyślał. Jeśli będą próbowali przedzierać się przez rumowisko i kluczyć między porzuconymi samochodami, mutanty w końcu odetną im drogę ucieczki. Stwierdził, że to idealny moment, aby pokazać im, do czego służy strzelba. Odwrócił się, zatrzymał i wycelował broń w najbliższego mutantą.

Impet wystrzału odrzucił żalostną istotę na plecy. Trafiony stwór leżał na ziemi w powiększającej się kałuży krwi, dziko wierzgając nogami i wydając z siebie przeszywający pisk. Gromada natychmiast rozpięchła się na wszystkie strony popielatoszarego parku, jak zgraja królików wystraszonych strzelbą farmera.

- Przypominam im tylko, że jesteśmy niebezpieczni.

- Bardzo dobrze - przytaknęła Maddy, ale szybko spojrzała na strzelbę. - Zostało jedenaście strzałów?

Foster załadował kolejny pocisk.

- Tak, jedenaście.

Szybko pokonali Siedemdziesiątą Drugą i już dziesięć minut później wyszli na szeroką, dwupasmową arterię FDR Drive. Skierowali się na południe, idąc równolegle do rzeki Hudson. Przed nimi znajdowały się szczątki urwanego w połowie mostu Queensboro Bridge. Za konstrukcją, nie więcej niż trzy czwarte mili w dół rzeki, Foster dostrzegł wysokie

metalowe filary mostu Williamsburg, a na przeciwnym brzegu niskie ceglane budynki przemysłowe, kominy i dźwigi górujące nad dokami brooklyńskimi.

Usiedli na drewnianej ławce z widokiem na błotnisty brzeg rzeki, aby złapać oddech i choć chwilę odpocząć.

- Jeszcze tylko most... i... jesteśmy w domu - zachrypiał Foster.

- Wszystko w porządku? - spytała Maddy.

- Wszystko gra... lekkie zmęczenie. Muszę tylko zaczerpnąć trochę powietrza.

Jeszcze chwilę odpoczywali, spoglądając w kierunku, z którego przybyli. Wyglądało na to, że udało im się zgubić mutanty.

- Gotowe, dziewczyny?

Zgodnie skinęły głowami.

Wyszli na rozległy bulwar, ciesząc się, że po lewej ręce mają tylko rzekę, a po prawej cztery pasma szerokiej i pustej drogi.

Po kolejnych dziesięciu minutach wbiegali już po wąskich schodach na kładkę dla przechodniów na moście Williamsburg. Białe, pomarańczowe słońce wisiało nisko na niebie, szukając swojego miejsca na rozłupanym horyzoncie zdewastowanych budynków. Długie, purpurowe cienie kładły się na rzece, sięgając budynków na drugim brzegu.

- Jesteśmy prawie na miejscu - wysapała Sal. - Chyba rzeczywiście uda nam się dotrzeć do domu.

Kładka biegła nad jezdnią. Była wystarczająco szeroka, aby mogły spacerować po niej trzy osoby idące obok siebie. Z obu stron otaczała ją wysoka siatka. Szli szybkim krokiem, spoglądając pod nogi na dwa pasy zniszczonego asfaltu, na których tłoczyły się setki zardzewiałych, stykających się zderzakami samochodów. Delikatna bryza wpadała do środka

wraków przez stłuczone szyby i z jękiem omiatała siedzenia i kości ludzi, którzy dziesiątki lat temu zginęli nagle i tajemniczo przy kierownicy: cmentarzysko samochodów, nad którym unosiły się szepty udręki i bólu.

Foster koncentrował się na drodze przed nimi. Jeszcze tylko trzy lub cztery minuty prosto po kładce, w dół po schodach na drugiej stronie mostu, zakręt w uliczkę u podstawy filara i - witamy w domu.

Kiedy wychodzili, Foster włączył w generatorze tryb zwolnionych obrotów. Jeśli po ich wyjściu urządzenie pracowało nieprzerwanie; nie zatkało się ani nie zatrzymało, maszynaria translokacyjna powinna być już sprawna i gotowa do ponownego użycia. Przynajmniej miał taką nadzieję.

W pozostawionej przez siebie wiadomości Liam podał dokładny czas translokacji. Po wprowadzeniu współrzędnych do komputera poznają także jej miejsce. Jeśli chłopak rozumował poprawnie, już teraz można było przewidzieć, jakie miejsce wyznaczył.

Mimo wycieńczenia zdołali jeszcze przyspieszyć kroku. Przeciwny brzeg martwej, zastałej i zanieczyszczonej rzeki znajdował się już na wyciągnięcie ręki. Od bezpiecznej kryjówki dzieliły ich jedynie minuty. Perspektywa sprowadzenia do domu Liama i Boba - tej nieustraszonej góry mięśni, która uchroni ich przed każdym niebezpieczeństwem - dodawała im sił i kazała przyspieszyć kroku.

Byli już prawie na miejscu, Foster zaczął dopuszczać do siebie myśl, że koszmar dobiegł końca.

I wtedy rozległ się wrzask.

Odwrócił się i zobaczył jak płatanina kościstych, mlecznobiałych ramion wciąga Sal do dużej dziury w siatce.

- Och nie! - krzyknęła Maddy - Złapali ją!

## ROZDZIAŁ 80

Nowy Jork rok 2001

Sal wykręcała ręce i wierzgała nogami, próbując uwolnić się z żelaznego uścisku.

- Och, Boże, nie! Pomóżcie! Pomóżcie!

Foster już składał się do strzału, gdy uświadomił sobie, że ryzyko przypadkowego trafienia Sal jest zbyt duże. Maddy podbiegła do dziewczyny i zaczęła kopać, uderzać i drapać ramiona wciągające Sal. Przez oka rdzewiejącej siatki dostrzegła sforę okładających się wzajemnie mutantów; walczyły o to, który pochwyci dziewczynkę. Stały na dachu kabiny ciężarówki. Wielka wyrwa w siatce musiała zostać zrobiona dość niedawno, prawdopodobnie w ciągu ostatniej półgodziny.

To była pułapka.

Foster uświadomił sobie, że kilka stworów z parku musiało pobiec przodem. Musiały wiedzieć, że ofiary wybiorą właśnie tę drogę; musiały wiedzieć, że „świeże mięso” zawsze przechodziło przez most po zawieszanej nad jezdnią kładce. Wybrały odpowiednie miejsce, z którego zdołają sięgnąć chodnika, wyrąbały dziurę w siatce... i czekały.

Na dach kabiny wspinały się kolejne mutanty. Mocno waliły w siatkę pięściami i warczały, obnażając kły.

Zaczęli podnosić Sal za nogi i wciągać ją przez ziejącą dziurę.

- Pomóżcie mi!

Maddy rozpaczliwie starała się rozewrzeć długie, blade palce ciasno owinięte wokół kostek, nóg i talii Sal, ale stwory chwyciły ją za włosy i brutalnie ściągnęły okulary z jej twarzy, próbując również ją pochwycić w uścisk i przeciągnąć przez otwór.

Niemal całe ciało Sal znajdowało się już po drugiej stronie wyrwy, tylko jej dłonie zaciskały się kurczowo na ostrych końcówkach siatki. Szponiaste palce mutantów zakleszczyły się na rękach wyjącej ze strachu dziewczyny, aby oderwać je od ostatniej deski ratunku.

Foster wycelował w watahę, nie zważając już na to, że eksplozja wystrzału może wyrzucić krzywdę Sal. Siatka zakrzywi trajektorię pocisku, ale kula na pewno przeleci na drugą stronę, a wybuch rani ciasno stłoczone ciała.

Wystrzelił.

Jeden z mutantów spadł z dachu szoferki. Inne zawyły z wściekłości, ponieważ odłamki naboju boleśnie wbiły się w ich nagie ciała. Stwory gorliwie kontynuowały jednak pracę, wyciągając swoje długie szpony, aby odzepić palce Sal od siatki, jeden po drugim. Maddy wciąż z pasją uderzała, drapała i krzyczała.

Nagle ostatni palec Sal puścił siatkę.

Oczy dziewczyny i Fostera spotkały się na ułamek sekundy. Strach, dezorientacja, przerażenie - z ułożonych w przeciągnięte „O” ust Sal wypłynęło przeraźliwe „Nie-ee-ee-ee!” przypominające gwizd lokomotywy.

Z zaskakującą szybkością mutanty zeszły na ziemię po rozbitym szkle z przedniej szyby ciężarówki i po masce silnika, a następnie uniosły dziewczynkę w górę między sobą niczym jakieś wierzgające trofeum.

Sal zniknęła z pola widzenia - jej cienki, rozpaczliwy głosik słabł z każdą chwilą. Wataha mutantów wracała na Manhattan, przedzierając się przez cmentarzysko samochodów.

Maddy odwróciła się, aby spojrzeć na Fostera, jej blada twarz zastygła w przerażeniu. Do dziewczyny powoli docierało, co się właśnie wydarzyło.

- Foster? - zdołała wyszeptać.

- Mu... musimy...

- Foster - powiedziała ponownie, nie potrafiąc wydusić z siebie nic więcej.

- Ona odeszła, Madelaine. Odeszła - powtórzył. Bez powodzenia próbował odpędzić od siebie myśl o losie, jaki ją czeka.

- Mu.. musimy ją uratować - wydyszała Maddy i zaczęła przeciskać się przez dziurę w siatce.

Foster postąpił krok do przodu i chwycił ją za nadgarstek.

- Nie, Maddy! Nie!

Próbowała wyszarpać się z uścisku.

- Nie możemy jej tak zostawić! - krzyknęła, a po jej podrapanych i umorusanych policzkach popłynęły łzy.

Jakiś głos szeptał mu z tyłu głowy, aby pobiegł za nią, ruszył w pościg. Nawet jeśli nie uda się uratować Sal, może zbliżą się na tyle, aby podarować biednemu dziecku szybką i bezbolesną śmierć.

Ale to byłoby głupie.

Teraz wszystko widział jasno. Zrozumiał, że mutanty czekały tylko na właściwy moment, aż ofiary znajdą się na moście bez możliwości odwrotu, aż stracą czujność i poczują, że już są w domu. Stwory były wystarczająco bystre, aby zastawić pułapkę. Musiały dużo wcześniej wybrać odpowiednie miejsce, w którym się zaczają.

- Madelaine! - powiedział ostro do wrywającej się z jego uścisku dziewczyny. - Ukartowali to! To była pułapka!

Nie przestawała się szarpać. Przez most przetoczyło się echo słabego krzyku Sal, która po raz ostatni błagała o pomoc.

Ciałem płaczącej Maddy wstrząsnął dreszcz, jej ramiona trzęsły się spazmatycznie.

- Idę, Sal... Idę po ciebie!

Foster z trudem wciągnął ją z powrotem na kładkę.

- Musimy iść, Maddy... Nic już nie możemy dla niej zrobić!

- Nie zostawię jej tak!

Foster chwycił dziewczynę za szczękę i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Chodź! - warknął. - Jeśli dopadną i nas... to koniec! Rozumiesz to? Koniec... dla wszystkich!

## ROZDZIAŁ 81

Nowy Jork rok 1957

Gdy Bob parkował Kübelwagena w bocznej uliczce, Liam obserwował przez przednią szybę rząd ceglanych łuków biegnących pod mostem Williamsburg.

- Jesteśmy w domu - powiedział Liam.

- Nieściskość - odrzekł Bob. - Jesteśmy we właściwym miejscu, ale nie we właściwym czasie.

Liam wzruszył ramionami. Gdy tak siedział na krawężniku i przyglądał się starej, doskonale znajomej ceglanej konstrukcji, czuł się prawie jak w domu. W miejscu

rozsuwanych drzwi z falistej blachy znajdowały się teraz dwa skrzydła wielkich drewnianych drzwi, na których wymalowano napis: PRALNIA DANG LI POH. Ze znajdującej się obok rury strzelały pióropusze pary, mieszając się z chłodnym powietrzem późnego popołudnia.

Bob odczytał czas z wewnętrznego zegara.

- Do wyznaczonego przez nas czasu aktywacji portalu pozostało siedemnaście minut.

Liam pochylił się odrobinę, by spojrzeć na niebo. Na horyzoncie nie widział już poduszkowców patrolujących parami obszar Manhattanu. Zastanawiał się, czy ktoś już ich szuka.

- Masz rację, nie ma czasu do stracenia.

Wyszedł z samochodu, poprawił czarny mundur i włożył czapkę, naciągając daszek, aby jak najbardziej zasłonił jego chłopięcą twarz.

Bob stanął obok niego na wybrukowanym chodniku, na którym zalegały śmieci wysypane z przewróconego kubła.

Liam zastukał energicznie w drewniane drzwi. Nerwowo odczekał minutę, po czym ponownie uderzył w drewnianą powierzchnię. Kilka chwil później w lewym skrzydle rozsunęło się okienko, w którym pojawił się Azjata z rumianą twarzą, ubrany w biały fartuch.

- Słuchać? - warknął z irytacją na widok emblematów z trupią czaszką i kruczoczarnych mundurów.

Liam odchrząknął:

- Rozkazuję ci natychmiast nas wpuścić - powiedział, przybierając szorstki, nieprzyjazny ton.

- Hiu?... Aj... Coś być źle?



- Według naszych informacji w tym pomieszczeniu ukrywani są przestępcy.

Mężczyzna wybałuszył oczy ze zdumienia.

- Nie być tu złych ludzi!

- Albo natychmiast nas wpuścisz, albo zostaniesz aresztowany.

Oczy Chińczyka niemal wylatywały z orbit.

- Juś was wpuścić. Ciekac jedną chwilkę - odpowiedział i zatrzasnął okienko.

Po chwili zgrzytnęły zawiasy i z trzaskiem otworzyły się drewniane drzwi. Mężczyzna zachęcającym gestem zaprosił ich do środka.

- Wejść i zobaczyć. Ja nie mieć przestępców.

Liam i Bob przekroczyli próg i niemal natychmiast uderzył ich zaduch gorącego powietrza. Kilka żarówek zawieszonych pod łukowatym sklepieniem rzuciło skąpe światło na całe pomieszczenie.

- Sami widzieć... nie być tu złych ludzi! - kłapnął zębami Chińczyk.

Liam rozejrzał się po pogrążonym w mroku pomieszczeniu. Nad wannami wypełnionymi parującą wodą pochylało się kilkanaście kobiet i taka sama liczba mężczyzn. Pracownicy mieszała ubrania długimi chochlami i nacierali je kostkami mydła. W poprzek pomieszczenia rozwieszono sznury, na których wisały suszące się ubrania i pościel.

- My prac. Żeby robić superczyste ubrania dla klient - wyjaśnił mężczyzna.

- Powiedz swoim ludziom, aby natychmiast opuścili ten budynek - rozkazał Liam.

Chińczyk podejrzliwie zmrużył oczy.

- Czemu my iść?

Hmm... Liam wcześniej się nad tym nie zastanawiał. Zanim wpadł na sensowną odpowiedź, wahał się odrobinę zbyt długo.

Oczy mężczyzny zrobiły się wąskie jak myślniki.

- Ty jest chłopiec... a nie prawdziwa świnia żołnierz. Ty ukraść mundur i próbować obrobić moja pralnia!

Liam patrzył na niego bezradnie.

- Er... - Tylko na tyle było go stać.

Mężczyzna nie przestawał świdrować go wzrokiem.

- To być sztuczka. Natychmiast wyjść!

Bob postąpił krok do przodu, aby pomóc Liamowi. Sięgnął do pasa, błyskawicznie wyjął broń z kabury i szybkim, płynnym ruchem wycelował prosto w czoło człowieka.

- To nie sztuczka.

Podejrzliwość mężczyzny natychmiast gdzieś się ulotniła i zastąpiło ją przerażenie; wybałuszone ze strachu oczy zezowały na lufę pistoletu.

- Powiedz swoim pracownikom, aby natychmiast opuścili te pomieszczenia. W przeciwnym razie zostaniesz wyeliminowany - zagrzmiął głęboki głos Boba.

Mężczyzna nerwowo przełknął ślinę i, nie odrywając wzroku od broni, krzyknął coś po kantońsku do innych. W szparach pomiędzy wiszącymi szmatami Liam zauważył przerażone twarze pracowników, którzy właśnie dostrzegli, że w ich szefa wycelowano broń. W pośpiechu wypuścili z rąk swoje kostki mydła i długie mieszadła, po czym rozpoczęli odwrót w kierunku drzwi, nurkując pod sznurami na pranie. W chwilę później wszyscy

zniknęli na zewnątrz. Zatrzasnęły się drewniane drzwi, pogrążając Liama i Boba w znajomym półmroku bazy.

Bob po raz kolejny odczytał godzinę z wewnętrznego zegara.

- Siedem minut i dwadzieścia dziewięć sekund do aktywacji wyznaczonego okna.

- A ile czasu pozostało do eksplozji twojego mózgu?

Powieki klona znowu zatrzepotały.

- Sześćdziesiąt cztery minuty i trzy sekundy.

Liam kluczył pomiędzy mokrymi prześcieradłami, aż znalazł stołek, na którym usiadł.

- Jeśli ekstrakcja się nie powiedzie, jeżeli nie pojawi się okno, spędzimy ze sobą jeszcze niecałą godzinę?

- Potwierdzam.

- To chyba wystarczająco dużo czasu, aby odpowiednio się pożegnać?

Bob uniósł głowę z zaciekawieniem.

- Będziesz smutny?

- Smutny? Że zamienisz się w warzywo? Oczywiście, że będę! Znaczący... przez cały ten czas niemal odczyłaś się zachowywać jak kompletny cymbał i powoli zaczynasz przypominać człowieka. Bez wątplenia byłaby to strata. - Westchnął i potrząsnął głową. - Poczekaj. Co też ja wygaduję? Koniec końców, może to ludzie są kompletnymi cymbałami.

Bob wzruszył ramionami, niezupełnie rozumiejąc, co tam Liam mamrocze.

„Co za ludzki odruch” - zauważył Liam z uśmiechem.

- Sześć minut.

## ROZDZIAŁ 82

Nowy Jork rok 2001

Kiedy wrócili, generator wciąż jeszcze furkotał. Foster z ulgą klepnął wibrującą i ciepłą głowicę cylindra. Nie zdziwiłby się, gdyby po ich powrocie generator nie działał; system mógł w końcu zatkać się i zadławić olejem napędowym nieznanego pochodzenia. Mogło też wyczerpać się całe paliwo ze zbiornika.

Starzec wyszedł z zaplecza, aby sprawdzić panel ładowania na wehikule czasu. Już prawie gotowe. Dwie diody LED wciąż paliły się na czerwono. Przewidywał, że za około dwadzieścia minut urządzenie będzie naładowane na tyle, aby zaryzykować otworzenia okna.

Uruchomił system komputerowy i odczekał, aż zamknie się cykl rozruchu, po czym otworzył oprogramowanie interfejsu geolokalizacyjnego i przepisał współrzędne nabazgrane wyblakłym atramentem na pożółkłej kartce, którą trzymał w ręku. Modlił się w duchu, żeby cyfry okazały się poprawne.

Na ekranie wyświetlony został fragment mapy Nowego Jorku.

- Ach... zuch chłopak! - Odetchnął, próbując przebić się głosem przez hałaśliwy warkot dochodzący zza otwartych drzwi zaplecza. - To dopiero bystrzak!

Maddy, zanurzona w jednym z foteli ustawionych wokół stołu, uniosła głowę. W jej słabym głosie pobrzmiwało zmęczenie i poczucie klęski.

- Co się stało... O co chodzi, Foster?

- Tutaj! - odrzekł starzec - Są dokładnie tutaj! Pod naszym sklepieniem! Współrzędne... chcą zaoszczędzić jak najwięcej mocy. Dzięki temu, że otworzymy okno w samym środku bazy, zdołamy zachować wystarczającą ilość ładunku, aby sprowadzić ich obu!

Uśmiechnęła się słabo.

Wstał z krzesła i podszedł do stołu. Po drodze zatrzasnął drzwi do magazynku, aby zmniejszyć ogłuszający stukot generatora, do którego za pomocą systemu pompowane były już ostatnie krople paliwa. Teraz słyhać było jedynie przytłumiony terkot w tle.

Ciężko klapnął na fotel obok.

- To już prawie koniec, Madelaine.

- Na pewno koniec dla Sal - odpowiedziała.

- Niekoniecznie.

Dziewczyna uważnie na niego spojrzała.

- Co masz na myśli?

W zamyśleniu podrapał się po twarzy i podjął zmęczonym głosem:

- Podróżowanie w czasie to bardzo tajemnicza materia... zupełnie nieprzewidywalna dziedzina. Jeśli Liam i Bob zdołają cofnąć się w czasie i naprawić historię, istnieje możliwość - zaznaczam: możliwość - że wywołana w ten sposób korygująca fala ponownego wiązania czasu zaleje wszystkie dotychczasowe przesunięcia i odda nam Sal.

- Naprawdę w to wierzysz? - powiedziała, prostując się w fotelu.

- To możliwe... nic więcej.

Chwyliła go za rękę.

- Biedna Sal! - Łzy wyłobily czyste rysy w pokrytych brudem policzkach. - Nie chcę nawet myśleć co... co...

- Więc nie myśl o tym. Jeśli do nas wróci... jeśli... do nas wróci, wszystko, co przytrafiło jej się dotychczas, cóż... będzie tak, jakby nigdy się nie przytrafiło. Nie będzie pamiętała absolutnie nic z ostatnich kilku dni...

- Foster.

Przerwał wyjaśnienia. Maddy przekrzywiła głowę, zmrużyła oczy i z uwagą czegoś nasłuchiwała?

- Słyszałeś to?

- Co?

- Wydaje mi się, że słyszałam...

Odgłosy szybko dobiegły uszu Foster. W bocznej uliczce na zewnątrz coś niespokojnie się poruszało - kopnięty przez nieuwagę kawałek gruzu potoczył się po pokrytym popiołem i kurzem bruku, coś delikatnie drapnęło w żelazną roletę, a później zastukało.

Ich oczy się spotkały. Oboje nie mieli wątpliwości, co się święci.

- Znaleźli nas, prawda? - wyszeptała dziewczyna.

- Tak mi się wydaje.

Stukanie w drzwi rolety nagle przerodziło się w serię niecierpliwych uderzeń. Maddy podskoczyła na fotelu i zakwiliła.

- Próbuja się dostać do środka - powiedział Foster.

- Czy nie możemy otworzyć okna translokacji już teraz?

Niespokojnie spojrział na diody w panelu wehikułu czasu - jednocześnie migało już jednaście światełek; jeszcze tylko ostatnie, dwunaste, musi zmienić kolor na zielony.

- Jeszcze nie... jeśli otworzymy je zbyt wcześnie, możemy zaprzepaścić naszą jedyną szansę.

Drapanie. Słyszał drapanie... skrobanie o drzwi.

Maddy wstrzymała oddech, przysłuchując się, jak ciche początkowo odgłosy przybierają na sile... intensywniej. Co one robią?

- Nie mam pojęcia.

Kłamał. Wiedział, że mutanty wyszukują słabe punkty w ścianie, że prawdopodobnie znalazły już jakieś poluzowane cegły, a teraz próbują wydrapać i skruszyć zaprawę.

Ponownie spojrział na diody LED, modląc się, by ostatnia z nich zmieniła kolor na zielony.

Usłyszeli brzęk cegły spadającej na ziemię przed bazą.

- O Boże, nie! - syknęła Maddy. - Wchodzą przez ściany!

Foster sięgnął po leżącą na stole strzelbę. Maddy złapała za latarkę i skierowała promień na mur, starając się odnaleźć ślady pracy mutantów. Jej ciężki, świszczący oddech wypełnił ciszę panującą w pomieszczeniu.

- Nie... nie chcę skończyć jak... jak Sal.

- Nie martw się - powiedział, omiatając latarką obszar u podstawy ściany. - Nie pozwolę im nas zabrać. Obiecuję. - Wiązka światła natrafiła na mały kopiec szarego pyłu leżącego na podłodze.

- Tutaj!

Skierowała promień na bladą kupkę pyłu, i zaczęła przesuwając snop światła w górę ściany, aż zauważyła wąziutką szparę, przez którą przedostawała się smuga światła dziennego. Na podłogę osypywała się struzka piasku spod drgającej cegły.

- O mój Boże... widzisz to?

- Tak.

Foster podszedł do ściany przy wejściu i wycelował broń w poluzowaną cegłę. Pustak podskoczył po raz ostatni, przechylił się do przodu i z głośnym tąpnięciem spadł na podłogę wewnątrz pomieszczenia. Po drugiej stronie dziury mężczyzna zauważył parę chorobliwie błyszczących rybich ślepiów... i wystrzelił.

Usłyszeli przeszywający pisk i udręczone okrzyki wściekłości. Odgłosy drapania przybrały na sile, teraz dochodziły już z kilku miejsc wzdłuż ściany.

- O mój Boże, Foster! One są wszędzie! One...

Przerwało jej głośne huknięcie, na posadzkę zaplecza spadło coś z intensywnym brzękiem.

- Jezu! - warknął Foster. - Są w środku! Rzucił się w stronę drzwi i energicznie zaciągnął rygiel. - Odwróciły naszą uwagę przy głównym wejściu, a w tym samym czasie majstrowały przy tylnej ścianie. Spojrzał na nią uważnie. - Już są na zapleczu!

W rozsuwane drzwi coś mocno uderzyło, wyginając cienką, metalową blachę. Zawiasy wbite w starą, ceglana ścianę zatrzęsły się niebezpiecznie, a rudawy ceglany pył opadł kaskadą na podłogę.



Maddy krzyknęła.

Kolejne mocne uderzenie zostawiło w drzwiach jeszcze jedno wyszczerbione wgniecenie.

- Drzwi niedługo puszczą - krzyknął Foster.

- Och, Boże, nie! Foster, nie chcę umierać w ten sposób!

Po raz kolejny kątem oka rzucił na wyświetlacz ładowania, przeklinając w duchu tę ostatnią czerwoną diodę.

„Zmień wreszcie kolor!” - zaklinał w duchu małeńkie czerwone oczko.

- A może... może otworzymy okno teraz, Foster? Możemy?

Skrzywił się, gdy drzwi zatrzęśły się od następnego ciosu, a ze ścian buchnęła kolejna warstwa kurzu, oblepiając jego głowę i ramiona. Zza cienkiej, metalowej blachy dochodziły jęki, skowyt i warczenie mutantów sfrustrowanych koniecznością pokonania tej ostatniej, nieprzewidzianej przeszkody.

- Foster? Teraz! Natychmiast otwórz okno!

- Dobra... musi już być prawie naładowany. Prawie.

Podał jej broń i przesunął się na bok, aby zajęła jego miejsce przy drzwiach i wzmocniła je ciężarem swojego ciała.

- Wstrzymuj ich tak długo, jak to możliwe. Jeśli się włamią zostało ci dziewięć strzałów. Rozumiesz?

Skinęła głową.

- Rozumiem... siedem dla nich... i...

- Właśnie. - Uśmiechnął się ponuro. - Dwa dla nas.

Kolejne mocne uderzenie. Górny zawias odczepił się od ceglanej ściany, a na głowę Maddy posypał się deszcz pyłu i tynku.

Foster mocno chwycił ją za dłoń i uścisnął, po czym, kulejąc, podszedł do terminali komputerowych, szybko otworzył interfejs wehikulu czasu i wprowadził współrzędne. Następny łomot wstrząsnął drzwiami - tym razem puścił drugi zawias zamontowany w połowie ich wysokości. Na posadzkę opadła kolejna fala pyłu.

- Foster! Pospiesz się! Szybciej!

Jeszcze raz spojrzął na wpisany ciąg cyfr, porównując je z bazgrołami Liama. „Boże dopomóż, jeśli się pomyliłem” - zdążył pomyśleć Foster.

Wcisnął klawisz „enter” na klawiaturze.

## **ROZDZIAŁ 83**

Nowy Jork rok 1957

Liam próbował poluzować sztywny, nakrochmalony kołnierzyk, irytowały go liście dębowe i emblemat trupiej czaski. Rozpiął górny guzik bluzy munduru.

- Ile jeszcze?

Bob stał na środku podłogi otoczony lnianymi prześcieradłami zawieszonymi na sznurach. Zamrugał.

- Aktywacja za pięćdziesiąt siedem sekund.

Liam poczuł, że z podenerwowania ściska mu się żołądek. Za niecałą minutę dowie się, czy Maddy przypomniała sobie o księdze gości z muzeum. Za niecałą minutę dowie się, czy na zawsze już ugrzęźnie w przeszłości.

- Widzisz coś?

- Zaprzeczam. Żadnych znaków sondowania gęstości.

Jeśli okno się nie pojawi, chwilę później Bob będzie zmuszony uruchomić proces autodestrukcji. Liam zostanie całkiem sam. Nie był pewien, czy sobie poradzi. Zastanawiał się, czy żołnierze w czarnych mundurach złapią go i ponownie wyślą do jednego z obozów jenieckich. Może być też znacznie gorzej. Za zabicie kilku wojskowych, kradzież samochodu i mundurów grozi mu pluton egzekucyjny.

- Dziesięć sekund - powiedział Bob.

„No dalej, Maddy... błagam, przypomnij sobie księgę gości z muzeum” - po raz ostatni Liam powtórzył w myślach swoją mantrę. Wstał i zanurkował pod prześcieradłami, aby dołączyć do Boba na środku podłogi.

- Za chwilę wszystko się wyjaśni, Bob... trzymaj kciuki.

- Dlaczego?

- Na szczęście.

- Dlaczego?

- Tak się przyjęło... to... ach, zapomnij...

- Aktywacja za sześć sekund... pięć... cztery...

Liam zacisnął szczękające zęby i tak mocno ścisnął kciuki na szczęście, że pod bladą

skórą zapiekły go kostki.

- No już... dalej - wyszeptał.

-...trzy... dwa...

„Zaczynamy!” - przemknęło przez głowę chłopca.

-...jeden...

Nic.

Liam rozejrzał się wkoło, odciągając na bok lniane prześcieradła, które mogły zasłaniać błyszczący zarys okna translokacji.

- Gdzie to jest?

Bob spojrzał na niego.

- Nie ma okna.

- Co? Jesteś pewien.

- Gdyby w pobliżu znajdowała się choć jedna cząstka tachionowa, wykryłbym ją natychmiast.

Pełne wyczekiwania podenerwowanie, jakie Liam odczuwał jeszcze przed chwilą, ulotniło się nagle jak powietrze z balonu. Ugięły się pod nim nogi. Złapał za drewniany stółek i opadł na niego.

„No to pozamiatane” - pomyślał z rezygnacją.

Spojrzał na zastygłą w bezruchu jednostkę pomocniczą, która spoglądała na niego spokojnymi, pozbawionymi wyrazu oczami.

- Ile zostało czasu do twojej autodestrukcji?

Powieki Boba trzepotały przez kilka sekund. W wyrazie twarzy jednostki Liam dostrzegł niemal smutek... niemal.

- Mój zegar misji zatrzyma się za pięćdziesiąt sześć minut.

Pięćdziesiąt sześć minut życia. Ciekawe, co człowiek może zrobić w ciągu pięćdziesięciu sześciu minut. Niewiele. Herbatka i ciasteczka na przekąskę? Kąpiel i ostatnie golenie?

- Naprawdę mi przykro, Bob - powiedział szeptem. - Chyba zaczynałem cię nawet lubić.

Poważna twarz Boba wydawała się zmieniać, łagodnieć. Liam był pewien, że gdzieś głęboko pod cielesną powłoką, jednostka skrywa coś więcej niż ciąg równań binarnych i funkcji logicznych.

- Mnie... - próbował znaleźć nieznanne mu dotychczas słowa. - Mnie... też jest przykro... Liamie O'Connor - zagrzmiał głęboki głos.

- Ale przynajmniej zgrana z nas była para, co?

Bob spróbował odpowiedzieć jednym z uśmiechów Sal. Tym razem wyszło całkiem znośnie, choć w dalszym ciągu krzywo jak diabli.

- Tak, zgrana z nas... - Bob urwał w pół zdania. Utkwił wzrok gdzieś powyżej głowy Liama i ponownie szybko zamrugał.

„Odbiera jakiś sygnał?” - pomyślał Liam.

- Informacja: w pobliżu wyczuwam cząstki tachionowe - powiedział Bob.

- Kolejny komunikat?

- Zaprzeczam.

- Sonda gęstości?

- Zaprzeczam.

Liam wstał z krzesła i zanurkował pod praniem.

- Okno?

Bob odwrócił się i szarpnął za jeden ze sznurów. Wszystkie wiszące na nim, czyste prześcieradła i koszule opadły na ziemię, ukazując gorący zarys okna czasu, które falowało nieregularnie jak poruszona tafla wody. Okno było znacznie mniejsze niż portal, do którego wchodzili, wracając z Dallas w dniu zamordowania Johna F. Kennedy'ego, ale większe niż podczas anulowanej próby ekstrakcji z Waszyngtonu; wystarczająco duże, aby z wielką ostrożnością przez nie przejść.

- Nie mogli otworzyć większego portalu?

- Mają ograniczone zasoby mocy lub okno zostało wygenerowane przez nie w pełni naładowaną maszynę.

Liam niecierpliwie ruszył w kierunku portalu.

- Ostrzeżenie: musisz całkowicie zanurzyć się w kuli. Jeśli jakkolwiek część ciała znajdzie się poza obrysem, zostanie tutaj po zamknięciu okna.

Liam zgiął się w pół i ostrożnie wszedł do błyszczącej koperty energii. Kiedy już skulił się w środku, dołączył do niego Bob. Klon przykucnął i otoczył Liama muskularnymi ramionami, aby chłopak nie wypadł z koperty.

- Nie ruszaj się - upomniał Bob.

Ziemia rozsunęła się im pod stopami i porwało ich wirujące powietrze.

\*

Nowy Jork rok 2001

Stopy Liama dotknęły twardego, zimnego betonu. Znajomego betonu. Betonu zaplamionego olejem. W pierwszej chwili zauważył tylko, że pod sklepieniem panują ciemności. Sekundę później usłyszał krzyk Maddy i ogłuszający huk wystrzału, który padł kilka metrów od niego.

Zobaczył, że Maddy kuli się na podłodze, trzymając w rękach dymiącą jeszcze strzelbę. Kątem oka złowił lecący w kierunku ściany szkielet przypominający szmacianą lalkę. Ale było ich znacznie więcej: chudziutkie jak szkielety ludziki w obszarpanych łachmanach wbiegały z zaplecza przez rozsuwane drzwi, wyciągając szponiaste dłonie w kierunku dziewczyny. Ze stanowiska komputerowego po przeciwległej stronie pokoju, kulejąc, biegł jej na pomoc Foster.

Reakcja Boba była zdecydowanie szybsza. Zerwał się na nogi i z szybkością drapieżnego ptaka ruszył w stronę Maddy. Podniósł swoje olbrzymie, muskularne dłonie i z dziką siłą uderzył najbliższego szkieletora, miażdżąc jego kości i rozrywając mięśnie. Porwał innego i szybkim ruchem nadgarstka skręcił mu kark. Mutant osunął się na ziemię jak bezwolna kukła.

Strzelba wypaliła ponownie, o ścianę uderzyło ciało kolejnego stwora.

Liam uświadomił sobie, że stoi beczynn timer, ale przypomniał sobie o przyczepionej do pasa broni. Nieporadnie sięgnął do kabury na biodrze, wyciągnął pistolet i ostrożnie wycelował w chaotyczną gmatwaninę białych kończyn oświetlanych przez tańczący promień latarki. W końcu wystrzelił w kłębowisko, lecz nieszczęśliwie trafił Boba w lewy bark, z którego bryznął obłok pąsowej krwi. Jednostka pomocnicza spojrzała na niego z wyrzutem i zawyła.

- Ups, przepraszam!

Ale Bob musiał już wracać do pilnych obowiązków: wyrwał nogę jednemu z mutantów, po czym wziął zamach i zaczął nią metodycznie okładać pozostałe stwory. Ich przeszywające krzyki brzmiały jak popiskiwanie wystraszonych dzieciaków. Wkrótce zaczęły wycofywać się przez drzwi, które jeszcze niedawno z takim zapalem wywahały. Bob popędził ich śladem na zaplecze. Po chwili rozległ się tam brzęk szkła, pleksiglasowe cylindry potoczyły się po podłodze, a magazynek wypełniły piskliwe okrzyki przerażenia. Liam podszedł do Foster'a i Maddy.

- Co tu się dzieje?

- Nic dobrego, Liamie. Nic dobrego - odrzekł Foster.

Podał rękę leżącej w szoku na podłodze dziewczynie.

- Wszystko gra, Maddy? Jesteś cała?

Przeniosła wzrok z powykęcanych białych zwłok, które leżały po obu stronach drzwi, na twarz Liama. Przez moment patrzyła na niego zdezorientowana, zupełnie jakby był kimś obcym.

- To ja! Liam!

W zmrużonych oczach dziewczyny zapalił się błysk zrozumienia. Gdy wreszcie zyskała pewność, odetchnęła z ulgą. Otworzyła i zamknęła usta. Otworzyła i zamknęła.

- O Boże - zdołała w końcu wyszeptać. - Myślałam, że niedługo... że te stwory mnie...

Foster przytulił ją do siebie.

- Ciii. Już wszystko w porządku, wrócili. Obaj. Jesteśmy bezpieczni.

Odgłosy szarpaniny z zaplecza ustały. W drzwiach pojawił się Bob z twarzą spryskaną



ciemnymi kropelkami krwi; podarty mundur oficera SS był całkiem przesiąknięty posoką.

- Informacja: biuro terenowe zostało oczyszczone - oznajmił rzeczowo.

Właśnie wtedy Liam zauważył, że kogoś brakuje.

- Gdzie jest Sal?

## ROZDZIAŁ 84

okręt powietrzny Führera nad Waszyngtonem rok 1957

Paul Kramer siedział sam w laboratorium. Całkiem sam.

„Karl nie żyje. Pozostali również: Saul, Stefan, Rudy, Dieter...” - wyliczał w myślach.

I inni, których twarze pamiętał, nawet jeśli już nie imiona.

„Jestem ostatni” - pomyślał.

Uniósł głowę znad kolan i spojrzał na zagraconą podłogę, po której wiły się kable podpięte do osłony bomby atomowej umieszczonej w małej, drucianej klatce.

„Tu jesteś mój mały przyjacielu.” - Chwycił w dłonie niepozorny przełącznik niedbale podłączony do skomplikowanego urządzenia. Niedokładnie zlutowany, czerwony kabel łączył przełącznik z prowizoryczną wersją klatki z polem translokacji Waldsteina. Palec Führera spoczywał na przycisku.

Kramer czuł obezwładniające zmęczenie. Nie zmrużył oka od dobrego tygodnia, od dnia śmierci Karla. Gdyby miał więcej odwagi, aktywowałby urządzenie właśnie wówczas, aby bez chwili zwłoki podążyć za Haasem w zaświaty.

Adiutant Karla i kilku starszych rangą generałów armii wciąż dopraszało się o audiencję u Führera. Wciąż nowe problemy do rozwiązania, decyzje do podjęcia, dokumenty do podpisania.

Nie miał w tej chwili głowy do polityki i administracji.

Nie mógł też spać. Gdy tylko przymykał powieki, nawiedzały go koszmary. Tropiący go zabójca to już nie jakiś tam gliniarz z przyszłości, ale nieznany, mroczny i bezkształtny byt z piekieł... pożądliwie spoglądający na jego duszę, gotowy wciągnąć go przez szczelinę w czasoprzestrzeni i skazać na wieczność w ogniach piekielnych tylko za to, że Kramer poważzył się na sekundę postawić stopę w jego wymiarze.

- Płonać... przez całą wieczność - szepnął do siebie.

Kciuk przesuwiał się po powierzchni przełącznika.

„Paul, już pora” - usłyszał w swojej głowie znajomy głos.

- Wróciłeś - powiedział monotonicznie. Kilka dni temu głos ucichł. Paul miał nadzieję, że odszedł na dobre.

„Nigdy cię nie opuściłem”.

- Sądziłem, że zginę sam.

„Nie. Ty i ja. Wspólnie wyjdziemy naprzeciw przeznaczeniu”.

Kramer odrobinę mocniej przycisnął przełącznik.

„Jeszcze kilka milimetrów, Paul... szczypta siły i ten mały przycisk ustąpi... a wszelkie ślady życia znikną z powierzchni ziemi”.

Uśmiechnął się blade. Była w tym jakaś poezja - stworzyć nowy świat, nową historię, a później zniszczyć to wszystko samemu. Pomyślał o dziecku, które pod wpływem nagłego

poczucia pychy dep czy zbudowany z trudem zamek z piasku.

„Masz rację. Osiągnęliśmy tak wiele, czyż nie?”.

Słysząc kliknięcie przycisku... i cały świat pokrywa biel.

## ROZDZIAŁ 85

Nowy Jork rok 2001

Foster i Liam stali w zaułku przed otwartymi drzwiami do bazy, patrząc na zrujnowane miasto. Starzec właśnie kończył swoją opowieść.

- Mój Boże - wyszeptał Liam. - Jak myślisz, co mogło wydarzyć się w tamtym świecie?

- Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to wojna nuklearna - odpowiedział Foster. - Miałem nadzieję, że ty wiesz więcej na ten temat.

- Nic nie wiem - odpowiedział Liam. - Armia Kramera całkowicie podbiła Amerykę, nie słyszałem o innych wojnach. Do zdobycia zostawały jeszcze Rosja i Chiny... ale gdy tam byliśmy, wojna jeszcze nie wybuchła.

Foster wzruszył ramionami.

- Coś w takim razie musiało się wydarzyć niedługo po waszym powrocie. Być może ten Kramer rozpętał wojnę atomową. Kto wie?

Foster uśmiechnął się krzepiąco:

- Naprawimy ten bałagan z przeszłości i nie będziemy zaprzętać sobie głowy tym, co wydarzyło się po twoim powrocie, bo...

- Bo to nigdy się nie wydarzyło - dokończył za niego Liam.

Starzec z dumą poklepał go po ramieniu.

- Zaczynasz chwytać, chłopcze.

Z powrotem weszli do środka i zatrzasnęli za sobą roletę. Bob uwijał się przy łątaniu dziur w ścianie i wynosił ciała mutantów. Usiedli przy stole obok skulonej Maddy, która mocno trzymała w rękach kubek kawy. Wciąż przeżywała atak.

- Foster, powiedziałaś, że jeśli historia się wyprostuje, być może uda nam się odzyskać Sal?

Starzec wzruszył ramionami.

- To tylko możliwość, Liamie. Jedna z wielu.

Liam sięgnął po kubek i upił łyk letniej kawy.

- Ale jesteś pewien, że w tej rzeczywistości jest już martwa?

- Miejmy nadzieję - westchnął Foster. - Bez względu na to, co dokładnie przeszła... - Pokręcił głową zmęczonym ruchem i na chwilę zatrzymał wzrok na Maddy. - Wolę myśleć, że to koniec. Stało się, a ona nie musi już cierpieć.

- A jeśli uda nam się wszystko naprawić... czy ona będzie to pamiętała?

Foster pokręcił głową.

- Nie chcę wzbudzać w was płonnych nadziei. Sal mogła przepaść na dobre, istnieje ryzyko, że nie wróci, nawet jeśli wyprostujemy oś czasu. Nie ma żadnych gwarancji.

- Ona była... taka przerażona - wyszeptała Maddy. - Widziałam, jak ją zabierają...  
Widziałam przerażenie w jej oczach. Ja...

- Nic nie mogłaś zrobić - westchnął Foster. - Absolutnie nic. Gdybym cię nie powstrzymał i pozwolił za nią pobiec, podzieliłabyś jej los.

- Ale to tylko dziecko! - ze złością krzyknęła Maddy. - Dziecko! Mówiłam ci, że powinniśmy ją ratować!

- Już bylibyśmy martwi - odpowiedział łagodnie. - Przykro mi, Madelaine, naprawdę przykro, ale co się stało, to się nie odstanie. Musimy z tym żyć - powiedział i zwrócił się do Liama: - Teraz musimy skupić wszystkie wysiłki na jednym. Mamy jeden cel: naprawić czas. Tylko to się liczy.

Liam i Maddy zgodnie przytaknęli. Miał rację.

- Dobrze. Liamie, mówiłeś, że ustaliliście punkt w czasie, do którego powinniśmy was wysłać.

- Tak. Wszystko zostało opisane w drugiej książce Hitlera.

- Na właściwej osi czasu Adolf Hitler ukończył Mein Kampf dwudziestym piątym roku, zastrzelił się w czterdziestym piątym i nigdy nie napisał już innych książek.

- To prawda - odpowiedział Liam. - Ale w przeszłości, do której zostaliśmy wysłani, Hitler żył dłużej i napisał swoją drugą książkę. Niedługo później został obalony przez Kramera, który został nowym Führerem.

- Rozumiem, a w tej drugiej książce...

- W jednym z rozdziałów opisuje, jak otrzymał znak od Boga, który zesłał do niego anioła. Najwyraźniej to doskonale wszystkim znany rozdział. Hitler nie pisze co prawda wprost o Kramerze, ale ludzie odnosili słowa o „aniole stróżu” i „boskiej inspiracji” właśnie

do niego.

- Mów dalej.

- Kiedy zamknięto mnie w obozie jenieckim, zebrałem wiele informacji na temat tego człowieka. To bardzo tajemnicza postać, która wyskoczyła znikąd jak Filip z konopi. Nic nie wiadomo o jego rodzinie, nie istnieją żadne relacje dotyczące dzieciństwa. To człowiek zagadka. Przypisał sobie zasługę odwiedzenia Hitlera od planu zaatakowania Związku Radzieckiego w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku. Twierdził, że samodzielnie opracował większość nowoczesnych technologii wojskowych, które pozwoliły Rzeszy wygrać wojnę, najechać Stany Zjednoczone Ameryki i zniszczyć siły zbrojne wroga raptem w kilka tygodni. Ludzie czcili go jak Boga. Sądzę, że pielęgnował swoją reputację człowieka wyjątkowego. Jeszcze przed podbojem Ameryki powstało o nim więcej publikacji niż o jakimkolwiek innym żyjącym człowieku. Setki książek, których autorzy próbowali odpowiedzieć na dwa podstawowe pytania: kim jest Kramer i skąd się wziął?

- Udało ci się zdobyć datę i miejsce jego pierwszego spotkania z Hitlerem?

- Tak - odrzekł Liam. - Opowiedział mi o tym człowiek o nazwisku Wallace. Jeśli się nie mylił... znam dokładne miejsce i czas.

Foster zamyślił się na chwilę.

- A więc naszym celem jest Kramer. Możemy się tylko domyślać, że to jakiś obłąkany wynalazca z przyszłości, który wpadł na pomysł odbycia podróży w czasie w celu zdobycia władzy nad światem. Człowiek, który zdecydował się pojawić w przeszłości w momencie zwrotnym historii, aby napisać ją od nowa.

- Tak mi się wydaje.

- Liamie, czy rozumiesz, co musisz teraz zrobić?

- Zlokalizować go i...?

- I zabić. Przeprowadzić egzekucję, zanim spotka Hitlera... zanim zdoła w jakikolwiek sposób zmienić historię.

- Jasne.

- Dobrze. W takim razie podaj mi czas i lokalizację.

## ROZDZIAŁ 86

Nowy Jork rok 2001

Liam spojrział na pusty cylinder z pleksiglasu.

- Nie ma tu wody. Jest pusty.

- Nie mamy żadnych zapasów wody. Tym razem pojedziecie na sucho.

- Znowu muszę wspiąć się do tej próbówki?

Foster pokręcił głową.

- Otworzę okno tutaj, na podłodze. Zabierzesz ze sobą mały kawałek naszej ślicznej, betonowej podłogi... ale obawiam się, że nie ma innego wyjścia.

- Przecież mówiłeś, że nic z naszego świata nie może zanieczyszczać przeszłości.

- Zgadza się. Im mniejsze ryzyko kontaminacji, tym lepiej. Zrozum jednak - w tych okolicznościach niewiele możemy na to poradzić. Nie mamy dostępu do bieżącej wody. Poza tym nie jestem pewien, czy starczyłoby nam mocy, aby przenieść wraz z wami dodatkowe sto litrów wody.

Foster wrócił do panelu sterowania.

- Sygnaturę czasową ustawię na piętnasty kwietnia czterdziestego pierwszego roku. Wybrałem współrzędne tak, abyście wylądowali w lasach obok drogi wiodącej do siedziby Hitlera na wzgórzu Obersalzberg. Prowadzi tam tylko jedna droga - powiedział, odwracając się do Liama i Boba. - Tylko tędy Kramer mógł się tam dostać. Zakładam, że przybył tam w charakterze gościa specjalnego; być może zdołał przekonać wysoko postawionego generała lub nazistowskiego prominenta, aby zorganizował dla niego audiencję u Adolfa Hitlera.

- Czy w takim razie nie otworzyłby okna wewnątrz budynku? Tuż przed oczami samego Hitlera?

Foster potrząsnął głową.

- Ja bym tak nie zrobił. A gdybyś zmaterializował się tuż przed wartownikiem? To niemal pewna śmierć. Nie - powiedział, głaszcząc się po szaro-białej, przerzedzonej brodzie starca. - Dużo rozsądniejszy byłby zrzut w ciche, bezpieczne miejsce i nawiązanie kontaktu za pomocą oficjalnych kanałów. Ja bym postąpił właśnie w ten sposób: zaoferowałbym jakiemuś nazistowskiemu prominentowi niewyobrażalne bogactwa, ujawnienie strategicznych informacji... lub uciekłbym się do innego blefu, aby zyskać jego zaufanie - powiedział, odwracając się do panelu sterowania.

- Twierdzisz, że objawienie spłynęło na Hitlera o godzinie wpół do dziesiątej wieczorem - kontynuował. Sygnaturę czasową ustawię w takim razie na wpół do dziewiątej. Będziecie tam godzinę wcześniej. Jeżeli Kramerowi udało się dostać na audiencję u Hitlera, na pewno postara się być punktualny. Spotkanie zaplanowano na wpół do dziesiątej, ale prawdopodobnie przyjedzie odrobinę wcześniej, aby przejść wymagane procedury bezpieczeństwa.

- A jeśli nam się nie powiedzie?

- Jeżeli nie zdołacie powstrzymać Kramera - westchnął Foster - zaprzepaścimy naszą ostatnią szansę.

- A wtedy?



Starzec potrząsnął głową.

- Wtedy gra skończona - historia ulegnie trwałej zmianie. A w takim wypadku, niech Bóg się nad nami wszystkimi zlituje.

- Zostaniemy uwięzieni w czterdziestym pierwszym roku, prawda?

- Tak, Liamie. A ja utknę tutaj wraz z Maddy.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Liam zrozumiał, że starca i dziewczynę czeka gorszy los.

- A co z mutantami...?

Foster machnął ręką i uśmiechnął się ponuro.

- Zapomnijmy o nich na razie, dobrze?

Maddy podeszła do nich, przestępując przez wijące się kable. Chwyciła Liama za rękę i utkwiała w niego zaczerwienione oczy.

- Dopadnijcie go.

Skinął głową.

Dziewczyna spojrzała na jednostkę pomocniczą.

- Wczytałam na twardej dysku Boba wszystkie informacje historyczne z naszej bazy danych na temat Obersalzbergu i okolic.

- Potwierdzam. - Bob się poruszył.

- Jeśli wam się powiedzie, Liamie, oś czasu zostanie wyprostowana, a my odzyskamy

zasilanie i zabierzemy was z powrotem do domu. Pierwsze okno powrotne zostanie otwarte o wpół do dziesiątej wieczorem w tej samej lokalizacji; pierwszy portal awaryjny o wpół do jedenastej; drugi portal awaryjny dwadzieścia cztery godziny później. Wszystko jasne?

- Tak jest - odpowiedział Liam.

- Jeśli wam się nie powiedzie - rzekł Foster, zbliżając się do chłopca - jeśli wam się nie uda, chłopcze, nie ryzykujcie życia, porywając się na jakieś szalone pomysły. - Położył dłoń na ramieniu Liama. - Postaraj się przeżyć. Przez pierwsze pół roku będzie pomagał ci Bob. Postaraj się przetrwać... i przeżyj swoje życie najlepiej, jak potrafisz.

- A co z wami?

Foster ujął Maddy za dłoń i ścisnął ją mocno.

- Nie martw się o nas, Liamie. Coś już z Maddy zaplanowaliśmy.

Dziewczyna skinęła głową i słabo się uśmiechnęła.

- Zgadza się.

Wszyscy czworo przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, doskonale rozumiejąc, o co toczy się gra. Wiedzieli, że to ich jedyna szansa, aby wszystko naprawić.

Maddy spojrzała na Boba, który stał na baczność w zakrwawionym mundurze SS.

- Ach, cały ty. - Dała mu lekkiego kuksańca w klatkę piersiową. - Uważaj na Liama, ty dumny małpisonie.

- Potwierdzam.

Uśmiechnęła się, a po jej policzku spłynęła strużka łzy.

- A ty, Liamie, masz wrócić cały i zdrowy. Rozumiesz?

Przytaknął.

- Taki jest plan!

## ROZDZIAŁ 87

lasy wokół wzgórza Obersalzberg rok 1941

Znowu w dół. W dół przez czarną otchłań.

Zanim Liam wpadł po pas w śnieg, zdążył się tylko zastanowić, czy kiedykolwiek przyzwyczai się do tych strasznych sensacji żołądkowych.

- Świetnie!

Chłopak spojrzał na kaptur bieli okrywający szczyty sosen. Srebrzyste promienie księżycy odbijały się od śniegu niebieską poświatą. Grube, iglaste gałęzie ugięły się pod ciężkim całunem niedawno opadłego puchu.

Cienki materiał munduru SS nie chronił dostatecznie przed mrozem.

- Jezuu! Co za przekłety mróz. - Zadygotał i syknął pod nosem, wypuszczając obłok gęstego powietrza. - Cieszę się, że nie mamy na sobie przemoczonych spodni. Chwilę, czy to nie wywoła przypadkiem kontaminacji?

- Na chwilę obecną poziom kontaminacji jest akceptowalny - odpowiedział Bob. - Wrócimy w tych samych ubraniach. - Zatrzymał się wpół kroku, by zweryfikować dane z procesora.

- Informacja: dwieście metrów przed nami znajduje się droga do Orlego Gniazda.

- Jasne.

- Rekomendacja: należy zdobyć lepszą broń, odpowiednie ubranie i jak najszybciej się przebrać.

Liam gorliwie poparł propozycję zdobycia ciepłego ubrania.

Gdy jednostka pomocnicza zaczęła przedzierać się przez poszycie lasu, z położonych niżej gałęzi z sykiem opadła chmura śniegu. W milczeniu szli przez pogrążony w ciszy las, aż Liam dostrzegł wąską drogę. Śnieg z szosy odgarnięto na pobocza, aby umożliwić przejazd.

Bob uklęknął i lepiej przyjrzał się drodze. Obok niego przykucnął Liam. Szosa, a właściwie niepozorna droga gruntowa, stopniowo wznosiła się na szczyt. Pięćdziesiąt metrów wyżej, w promieniach reflektora, dostrzegli otoczoną workami z piaskiem budkę wartowniczą i ustawiony przed nią szlaban. Na dygoczące usta Liama wypłynął lekki uśmiech.

„Dla Boba to bułka z masłem” - pomyślał.

- Jeśli uda ci się zlikwidować tych wartowników - odezwał się Liam półgłosem - poczekamy tam na Kramera.

Bob przytaknął.

- Potwierdzam. To dobry plan. Muszę...

Zamarł.

- Bob, o co chodzi?

- Wykryłem pole cząstek tachionowych. - Szare oczy klona przeniosły się na Liama. - W pobliżu zostało otwarte okno czasu.

- Co? Jesteś pewien, że to nie ślad naszego portalu?

- To nie nasze okno.

- W pobliżu? - Liam rozejrzył się po lesie.

- Bardzo blisko. W promieniu trzystu metrów od naszej pozycji.

Najwyraźniej Foster się mylił. Kramer nie przybył do przeszłości wcześniej, przed tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym rokiem, by w sposób oficjalny dostać się na salony Hitlera. On wylądował dopiero przed chwilą.

- Wykrywam znaczną ilość obumierających cząstek.

- Co to oznacza?

- Jedno duże okno translokacji lub wiele mniejszych okien.

Liam przygryzł wargę. Sprawa się komplikowała.

- Kramer nie przeniósł się w czasie sam, prawda?

Od strony lasu dobiegł ich cichy szelest ośnieżonej gałęzi, pobrzękiwanie klamer i niesionego ekwipunku; w końcu - ściszone głosy ludzi. Kramer i jego banda szli w ich stronę.

- Rekomendacja: ukryć się.

Liam rozejrzył się w ciemności. W blasku księżyca wszystko, czego nie pokrywał śnieg, było widoczne jak na dłoni. Jeśli szybko się nie ukryją, zostaną zauważeni. Spojrzył na drzewo obok którego przykucnęli.

- Tam - wskazał - Na drzewo!

Bob skinął głową. Bez chwili wahania chwycił Liama w pól i z łatwością posadził na najniższej gałęzi, po czym bezszelestnie, z wdziękiem gimnastyka wybijającego się z poręczy, podciągnął się i wylądował tuż obok chłopca. Gałąź niepokojąco zadrżała pod jego

ciężarem.

Dźwięki stawały się wyraźniejsze i głośniejsze, w końcu Liam dostrzegł zarysy poruszających się sylwetek. Spomiędzy pni wyłoniły się ciemne kształty ludzi, ostrożnie stąpających po lśniącem śniegu. Nagle, fatalnym zrzędzeniem losu, przybysze zatrzymali się pod drzewem, na którym ukryli się Liam z Bobem.

Przyklęknięli, aby, dokładnie tak jak Bob kilka chwil wcześniej, lepiej przyjrzeć się szosie prowadzącej na szczyt wzgórza. Jeden z nich odezwał się szeptem:

- To tutaj. Jesteśmy u celu, Karl! Zimowa kwatery Hitlera. - Akcent wydał się chłopakowi znajomy. Przypomniał sobie na okrągło nadawane przez głośniki w obozie przemowy wygłaszane precyzyjnym jak brzytwa tonem.

„Czyżby to on? Kramer?” - pomyślał przytulony do konaru chłopak.

Usłyszał drugi głos:

- Der Kehlsteinhaus. Orle Gniazdo. Nie wygląda na pilnie strzeżone. - Ten mężczyzna miał z kolei szorstki, obco brzmiący akcent.

Liam wytężył słuch, ale mężczyzna ściszył ton. Chwilę później odezwał się ten wyraźniejszy głos:

- W wyższej partii wzgórza, w odległości kilkuset metrów, znajduje się garnizon SS, w którym stacjonuje czterystu, może pięciuset żołnierzy. Zginą za swojego Führera z uśmiechem na ustach. Twoi ludzie muszą działać błyskawicznie, Karl.

Ponownie przerwał. Drugi głos znowu coś odpowiedział.

Liam spojrział na Boba, przyczajonego bez ruchu na gałęzi obok niego jak sowa śledząca wzrokiem małego gryzonia, gotowa w odpowiedniej chwili zadać śmiertelny cios.

- Noktowizory, panowie! - rozkazał szeptem drugi mężczyzna. W ciemności poniżej

rozbłysła bladozielona, trupia poświata. Liam uświadomił sobie, że najemnicy właśnie zakładają jakieś specjalne okulary.

- Panie Kramer? - szepnął jeden z nich.

„A więc to rzeczywiście Kramer!” - Liam poczuł, że jego serce zaczyna tłuc mocno w piersi.

- O co chodzi, Rudy?

- Czy dzisiaj wieczorem naprawdę zobaczymy Adolfa Hitlera? - zabrzmiał głos z ostrym akcentem.

- Tak, Rudy. Panowie, to już dziś wieczorem. - Kramer podniósł głos do wyraźnego półgłosu, aby wszyscy mogli go usłyszeć. - Dziś wspólnie napiszemy nową historię.

Bob dotknął Liama w ramię. Znajdowali się zbyt blisko, by ryzykować rozmowę. Zamiast tego klon palcem wskazał mężczyzn, wysyłając w ten sposób wyraźny komunikat: „Jestem gotowy”.

Liam nerwowo przełknął ślinę, czując, że strach znowu ściska mu żołądek. Zaciśnął zęby i skinął głową: „Zrób to”.

## ROZDZIAŁ 88

lasy wokół Obersalzbergu rok 1941

Bob bezszelestnie opadł na trzech stojących pod drzewem mężczyzn. Liam usłyszał głuchy odgłos wydany przez masywne ciało klona i charakterystyczny chrzęst łamanych kości.

Później rozpętało się piekło.

Zdezorientowani żołnierze krzyknęli na alarm. Płomień wyciszonego tłumikiem wystrzału rozjaśnił ciemne kłębowisko postaci. Bob przeciągnął zakrwawionym nożem w poprzek piersi jednego z mężczyzn, a chwilę później drugą ręką zmiażdżył gardło kolejnego najemnika.

Następne stroboskopowe refleksy przekłuły gęstą ciemność przy akompaniamencie przytłumionych wystrzałów. Błysk wystrzału odsłonił splątane na ziemi ciała czterech mężczyzn, z których na śnieg wyciekał wartki strumień krwi. Bob z przerażającą szybkością i zwinnością kobry rzucił się na kolejnego mężczyznę, ale co najmniej tuzin otaczających go najemników otrząsnął się z zaskoczenia i zaczął odbezpieczać broń.

„Muszę mu pomóc” - pomyślał Liam i wyciągnął pistolet z kabury. Wycelował w jeden z ciemnych zarysów - w jednego z najemników, który szykował się już do strzału i pociągał za spust. Głośny huk rozbrzmiał echem wśród drzew i zaalarmował wartowników SS z posterunku.

Mężczyzna jęknął i padł na ziemię, mocno ściskając udo.

„Mój Boże, ja go naprawdę trafiłem.” - Liam nie miał już nic do stracenia; zdradził swoją pozycję, nie mógł już dłużej kryć się wśród gałęzi. Zacisnął zęby i zeskoczył na ziemię. Z płaszczykiem wylądował na plecach jednego z martwych ludzi i znalazł się w samym środku potyczki. Słyszał tylko charczenie i sapanie kilkunastu mężczyzn oraz pojedyncze słowa wykrzykiwane to po niemiecku, to z silnym angielskim akcentem, to w innych językach.

- Jest tam... zastrzel go!

- Strzelaj! Strzelaj!

- Z drogi, Schwartz!

Karabin maszynowy wypluł salwę wytłumionych wystrzałów, które rozświetliły



najbliższą okolicę błyskającym światłem. Liam widział, jak kilka kul trafia w klatkę piersiową Boba, a na jego czarny mundur z otwartych ran wytryskuje gejzer purpurowej krwi.

Ale to nie wystarczyło, żeby go powstrzymać. W mgnieniu oka dopadł do strzelającego najemnika i zatopił w jego gardle ostrze, od którego odbił się srebrny refleks śmierci.

Plecy Boba przeszła kolejna seria; zakrwawiony, podziurawiony i podarty mundur zatańczył w powietrzu.

Liam posłał kilka pocisków w stronę ciemnej sylwetki. Trafiony zgiął się wpół i upadł twarzą w śnieg.

Bob skoczył na kolejnego najemnika i wbił w niego ostrze, ale widać było, że jego ruchy stały się znacznie wolniejsze. Wciąż dysponował potężną siłą, lecz ulotniła się gdzieś niszczycielska szybkość drapieznika. Pozostała tylko drżącymi moc złapanego w zasadzkę, wyczerpanego mamuta. Jego ciało było zbyt osłabione ranami, aby mógł szybko zregenerować siły.

Krótką, wyciszoną serią strzałów zabrzmiała jak przeciągnięcie laską po sztachetowym płocie. Bob zachwiał się i niemal upadł na plecy.

- Scheiße!! Töten Sie ihn!

Znów rozległ się klekot wyciszonych strzałów.

Bob opadł na kolana, zachwiał się raz jeszcze i padł twarzą prosto w śnieg.

Ktoś zaświecił latarką na Liama. Gdy chłopak znalazł się w okręgu światła, błyskawicznie odrzucił broń i uniósł ręce.

- Nie strzelajcie! P...proszę!

Oślepiający promień padł na jego twarz.

- Na kolana!

Liam uklęknął na śniegu.

- Kim ty u licha jesteś?

- Ja... nazywam się Liam.

- Kto cię przysłał?

Agencja nie miała oficjalnej nazwy, a przynajmniej nic nie wspominał o tym Foster.

- Ja... jestem agentem z przyszłości.

Promień oderwał się od twarzy chłopaka; w poświacie Liam zauważył, że przy życiu zostało tylko czterech mężczyzn. Człowiek trzymający latarkę odezwał się ponownie.

- Z przyszłości? Tak szybko? - powiedział Kramer. W jego głosie pobrzmiwała gorycz. Był wściekły, że jego plan zmiany historii został rozszyfrowany niemal od razu, zaledwie po kilku minutach.

Liam nie miał złudzeń. Zostało mu kilka sekund, życia.

- Przecież to niemożliwe. Wehikuł Waldsteina był jedyny - warknął Kramer.

„Musisz zmusić go do mówienia, Liamie. Niech mówi jak najdłużej” - pomyślał Liam w panice.

- Nie, Kramer. Mylisz się. Ludzie, dla których pracuję, mają wiele wehikułów. Bronimy historii.

Kramer postąpił krok do przodu.

- Ale po co?! - Ze złością potrząsnął głową. - Po co? Przecież świat, z którego przybyliśmy... umiera. Zatruliśmy go zanieczyszczeniami, przeludniliśmy, ograbiliśmy z zasobów naturalnych, wybiliśmy niemal wszystkie gatunki zwierząt. - Kucnął obok Liama. - Komu mogłoby zależeć na takiej przyszłości?

Liam spojrział na niego. Z przestraszonego wyrazu twarzy Kramera wywnioskował, że być może wcale nie kieruje nim chciwość ani nienasycone pragnienie władzy. Może ma szlachetniejsze pobudki?

- Dlaczego ktokolwiek chciałby jej chronić? - powtórzył pytanie.

- Widziałem przyszłość, jaką stworzysz - wydusił z siebie Liam. - Na własne oczy. To świat popiołu i ruin.

- Co? - Kramer zmrużył oczy.

- W końcu zrobisz coś strasznego. Zniszczysz świat, nie zostawisz w nim nic wartościowego. Przyszłość może i jest zła, ale to, do czego ty doprowadzisz, jest niewyobrażalnie gorsze.

Jeden z trzech mężczyzn podszedł do Kramera.

- Przybyliśmy tutaj, by zmienić świat na lepsze - powiedział stanowczo. - Nie, by go niszczyć.

Człowiek mówił z bardzo silnym akcentem. Nazywali go Karlem.

Liam potrząsnął głową.

- Ale z jakiegoś powodu... z jakiegoś powodu właśnie tak to się skończy. Coś pójdzie źle. Coś doprowadzi do...

„Jak nazwał to Foster?” - próbował przypomnieć sobie to dziwne słowo.

-...wo... wojny nuklearnej. I wszystko przepadnie. - Liam przebiegł wzrokiem po ich twarzach. - Niech Bóg ma nas w opiece. Widziałem, co zostało z ludzkości. Żalosne ghule... żywiące się mięsem pobratymców.

Karl wybałuszył oczy. Przez chwilę wyglądał na zagubionego, zdezorientowanego.

- Jeśli istnieje piekło, jeśli naprawdę istnieje... ja je widziałem - powiedział Liam. - I to ty je stworzysz!

- Paul? - Karl odwrócił się do Kramera. - Paul? Czy to może być prawda?

Kramer potrząsnął głową, szukając odpowiedzi w oczach Liama.

W oddali usłyszeli wycie syreny. Wystrzał Liama z pistoletu bez tłumika najwyraźniej zaalarmował wartowników SS. Niedługo cały regiment zostanie postawiony w stan gotowości i zaczną przeczesywać lasy.

- Mówisz, że widziałeś to na własne oczy? - spytał Kramer.

Liam skinął głową.

- I chyba wolę tu umrzeć... niż tam wrócić.

Przestrzeń między nimi wypełniły kłęby pary, które w świetle latarki wyglądały jak blade duchy uciekające w dal.

- Paul - powiedział Karl. - To musi być kłamstwo.

Kramer bił się z myślami, na jego twarzy malowały się sprzeczne emocje. Z oddali dochodziło ujadanie psów i przeciągłe wycie syren. Pokrzykiwania żołnierzy stawały się coraz głośniejsze i wyraźniejsze.

Kramer potrząsnął głową. Coś w wyrazie jego twarzy, w blasku przestraszonych oczu, podpowiadało Liamowi, że w zatroskanym umyśle rodzi się decyzja.

Ale nigdy nie dowiedział się jaka.

Ciszę przeszły wytlumione strzały z karabinu maszynowego. Arktyczną kurtkę kamuflażową Kramera zalała krew. Mężczyzna zwałił się na ziemię.

Karl i dwaj pozostali przy życiu najemnicy odwrócili się błyskawicznie, by otworzyć ogień w stronę Boba. Jednostka pomocnicza leżała na plecach, trzymając w lewej ręce jeden z karabinów. Większość źle wymierzonych strzałów wzbilo tylko chmury suchego śniegu wokół klona. Ale wszystkie kule wypuszczone z karabinu Boba sięgnęły celu i z chirurgiczną precyzją posłały na ziemię wszystkich trzech mężczyzn.

- Bob! - wydyszał Liam, czołgając się przez śnieg zachlapany czarną jak noc krwią.

- Bob... Byłem pewien, że nie żyjesz.

Z bliska zobaczył, że jednostka pomocnicza otrzymała zbyt wiele ran w klatkę piersiową i brzuch, aby mieć jakiegokolwiek szansę przeżycia.

- Informacja... - zagulgotał, a z kącika ust wyciekła mu krew.

- Nie... ciii, Bob - wyszeptał Liam, ostrożnie kładąc głowę jednostki pomocniczej na swoich kolanach. Gęste, ciemne włosy klona, które przez ostatnie sześć miesięcy urosły na tyle, aby móc zatopić w nich dłoń, były splątane i mokre od krwi wypływającej z rany na głowie.

Szare oczy Boba zamrugały. Jednostka porządkowała swój dysk twardy - segregowała pliki i kompresowała dane.

- Bob?

Jednostka popatrzyła na Liama błyszczącymi oczami.

- Priorytet misji numer jeden: zniszczyć broń... technologicznie zaawansowaną broń.

- Tak... tak, oczywiście.

- Zbierz karabiny w jedno miejsce... i zniszcz je granatem - powiedział Bob, wskazując leżący na ziemi worek ze sprzętem. - Granaty są w torbie. Użyj jednego... pozostałe zostaną zdetonowane automatycznie.

Liam przytaknął, czując, że po policzku spływają mu łzy. Uświadomił sobie, że oplakuje zepsutą maszynę.

- Bob... Ja...

- Bądź cicho i słuchaj!

Słyszał już głosy, dziesiątki nawołujących się głosów i ujadanie psów wrywających się ze smyczy. W oddali między drzewami słabo zajaśniały promienie latarek. Niebo rozświetliły reflektory stojące na szczycie wzgórza, gdzie znajdował się Berghof - rezydencja Hitlera.

Zbocze nagle wypełniło się ludźmi

- Priorytet misji numer dwa: musisz stąd odejść, Liamie O'Connor. Nie możesz dać się schwytać żywcem. Ukryj się i czekaj na okno powrotne lub awaryjne. Musisz odejść natychmiast.

- Pozwól mi cię podnieść. Nie zostawię cię tutaj na pewną...

- Odmowa. Proces autodestrukcji musi zostać aktywowany.

- Nie! Nie rób tego, Bob! Mówię poważnie, nie rób tego!

Bob wypluł kolejną porcję krwi.

- Priorytet misji numer trzy: jednostka pomocnicza nie może dostać się w ręce...

- Nie! To szalone, wyciągnę cię z tego... jeśli tylko zdołasz ruszyć tyłek, ty belo drewna!

- Odmowa. Musisz opuścić to miejsce. Natychmiast.

- Bob... a może tak zamkniesz jadaczkę na kilka sekund?

- Uciekaj! Uciekaj!

- Bob! Proszę... Nie musisz się likwidować. Ja to zrobię! Zrobię to!

Rozejrzał się po splamionym krwią śniegu i dostrzegł to, czego szukał.

## ROZDZIAŁ 89

Nowy Jork rok 2001

Cisza. Spokój... za wyjątkiem szelestu martwej bryzy przecinającej jałowy krajobraz. Wysokie iglice zardzewiałego metalu i kruszącego się betonu wznoszą się nad ruinami, które niegdyś nazywano Times Square.

Zgrzyta dawno wyblakły znak smętnie zwisający z latarni. W oddali słychać skrzypienie i stukanie rolety okiennej, którą bawi się upiorny wiatr.

Chorowite, żółtawe słońce przebłyskuje zza pędzących, brązowych od napromieniowania chmur, rzucając swoje bezbarwne promienie na cmentarzysko pyłu i kurzu. Z ciemnych pomieszczeń w pustych, zwęglonych budynkach wyzierają mleczne ślepie wypatrujące skromnej kolacji: szczura, psa - o ile jakieś się ostały - lub współplemieńca.

Ten świat nie umiera. Ten świat już jest martwy... czeka, aż ostatnie żalosne szkielety, groteskowi potomkowie ocalałych ludzi, uświadomią sobie wreszcie, że również ich czas już

nadszedł.

Ale pojawia się lekki, początkowo niezauważalny, powiew świeżej bryzy.

Poluzowana roleta po drugiej stronie placu stuka w ościeżnicach coraz głośniejsze. Pyłki kurzu fruną tuż nad ziemią. Koło zardzewiałego wózka obraca się powoli, stukając w łożyskach: klik-klik-klik.

Nagle, nieśmiało pojawia się przelotny - tylko nie mrugnij, bo przegapisz - błysk. Światło jak rozgrzana fala mknąca przez nagrany asfalt autostrady w upalny dzień, jak gorąca poświata wokół ogniska.

Coś miga, faluje... zmienia kształty.

Najwyższa martwa iglica nad Times Square ma już okna, a w nich gładkie szyby. Podobnie jak inne budynki, wyłaniające się z mgły jeden po drugim. Można już dostrzec oczyszczone drogi i spacerujące sylwetki rozmytych zjaw.

Już coraz wyraźniej... niemal namacalnie. To samochody, autobusy, tramwaje... ludzie.

Niebo zrzuciło niezdrowy, toksyczny brąz; wrócił szary zachmurzony wtorek, uparty kapuśniaczek zrasza ulice miasta.

Na wszystkie latarnie nagle wytryskają karmazynowe chorągwie z godłem węża pożerającego własny ogon. Nad wejściami do sklepów materializują się plakaty z twarzą przywódcy obiecującego zjednoczenie świata pod jednym sztandarem. Żołnierze w czarnych mundurach i wysokich, skórzanych butach patrolują pozbawione charakteru, czyste ulice, pełne schludnie ubranych cywilów, którzy w posłusznym milczeniu zmierzają do pracy.

Ale to przynajmniej jest życie, a nie martwy świat.

Bryza nasila się znowu.



Chorągwie powiewają gwałtowniej, jakby wyczuwały nadchodzącą zmianę.

Kolejny błysk.

Zbliża się następne przesunięcie; fala płynie przez miesiące, lata i dekady: wydarzenia wiążą się na nowo, przeznaczenie się zmienia, potencjalność szuka poprawnych wersji.

Szare, pochmurne niebo przejaśnia się. Deszcz ustaje.

Sztandary i chorągwie pryskają jak bańka, plakaty znikają.

Jeszcze ostatnia poprawka, szybki zwrot rzeczywistości, i Times Square znów jest hałaśliwe, ruchliwe, krzykliwe, niespokojne, pełne arogantów z komórkami przy uszach. Ludzie planują swój dzień, cisną się w tłoku na chodniku i stają w kolejce po bajgla i kawę ze Starbucksa.

Gigantyczny ogr o imieniu Shrek znów ironicznie zerka na Osła.

Bezdomny mężczyzna pcha wózek sklepowy pełen tekturowych pudełek przykrytych brezentem i przysiada na ławce, aby popatrzeć na zabiegany świat.

Niebo jest cudownie błękitne. Słońce nienaturalnie ciepłe jak na tę porę roku... wysoko na horyzoncie rozlega się warkot zbliżającego się samolotu.

## ROZDZIAŁ 90

Nowy Jork rok 2001

Maddy leżała na materacu w ciemności. Z ust śpiącego na łóżku obok Fostera wydobywał się ciężki oddech, chrapliwy świst niezdrowego człowieka.

Pod sklepieniem panowała cisza, przerywana tylko odgłosem kapiącej z sufitu wody.

Generator w końcu przestał pracować. Nie pamiętała, kiedy dokładnie. Całkowicie straciła poczucie czasu.

Dwanaście godzin temu? Może więcej?

Nie mieli prądu ani światła. Ostatnia świeczka zgasła, gdy oboje siedzieli przy stole, omawiając plan na wypadek niepowodzenia Liama i Boba. W zasadzie nie było nad czym debatować. Liczba dostępnych opcji skurczyła się do jednej.

Pozostawało tylko wybrać moment, kiedy to zrobić... kiedy skorzystać z dwóch ostatnich pocisków w strzelbie.

Zapewne wtedy, gdy oboje będą gotowi przyznać, że wszystko stracone.

Nie, nie była na tyle niemądra, żeby dopuścić do siebie myśl, że to faktycznie może się udać. Naprawdę miałyby wierzyć, że jakaś mglista data z autobiografii, która nigdy nie powinna zostać napisana, doprowadzi Liama i Boba do źródła przesunięcia? Nie.

Takie szczęśliwe zakończenia zdarzają się tylko w tandetnych operach mydlanych albo hollywoodzkich filmach naszpikowanych efektami specjalnymi, w których już od momentu pojawienia się napisów początkowych wiadomo, że bohater dosłownie w ostatniej chwili pokona siły ciemności i uratuje świat.

Maddy leżała z twarzą w poduszce, nie zauważyła więc, że w pomieszczeniu po cichu rozblęły światła. Dopiero gdy jej uszy wyłowiły cichy pomruk uruchamiającej się maszyny do podtrzymywania bańki czasowej, odwróciła głowę na bok, powoli otrząsając się z półsnu.

Zajęło jej dłuższą chwilę, aby uświadomić sobie, że wróciło zasilanie, a w pomieszczeniu, z charakterystycznym brzęczeniem, rozblęło jarzeniowe oświetlenie.

„To się dzieje naprawdę? Czy ja śnię?” - pomyślała półprzytomnie i szybko usiadła na łóżku, prawie uderzając głową w twarde sprężyny wystające z materaca powyżej. Uśmiechnęła się.

To nie był sen. Foster!

Wyciągnęła rękę i potrząsnęła go za ramię.

- Foster!

Zachłysnął się powietrzem i z jękiem bólu uniósł się na łokciach, otwierając podkrążone, opuchnięte oczy.

- Huh... o co chodzi, Madelaine?

Wskazała wiszącą nad nimi w drucianym kłoszu jasno świecącą jarzeniówkę.

- Foster, chyba im się udało.

Kilka minut później stali już w zaśmieconej uliczce przed bazą, rozkoszując się powrotem znajomego świata - słonecznym, wrześniowym dniem; odgłosami ruchu przetaczającego się przez most Williamsburg powyżej; dźwiękiem klaksonów wciskanych przez zniecierpliwionych kierowców; odległym wyciem syreny policyjnej.

Napawali się życiem. Niecierpliwym życiem.

- Nigdy nie widziałam nic piękniejszego! - krzyknęła Maddy z bezwstydnie mokrymi policzkami.

- Ani ja! - odpowiedział Foster.

Objęła ramieniem jego przykurczone ramiona i pocałowała go w wysuszony i pomarszczony jak stuletnie jabłuszko policzek.

- Udało nam się - wyszeptała.

- A teraz sprowadźmy ich do domu, zgoda? - powiedział Foster z uśmiechem.

\*

Światła pod sklepieniem momentalnie zabłyśły, wehikuł pożerał całą energię. Warkot maszyny translokacyjnej wzrastał, aż na środku podłogi pojawił się połyskujący zarys okna, dokładnie w tym samym miejscu, z którego Bob i Liam zostali wysłani do czterdziestego pierwszego roku.

W oknie dostrzegła słaby, falujący obraz przypominający odbicie na poruszonej tafli wody: ośnieżony las. Nagle w zasięgu wzroku pojawiła się kołysząca, ciemna, sylwetka, która szybko zlała się z poświatą w jedną, czarną kałużę. Na pewno był to człowiek. Ktoś do nich zmierzał.

Chwilę później... na środku podłogi pod sklepieniem pojawił się Liam.

- Liam! - krzyknęła Maddy ze spontaniczną radością. Później zauważyła, że dłonie i ręce chłopaka lepią się od mokrej, krzepnącej krwi: jego mundur, kark i blada jak płótno twarz spryskane były kropelkami krwi.

- O mój Boże... co się stało? Liam, wszystko w porządku?

Odwrócił się, by na nią spojrzeć, ale nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Był tylko w stanie bezgłośnie poruszać wargami.

- Liam, chłopcze... wszystko w porządku? - Foster postąpił krok do przodu.

Liam spojrział na starca, marszcząc brwi i próbując skupić myśli w oślepiającym go świetle jarzeniowym. W końcu skinął głową, wyciągnął rękę i pokazał kawałek metalu leżący na otwartej dłoni. Przedmiot wielkości małego telefonu komórkowego pokrywały strzępki skrzepłej krwi.

- Udało mi się... - Wziął głęboki oddech i spróbował ponownie: - W każdym razie... to Bob.

Foster delikatnie wyjął przedmiot z jego dłoni.

- Świetnie się spisałeś, Liamie - odpowiedział łagodnie, doskonale wiedząc, do czego okoliczności zmusiły Liama. - To na pewno nie było łatwe. Chodź, usiądź tutaj, chłopcze - dodał, prowadząc go do stołu i krzeseł.

- Udało... udało nam się? - spytał Liam.

Zamiast odpowiedzi Maddy wyszczerzyła zęby i mocno go przytuliła.

- Tak, Liamie - odpowiedział Foster. - Tobie się udało.

## ROZDZIAŁ 91

Nowy Jork rok 2001

Kilka godzin później, po zdaniu relacji na temat wydarzeń, Liam spał już snem sprawiedliwego na jednym z materacy. Chrapanie rozbrzmiewało echem pod sklepieniem, skutecznie konkurując z warkotem generatora.

Foster pracował przy biurku z komputerami. Po zdrapaniu z neuronowego procesora Boba tkanki mózgowej i krwi podłączył go do systemu komputerowego i rozpoczął przegrywanie zawartości na dysk twardy.

- Sztuczna inteligencja Boba jest już wśród nas - oznajmił, wskazując pasek pobierania, który wolno przesunął się u dołu ekranu.

- Sporo tych danych do przegrania - zauważyła Maddy.

- Cóż, nie było go prawie sześć miesięcy; przez cały ten czas jego oczy i uszy

rejestrowały dosłownie wszystko.

- Więc jak to dokładnie wygląda? Czy jego sztuczna inteligencja jest nienaruszona?

- Nie jestem informatykiem. - Foster wzruszył ramionami. - Nie wiem, jak to dokładnie działa. Ale kod tworzący sztuczną inteligencję Boba zostanie zintegrowany z systemem komputerowym. - Dotknął klawiatury. - Za jego pomocą będziesz mogła z nim porozmawiać.

- Sześć miesięcy nauki... ten kod AI musi być zdecydowanie mądrzejszy niż półmózg, który wyleciał z próbówki porodowej.

- O, tak! - zachichotał Foster.

- W jaki sposób wyhodujemy sobie inną jednostkę pomocniczą? - spytała. Próbówki są zbite, maż, w której dorastały klony się rozlała...

Starzec podniósł dłoń.

- Przywrócenie biura terenowego do sprawności operacyjnej będzie wymagało sporo pracy.

- Pomogę ci z tym... nie wyglądasz najlepiej. - Gdyby Maddy zdobyła się na absolutną szczerłość, Foster usłyszałby, że wygląda jak chodzący trup.

- Potrzebujemy nowych zarodków i roztworu hodowlanego. Należy wymienić generator. Trzeba załatać dziury w ścianach i uzupełnić zapasy - dodał.

- Nowy generator będzie sporo kosztował.

- To nie problem - odrzekł Foster - po prostu znajdź sklep ze sprzętem i kup, co trzeba.

- Mamy pieniądze?

- Ile dusza zapragnie. Są na koncie bankowym.

- Bomba. Dostaniemy kartę debetową lub coś podobnego?

Spojrzał na nią uważnie.

- To jedna z rzeczy, które muszę ci wyjaśnić... zanim... - Jego głos osłabł.

- Zanim co?

Foster wyglądał na zaniepokojonego.

- Zanim odejdę.

- Odejdiesz? Odejdiesz?! Nie możesz odejść. Póki co żadne z nas nie ma bladego pojęcia, co my tutaj robimy. Jezu, ja... ja na pewno nie...

- Świetnie sobie poradzicie. - Foster się uśmiechnął. - Nie mam żadnych wątpliwości. W tej chwili jesteście najlepiej przygotowaną drużyną w Agencji. Przeszliście prawdziwy chrzest bojowy. Dacie sobie radę niemal we wszystkich okolicznościach. Jestem o tym przekonany.

- Drużyną? Nie ma żadnej drużyny. Jestem tylko ja z Liamem. - Rzuciła okiem na rząd monitorów naprzeciwko i pasek pobierania, który znajdował się już w połowie procesu. - Ach, przepraszam... jest jeszcze komputer, który zaraz zażąda, żeby zwracać się do niego per Bob.

W tym samym momencie zza pleców doszedł ich cichy tupot stóp. Odwrócili się i zobaczyli Sal, stojącą na środku pomieszczenia z reklamówką z zakupami w ręku. Dziewczynka z ciekawością przyglądała się małemu kraterowi w wyrwanej posadzce.

- Coście wyprawiali? Niezły bajzel tu urządziliście - powiedziała, z dezaprobatą kręcąc głową. - Wyszłam na kilka godzin po mleko i bajgle na śniadanie, a po powrocie widzę wywiercone dziury w ścianach i ślady po grze w kręgle na podłodze.

- Sal? - Maddy opadła szczęką. - Sal!

- No... tak, i? - Czarne brwi dziewczyny wygięły się w łuk.

- Ty żyjesz! - Maddy zerwała się zza biurka i chwyciła zde zorientowaną dziewczynę w ramiona. - O mój Boże, żyjesz! Naprawdę żyjesz!

Foster przyglądał się zdumionej twarzy Sal, wystającej sponad drżącego ramienia Maddy.

- Uch... czy ktoś mi wreszcie powie, co tu się działo, gdy wyszłam na miasto?

## ROZDZIAŁ 92

Nowy Jork rok 2001

Poniedziałek

Nie powiedzieli mi o wszystkim, co się wydarzyło. Jestem pewna, że coś przede mną ukrywają. Ale wiem, że kiedy wyszłam po mleko i bajgle nastąpiło przesunięcie czasowe, a Liam i Bob wyruszyli w przeszłość, aby wszystko naprawić.

Liam powiedział mi nawet, że wraz z Bobem utknęli w przeszłości na dobre sześć miesięcy! A ja nie mam o tym wszystkim zielonego pojęcia. Podróżowanie w czasie ciężko zrozumieć.

Mówią, że biuro terenowe zostało zaatakowane, ale nikt mi nie zdradził przez kogo lub co. Na całej zewnętrznej ścianie jest mnóstwo śladów zadrapań, jakby ktoś szorował cegły szczotką drucianą. Może zostaliśmy zaatakowani przez armię jeżozwierzy?

Wiele rzeczy na zapleczu zostało zniszczonych, podłoga jest zasłana odpryskami szkła



i odłamkami innych rzeczy. Zdaje mi się, że musiała toczyć się tutaj jakaś walka. Wołałabym, żeby po prostu wszystko mi powiedzieli, zamiast „chronić” mnie, bo jestem najmłodsza.

No i Bob umarł. Liam bardzo to przeżywa. Codziennie pisze coś do niego w systemie komputerowym. Maddy mówi mu, żeby się tym tak nie zadręczał, bo Bob właściwie nie odszedł tylko chwilowo zamienił się w komputer. Powiedziała, że to trochę jak rozmowa z przyjacielem przez Skype’a.

Też tęsknię za wielkoludem.

Foster mówi, że wyhodujemy sobie nowego Boba, jak tylko sprzęt porodowy zacznie działać. Nie wiem właściwie, co myśleć o drugiej wersji Boba. To już nie będzie ten sam Bob. Choć może? To klony, więc pewnie będą identyczni.

Maddy wciąż jest czymś zajęta. Foster mówi, że Maddy jest teraz przywódcą drużyny i dlatego musi się wiele uczyć, a my w tym czasie możemy odpoczywać i wracać do formy. Próbkę porodową na zapleczu zostaną wymienione. Będziemy potrzebować nowych zarodków i trochę tej maziowatej zupy, w której pływają. Foster kazał Maddy załatwić to wszystko. Musimy też zdobyć nowy generator awaryjny, który zastąpi stary. No i uzupełnić zapasy jedzenia, wody, oleju napędowego i jeszcze wielu innych rzeczy.

Przez kilka dni będziemy mieć ręce pełne roboty. To na pewno.

Beznadziejnie, że przegapiłam tę całą aferę. Teraz czuję się, jak jakiś żółtodziób przy dwóch prawdziwych wyjadaczy.

Właściwie wszyscy troje wydają się jacyś inni, jakby te wydarzenia poważnie ich zmieniły. Weźmy na przykład Liama. Wygląda na starszego. Mogłabym przysiąc, że urosł kilka centymetrów. Wydaje się większy, masywniejszy. Nie jest już taki chłopięcy, to już bardziej mężczyzna. Jest oczywiście o sześć miesięcy starszy... ale wygląda jakby się postarzał o dwa albo nawet trzy lata. To dziwne.

Maddy mniej się teraz wydurnia. W końcu ciągle ma tyle na głowie... jakby niedługo miała masę egzaminów, do których jeszcze nie zaczęła się przygotowywać.

No i Foster.

Martwię się o niego. Wygląda na baaaardzo schorowanego i duuuużo starszego. Kiedy wróciłam z zakupów miałam wrażenie, że gdy mnie nie było, postarzał się o jakieś sto lat. Pomyślałam, że niegrzecznie byłoby chlapanąć coś, że nagle wygląda tak staro. Dlatego przez ostatnie kilka dni w ogóle o tym nie wspominam. To chyba przez te podróże w czasie.

Ach, jazda w czasie to strasznie dziwna rzecz. Miesza w głowie.

Sal spojrzała sponad swojego dziennika i podniosła do ust łyżkę z ryżowymi płatkami Rice Krispies. Gdy pisała, płatki zdążyły rozmięknąć w mleku. Bez zainteresowania patrzyła na jeden z rzędów monitorów. Przełączyła CNN na kanał Disneya. Właśnie leciała bajka Toy Story 2 - Buzz i jego brygada próbowali przejść przez ruchliwą ulicę przebrani za pacholki drogowe. Sal widziała tę animację setki razy. To jedna z ulubionych bajek jej taty.

W bazie jest cicho. Liam leży na łóżku, z nosem utkwionym w książce historycznej o drugiej wojnie światowej. Dużo czyta. Mówi, że już nigdy nie chce utknąć w epoce, o której nic nie wie. Maddy i Foster wyszli jakiś czas temu. Powiedział jej, że mają do przedyskutowania wiele „poufnych” spraw. Nie podoba mi się to. To, że o pewnych rzeczach mówi tylko Maddy, ignorując mnie i Liama, jest nie fair. W końcu jesteśmy drużyną, nie?

Kilka godzin temu Sal patrzyła, jak wychodzą na dwór pod drzwiami rolety. Foster pomachał jej na pożegnanie. Sposób, w jaki to zrobił, był lekko niepokojący - przyglądał się nieposprzątej bazie z jakimś nieobecnym, smutnym uśmiechem.

Przez ostatnie kilka dni zachowywał się bardzo dziwnie. Zastanawiała się, czy to z powodu zmęczenia. Foster miał w końcu na swoich barkach tak dużo obowiązków. Zdecydowała, że po ich powrocie zmusi go, aby wygodnie rozsiadł się w jednym ze zniszczonych foteli obok stołu i rozprostował nogi. Ona o niego zadba. Zaparzy mu kawę, przygotuje tosty z fasolą. Przyniesie, czego tylko zapragnie.

Staruszek potrzebował odrobinę czułości.

## ROZDZIAŁ 93

Nowy Jork rok 2001

- A więc - powiedział w końcu Foster - teraz wiesz już wszystko, co powinnaś wiedzieć, Madelaine. Wszystko.

Maddy uważnie popatrzyła na siedzącego po drugiej stronie stołu starca. Był późny poranek, w Starbucksie panowała względna cisza: poranny pęd po kawy latte i frappuccino już minął, a kawiarnia zrobiła się w połowie pusta.

- Teraz już wiesz, dlaczego umieram, dlaczego nie mogę dłużej ryzykować jazdy w czasie i przebywać w bańce czasowej biura terenowego...

- Jesteś pewien? - Spojrzała na niego. - Jesteś pewien, że ta technologia cię zabija?

- Tak - odpowiedział. - Szkody nasilają się powoli, wraz z upływem czasu. Początkowo w ogóle się tego nie zauważa, ale w końcu zmiany zaczynają postępować naprawdę szybko. Nie wiem, jak długo pożyję poza próżnią czasową, ale na pewno dłużej niż gdybym został wraz z wami w bazie.

- A gdybyś został?

- Został z wami... wewnątrz bańki? - Wzruszył ramionami. - Ciężko powiedzieć. Pożyłbym pewnie jeszcze kilka dni, może tydzień, góra dwa. - Westchnął. - To nie jest nauka ścisła. A ja nie jestem lekarzem.

Maddy przygryzła wargę.

- Przykro mi.

- Niepotrzebnie. - Uśmiechnął się słabo. - Taki już los agenta. Bardzo wcześnie, kiedy zaczynałem, gdy byłem młody i sprawny, powiedziano mi, że jazda w czasie w końcu mnie zabije.

- Ale ty nie posłuchałeś?

- Zrezygnować z tylu cudownych zdarzeń, które widziałem, Maddy; z historii, której dotknąłem i posmakowałem; ze wszystkich doświadczeń, jakie przez te wszystkie lata zebrałem; z rzeczy, których się nauczyłem? Jezuu... nigdy! Zrobiłbym to ponownie. Bez chwili wahania.

- Miałeś taki sam wybór jak my? Dołączyć do Agencji lub umrzeć zgodnie z przeznaczeniem?

- Tak - odpowiedział. - I nie żałuję ani chwili.

- A co z Liamem?

Foster zamyślił się głęboko i po dłuższej chwili niechętnie przytaknął.

- Tak, obawiam się, że podzieli mój los. Podróże w czasie postarzą go szybciej niż ciebie i Sal. Jazda w czasie przędzej czy później go zabije... poszatkuje jego organizm chorobami.

Pokręciła głową, spoglądając na kawę i muffina, ale nagle straciła ochotę na jedzenie i picie.

Biedny, biedny Liam.

Ona została przywódcą drużyny, więc od niej będzie zależało, kiedy mu powie. Kiedy mu oznajmi, że po każdym wejściu do okna translokacji i wysłaniu w przeszłość komórki w jego organizmie będą ulegały stopniowemu rozkładowi, aż w pewnym momencie przekształcą się w nowotwory, które wyniszczą jego ciało od środka.

- Gdzie w takim razie się wybierasz? - zapytała po chwili.

- Nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Nie miałbym nic przeciwko dobremu hot dogowi na świeżym powietrzu. - Wyszczrzył zęby. - Postaram się jak najlepiej wykorzystać czas, który mi został.

- Zostaniesz w Nowym Jorku?

- Mówią, że to miasto, które nigdy nie zasypia... a ktoś mi kiedyś powiedział, że dobrze wyśpię się dopiero po śmierci. Nowy Jork jest więc chyba dla mnie idealnym miejscem.

Zaśmiali się oboje. Suchy, smutny dźwięk wypełnił przestrzeń między nimi.

Foster upił ostatni łyk kawy.

- W każdym razie zawsze planowałem dobrze poznać Nowy Jork i wszystko zwiedzić, a zawsze miałem coś ważniejszego do zrobienia.

Sięgnął po stojący przy jego stopach bagaż - małą, podróżną torbę z kilkoma pamiątkami i osobistymi rzeczami.

- Foster, zaczekaj - powiedziała Maddy. - Nie wiem, czy się nadaję. Czy jesteśmy gotowi działać na własną rękę.

- Jesteście więcej niż gotowi. Jestem pewien, że będzie z was świetna drużyna.

- Skąd możesz to wiedzieć? Jest jeszcze tyle rzeczy, które musimy...

- Wiem - powiedział stanowczo i wolno podniósł się z fotela, krzywiąc się przy tym z bólu i wysiłku.

- Zobaczymy się jeszcze?

- Masz wszystkie niezbędne informacje, Maddy. Są w twojej głowie: pamiętaj, co ci mówiłem, czego się nauczyłaś, czego doświadczyłaś. A jeśli będziesz miała jakieś wątpliwości... cóż, w bazie danych znajdują się notatki i odpowiedzi na wszystkie twoje pytania.

- Skąd wiesz, o co zamierzam pytać?

Mrugnął tajemniczo.

- To podróże w czasie, Maddy. Koniec jest początkiem. Spojrzała na niego zdziwiona.

- Tak, ale czy jeśli będę potrzebowała twojej pomocy... będę mogła cię gdzieś tutaj znaleźć?

Starzec wyciągnął wiotką, pokrytą plamami rękę i po raz ostatni delikatnie ścisnął ramię dziewczyny.

- Doskonale sobie poradzisz, Maddy, nie inaczej - odrzekł.

Odwrócił się, włożył torbę pod ramię i poczłapał w stronę szklanych drzwi kawiarni. Gdy otwierał drzwi i wychodził na zatłoczony chodnik na Manhattanie, wyglądał na najstarszego podróżnika świata.

W pierwszym momencie chciała krzyknąć za nim, dogonić go i błagać, aby został z nimi na dłużej, ale szybko zniknął z pola widzenia wśród rzeki ludzi na chodniku. Przez chwilę patrzyła na tętniącą życiem ulicę, rozmyślając nad słowami Fostera. Zastanawiała się, ile z tego wszystkiego zdradzić Liamowi i Sal, a co lepiej zachować dla siebie. Zaczynała czuć, jak na jej barki powoli opada ciężar odpowiedzialności.

- Dolewka?

Maddy spojrzała na kelnerkę, która stała obok niej z dzbankiem parującej kawy w rękach. Dziewczyna wyglądała na jej rówieśniczkę. Przez chwilę zastanawiała się, jakiego rodzaju problemy nie dają jej spać po nocach. „Może by tak jutro pójść na rolki z Sheeną i

Kayishą? Czy przyjąć zaproszenie Danny'ego i pójść z nim na imprezę do Jimmy'ego? A może powinnam umówić się ze Steviem. Wziąć nadgodziny we wtorek czy lepsza będzie środa?”.

- Dolać ci?

Maddy skinęła głową z roztargnieniem.

- Jasne... tak, doleję, proszę.

Kelnerka nalala pełny kubek kawy i podeszła do następnego stolika, aby zadać to samo pytanie.

Maddy odprowadziła ją wzrokiem, z zazdrością myśląc o beztruskim życiu, jakie prawdopodobnie prowadzi dziewczyna i błahych decyzjach, które codziennie podejmuje. Gdyby mogła w tej chwili zamachać czarodziejską różdżką i zamienić się miejscami z kelnerką, zrobiłaby to natychmiast: nalewałaby kawę i pozwoliła miss kelnerce ze Starbucksa łamać sobie głowę nad utrzymaniem historii w ryzach.

Ale gdy tak pocierała zmęczone oczy, myśląc o zakupie nowej pary okularów, uświadomiła sobie, że ktoś to przecież musi robić. Ktoś musi pilnować czasu.

---

HISTORIA, JAKĄ ZNAMY

HISTORIA ZMIENIONA

PRZEZ KRAMERA Pierwsza fala czasoprzestrzenna

Kolejny tom wkrótce!